

KATHERINE STONE

USŁANE RÓŻAMI

Tytuł oryginału BED OF ROSES

Szpital Westwood Memoriał, Los Angeles

czwartek, 1 listopada

Nikt go nie rozpoznał, bo nic nie znaczył w mieście ulotnych fantazji i celuloidowych snów. Pod drzwiami Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej tłoczyli się reporterzy, najlepsi z najlepszych, tak sławni, że pozwolono im zgromadzić się tutaj, blisko niej, z dala od hordy pomniejszych reprezentantów dziennikarskiego światka, którzy kulili się na zewnątrz w strugach ulewnego deszczu.

Nie ulegało wątpliwości, że nieznajomy przyszedł prosto z dworu, gdzie szalała potężna nawałnica. Krople deszczu kapały z kruczoczarnych włosów na przystojną, choć wymizerowaną twarz. Tworzyły strumyczki wokół lodowatych, szarych oczu, spływały na nieogolone policzki o drgających ze zdenerwowania mięśniach. Ciemnoszary garnitur przemókł do suchej nitki. Ale ulewa nie zdołała umniejszyć wrażenia elegancji, klasy i dobrego smaku.

Dziennikarze świetnie wiedzieli, że mężczyzna nie należał do ważnych osobistości Miasta Blichtru, niemniej gdzieś musiał wiele znaczyć. Bystra gromadka pismaków rozpoznawała władzę na pierwszy rzut oka. To był człowiek nawykły do wydawania poleceń, człowiek, przed którym otwierały się wszystkie drzwi i rozstępował tłum, właśnie tak, jak teraz oni to zrobili.

Na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej leżeli różni pacjenci. Ale nikomu z grupy wytrawnych reporterów nawet nie przemknęło przez myśl, że nieznajomy bierze udział w jakimś anonimowym dramacie. Był tu niewątpliwie z powodu tragedii angażującej uwagę ich wszystkich... walki na śmierć i życie Cassandry Winter, aktorki, która pojawiła się nie wiadomo skąd, by wziąć Hollywood szturmem, trwającą od pięciu lat burzą talentu i - wydawałoby się niepowstrzymanym - pasmem sukcesów.

Aż do dziś.

Przekonanie dziennikarzy, że szarooki mężczyzna przybył tu z powodu Cassandry, potwierdziło się, kiedy nieznajomy dotarł do dwuskrzydłowych drzwi, których żaden z przedstawicieli prasy nie zdołał jeszcze przekroczyć. Wtedy po raz pierwszy się odezwał.

Rozkazującym, chrapliwym, pełnym desperacji głosem zapytał:

- Co z nią?

- Już po operacji - odparł najbardziej obrotny z reporterów.

- To wszystko, co wiemy - dodał inny.

- Żyje - szepnął trzeci. zabrzmiało to raczej jak pobożne życzenie niż rzeczowa informacja. Żaden z dziennikarzy nie dodał wprawdzie „jeszcze”, ale to niewypowiedziane słowo krążyło w powietrzu jak mgliste widmo, niewidzialne, a przecież budzące grozę.

Elegancki nieznajomy zniknął wśród przeraźliwej ciszy tak nagle, jak się pojawił, aż luminarze mass mediów zaczęli się zastanawiać, czy nie był przypadkiem zjawą, złudzeniem wywołanym przez ich własne zmęczenie. Wtedy za zamkniętymi drzwiami rozległ się przestraszony głos:

- Proszę pana, czy mogę w czymś pomóc? W dyżurce siedziała za biurkiem sekretarka Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej. Widząc, że jej słowa nie robią na nieproszonym gościu żadnego wrażenia, poderwała się na nogi, by zwrócić na siebie uwagę.

Może mężczyzna instynktownie wyczuł ten ruch, a może nie. Z pewnością nie patrzył na nią. Jednak zatrzymał się. Tylko po to, aby stwierdzić, gdzie się znalazł, zdała sobie sprawę sekretarka. Jego oczy, dzikie i przenikliwe, lustrowały ogromną przestrzeń pełną świecących i błyszczących urządzeń, aż natrafiły na oszkloną kabinę, w której leżała sławna pacjentka.

- Proszę pana? - powtórzyła głośno sekretarka. Nieznajomy nawet nie drgnął. Szaleństwo nie znikło z jego oczu, ale najwyraźniej starał się nad nim zapanować. Pojawił się w nich jakiś nowy, zły błysk - wściekłość na tych, którzy zasłaniali mu widok - na stojącego przed szybą mężczyznę o znanej twarzy, na kręcących się po oszklonej sali lekarzy i pielęgniarki.

- Chcę zobaczyć Cassandrę.

- Och, oczywiście - sekretarka grała na zwłokę w oczekiwaniu, że jej energiczny opór zwróci czyjąś uwagę. Wkrótce nadciągnęły posiłki - dwaj umundurowani policjanci, siostra przełożona i Natalie Gold, agentka największych hollywoodzkich gwiazd.

- Co się tu dzieje? - spytała przełożona.

- Ten pan chce zobaczyć panią Winter. Policjanci, którzy ze zwodniczą nonszalancją spacerowali tu i tam, niemal niezauważalnie zmienili kierunek przechadzki. Natalie Gold zmarszczyła brwi, a siostra przełożona wygłosiła przepisową formułkę:

- Przykro mi, proszę pana. Tylko członkowie rodziny mogą ją widzieć! Zimna złość zamigotała w szarych oczach, kiedy nieznajomy spojrzął na stojącego przed szklaną ścianą mężczyznę.

- On nie należy do rodziny.

- To prawda - przyznała pielęgniarka. - Ale to Robert Forrest. Aktor. I co ważniejsze,

jej...

Kochanek. Mężczyzna zbył tę informację niecierpliwym machnięciem ręki. Gest był nieznaczny i na pozór niewinny, ale w przypadku człowieka, który trwał dotąd w posagowym bezruchu, nawet najlżejsze drgnienie zaskakiwało i działało jak rozkaz. Siostra przełożona wycofała się i zamilkła.

- Robert Forrest nie należy do rodziny - powtórzył.

- I dlatego nie został wpuszczony do jej pokoju. Głos był spokojny i cichy, a mimo to władczy. Należał niewątpliwie do człowieka, który przywykł do wydawania poleceń.

Glina, uznał mężczyzna, zanim jeszcze się odwrócił. Słuszność wniosku potwierdzał - czy nawet podkreślał - zarówno krawat absolwenta Ivy League, jak i przenikliwe, inteligentne spojrzenie. Ważny glina.

- Porucznik Jack Shannon. Wydział zabójstw. - Co prawda Cassandra Winter wciąż jeszcze żyła, ale zamiarem człowieka, który ją napadł, było bez wątpienia morderstwo. - Pan...?

- Chase Tessier.

- Tessier - powtórzył porucznik. Nazwisko, w przeciwieństwie do imienia, brzmiało z francuska. Jackowi nie było ono obce. Błyskawicznie odnalazł w pamięci nazwę posiadłości znanej rodziny. - Z Napa Valley?

V Tak.

- Więc uważa pan, że powinien zostać wpuszczony do pokoju pani Winter, ponieważ... ?

- Ponieważ Cassandra Winter jest moją żoną.

- To kłamstwo! - krzyknęła Natalie Gold, dając się ponieść emocjom. Jej wściekłość jeszcze wzrosła, gdy elegancki mężczyzna o lodowatych oczach odwrócił się i wbił w nią mrozące krew w żyłach spojrzenie. - Wiedziałabym, gdyby Cass miała męża, gdyby kiedykolwiek była mężatką.

- Czyżby? A jednak nie wiedziała pani o tym, kimkolwiek pani jest.

Natalie Gold nie raczyła podać Tessierowi swego nazwiska. Minęły już lata, nawet całe dekady od czasu, gdy licząca się osoba nie rozpoznała jej. A przy tym trudno jej było się przyznać, że mogłaby nie mieć pojęcia o małżeństwie Cass; w przeciwieństwie do innych znakomitych klientów, Cassandra Winter nigdy z niczego jej się nie zwierzała.

- Ona jest i moją podopieczną, i przyjaciółką. Wiedziałabym, tak jak wiedziałby Robert, którego też zresztą reprezentuję. Cass i on...

- Nasze małżeństwo nie zostało rozwiązane. Sławna agentka popatrzyła znacząco na

Shannona.

- Pan wie, kim on jest, prawda, poruczniku? To ten potwór, który napadł na Cass. Włamał się do jej domu, skatował ją, a teraz pojawia się tu, żeby dokończyć dzieła. Nic innego mu nie pozostało, bo inaczej Cass zidentyfikuje go, kiedy tylko się ocknie. Może i jest jej mężem, straszliwą pomyłką sprzed lat.

Ale to Natalie Gold popełniała pomyłkę. Popatrzyła na niewzruszonego oficera z wydziału zabójstw i na Chase'a Tessiera. Jeszcze przez chwilę próbowała ciągnąć swoje fantazje. Jednak zawahała się; mężczyźni o tak szlachetnym wyglądzie nie są zdolni do zbrodni.

- Porozmawiajmy, panie Tessier - zaproponował tymczasem porucznik Shannon. - Proszę mnie przekonać, że powinienem panu pozwolić ją zobaczyć.

Chase ogromnym wysiłkiem woli zdołał opanować wściekłość. Świadczył o niej tylko niecierpliwy ruch mocnej dłoni, mierzwiącej przesiąknięte wodą włosy.

- Byłem w Paryżu, kiedy dotarła do mnie ta wiadomość. Postanowiłem natychmiast wracać. Samolot do Los Angeles odlatywał za godzinę. Udało mi się go złapać. Czterdzieści pięć minut temu przeszedłem kontrolę celną na LAX.

- Poleciał pan do Paryża w interesach?

- Tak. Żeby odebrać nagrodę, która bez Cassandry i tak nie ma dla mnie znaczenia, dodał w myślach. Czy dlatego podczas lotu myślał tylko o niej? Widok barwnie odzianych stewardes przypominał mu, że to Halloween. Jej urodziny. Podczas długiego transatlantyckiego lotu myśli te nie dawały mu spokoju, natarczywe i prorocze. Była w tarapatkach. Potrzebowała go. Po powrocie z Paryża pojechałby do niej, porozmawiał, pomógł. Do diabła z dumą.

- Czy podczas pobytu w Paryżu albo w czasie któregoś z lotów spotkał pan kogoś znajomego?

- Na lotnisku de Gaulle'a czekał na mnie kolega. To on właśnie powiedział mi o Cassie.

Nikt nie nazywa jej Cassie - przerwała im Natalie.

- Ja ją tak nazywam. Nazywałem.

- Czy ma pan paszport, panie Tessier? Chase sięgnął do zewnętrznej kieszeni przemoczonego szarego garnituru i wyjął z niej paszport i bilet na samolot.

Jack uważnie przejrzał dokumenty, potem podniósł wzrok na Chase'a.

- Potrzebne mi będzie nazwisko, adres i numer telefonu tego kolegi. Później. Do akt. Ale wierzę panu, panie Tessier. Wierzę, że w czasie, gdy dokonano napadu, był pan w drodze

do Paryża.

- Tak po prostu? - wtrąciła się znów Natalie.

- Tak po prostu. Obecnie paszporty są sprawdzane wyjątkowo starannie.

Przyglądając się uważnie Chase'owi, Jack dostrzegł ogromny niepokój i rozpacz, która nie miała nic wspólnego z lękiem mordercy o pozostawione ślady. A jeżeli tym razem instynkt go zawiódł? Ale przecież Cassandra Winter stale pozostawała pod ochroną, pod ścisłym nadzorem policyjnym, mającym udaremnić ewentualny atak mordercy.

- Czy może pan udowodnić, że jesteście małżeństwem?

- Tak - Chase zmarszczył brwi i wzruszając ramionami dodał ściszym głosem: - Nie mam aktu ślubu przy sobie. Jest złożony w sejfie depozytowym w St Helena. Kiedy tylko otworzą bank, kopia dokumentu zostanie panu przesłana faksem. - Kiedy tylko otworzą. Dopiero wstawał świt burzliwego kalifornijskiego dnia. Całe godziny dzieliły ich od pory rozpoczęcia pracy banku, a on musiał dostać się do Cassie teraz, zaraz. - Czy mógłbym...?

Jack skinął głową.

- Jeżeli jej lekarze się zgodzą. Już w drodze do przezroczystej ściany, do Cassandry, Chase wyszeptał słowa podziękowania. Była to prawdziwie samotna wędrownica, chociaż towarzyszył mu w niej Jack Shannon. Porucznik powiadomił policjanta przy drzwiach, że Chase Tessier ma prawo wstępu do pokoju chorej.

Krótką wymianą zdań dobiegła uszu mężczyzny, który wpatrywał się w szklaną tafłę z takim natężeniem, że sprawiał wrażenie nieświadomego panującego wokół zamieszania. Aż do tej chwili. Słynne błękitne oczy, teraz z braku snu otoczone ciemnymi kręgami, zabłysły furją. Wybuchy wściekłości Roberta Forresta były tajemnicą poliszynele.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

- Właśnie poinformowałem policjanta, że pan Tessier może wejść do pokoju chorej.

- Zamiast mnie?

- Pan Tessier jest jej mężem.

- Kim? Łączy ich legalny związek, więc ma prawo być przy niej.

- A ja nie mam prawa, mimo że ją kocham? Mimo że ona kocha mnie? A co z Cass, poruczniku? Z jej prawami? Mogę pana zapewnić, że to nie jego Cass chciałaby widzieć, kiedy się ocknie. Nieważne, kim ten człowiek jest. Ona chce mnie, mnie.

Do świadomości Chase'a docierało niewiele z urągliwych uwag. Wściekłość miała przyjść później. Teraz każda cząstka jego istoty skupiała się tylko na chorej. Był już tak blisko, wystarczająco blisko, żeby ją zobaczyć... Ale to, co wreszcie ujrzał, wyrwało mu bezgłośny krzyk z głębi serca. Gdyby nie unosząca się i opadająca klatka piersiowa,

zmuszana do oddechu przez rytmiczną pracę aparatu tlenowego, Cassandra leżałaby w całkowitym bezruchu. Bez życia. Złociste, aksamitne rzęsy, które potrafiły tańczyć, trzepotać, skrywać spojrzenia, teraz przesłoniły wszystko. Wyglądały na równie pozbawione życia jak sama Cass, nieporuszone koszmarami ani przyjemnymi snami, a jednak dalekie od wrażenia spokoju.

Skóra, zawsze blada, teraz była niemal przezroczysta, oprócz miejsc, gdzie okrutne razy pozostawiły szkarłatne sińce, świeże ślady przemocy. Srebrzysty hełm osłaniał głowę, a pajęcza sieć kolorowych przewodów unosiła się nad chorą. Tęczowe kanaliki wiodły od jej okaleczonego serca - tak bardzo już przedtem okaleczonego - do monitora, po którego ekranie przebiegały linie uderzeń pulsu, zielone symbole szoku.

Cassandra Winter miała na sobie tanią bawełnianą koszulę szpitalną. Była praktyczna i zapewne dobrze spełniała swoją rolę, bo dawała lekarzom wygodny dostęp do szyi, rąk i nóg, do klatki piersiowej.

Czy nie wiecie, jaka ona jest wstydliva? Serce Chase'a błagało za nią. I że marznie? Zawsze...

Oprócz tych chwil, kiedy się z nią kocham.

Oprócz tych chwil, kiedy jesteśmy jednością.

Ciche pytania kierowane do zwyczajnych, pełnych dobrych chęci ludzi zostały usunięte w cień przez bolesne wyrzuty wobec bardziej wrogich mocy. Co za potworny kaprys losu skazał ją na tę mękę? Zrządzeniem jakiego okrutnego przeznaczenia ona, Cassandra, znalazła się w tym miejscu?

Ona. Jego utracony śliczny Blaszy Dzwoneczek. Jego zuchwała, szelmowska lisiczka. Czarodziejka o opuszczonym kąciku ust, kobieta, która przed ośmiu laty wkroczyła w jego życie.

*Napa Valley czerwiec,
osiem lat wcześniej*

Słońce lśniło na niebie barwy indygo. Żłocistymi promieniami pieściło winorośl i napełniało cukrem dojrzewające grona, budząc uśpioną w nich delikatną słodycz. W powietrzu unosiła się obietnica tego przebudzenia, woń róż i nagrzanej ziemi.

Był wspaniały letni dzień, natchnienie artysty, marzenie poety. Jednak Chase'a Tessiera ta dolina zachwycała zawsze jednakowo: wiosną, kiedy kwiaty gorczycy pokrywały winnice jaskrawożółtym kobiercem, na jesieni, w czasie żniw, gdy dorodna winorośl oddawała mu swój hojny dar, i nawet zimą, kiedy ze zdrowych roślin zostawały same szkielety, a chore palono na popiół.

A jednak mroczny cień niepokoju mącił ten niezrównanie piękny dzień. Czy Hope dostrzeże cały ten przepych? Czy zdoła? A może jej spojrzenie na tę ziemię na zawsze zostało skażone poczuciem straty?

Chase miał się wkrótce o tym przekonać. Po raz pierwszy od dnia wyjazdu na uczelnię we wrześniu zeszłego roku - po raz pierwszy od śmierci Frances Tessier - siostra wracała do domu. Mogła odbyć tę drogę już wcześniej. Uniwersytet Los Angeles dzieliło od doliny zaledwie sześć godzin jazdy. Ale dla Hope nie była to łatwa podróż. Właściwie wydawała się wręcz niemożliwa. Kiedy zbliżały się wakacje, Chase wyczuwał w siostrze narastający stopniowo lęk. Proponował więc kolejno różne miejsca, gdzie mogli się spotkać.

Święto Dziękczynienia spędzili w Aspen, Boże Narodzenie w Paryżu, weekend pod koniec stycznia w Santa Fe.

I właśnie w Santa Fe Hope oświadczyła, że podczas ferii wiosennych przyjedzie do Napa - odważna obietnica, której nie dotrzymała.

- Obie z Cassandrą zamierzamy tu trochę pobyc - powiedziała mu w marcu przez telefon. - Dobrze?

- Oczywiście. Ale czy ty i Cassandra nie chciałybyście gdzieś wyjechać?

- Raczej nie. Cass dostała właśnie znakomitą pracę w restauracji przy Rodeo Drive, a ja mam masę czytania przed rozpoczęciem wiosennego trymestru.

- Zbyt ciężko pracujesz, Hope Tessier. - Braterskie docinki kryły w sobie wiele bolesnej prawdy. Książki stały się dla Hope schronieniem, ucieczką przed bólem.

- Nie pracuję nawet w połowie tak ciężko jak ty albo Cassandra. Cassandra. Od lutego

to imię wkradało się do każdej pogawędki, wręcz monopolizowało większość rozmów. Hope uwielbiała mówić o nowej przyjaciółce. Swojej jedynej przyjaciółce.

Cassandra Winter skończyła dwadzieścia jeden lat, a Hope tylko osiemnaście. W czerwcu, po zaledwie trzech latach spędzonych na uniwersytecie, miała uzyskać dyplom z historii sztuki.

Cass późno pojawiła się w życiu swoich rodziców, opowiadała bratu Hope. Była ich jedynym dzieckiem i tak radośnie witana niespodzianką, że w niecierpliwym oczekiwaniu na wynik porodu - któremu sekundowało zresztą całe miasteczko w Vermont - doktor użył kleszczy i zacisnął je odrobinę zbyt mocno. W rezultacie został uszkodzony nerw, co spowodowało chroniczny niedowład mięśnia.

Niedowład, wyjaśniła bratu Hope, był niemal niezauważalny. Uwidaczniał się tylko wtedy, gdy Cass się zmęczyła. W niczym to zresztą Cassandrze nie przeszkadzało; nic jej nie przeszkadzało, a już na pewno nie naruszony nerw, świadczący o tym, jak bardzo upragnioną była istotą.

Kreślony przez Hope portret przyjaciółki dawał obraz wiary we własne możliwości i niezwykle wysokiej samooceny, których to cech Hope brakowało. Ta przyjaźń nie rokuje nadziei, uznał Chase. Pewna siebie kobieta z dobrej rodziny i jego powściągliwa mała siostrzyczka. Więc chociaż wdzięczny był za optymizm brzmiały - za sprawą Cassandry - w głosie Hope, jednocześnie odczuwał lęk.

Siostra unikała rozmowy o początkach znajomości z panną Winter. - Po prostu się spotkałyśmy. I tyle - mówiła.

A jednak podobieństwo ich losów było zdumiewające. Cassandra, tak jak Hope, straciła ojca, gdy miała cztery lata, a matkę, kiedy miała lat siedemnaście.

Chase'a niepokoiła ta zbieżność. Budziła niejasne podejrzenia. Jednak zatrzymał obawy dla siebie i czekał na czerwcowy dzień, kiedy to Hope miała przyjechać do Napa na lato, a Cassandra wracała na wschód, by podjąć pracę.

I ten dzień właśnie nadszedł.

Cudowny dzień w Napa, którego uroku Hope może nawet nie zauważy.

- Hope! Ktoś rozsypał diamenty po całej winnicy.

- Co takiego, Cass?

- Diamenty - powtórzyła Cassandra miękko. Hope nie dostrzegła niezwykle piękna tego czerwcowego dnia - ani nieba barwy indygo, ani złocistego słońca, ani diamentowego skarbu iskrzącego się na gładkich, zielonych gronach. Widziała tylko szarą wstęgę szosy przed sobą, a u kresu drogi jedynie smutne wspomnienia.

Jednak słysząc słowa przyjaciółki o klejnotach w winnicy, oderwała wzrok od dostojnej szarości gościńca.

- Och - wymruczała - to pomalowane na srebrno chorągiewki, takie błyskotki do odstraszania ptaków. Rzeczywiście wyglądają stąd jak diamenty.

Jak zawsze odpowiadała uprzejmie. Mimo bólu. Powrót do domu był dla niej naprawdę trudny. Cassandra doskonale o tym wiedziała. Lęk malował się na twarzy Hope, dawał się poznać w zaciśniętych kurczowo na kierownicy dłoniach, a nawet w sposobie prowadzenia wozu, czasem na granicy dozwolonej prędkości, czasem daleko poniżej. Zbliżanie się, unik, Z jednej strony usilne pragnienie, z drugiej przerażenie.

Istniał tylko jeden powód, dla którego Hope odbywała tę słodko - gorzką podróż: starszy brat. Prawie go nie знаła, ale bardzo kochała.

Nie waż się sprawić jej zawodu, Chase. Ona robi to dla ciebie, myślała Cass.

Przyszło jej do głowy, że Chase zachęcał Hope do powrotu, bo wiedział, że to jej pomoże uporać się z bólem. Stare cienie muszą zostać rozproszone, aby mogła dla niej nadzieję wspaniała przyszłość. A może Chase Tessier po prostu wierzył, że miejsce, w którym tyle straciła, teraz obdaruje ją krzepiącym ciepłem, diamentami iskrzącymi się w słońcu.

Chase kochał dolinę, winnicę, dom. Hope opowiadała o tym przyjaciółce. Spędził tu całe życie i zdarzenia, które załamały Hope, dla niego były tylko odosobnionymi plamami ciemności w rozległej tkaninie o żywych barwach. Dla Hope, która, odkąd ukończyła cztery lata, była tu nieczęstym gościem, pojęcia straty i domu nierozzerwalnie spletały się ze sobą.

Hope rzadko przyjeżdżała, a Chase rzadko wyjeżdżał. Jaki był ten dwudziestosześcioletni mężczyzna? Czy tak nieatrakcyjny, że wolał sanktuarium swojej winnicy od stoków narciarskich Mont Blanc? Czy nie miał wyboru albo - co gorsza - był pozbawiony wyobraźni, ciekawości świata lub choćby ducha przygody?

A może pragnął kontynuować rodzinną tradycję. Może nie miał potrzeby kosztowania uroków innych zakątków świata, bo czuł, że już mieszka w raj.

- Jesteśmy.

Ciche słowa Hope wyrwały Cassandrę ze świata marzeń.

To tutaj. Domaine Tessier. Przed nimi wznosił się dwór, okazała kamienna budowla. Fontanna na dziedzińcu rozsiewała w nasłonecznionym powietrzu kolejne diamenty. Po obu stronach drogi rosły drzewa oliwne - arkada z zielonych piór. Za linią ich chwiejnych pióropuszy rozciągała się wielka winnica. Pomiedzy regularnymi rzędami winorośli rosły kwiaty o pastelowych barwach.

- Róże - szepnęła Cass.

- Tak, to dlatego... Och, jest Chase. Skrywał go cień portyku, a potem, gdy ruszył, by je powitać, cień samego budynku. Jeszcze parę kroków i słońce oświetli złotego - nawet jeśli w sensie towarzyskim pozbawionego blasku - dziedzica tej posiadłości. I wszystko stanie się jasne.

Ale Cassandrze nie było dane tego ujrzeć. Zanim dobiegło ją głębokie westchnienie, zwróciła wzrok ku przyjaciółce.

- Hej, Hope.

- Ale on będzie rozczarowany. Teraz jestem jeszcze grubsza niż wtedy, kiedy spotkaliśmy się w Santa Fe.

- Wyglądasz znakomicie.

- Tak na tyle, na ile mogę... dzięki tobie. Cassandra niechętnym zmarszczeniem brwi zbyła swoje zasługi.

Sugestia, że zieleń ładnie harmonizowałaby z jasną cerą i szmaragdowymi oczami przyjaciółki, a odpowiednio dobrana satynowa wstążka, przepasująca włosy w kolorze cynamonu, dodałaby ich barwie właściwego blasku, wydawała jej się oczywista, wręcz banalna.

- Wyglądasz pięknie, Hope Tessier. Jesteś piękna. - Motyl uwięziony w kokonie nieszczęścia... Motyl, który mógłby wzlecieć w powietrze, bując w przestworzach. Waga nie miałaby znaczenia, gdyby Hope poderwała się do lotu z wiarą w siebie. - Czarująca. Zewnętrznie i wewnętrznie. Chase nie będzie rozczarowany. Będzie tobą zachwycony. Spędzimy fantastyczne lato.

I przywrócimy radość życiu, dodała w myślach. Sarkazmu, którym posługiwała się często, nim spotkała Hope, dawno już zaniechała, właśnie ze względu na przyjaciółkę. Rzeczywiście, trudno było doszukać się czegokolwiek pozytywnego we Frances Tessier, matce stanowiącej uosobienie egoizmu, albo w Victorze Tessier, ojcu, który nigdy naprawdę nie przypominał ojca. A Chase? On mógłby być tak dobry, cudowny, jak to zawsze utrzymywała Hope. I lepiej dla niego, żeby się taki okazał.

- Fantastyczne - powtórzyła Cass stanowczo.

- Tak - szepnęła Hope. Rzucone niepewnym głosem słowo wisiało jeszcze w powietrzu, kiedy zgasła silnik, zaciągnęła hamulec i zacisnęła palce na klamce drzwiczek. - Już jesteśmy.

Cass obserwowała spotkanie rodzeństwa z wnętrza samochodu. W ciągu tych pierwszych kilku chwil miała szansę ocenić Chase'a Tessiera. Dostrzegła uczucie ulgi, że Hope znów jest w domu, dumę z młodszej siostry - i nic więcej, ani śladu rozczarowania,

zdumienia, najmniejszego cienia niepokoju. Chase otoczył Hope ramionami, jakby była najdrobniejszą istotką na świecie... i najukochańszym skarbem.

Dopiero w tej chwili Cassandra dostrzegła emocje, których Chase Tessier nigdy nie ujawniłby przed Hope. Smutek. Lęk. I jeszcze jakieś uczucie, silne, gwałtowne. Zrozumiała, że gdyby ten brat mógł wziąć na siebie ból Hope, całe jej cierpienie, uczyniłby to z radością, i że zrobi wszystko, co w jego mocy, by chronić siostrę przed nieszczęściami, które niesie przyszłość.

Uczucie tęsknoty ogarnęło Cass. Szarpnęło jej duszę. Może mogłabym stać się częścią tego wszystkiego? Proszę. Proszę.

Czy Chase Tessier dosłyszał bezgłośnie wołanie jej samotnego serca? Czy dlatego właśnie w tym momencie dostrzegł niewyraźną postać we wnętrzu samochodu?

Jego uważne spojrzenie z trudem przenikało przez przyciemnione szyby. Za to Cass widziała go wyraźnie. Kruczoczarne włosy. Żywe, szare oczy. Zmysłowy wdzięk. Poeta. Lampart. Drapieżnik. Książę.

- Cass? Chodź poznać Chase'a!

Wołanie Hope płynęło w balsamicznym powietrzu. Miękkie. Melodyjne. W prawdziwej harmonii ze zdumiewającą muzyką, która rozbrzmiewała w sercu Cass. Wszystko w Cassandrze śpiewało, śpiewało radosną pieśń, jakąś nieznaną, cudowną piosenkę z miejsc nigdy niewidzianych. To on ją przebudził... ten brat, którego gorące pragnienie, by chronić siostrę, wywołało u Cass bolesną tęsknotę. Ten przystojny mężczyzna, którego przenikliwe spojrzenie oczu ożywiło inne, jeszcze nieznanne jej pragnienia, gorące i zdumiewająco zuchwałe.

Cass o mało nie wyskoczyła z samochodu, o mało bezwstydnie nie rzuciła się w ramiona mistrza tej melodii. Ale wówczas runęła na nią znienacka rzeczywistość. Surowa, pozbawiona harmonii. Muzyka zamilkła.

Pamiętaj, kim jesteś.

W tej chwili Cassandra Winter była zbiegiem, któremu ratunek podczas niepewnej burzy życia zaofiarowała wspaniałomyślna przyjaciółka.

Cass nawet nie przypuszczała, że zobaczy dziś Hope. Poprzedniego wieczoru, patrząc, jak słońce zanurza się w morzu, powiedziały sobie do widzenia. Postanowiły, że pozostaną ze sobą w kontakcie, a Cass odezwie się do przyjaciółki, gdy tylko będzie знаła swój nowy adres.

To było zeszłego wieczoru. Jednak tego ranka Hope bez zapowiedzi pojawiła się w drzwiach studenckiego pokoju Cass... a nie była tak biegła jak jej brat w skrywaniu uczuć.

- To mój strój podróżny - mruknęła Cass, Widząc zdumienie w oczach przyjaciółki.

Pełen fantazji styl Cassandry Winter cieszył się w uniwersyteckim kampusie powszechnym uznaniem. Miała niewiele ubrań, ale potrafiła tworzyć ciągle nowe kompozycje w śmiałych zestawieniach tkanin i odcieni.

Barwne kreacje były manifestem jej swoistego stylu. Podobnie jak aureola z nieokiełzanych, roztańczonych włosów, bujna grzywa we wszystkich odcieniach bursztynu, od głębokiego brązu po lśniące złoto. Cass nigdy nie próbowała ujarzmić tego bursztynowego bogactwa, w żaden sposób nie starała się poskromić jego obfitości.

Wielobarwne stroje i burza włosów - to Cassandra, którą Hope знаła. Aż do dziś. Bo dzisiaj wszystko, co Cass miała na sobie, było czarne: rajstopy, bluzka, sweter, buty. Ciepła, zimowa odzież sprawiała wrażenie mocno podniszczonej i, oprócz ulubionych butów Cass na wysokim obcasie, była Hope zupełnie nieznaną.

Również fryzura przyjaciółki wyglądała obco. Ciągłe jeszcze wilgotne po myciu, pociemniałe od wody pasma zostały uwięzione, związane ciasno na karku czarną wstążką.

- Twój strój podróżny? - Hope zdołała jedynie powtórzyć słowa przyjaciółki.

- Nie chcę zwracać na siebie uwagi w autobusie, rozmawiać z nieznajomymi, przed którymi zwykle nie ma ucieczki. Poza tym sama wiesz, jak to jest. Nawiew zostanie włączony na pełen regulator i zrobi się naprawdę zimno.

- Dlaczego nie pojedziesz ze mną? Hope wcale tego nie planowała. Chciała tylko ponownie zaproponować Cassandrze - która już raz ten pomysł odrzuciła - że podwiezie ją na dworzec Greyhound. Ale wszystko uległo zmianie w chwili, gdy ujrzała przyjaciółkę. W tonie Hope zabrzmiała nietypowa dla niej stanowczość.

- Jedź do Napa, Cass. Spędzisz lato z Chase'em i ze mną.

Cass chwyciła się tej cienkiej jak pajęczyna liny ratunkowej tak kurczowo, rozpaczliwie, że nie pomyślała nawet, by się przebrać czy rozpuścić włosy.

A teraz była już tutaj, w miejscu, gdzie iskrzą się diamenty i kwitną róże.

Słońce, które opromieniało Chase'a najpiękniejszym ze swych uśmiechów, wyrażając płomienną, złocistą aprobatę dla księcia Domaine Tessier, na nią rzuci jedynie pogardliwe spojrzenie, Na jej bezwładny policzek. Na spragnione snu oczy. Na ciasno, jakby za karę, ściągnięte włosy. Na strój godny czarownicy.

Gdyby tylko mogła na zawsze pozostać w cieniu, niedostrzeżona, przejęta wewnętrzną muzyką, uzdrowiona jej brzmieniem.

Ale to było niemożliwe. Chase nie potrzebował słonecznego blasku, aby przeniknąć wzrokiem półmrok. Nawet w tej chwili Cass czuła na sobie jego gorące spojrzenie.

Co się stanie, jeśli Chase Tessier dostrzeże prawdę? Prawdziwą Cassandre? A co, jeżeli zechce otoczyć ją miłością i opieką?

Muzyka rozbrzmiała na nowo. Delikatna. Ulotna. Zuchwała.

Idź do niego, śpiewał radosny chór. Porzuć mrok. Zatańcz w słońcu. Idź do niego.

Biuro prokuratora okręgowego, San Francisco

czwartek, 1 listopada

Byłaś wspaniała, Hope. Po prostu fantastyczna. Hope uśmiechnęła się nieśmiało do Meryl Atwood, prokurator okręgu San Francisco, a zarazem swojej szefowej.

- To dopiero mowa wstępna, Meryl. Przed nami jeszcze długa droga.

- Najważniejsze, że dokładnie wiesz, dokąd zmierzasz. Teraz przysięgli też już to wiedzą. Dałaś im przejrzystą mapę szlaków wiodących prosto do wyroku skazującego. Napisałaś już pewnie mowę końcową?

Hope wzruszyła ramionami. Oczywiście, że napisała. Jak inaczej można przygotować logicznie skonstruowany przewód sądowy? Przysięgli potrzebują początku, środka i zakończenia; historii, która toczy się z sensem. Hope miała umiejętność prowadzenia takiej narracji. Odziedziczyła ją po matce - tyle tylko, że domeną Frances Tessier była fikcja, nad którą sprawowała pełną kontrolę, a Hope zdana była na łaskę niespodzianek, nieuniknionych w przypadku procesu kryminalnego.

- Tylko wstępny zarys - przyznała. - Obrona zamierza zakwestionować klarowność tej mapy dowodów winy.

- Jednak zakładając, że detektyw Craig Madrid jest winny, i uda się to udowodnić... - Na twarzy pani prokurator pojawił się wymuszony uśmiech. - Trzeba przyznać, że to trudna sprawa. Same poszlaki mogłyby nie wystarczyć. Na szczęście ty prowadzisz sprawę.

- Ale sędzia wyprosił z sali telewizję.

- I bardzo tego żałuję. Uważam, że tę sprawę powinien śledzić cały kraj, a zwłaszcza ci, którzy stracili wiarę w wymiar sprawiedliwości.

- No cóż. Ja też tak sędzę.

- Posłuchaj, Hope. Wiem, wszyscy wiedzą, że zarzut gwałtu małżeńskiego jest szczególnie trudny do udowodnienia w każdym przypadku, a jeśli na dodatek oskarżony to glina, który bohaterскими wyczynami podczas trzęsienia ziemi zyskał sobie podziw całego miasta... No cóż, nikt nie mówi, że to łatwe. Wpadłam tu, aby ci pogratulować spektakularnego startu, a nie przytłoczyć jeszcze większym ciężarem niż ten, z którym już się borykasz. Obawiam się, że mój plan spalił na panewce.

- Nie, nie. Jestem po prostu wściekła.

- Jasne, że jesteś. Masz powody. I wierz mi, nie zamierzam łagodzić twojej

wściekłości, bo jest całkowicie uzasadniona. Mogłybyśmy jednak wyskoczyć na lunch do Mamy.

- Dzięki, Meryl, ale nie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli spędzę tę godzinę, dając odetchnąć umysłowi, tak żebym potrafiła czytać między linijkami, kiedy po południu obrona zaprezentuje mowę wstępną.

Hope rzeczywiście potrzebowała chwili oddechu. Ale - do czego się nie przyznała - myśli, które doprowadzały ją do szału, nie miały nic wspólnego z największą sprawą w jej karierze.

Kiedy Meryl wyszła, Hope zamknęła drzwi biura na klucz, dając do zrozumienia wszystkim, którzy pragnęli jej pogratulować, że potrzebuję odrobiny prywatności, aby pomyśleć.

Nikt z kolegów Hope nie odgadłby, że spokój potrzebny jej jest do odbycia rozmowy telefonicznej, w dodatku osobistej. Na tyle, na ile mogli się zorientować, pani prokurator nie miała prywatnego życia. A poza tym, biorąc pod uwagę jej oddanie prawu, wydawała się ostatnią osobą spośród wszystkich pracowników państwowych, która folgowałaby w biurze prywatnym zachciankom.

Podatnikom stanu Kalifornia działalność Hope Tessier opłacała się, i to bardzo. Znając jej zaangażowanie w pracę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nikt nie mógł żałować Hope ani zużytego dla siebie czasu, ani kosztów rozmowy międzymiastowej.

Jednak Hope zapisała rozmowę na swój prywatny rachunek i z poczuciem winy, ale i determinacją wykręciła numer. Musiała się dowiedzieć, musiała uzyskać coś więcej niż wiadomość nagrany na taśmie, którą wczoraj w nocy kilkakrotnie odsłuchała. „Cassandra Winter została przewieziona na OIOM. Jej stan jest nadal krytyczny”.

Uprzejmy głos prosił, aby zaniepokojeni wielbicieli słynnej aktorki zadowolili się nagrany wiadomościami, zamiast okupować linię telefoniczną do zespołu operacyjnego lub OIOM - u. Personelowi szpitala zabroniono udzielania jakichkolwiek dodatkowych informacji, a bombardowanie niepotrzebnymi pytaniami mogłoby tylko pozbawić panią Winter - oraz innych pacjentów - niezbędnej im opieki.

Pośród ciemności nocy, w swoim mieszkaniu w Pacific Heights, Hope czuła się jak jeden z wielu zaniepokojonych wielbicieli Cassandry. Wydawało jej się, że nie ma większych praw do szczegółowych wiadomości aniżeli ktokolwiek inny z dzwoniących. W pracy jednak była prokuratorem: kobietą stanowczą, rzutką, w pełni świadomą tego, co jej się należy.

Toteż bez cienia wahania zastosowała się do tego fragmentu nagrania, który stanowił instrukcję dla uprzywilejowanych rozmówców: „Jeżeli jesteś krewnym poszukującym

informacji o pacjencie oddziału chirurgii, naciśnij jedynekę”.

Natychmiast uzyskała połączenie.

- OIOM. Chirurgia. Mówi Tamara. W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Hope Tessier. Dzwonię w sprawie Cassandry Winter.

Przerwała nagle. Powstrzymała ją nie zawodowy nawyk - nigdy z własnej woli nie mów więcej niż to konieczne - tylko strach. Cały ranek spędziła w sądzie i miała nadzieję, że podczas tych długich godzin stan Cass się poprawił. Ale co, jeżeli.

- Pani musi być krewną Chase'a Tessiera.

- To mój brat - wymamrotała oszołomiona Hope. - Czy on tam jest?

- Tak. Przed chwilą skończył rozmawiać z jej neurochirurgiem, więc będzie miał bardziej aktualne wiadomości niż ja. O, właśnie tu jest. Panie Tessier? To pańska siostra.

Uszu Hope dobiegła przytłumiona rozmowa - dodzwoniła się na linię numer trzy, a Chase mógł odebrać telefon w osobnym pokoju. Potem, kiedy ją przełączono, echo odbiło ciszę, a po chwili przekazało Hope ogrom bólu brata.

- Halo, Hope.

- Cześć - odezwała się łagodnie. Zastanawiała się, czy dzwonić do Paryża, żeby go zawiadomić. Ale Chase i tak skądś się dowiedział... - Więc jesteś tam.

- Tak.

- Jak ona się czuje? Umiera. Nie potrafił tego wymówić, nie mógłby. Lekarze powiedzieli mu o tym delikatnie i oględnie. Szanse Cassandry są znikome, ostrzegali. Doznała tak rozległego urazu, że nawet natychmiastowa interwencja chirurgiczna i intensywna terapia, której ją poddano, dawały małe prawdopodobieństwo powodzenia.

- Chase? W pierwszych wiadomościach sugerowano, że może być krwawienie w mózgu.

- I było. Skrzep, który udało się usunąć. Ale stwierdzono coś więcej, rzadkie powikłanie - ostry, rozległy obrzęk mózgu.

Rzadkie. Ostry. Rozległy. Słowa tak zgrzytliwe, tak złowrogie. Jednak Hope dosłyszała w głosie brata jeszcze coś: wściekłość na samego siebie, że zawiódł i nie ochronił Cass przed zbrodniczą napaścią.

- Jeśli lekarze wiedzą, co to jest, muszą mieć pojęcie, jak to leczyć.

- Mogą próbować, Hope. I próbują.

- W jaki sposób? - naciskała, mniej zaniepokojona medycznymi szczegółami niż wyraźnym cierpieniem brata, który całymi latami nie wymawiał imienia Cassandry. - Jak oni to leczą?

Przerazająco. Barbarzyńsko. Słowa już nie formowały się w umyśle Chase'a Tessiera. Wgryzały się w serce jak krople żrącego kwasu, gdy ze zdumiewającym spokojem powtarzał siostrze to, co usłyszał od lekarzy.

- Usunęli kość - wierzchnią pokrywę czaszki - żeby zmniejszyć nacisk. Kontrolują oddychanie, stosują hiperwentylację, aby zmniejszyć ilość dwutlenku węgla we krwi. I podają barbiturany.

W zbyt dużych dawkach, dodał w myślach. Przedawkowanie. Słowo, które ukształtowało życie Chase'a, dzieliło je na pasma - jedno pełne blasku, inne ponuro szare.

- Wygląda na to, że wiedzą, co robią.

- To zespół znakomitych specjalistów. Hope wyczuła, że chodzi o coś jeszcze. Coś gorszego.

- Ale?

Ale oni ją wyziębiają, mrożą. Jawne barbarzyństwo. Poprzez obniżenie temperatury ciała zwolnione zostały procesy metaboliczne, co, podobnie jak regulowanie ilości dwutlenku węgla i podawanie barbituranów, zmniejszyło obciążenie bezlitośnie uszkodzonego mózgu. Cassandra nie drżała z zimna, bo ten naturalny odruch zwiększania ciepłoty organizmu został zablokowany przez coraz większe dawki narkotyków. Chase wiedział jednak, jak bardzo jej zimno. Nienawidziła marznąć.

- Nic więcej, Hope. Jej życie wisi na włosku, to wszystko.

- Czy Eleanor jest z tobą? Albo Jane?

- Nie. Tu nie chodzi o mnie, Hope. Chodzi o Cass. Cassie. I Roberta. Mężczyznę, którego ona kocha. Aktor przesiadywał u wezłowie chorej, dotykając jej, szepcząc do niej, błagając, by się przebudziła, by wróciła do świata ich miłości. Chase zgodził się na jego obecność. Czy mógłby postąpić inaczej? Robert Forrest był jej ukochanym, a nawet więcej. Był człowiekiem, który uratował ją, ocalił - a przynajmniej dał jej szansę ocalenia.

- W porządku - stwierdziła Hope. - Też chcę tam być. I będę. Jutro, około ósmej wieczorem.

- Czy sprawa naród kontra policjant - gwałciciel nie rozpoczęła się przypadkiem dzisiaj?

- Owszem, i wygłosiłam już mowę wstępną. Muszę przygotować parę rzeczy w ciągu tego weekendu, ale mogę zrobić to w Los Angeles. Więc proszę, powiedz Cass, że zobaczę się z nią jutro wieczorem.

- Ona jest nieprzytomna, Hope.

- Ale ty przecież mówisz do niej, prawda? Nie on, jego serce. Oszałały szept,

rozpaczliwe modlitwy.

- Ona mnie nie słyszy, Hope. - Pozostaje poza snem, poza śpiączką, w narkotycznej otchłani niepamięci... gdzie modlitwy małych dzieci nie są wysłuchiwane... i skąd dla ukochanych osób nie ma już powrotu. - A nawet gdyby słyszała, mój głos nie jest tym, na który czeka.

- Ale twój głos jest tym, na którego dźwięk może się przebudzić - choćby po to, żeby posłać cię do diabła. Czy nie pamiętasz już, jak się po raz pierwszy spotkaliście?

Czy Chase Tessier pamiętał ten piękny czerwcowy dzień? Oczywiście, że pamiętał.

Jakże mógłby zapomnieć?

Domaine Tessier

czerevec, osiem lat wcześniej

Chase, to jest Cass. Ma zamiar spędzić z nami lato. - O? Jak dobrze.

To była niespodziewana myśl. Ale i ona była niespodzianką, zalęknione, bezpańskie stworzenie w czerni. Niedowład mięśnia w kąciku ust był bardziej widoczny, niż Hope wspominała, i wydawało się, że Cassandrze to przeszkadza. Tej oto Cassandrze, która przed nim stała - delikatna, pełna nadziei... zupełnie inna, niż oczekiwał.

Gdzie się podziała kobieta, którą opisywała mu siostra? Istota o niebotycznej pewności siebie i niezrównanej sile przebiccia?

Odpowiedzią na pełne zadumy milczenie Chase'a była raptowna zmiana w zachowaniu Cass.

Już ukryła się za pozłacaną maską. Uciekła w nieoczekiwaną dramę. Z fanfarami. Jeszcze przed chwilą niepewna, zagubiona istota zdarła z włosów czarną wstążkę, uwalniając obfitość brązu i złota. I uśmiechnęła się. Olśniewająco. Uwodzicielsko. Wyzywające bogactwo zatarło wszelkie wspomnienie o jej słabości. Nawet ubranie i skryte pod nim ciało wydawały się ulegać przemianie, przeistoczeniu z udreżonego skromnego stworzenia w pewnego siebie Wampa.

Wyraz błękitnych oczu zmienił się na samym końcu. Jednak przejście od pastelowego, pełnego nadziei oczekiwania do kokieteryjnego błysku w spojrzeniu było tak niezdecydowane, jakby zarówno on, jak i ona ociągali się przed porzuceniem tęczowej subtelności.

Cassandra wołałaby, żeby nic się nie zmieniło. Cierpiała z powodu tego, co się działo. Pozwoliła się poprowadzić radosnej i podniecającej muzyce z mroku w słoneczny blask. Do niego. I stanęła przed nim. Tak łatwa do zranienia. Bezsilna. Odślonięta.

Przez kilka cudownych chwil myślała, że przyjmie ją serdecznie, ją... jej znoszony strój i sponiewieraną duszę.

Wtedy Chase zmarszczył brwi, z wyrazem uprzejmego zdumienia, z łagodnym zdziwieniem. Ale Cassandra nie dostrzegła w jego twarzy żadnego z tych uczuć. Nie potrafiła. Doświadczenie nauczyło ją odbierać taki grymas tylko w jeden sposób: jako oznakę dezaprobaty, odrzucenia, pogardy.

Nawet jeżeli coś wewnątrz niej płakało, jeśli dręczyło ją bolesne rozczarowanie, nie

mogła dopuścić, żeby on to zauważył. Nagle więc przeistoczyła się w zupełnie inną kobietę - namiętną południową piękność.

- Otóż to, skarbie - wymruczała. - Kiedy Hope zaprosiła mnie na ranczo, po prostu nie mogłam odmówić.

- Na ranczo?

- Na ranczo - potwierdziła poważnie Hope. - Cass uznała, że poskramianie dzikiej winorośli brzmi znacznie bardziej romantycznie niż gospodarowanie wśród potulnych kiści winogron.

- Nie mówiąc już o tym - Cassandra ze swadą podjęła myśl przyjaciółki - że tacy kowboje winnic są bardziej, by tak rzec, interesujący niż pospolici farmerzy.

- Rozumiem. - Chase poczuł się rozdarty między dwoma sprzecznymi obrazami: rzeczywistością odzwierciedloną w radosnym uśmiechu jego siostry i niechcianym, ale prawdziwym wizerunkiem Cassandry, bez trudu oczarowującej dziedziców doliny, podczas gdy Hope w zaciszu swego pokoju zaczytywać się będzie romantycznymi powieściami, aż do chwili gdy przyjaciółka raczy rzucić odrobinę złocistego blasku również i na jej drogę. - Sądziłem, Cassandro, że wracasz na wschód rozpocząć karierę, dla której w tak zawrotnym tempie skończyłaś studia.

Chase nie poświęcił zbyt wiele czasu na rozważania, co właściwie przyjaciółka siostry zamierza dalej robić ze swoim dyplomem z historii sztuki. Zakładał jednak, że Cassandra ma jakieś plany.

Ale najwyraźniej nie miała, z czego zdał sobie sprawę, gdy jego uwaga spotkała się z głuchym milczeniem samej zainteresowanej i gwałtownymi próbami wyjaśnień ze strony Hope.

- Cass jest zupełnie jak ty, Chase - tłumaczyła mu siostra. - Potrafi robić wszystko, być wszystkim. Problem polega na tym, by zdecydowała, co jest jej prawdziwą pasją właśnie to ma zamiar rozważyć tego lata, podczas pobytu u nas.

Chase Tessier o pasji wiedział wszystko: że nie daje ona dróg wyboru, nie bierze jeńców. Człowiek nie decyduje, co jest jego namiętnością, ani nie czeka, by oświeciło go natchnienie - jakby pasja była bojaźliwą muzą, niezdecydowaną wróżką Blaszanym Dzwoneczkiem, niepewnie trzepoczącą skrzydełkami gdzieś w niebiosach.

Przyglądał się kobiecie, która w pierwszej chwili wydała mu się właśnie zawstydzoną wróżką.

- A czy masz, Cassandro, jakieś wyobrażenie o swojej prawdziwej pasji?

Jej prawdziwa pasja? Nie. Nic takiego nie istniało. Doskonale o tym wiedziała,

ponieważ próbowała ją odkryć, chodząc na rozmaite wykłady, podejmując specjalizację za specjalizacją. W swych zapamiętałych poszukiwaniach starannie unikała tylko zajęć z dziedziny teatru.

Cassandra Winter nie potrzebowała lekcji sztuki scenicznej. Przez całe swoje życie była aktorką. Odgrywała osobę, która o nic nie dba, głęboko przekonana, że jest to jedyna metoda, by znieść samotność i ból.

Może więc aktorstwo było jej prawdziwą namiętnością? Nie. To tylko rzucający na nią czar potwór, który mógł ją pożreć, zniszczyć tak doszczętnie, że spędzałaby całe życie, udając kogoś innego, niż jest naprawdę.

Kogokolwiek.

Mogłaby mu się nie oprzeć, gdyby właśnie wtedy nie opuściła uniwersytetu. Mogłaby poddać się tyle upajającej, co niszczącej pokusie całkowitego porzucenia samej siebie - uznając tym samym bolesną prawdę, że odtrącenie własnego ja nie jest w jej przypadku żadną stratą.

Chase Tessier zdawał się podzielać to przekonanie. Chciał, żeby wyjechała, zniknęła na zawsze, a wraz z nią nieokreślone zagrożenie, które, jak sobie wyobrażał, ściągała na jego siostrę.

Ja? Zagrożeniem dla Hope? Nigdy! Cassandra miała ochotę wykrzyknąć słowa protestu. Ale uwięziona w jej wnętrzu aktorka, to cyniczne, zrodzone z bólu stworzenie, zmusiła ją do wzięcia się w garść. I znów uwodzicielka z południa objęła scenę we władanie.

- No cóż, owszem. Mam niejakie pojęcie o swojej pasji. Sądzę, że teraz będę chciała poznać jednego czy dwóch kowbojów. I tak sobie myślę, że mogłabym spróbować szczęścia i zacząć poszukiwania złotej żyły, skoro już tu jestem. To cię właśnie tak bardzo niepokoi, prawda, wielki bracie? Wizja mojej skromnej osoby poszukującej złotodajnych złóż?

- Cass! Chase nigdy by tego nie pomyślał. Nigdy. Prawda, Chase?

Jeszcze jak bym pomyślał. Chase bynajmniej nie wyglądał na zakłopotanego tym, że Cassandra tak dokładnie odczytuje źródła jego niepokoju. Ale jeśli chodzi o Hope, sprawa miała się inaczej.

- Oczywiście, że tak nie myślę - zapewnił siostrę, po czym zwrócił się do jej przyjaciółki: - A więc witaj na ranchu, Cassandro.

- Dziękuję - mruknęła Cass, a Hope w tym samym momencie zaczęła wyjaśniać:

- Wiesz, Chase, wcale jeszcze nie spotkałeś Cassandry. Południowy akcent i - jak przypuszczam - również typ dialogu został ci zaprezentowany przez Blanche DuBois. Wiesz, tę z Tramwaju zwanego pożądaniem. Cass była dobra, prawda?

- Bardzo.

- Myślę, że na razie wystarczy - dodała po chwili namysłu. - Nie wydaje mi się, żeby Chase'a bawiło to tak jak nas.

Ani trochę nie bawiło, pomyślała Cassandra. Wzbudziło w nim jedynie pogardę, dezaprobatę, chęć, by przyjaciółka siostry wyjechała jak najszybciej.

A mimo to uprzejmy gospodarz najpierw powitał ją miło, teraz zaś kusił jeszcze, by weszła do jego zbójeckiej jaskini.

- Przyniosę wasze bagaże, a wy tymczasem już wchodźcie - mówił. - Eleanor...

- Sama wezmę mój bagaż.

- ... jest w kuchni. Szykuje obiad.

- Szykuje obiad? - zdziwiła się Hope.

- Zawsze możemy iść do Auberge - odparł Chase. - Eleanor twierdzi, że to, co przygotuje, można zjeść potem. Jest szczęśliwa, bo chcesz, żeby towarzyszyła nam podczas twego pierwszego wieczoru w Domarne, i w euforii dała się ponieść zapałowi do gotowania. A w gruncie rzeczy uważa, że zmęczona po podróży będziesz wolała zostać w domu.

- Rzeczywiście wolałabym.

- Świetnie. Więc teraz przyniosę wasze bagaże, wy tymczasem idźcie do domu. Eleanor nie może się już doczekać, żeby cię zobaczyć. - Lodowate spojrzenie szarych oczu przeniosło się na Cass, zwalczając jej opór w sprawie bagaży. Chciał wygrać to starcie. Ale Cassandra znowu była tęczową istotą. Delikatną. Kruchą. I samotną, tak bardzo opuszczoną. - Ciebie też, Cassandro - dodał łagodnie. - Eleanor nie może się doczekać, żeby cię poznać.

Jego słowa w pełni potwierdziło zachowanie samej Eleanor zarówno w chwili, gdy weszły z Hope do kuchni, jak i czterdzieści pięć minut później, kiedy Cass najbardziej tego potrzebowała.

Cassandra stała w wykuszu przestronnej, utrzymanej w kolorze bzu sypialni, która przylegała do pokoju Hope. W dali rozpościerały się winnice z diamentowymi błyskami, a pod oknem, w ogrodzie, Chase i Hope spacerowali w promieniach zachodzącego słońca.

- Stuk, puk - odezwał się zza drzwi śpiewny głos Eleanor. - Czy mogę wejść?

- Oczywiście. Eleanor McBride była współczesnym połączeniem baśniowej matki chrzestnej z dobroduszną panią Mikołajową, przy czym z każdej z tych postaci wzięła to, co najlepsze. Miła. Otwarta. Mądra. Wpadła do pokoju niemal tanecznym krokiem, jednym rzutem oka oceniła sytuację i zmarszczyła brwi.

- Nie rozpakowałaś się? Może w szafie nie ma wieszaków?

- Nie. To znaczy jestem pewną że są. Chodzi o to... - że muszę stąd odejść.

Cassandra nie obmyśliła jeszcze, w jaki sposób ma się dyskretnie ulotnić. Wiedziała tylko, że powinna to zrobić. Znikanie jak kamfora niewątpliwie należało do życzeń, które dobra wróżka mogłaby spełnić w mgnieniu oka. Ale oczy tej czarodziejskiej matki chrzestnej - życzliwe, szeroko otwarte, bystre - wpatrywały się w nią spokojnie i uważnie.

Daleka od aranżowania sztuczki ze zręcznym znikaniem, Eleanor sprawiała raczej wrażenie osoby, która jest zdecydowana skłonić gościa do pozostania.

- Naprawdę cudownie, że tu jesteś, Cassandro. Dzięki temu Hope będzie miała o wiele bardziej udane lato. I Chase też.

- Chase?

- Oczywiście. Dla niego liczy się przede wszystkim Hope. To jasne. Ale tak się składa, że Chase Tessier jest też odpowiedzialny za Domaine i jego winnice. Biorąc pod uwagę deszcze, które mieliśmy tej wiosny, i upały zapowiadane na lato, w tym roku zbiory będą wczesne, Chase musi dokładnie zaplanować, kiedy rozpocząć zbiory w każdej z winnic Tessierów - od Carneros po Mendocino. Nie jest to zadanie, które mógłby komukolwiek powierzyć. On jest właścicielem i sam musi podejmować decyzje. Zresztą nie ma tu nikogo, kto by mu dorównał.

Pełne podziwu słowa Eleanor zajaśniały wśród połyskliwych barw zachodu, przez nikogo nie kwestionowane.

- Tak to już jest; czas zbiorów nie do przewidzenia, a kiedy żniwa dochodzą do szczytu, filoksera niszczy plony i zarobek winiarzy z doliny. A jeszcze mamy świętować stulecie Domaine Tessier w Napa. Chase nie będzie cierpieć na brak zajęć. A dzięki twojemu przyjazdowi, Cassandro, może spędzać czas z Hope i nie martwić się, gdy odwołają go od niej obowiązki. To znakomite rozwiązanie. Cudowne. Doskonałe.

Niezupełnie, pomyślała Cass. Hope w rzeczywistości jej nie potrzebowała, w każdym razie nawet w przybliżeniu nie tak bardzo, jak ona sama potrzebowała Hope. A Chase w ogóle jej nie chciał i świetnie mógł się bez niej obejść.

- Chase jest nadzwyczajnym człowiekiem, Cassandro. Nadzwyczajnym bratem, wnukiem, przyjacielem.

Wiem, Eleanor. To we mnie tkwi problem, nie w nim. We mnie. Czy tego nie widzisz?

Było jasne, że nie widziała. Na obrazie dobrej wróżki powstała nieuchronna rysa, a wyglądało na to, że - co osobliwe - sama czarodziejska matka chrzestna nie zdawała sobie sprawy ze swych wyraźnych niedostatków. Ponieważ, rzecz jasna, Eleanor McBride nie była ani dobrą wróżką, ani panią Mikołajową, tylko bardzo miłą kobietą, która teraz cierpliwie

czekała na słowa Cassandry.

- Znasz Chase'a od zawsze - powiedziała Cass.

- Nie, od narodzin Hope. Miał wtedy osiem lat. Właściwie czemu nie miałabym ci opowiedzieć, jak go poznałam?

Nie. Dzięki, Eleanor. Naprawdę muszę uciekać. Chociaż bardzo chciałabym zostać.

Eleanor nie czekała na odpowiedź Cassandry, a może wyczuła jej niewypowiedziane życzenie. Bez dalszych ceregieli podeszła do szafy, wyjęła kilka wieszaków i popatrzyła na Cass. Potem jej spojrzenie podążyło w stronę łóżka, gdzie na ozdobionej kwiatami bzu kołdrze leżały wojskowe torby. Cassandra miała nadzieję, że pan tego domu nigdy ich nie zobaczy, a tym bardziej nie będzie się o nie troszczył.

Ale Chase przyniósł je do gościnnego pokoju i wybrał dla nich miejsce na kołdrze, nie na podłodze, chociaż na tle otaczającego luksusu wyglądały równie obco, jak i sama Cass. Były to wojskowe worki, w barwach maskujących, teraz wypchane jej własnym wyposażeniem bojowym - kamuflażem ze zwiewnych tkanin w jaskrawych kolorach.

- Zaczynaj wypakowywać rzeczy, moja droga, a ja będę je wieszala.

Wróżka czy nie, Eleanor miała jednak magiczną moc. Bez najmniejszego ostrzeżenia czarno odziane nogi Cassandry wystąpiły przeciwko rozsądkowi, a zanim dotarła do liliowego łoża, do buntu przyłączyły się także ręce.

- Och, nie do wiary! - wpadła w zachwyt Eleanor, kiedy posłuszne jej palce Cassandry wydobyły z barwnego skarbca śliwkowy, przepasany fiołkowo różową szarfą kombinezon. - To będzie idealne na dzisiejszy wieczór. Naprawdę odpowiednie.

W ciągu następnych minut Cassandra czuła się bezwolną - chociaż wcale nie nieszczęśliwą - marionetką. Jej ręce, pod niedostrzegalną, lecz uważną kontrolą Eleanor, wypakowały jaskrawy zbiór powiewnych spódniczek i lekkich jak mgiełka bluzek. W końcu, na prośbę dobrej wróżki, bezwolne dłonie zdjęły z Cass znoszony czarny sweter i zaczęły szczegółowo prezentować sposoby tworzenia nieskończonej liczby kreacji, nieprawdopodobną mieszaninę tkanin i barw, nakładanych często warstwami i uzupełnianych szarfami i szalami.

Zaimprovizowany naprędce pokaz mody sprawił Cass wiele radości. Zupełnie jakby należała do tego miejsca, jakby należała do jakiegokolwiek miejsca. Jakby Cassandra Winter mogła kiedykolwiek gdzieś należeć.

Rozsądek i wspomnienia jeszcze nie doszły do głosu.

- Miałaś mi opowiedzieć, jak spotkałaś Chase'a.

I jaki on jest nadzwyczajny, ten mężczyzna, który nie ufa mojej przyjaźni dla Hope i

pragnie, żebym odeszła, zniknęła na zawsze.

- A, tak. Dobrze. Mój mąż... - Eleanor zająknęła się, porwana falą uczuć, która napłynęła bez ostrzeżenia.

- Andrew - podsunęła delikatnie Cass. - Hope mi opowiadała.

- Naprawdę? Hope go pamięta?

- Oczywiście!

- Jesteś kochaną dziewczyną, Cassandro Winter. Ale Hope miała zaledwie cztery lata, kiedy widziała mojego Andrew po raz ostatni. Nie może go pamiętać.

- A jednak tak, Eleanor. Nie zapomniała tamtego szczęśliwego okresu. Eleanor westchnęła.

- To były piękne czasy. Już nigdy się nie dowiem, dlaczego Jean - Luc Tessier zdecydował się włączyć nas do swojej rodziny. Ale to zrobił. A ja zawsze będę mu za to wdzięczna.

- Jean - Luc - powtórzyła Cass. - Grandpere?

- Tak. Chase nazywał go Grandpere. To po francusku znaczy dziadek. Zresztą na pewno o tym wiesz. Określenie „Grandpere” przyjęło się w Całej Krainie Winnic. Zaczęto go używać zamiennie z imieniem Jean - Luc i wymawiano zawsze z wielką miłością. Właśnie sprowadziliśmy się z mężem do doliny. Andrew był redaktorem naczelnym lokalnej gazety, a ja wypiekałam ciastka dla dostawcy artykułów żywnościowych w miasteczku. Nie mieliśmy dzieci, mimo że próbowaliśmy przez prawie trzy dziesiątki lat. Andrew twierdził, że nigdy nie podzielił się naszym smutkiem z Jean - Lukiem, który zresztą wówczas był dla nas tylko przygodnym znajomym. Jednak z jakiegoś powodu, kiedy w majątku pojawiła się maleńka Hope i wszystko wskazywało na to, że zostanie tu na dłużej - Frances towarzyszyła Victorowi w jego trasach koncertowych - Grandpere zaprosił nas do Domaine. I zdomowiliśmy się tu. Emocjonalnie, nie dosłownie, nadal bowiem mieszkaliśmy w naszym domu, oddalonym stąd o milę. Ale kiedy tylko mieliśmy wolną chwilę, a dokładnie rzecz ujmując, każdą wolną chwilę, którą mieliśmy, spędzaliśmy tutaj na zabawach z Grandpere'em i jego wnukami.

Eleanor sięgnęła po jaskrawobłękitną bluzeczkę i zapatrzyła się w nią, jakby w intensywnej barwie tego kawałka materiału odbijały się szczęśliwe minione lata.

- Jean - Luc był Piotrusiem Panem. Nie miał zamiaru dorosnąć, a my też tego nie chcieliśmy. Z całej rozdokazywanej piątki naprawdę dorosły był Chase, ale i on świetnie się bawił. Żaden kapitan Hak nie straszył w naszej Nibylandii. Nie uwolniliśmy się tylko od paskudnego krokodyla z bezlitośnie odmierzającym czas zegarem. Dorosliśmy, każde z nas dorosło, kiedy Jean - Luc umarł. Nagle bajka się skończyła. Po kilku dniach Chase i Hope

wyjechali.

Eleanor zamilkła.

Lecz Cass potrzebowała paru chwil, żeby dotarła do niej cisza, w której ciągle jeszcze słyszała tamten śmiech, i aby pogodzić to, o czym mówiła Eleanor, z opowieściami Hope.

- Chase stąd odszedł? - spytała w końcu. - Wiedziałam, że Hope pojechała do Nowego Jorku, ale sądziłam, że Chase został.

- Chase tu wrócił.

- On uciekł? Uciekł z domu?

- Och, nie. Ucieczka nie jest w stylu Chase'a Tessiera. Nie była nawet wtedy, gdy miał dwanaście lat i cały jego świat legł w gruzach. Mówiłam ci, że Chase był dorosły, pamiętasz? Po prostu oznajmił Frances, że zamierza mieszkać w Napa - z Hope. A matka pozwoliła mu wrócić i obiecała, że siostrzyczka będzie mogła dołączyć do niego później, kiedy podrośnie. Obiecała, choć sama nie wierzyła, że kiedykolwiek będzie jakieś później. Victor właśnie przyjechał do Napa i prowadził rozmowy z pośrednikami sprzedaży nieruchomości, by uzyskać korzystną cenę za Domaine.

- Victor zamierzał sprzedać winnicę?

- Owszem, ale jakimś cudem Chase odwiódł go od tego pomysłu.

Przyjaciółka nigdy o tym Cass nie wspominała. Zresztą mało prawdopodobne, żeby czteroletnie dziecko znało takie szczegóły. Hope mówiła po prostu, że po śmierci dziadka już nikt z Tessierów - oprócz Chase'a - nie mieszkał w Domaine. Ona sama, Victor i Frances odwiedzali majątek i dolinę tylko sporadycznie.

Mając cztery lata, Hope wraz z rodzicami zamieszkała w apartamencie na szczycie jednego z drapaczy chmur Manhattanu, gdzie Victor mieszkał po dziś dzień. Później zaś, w okresie, kiedy Frances Tessier pisała najpoczytniejsze ze swoich powieści, a jej mąż wybitnym talentem olśniewał wielbicieli skrzypiec na całym świecie, Hope przebywała w szkołach z internatami - tych samych, w których ongiś uczyła się jej patrycjuszowska matka, w Connecticut i we Francji. Wakacje spędzała najczęściej na obozach, a święta zazwyczaj w luksusowych hotelach, willach albo na jachtach.

Tak wyglądało dzieciństwo Hope, a przynajmniej zasadnicza jego materia; tkanina, w którą wątek Chase'a wplatał się dzięki listom, rozmowom telefonicznym i dość rzadkim jego wizytom w hotelach, willach i na jachtach.

Chase. We wspomnieniach Hope Chase występował zawsze jako uwielbiany starszy brat - godny zaufania, dojrzały. Ale przecież niezależnie od tego, jak bardzo wydawał się dorosły, miał zaledwie dwanaście lat, kiedy reszta jego rodziny wyjechała.

Cassandra zmarszczyła brwi, lecz po chwili uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Więc Chase zamieszkał z tobą i z Andrew. Chcieliśmy tego, oczywiście - odparła Eleanor. - Ale Chase utracił już zbyt wiele - Hope i dziadka. Nie chciał stracić także nas. Pozostał więc tutaj, w Domaine, z niewielkim zastępem służby, spośród której nigdy nikogo nie znał naprawdę dobrze.

- Ale widywałeś się z nim? - O, tak. Zawsze nalegałam, żeby skosztował każdej z moich kulinarnych fantazji, a Andrew pokazywał mu każdy kawałek, zanim posłał go do druku. - Eleanor sięgnęła po porzucony czarny sweter i uśmiech zgasł na jej twarzy; myśli powróciły do wspomnień tak ciemnych i ponurych jak sweter, który trzymała w ręku. - Dopiero po latach Chase zaproponował, żebyśmy jednak razem zamieszkali.

- Kiedy Andrew... zachorował?

- Zachorował - powtórzyła Eleanor głucho. - Dziwne słowo, prawda? Choroba Alzheimera, choroba, schorzenie. A jeszcze na trzy miesiące przed śmiercią Andrew był całkiem zdrowy. - Podniosła wzrok. - Tak, to właśnie wtedy Chase przedstawił nam swoją propozycję. I kiedy ja - kiedy my - odmówiliśmy, zaczął po prostu wpadać do nas, żeby pomóc. A po śmierci Andrew zaoferował mi pracę, którą wymyślił specjalnie dla mnie.

- Błękitny Irys. Eleanor uśmiechnęła się.

- Rozmawialiście o tym z Hope.

- Mam nadzieję, że nie masz nam tego za złe.

- Oczywiście, że nie, Cassandro. Wszystko w porządku. Ale mogę się założyć, że Hope nie powiedziała ci - bo skąd miałyby wiedzieć? - iż decyzja Chase'a, by otworzyć sklep z upominkami i salon, gdzie można spróbować miejscowych wyrobów, nie miała wiele wspólnego z robieniem interesów. Ale ja wówczas nie radziłam sobie najlepiej. I Chase o tym wiedział.

A Chase Tessier po prostu nie obawia się starych ludzi. Sam mógłby być staruszkiem.

- Eleanor! Ty nie jesteś stara.

- Nikt nie jest stary, Cassandro, w każdym razie nie wewnątrz; nie jest, dopóki sam sobie na to nie pozwoli. Ale ja wtedy byłam, czułam w każdym centymetrze ciała moje sześćdziesiąt osiem lat. Czułam się zramolą, niepotrzebna.

- Ale teraz już tak nie myślisz.

- Na Boga, nie! Teraz czuję się, jakbym była niemal w twoim wieku. Dzięki Chase'owi. On jest naprawdę cudowny, Cassandro.

Wiem o tym, Eleanor. To nie o niego chodzi. To o mnie.

- Pod wieloma względami jest taki jak Grandpere - ciągnęła Eleanor. - Uczciwy,

szczodry, szlachetny.

Cassandra wreszcie zrozumiała, że ta mądra kobieta, która stała przed nią, jest najprawdziwszą dobrą wróżką, bo potrafi dostrzec skryte pragnienia nawet najbardziej zmalretowanych serc.

Chase jest nadzwyczajny, uczciwy, szczodry i szlachetny, powiedziała Eleanor. Ale to, co naprawdę chciała przekazać, brzmiało: Chase Tessier nawet tobie, Cassandro, da szansę.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Och, Chase. Co ty tu...?

- Co tu robisz? No, cóż, Cassandro, mieszkam tutaj. I tak się składa, że moje biuro znajduje się akurat po drugiej stronie dziedzińca. Więc kiedy zauważyłem światło w kuchni, postanowiłem tu zajrzeć.

- Byłeś w biurze o pierwszej w nocy?

- Owszem. A ty jesteś tutaj. Czym mogę ci służyć, Cassandro? Szukasz czegoś do jedzenia? Wcale nie byłbym zdziwiony. Prawie nie tknęłaś obiadu.

Nie, to nie tak. Jadła więcej niż zwykle, zmuszała się do jedzenia, chociaż w żołądku wszystko skręcało się i kipiło. Ale on widocznie uznał, że nie była to wystarczająca porcja.

I co sobie pomyślał, kiedy w środku nocy znalazł ją w kuchni? Pewnie sądzi, że jest amatorką potajemnego objadania się. Klasyczną bulimiczką. I to złośliwą, bo chce, żeby jej problemy zostały przypisane Hope.

- Cassandro?

- Szukałam czegoś do picia. Odrobiny wina... czy czegoś innego. W czasie obiadu Cassandra nie wzięła do ust nawet kropli alkoholu, specjalnie podziękowała. Może dla właściciela winnicy picie na osobności było mniejszą obrazą niż odmowa? Nie wiedziała. Twarz Chase'a pozostawała chłodna i beznamiętna.

A jednak Cassandra czuła się osądzona. Skazana. I cierpiała.

Był już najwyższy czas, żeby drzemiąca w niej aktorka wkroczyła na scenę. Ale ta bezczelna istota gdzieś zniknęła. Blanche DuBois i miriady pozostałych masek, które zwykle potrafiła przywołać bez najmniejszego wysiłku, zmieniły się nagle w ulotne widma, zbyt przerażone twardym spojrzeniem szarych oczu, by wyjść z ukrycia i grać.

Cassandra była zdana sama na siebie. A ból rozdzierał już nie serce, lecz dół brzucha. Ostre jak nóż szarpnięcia, przesywające, wykręcające wnętrzości.

Zdumienie. Ból. Strach. Chase dostrzegał wszystkie te uczucia. I widział ściśnięte mocno pięści, jakby odzwierciedlały bolesny ucisk gdzieś wewnątrz.

Chase Tessier nie urodził się wczoraj. Znał kobiety, w sensie intymnym, od ponad dziesięciu lat. Wiedział więc, że Cassandra zachowałaby obojętność i rozważyła sytuację bez pośpiechu, gdyby nie ból.

- Masz okres, prawda? » Jej blade policzki zalał rumieniec, a pięści zwinęły się w jeszcze mniejsze, ciaśniejsze supły, pozbawione kropli krwi. Cassandra była wyraźnie zakłopotana co go zdumiało i zarazem urzekło. Obdarzona tupetem Blanche nie byłaby speszona.

- Tak - przyznała cicho. - Słyszałam, że alkohol czasem pomaga.

- Też o tym słyszałem. - Wiedza przekazana mu przez kochanki, kobiety, dla których ten temat nie był w najmniejszym stopniu krępujący. Opowiadały mu, nie szczędząc szczegółów, o paroksyzmach bólu, ich sile i następującej potem uldze. Kochanki Chase'a piałały nad zbawiennymi skutkami alkoholu w przypadku bólu menstruacyjnego. - Nigdy przedtem nie próbowałaś tego sposobu?

- Nie. Rzadko mam okres. Teraz jest właśnie pierwszy raz od czasu, kiedy mi doradzono, żeby spróbować alkoholu.

- Świetnie. Przyjechałaś w odpowiednie miejsce. Chodź ze mną, Cassandro.

Ruszył szybkim krokiem, jakby chciał jak najprędzej uwolnić ją od bólu. Jednak podczas krótkiego spaceru do Błękitnego Irysa rozdzierające wnętrzości kleszcze rozluźniły ucisk.

- Och - szepnęła z zachwytem Cass, kiedy dotarli do sklepu z pamiątkami, gdzie można było także skosztować miejscowych win. Trzy spośród czterech ścian były przeszkłone. Za dnia widać było przez nie równo przycięte szpalery krzewów róż i winorośli. Szkło dominowało również w wystroju sali: szklane gablotki, wypełnione drobiazgami na sprzedaż, szklane blaty stolików, przy których goście mogli posiedzieć przy kieliszku wina, i wreszcie w tyle, za kontuarem, ściana butelek z najlepszymi wyrobami Tessiera. Podłoga miała barwę błękitnych irysów, a drewniane konstrukcje podtrzymujące szklane tafle były w kolorze kremowym. - Jak tu pięknie.

- To dzięki Eleanor. Dzięki tobie, bo dałeś Eleanor szansę. Bo każdemu dajesz szansę.

- Jak się czujesz?

- Dobrze... chwilowo.

- Wykorzystajmy więc tę chwilę. Którego wina chciałabyś spróbować?

- Och, któregokolwiek. Tak naprawdę rzadko piję.

- Skończyłaś już dwadzieścia jeden lat? - Hope mówiła mu, że tak, ale wszystko, co dotyczyło tej kobiety, okazało się zupełnie inne, niż oczekiwał.

Uszkodzony nerw w policzku Cass odmówił posłuszeństwa.

- Oczywiście, że skończyłam.

- Jak dawno?

- W ostatni Halloween.

- W Halloween. - Popatrzył na nią uważnie: śliwkowy kombinezon przepasany fiołkoworóżową szarfą, czarne buty na obcasach, burza bursztynowych włosów, wyraz bezbronności malujący się w jasnoniebieskich oczach. - A czym ty jesteś, Cassandro? Złośliwym żartem czy słodką nagrodą?

Jestem złośliwym żartem, nie widzisz? Znajomi z lat dzieciństwa - i rodzice - już od pierwszego rzutu oka postawili tę niszczącą jej życie diagnozę. Bo jak inaczej można było określić dziewczynkę chudą jak patyk, z bezwładnym policzkiem i rozczochraną szopą włosów?

Chase zauważył, że Cassandra nagle posmutniała. Zapragnął wziąć ją w ramiona i zamordować każdego, kto zadał jej ból. Każdego. A przecież w tym momencie on sam był winowajcą.

Utulił jednak Cass nie pieszczotami, a słowami.

- Słodką nagrodą - powiedział cicho. - Z pewnością jesteś słodką nagrodą.

- Och! Cóż...

- Jasne, że tak. Cassandro - wskazał na ścianę za kontuarem - na co miałabyś ochotę?

- Poproszę coś najtańszego. To znaczy, coś niespecjalnie kosztownego. Oczywiście zapłacę.

- Wszystko jest w tej samej cenie. Na koszt firmy. Więc wybieraj. Cassandra nic nie wiedziała o winach. Zupełnie nic. Kiedy jednak jej spojrzenie padło na jasnoróżowy napój w butelce tak pięknej, że mogłaby służyć jako wazon...

- Odrobinę tego różowego.

- Aha - w szarych oczach gospodarza błysnęło rozbawienie. - Biały zinfandel.

Chase przystąpił do działania, pamiętając, że lada chwila jego gościa może chwycić kolejny atak szarpiącego bólu. Wydobył spod kontuaru idealnie schłodzoną butelkę, otworzył ją i nalał Cass wina.

- A ty nie pijesz? - spytała, kiedy podał jej kryształowy kieliszek.

- Biały zinfandel jest nieco zbyt słodki.

- Trunek nie dla mężczyzny. Uśmiech Chase'a był zmysłowy i męski. Cassandra chciała odpowiedzieć uśmiechem, tyle że delikatnym, kuszącym, kobiecym. Ale Blanche wraz z pozostałymi maskami ciągle jeszcze gdzieś się kryła i zanim Cass zebrała się na

odwagę, by przedsięwziąć coś bez ich pomocy, gwałtowna świadomość własnej kobiecości aż zaparła jej dech w piersiach.

- Pij - łagodnie nakazał Chase. Spróbowała. W kilku pospiesznych, choć niewielkich łykach odkryła prawdę o winie z piwnic Domaine. Jego smak był tak delikatny, jak barwa, ale pod względem mocy biały zinfandel mógł śmiało konkurować z innymi gatunkami, zwłaszcza gdy piła go osoba nieprzyzwyczajona do alkoholu, a w dodatku wyczerpana bólem.

- Och.

- Pewnie w tak krótkim czasie nie możesz jeszcze odczuć żadnych skutków.

- Ależ tak. Już czuję.

- I?

- Działa. - Szarpiący ból rozplątywał się w jasnoróżowym zalewie ciepła. Ona też płynęła, a radosny chór gdzieś w jej wnętrzu śpiewał cudowną serenadę.

To twoja szansa. On ci daje szansę.

Szansę, by bujać w przestworzach tej szklanej krainy czarów, wśród irysów kwitnących w kryształowych wazach Lalique'a. Chase szybował tuż obok niej. Elegancki, pełen leniwego wdzięku. Idealny gospodarz. Rozważny strażnik tego królestwa.

Cassandra niepewnym krokiem ruszyła ku gablotom z upominkami. Po chwili jej wzrok padł na szklane kolczyki w kształcie kiści winogron. Mieniły się wszystkimi odcieniami purpury i bieli.

- Jakie cudowne - szepnęła. Jej spojrzenie przesunęło się na ręcznie malowane przedmioty w gablotce poniżej: kieliszki do wina, pucharki, kieliszki do szampana. Były gustownie zdobione motywem róż przeplecionych winoroślą.

Kiedy Cass pochylała się nad szklaną taflą, żeby przyjrzeć się im z bliska, włosy opadły jej na twarz i przesłoniły widok. Odstawiła więc kieliszek na kontuar i odgarnęła zbuntowane bursztynowe pasma na plecy.

Ale niesforne loki nie zamierzały pozostać na nowym miejscu. Gdy znów opadły, zostały przytrzymane, delikatnie uwięzione przez silne, szczupłe palce.

- Podobają ci się te szkła?

- Tak. - Cass z trudem złapała oddech.

- To dzieło Jane Parish - wyjaśnił Chase.

Jane Parish, nadzwyczajna artystka... chyba że porówna się jej talent z mistrzostwem Twórcy złocistych pukli, które zdawały się drzeć w dłoni Chase'a, tak jak sama Cass drżała pod dotknięciem jego palców, O czym on myśli? Musiał poznać prawdę o Cassandrze Winter. Kusicielka? A może jednak Blaszyński Dzwoneczek?

- Poprosiłem Jane, żeby ozdobiła specjalną kolekcję kieliszków do szampana na wrześnieową uroczystość stulecia Domaine. Każdy z gości dostanie po jednym na pamiątkę tego wieczoru. To dotyczy również ciebie, Cassandro, o ile jeszcze tu będziesz.

Chase powiedział to takim tonem, jakby rzeczywiście pragnął jej obecności w Domaine. Teraz. Potem. Na zawsze.

- Będę.

- Nawet jeśli odkryjesz swoją pasję? Głos gospodarza pozostał cichy, głęboki. Ale Cass dosłyszała w jego tonie pewną ostrość, nutę ostrzeżenia, zarzutu.

Już nie bujała w przestworzach, a świat, jeszcze przed chwilą różowy, przybrał barwę szarą jak oczy Chase'a. Cassandra wyprostowała się i cofnęła. Fala włosów opadła na ramiona, niepowstrzymywana, swobodna... bo Chase Tessier na to pozwolił.

- Naprawdę wierzysz, że kierują mną jakieś ukryte pobudki?

- Pewne rzeczy mnie niepokoją. Dlaczego? - chciała zapytać. A przecież wiedziała, dlaczego.

Chase Tessier potrafił zajrzeć w jej duszę. Potrafił dostrzec fałsz.

- Hope bardzo wymijająco mówiła o waszym pierwszym spotkaniu.

- Bo starała się mnie chronić.

- Chronić cię?

- Tak!

- Rozumiem, że ty też mi o tym nie opowiesz. To twoja szansa, zachęcał chór. Jego śpiew nie brzmiał już tak radośnie, przypominał raczej monotony pomruk niż pieśń: twoja jedyna szansa, twoja jedyna szansa. Powiedz mu całą prawdę.

- Spotkałyśmy się w Sculpture Garden. O świcie. Hope nigdy przedtem tam nie była. Ale ja przychodziłam często. - Żeby popatrzeć, jak pierwsze promienie słońca pieszczą posągi. Żeby zobaczyć, jak szerniały nocą brąz powraca do życia. - Byłam... nieszczęśliwa. Hope zaofiarowała mi pomoc.

- Hope okazała ci przyjaźń?

- Tak. Ona okazała mi przyjaźń.

- Nieszczęśliwa - powtórzył Chase cicho. - Dlaczego, Cassandro? Myślałaś o rodzicach?

Nie. Oczywiście, że nie! Nie miała żadnego powodu, żeby opłakiwać swoich wymyślonych rodziców i ich wymyśloną śmierć. To kłamstwo narodziło się na długo przed tym, zanim spotkała Hope, zanim się dowiedziała, że Grandpere zmarł, kiedy Hope miała cztery lata, a Frances trzynaście lat później.

A gdyby tak przyznała się Chase'owi do tego zdumiewającego zbiegu okoliczności? Do tych opartych na fantazji - a jednak trudnych do zlekceważenia - powiązań? To uczciwe kłamstwo, Chase! Fikcja, której potrzebowałam dla samej siebie, żeby móc stworzyć nową Cassandre i zacząć wszystko od początku.

A jednak wyznać mu prawdę to przyznać się, że kłamała.

Cass wytrzymała surowe spojrzenie Chase'a i powiedziała prawdę.

- Byłam nieszczęśliwa, to wszystko. Nie myślałam o rodzicach. Ani nie rozpaczalam, że jeszcze nie zdobyłam potomka bogatego rodu z Bel Air. Nie jestem poszukiwaczką złota. To był tylko żart. - Głupie złościwości niepoohamowanej Blanche, dopóki przerażona nie umknęła przed tobą. - Gdybyś wiedział o mnie cokolwiek, Chase, zdawałbyś sobie sprawę, że podejrzenie, iż szukam mężczyzny, który by mnie utrzymywał, jest zupełnie niedorzeczne.

- O? A to dlaczego?

- Bo ja nigdy nie wyjdę za mąż.

- Dlaczego? Ponieważ nikt mnie nie zechce, pomyślała, a głośno powiedziała:

- Z powodu monotonii, oczywiście. Monotonii i monogamii. Chase z uwagą przyglądał się Cassandrze. Dumna i gwałtowna.

Delikatna i dzielna. Kobieta z tak dużym doświadczeniem seksualnym, że już teraz wie, iż nigdy nie zadowolili jej jeden mężczyzna? Nie. To nie ona. Nie Blaszyński Dzwoneczek. Nie ta pełna światła istota, która drżała pod dotknięciem jego dłoni.

- A co z dziećmi? - zapytał łagodnie. Dzieci? Jakie dziecko chciałoby mnie mieć za matkę?

- Jeśli chodzi o dzieci i małżeństwo, mam tradycyjne poglądy. - Więc dzieci nie będzie? Nigdy?

- Nie będzie - potwierdziła. Jej spojrzenie umknęło na chwilę w bok, po czym powróciło, zdecydowane i dumne. Teraz Cass gotowa była odpowiedzieć na wszelkie pytania, które zatroskany starszy brat miał jeszcze w zanadrzu.

Ale Chase Tessier o nic już nie pytał, tylko uśmiechnięt, bez śladu ironii, rzucił:

- Hope ma szczęście, że jesteś jej przyjaciółką. W błękitnych oczach Cassandry błysnęło zdumienie.

- To ja mam szczęście, Chase. Hope mnie nie potrzebuje. Naprawdę. Ona jest silna.

- Czasami zbyt silna.

- Też tak sędzę.

- A ja, Cassandro, jestem czasem wobec niej zbyt opiekuńczy.

- To niemożliwe.

- A jednak. Właśnie dlatego zadawałem te wszystkie pytania. Bardzo cię za to przepraszam.

- Wszystko w porządku.

- Nie, to nie było w porządku. Przepraszam. - Chase patrzył na nią, obserwował, czekał, aż wreszcie dostrzegł maleńką iskierkę nadziei.

- Już dobrze?

- Tak - szepnęła Cass.

Zachował się uczciwie - dał jej szansę. Ale co się stanie, pomyślała, jeżeli ona go zawiedzie?

*Domaine Tessier lipiec,
osiem lat wcześniej*

Czy ktoś ma ochotę na przejażdżkę? - Pewnie - w głosie Hope dźwięczał entuzjazm. Pewnie, zawtórowała jej w myśli Cass i wszystko się w niej rozśpiewało. Jak uprzedzała Eleanor, Chase Tessier był ciągle zajęty. Cassandra nie widziała go przez ostatnich osiemnaście dni. Teraz zresztą też nie miała okazji na niego spojrzeć. Obie z Hope siedziały o zmierzchu na werandzie Błękitnego Irysa i popijały lemoniadę, kiedy pojawił się za ich plecami.

- A co z tobą, Cassandro? Zanim odwróciła się w jego stronę, starannie sformułowała odpowiedź, prawdziwe studium nonszalancji:

- Dokąd mielibyśmy jechać? Czarne włosy Tessiera zdawały się wchłaniać gasnące promienie słońca, a w szarych oczach błyszczały iskierki rozbawienia.

- Cóż, muszę rzucić okiem na naszą winnicę w Russian River, a ściślej mówiąc, na wypasane tam stada. Ale potem moglibyśmy skoczyć do Bodega Bay.

- Oczywiście, że jedziemy - oświadczyła Hope. - Kiedy?

- Jutro rano, powrót w sobotę.

- Och - entuzjazm Hope przygasł. - Czy będziesz mogła pojechać, Cass?

- Cóż, tak. Tyle że muszę być tu z powrotem przed czwartą.

- Pilna randka, Cassandro? - Pytanie zostało wypowiedziane niedbałym, zdawkowym tonem, ale oczy, które pociemniały do barwy stali, nie miały wyrazu obojętności.

- Pilna praca - wyjaśniła Hope. - Cass powinna tego lata odpocząć, przynajmniej raz porządnie odpocząć. Tymczasem wymyśliła sobie, że zapłaci nam za wikt i opierunek.

- Lepiej zrezygnuj z takich projektów, Cassandro, podobnie jak z kielkującego w twojej głowie pomysłu, żeby płacić za wycieczkę do Bodega Bay. Ja funduję. Potrzebuję towarzystwa. I tak się składa, że również muszę wrócić w sobotę przed czwartą. Zatem wyjeżdżamy - o, przepraszam, wskakujemy w siodła - o dziesiątej rano.

Powiedziawszy to, Chase odszedł.

Wieczorem letnie niebo wyglądało niczym płat fiołkoworóżowego atlasu, który wkrótce zmienił się w usiany gwiazdami, czarny jak heban aksamit, by znowu, o brzasku, zajaśnieć na różowo, z lawendową koronkową krezą u brzegów.

Okolo dziesiątej rano niebo lśniło już kobaltowym błękitem.

Cass zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

- Pasy, Cassandro - przypomniał jej Chase, nim ruszyli. Ale w spojrzeniu ciemnoszarych oczu znać było nie naganę, a troskę.

- Już zapinam.

- Dziękuję.

Teren zmieniał się w miarę, jak zbliżali się do Russian River. Pojawiły się połacie lasu, bujnego i gęstego; wyspy wyniosłych sosen wśród oceanu winnic.

- To nie potrwa długo - oznajmił Chase. Zatrzymał samochód w cieniu drzew i dodał:

- Muszę tylko sprawdzić krzewy winorośli tutaj i na wzgórzu.

- Chwileczkę! Chase odwrócił się. Jego twarz miała wyraz poważny i pełen napięcia.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Owszem, tak. Byłam po prostu ciekawa, dlaczego Hope i ja nie możemy razem z tobą obejrzeć winorośli. W końcu mamy wycieczkę w teren czy nie? Oczywiście, rozumiem. To zapewne męska sprawa, jeszcze jedna tajemnica świata producentów wina.

Bez słowa, za to z błyskiem w oku, Chase wysiadł z samochodu. - Co za szowinista! Przykro mi, Hope, ale twój brat jest naprawdę... - Cassandra zamilkła, ponieważ właśnie w tym momencie drzwiczki auta otworzyły się.

- Panie pozwolą - skłonił się Chase.

Hope zachichotała, Cass zaś wycedziła tak wyniośle, jak tylko potrafiła:

- Dziękuję. Chase uśmiechnął się.

- Ależ proszę bardzo.

Tego dnia Cassandra miała na sobie strój niby to kowbojski: wysokie buty na obcasach, błękitne dżinsy i różową bluzę zarzuconą na szmaragdową podkoszulkę. Jednak krocząc w stronę rzędu krzewów winorośli, barwna kowbojka zmieniła się z nienacką w księżną Walii.

Kiedy się odezwała, jej akcent był typowo brytyjski, a sposób mówienia afektowany.

- Ośmielam się stwierdzić, Hope, że to naprawdę świetny rodzaj kraty dla pnączy. Zgodzisz się chyba ze mną?

Pomijając kolejny tłumiony napad chichotu, Hope Tessier okazała się całkiem udaną damą dworu. Z zamyśloną miną wpatrywała się przez chwilę w krzewy winorośli, przycięte w taki sposób, by owoce były dostatecznie wystawione na słońce, a jednocześnie chronione przed letnim skwarem. Wierna zausznica jej wysokości nie próbowała naśladować królewskiego akcentu, ale i tak wypadła przekonywająco.

- O tak, świetny, bez wątpienia.

- To właśnie wyrefinowane winogrona pinot wręcz uwielbiają. Bo mamy tu do czynienia z czarnymi pinot, jak tuszę.

- A skąd wiesz? - zainteresował się Chase. Cassandra obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

- Ciemnopurpurowe grona. Chłodne mgiełki nadrzeczne. Morski mikroklimat. Cóż innego mogłoby to być?

- Faktycznie, cóż innego?

Inteligentne błękitne oczy zwięzły się, kiedy badawczy wzrok Cass spoczął na rzędach krzewów rosnących nieco wyżej.

- O! Uprawiamy też pinot meunier. Chyba się nie mylę? Nie mogę wprowadzić dostrzec owoców, ale biały pył, ta młynarska mączka, zdradza gatunek.

- Jestem pod wrażeniem, Cassandro. Co się stało z „tym czymś ślicznym i różowym”?

- Nadal jest śliczne... i różowe.

Zupełnie jak twoje policzki, Blaszyński Dzwoneczku. Śliczne, różowe i takie upajające.

- Masz tam zapewne również pinot gris?

- Owszem - przyznał Chase. - Dlaczego pytasz?

- Bo, o czym niewątpliwie dobrze wiesz, niektórzy producenci szampana dodają odrobiną pinot gris do moszczu.

- A czy wiesz, jaki procent mieszanki stanowi pinot gris?

- Nie. - Ale mogłabym się dowiedzieć! Mogłabym zostać twoim szpiegiem, Mata Hari w krainie szampana. Zrobiłabym to dla ciebie, gdybyś dzięki temu patrzył na mnie tak jak teraz, z zainteresowaniem i aprobatą. - Mogłabym się dowiedzieć.

- Jestem tego pewien. Jednak ja kieruję się smakiem, Cassandro. Swoim smakiem.

Jasne, że tak. Te wargi, usta, które zapierają dech zmysłowością, ustalają też normy dla jakości wina. A co z sabotażem? Chase Tessier ubolewałby nad takim pomysłem, ubolewałby, gdyby ktokolwiek...

- Powtarzam, Cassandro, jestem pod wrażeniem.

- To tylko czubek góry lodowej jej wiedzy - oznajmiła lojalna dama dworu.

- Naszej wiedzy - sprostowała Cass. - Brałaś udział we wszystkich objazdach i dzięki niewiarygodnej pamięci nie przeoczyłaś żadnego szczegółu.

- W objazdach?

- Tak, w objazdach - potwierdziła Hope. - Podczas gdy ty wyciskałeś ostatnie poty z firmy Tessierów, my podglądałyśmy konkurencję.

- Dlaczego? Czyżbyś, Cassandro, myślała o karierze producenta win? W odpowiedzi

posłała mu uśmiech, prowokujący, piękny. Blanche DuBois pojawiła się z wizytą. Zdawało się, że to nie moment na jej występ. Gwałtowna piękność była przecież maską dla bólu. Ale Właśnie teraz Cass cierpiała. Tęsknota, pragnienia raniły ją daleko bardziej niż dobrze znana pogarda.

- Czy czuje się pan zagrożony, panie Tessier?

- Ani trochę, panno Winter. W imię honorowego współzawodnictwa proszę, by czuła się pani swobodnie i wpadała do mego biura o każdej porze. Będę zachwycony, służąc pani zarówno moją wiedzą na temat różnych aspektów winiarstwa, jak i zbiorem książek oraz filmów wideo.

- Dziękuję, sir.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Chase lekkim tonem. Gnębiły go jednak sprzeczne uczucia. Dla Hope odgrywanie damy dworu u boku księżniczki czy wampa z Nowego Orleanu było zabawne. Ale on nie lubił u Cassandry właśnie gry. Pobiegł spojrzeniem od prowokującej Blanche ku swojej skromnej, bezpretensjonalnej siostrze. - A więc, na podstawie waszych podróży, jak wypada Domaine Tessier?

- Jest najlepsze. Tym razem to Cassandra odpowiedziała. Znów była sobą, zrezygnowała z arystokratycznego akcentu, z udawania. Błękitne oczy patrzyły na niego, szczerze, czyste, jasne, lecz chociaż Chase wiedział, że nie skłamała, wyczuł w jej głosie nutkę wątpliwości.

- Ale, Cassandra?

- Nie, nic. Domaine Tessier jest lepsze od konkurencji. O niebo lepsze.

- Ale? - Chase uśmiechnął się.

- No, dobrze. Dlaczego Domaine nie oferuje zwiedzania?

- Sądzisz, że ktokolwiek - oprócz przyszłych producentów wina - byłby tym zainteresowany?

- Tak - odparła Cass.

- Zdecydowanie tak - poparła przyjaciółkę Hope.

- Wygląda na to - stwierdził Chase - że jesteśmy jednomyślni. Ciekawe tylko, czy Mark albo Alec zechcieliby oprowadzać wycieczki.

- Może - bąknęła z powątpiewaniem Cass.

- Ale?

- Chodzi o to, że oni obaj są znakomici, po prostu niezastąpieni, w winiarni. Ale znalezienie przewodnika to naprawdę żaden problem.

Specjaliści od enologii z Davis i Stanford wpadają do nas codziennie w poszukiwaniu

pracy i próbują przekonać Eleanor, że trzeba zorganizować zwiedzanie. Szczerze mówiąc, Eleanor byłoby znacznie łatwiej, gdyby nie musiała tracić tyle czasu na tłumaczenie, dlaczego takich wycieczek Domaine nie ma w swojej ofercie.

- Więc Eleanor też uważa, że to dobry pomysł?

- Jak najbardziej. - W porządku - Chase uśmiechnął się. - Zrobione. A teraz, miłe panie, zobaczmy, czego się jeszcze nauczyłyście.

Niewiele, zdały sobie sprawę. Niewiele w porównaniu z tym, czego nauczyły się od mistrza podczas tych słonecznych godzin.

Smakujcie winogrona, tłumaczył im Chase, i mówcie, co czujecie.

Początkowo odpowiadały z wahaniem. Ale ośmielone przez szarookiego czarodzieja, który wierzył, że każdy owoc kryje smak wszystkiego, czego doznał od chwili powstania aż po moment zbiorów, robiły się coraz śmielsze.

- Czuję rzekę - szepnęła Cassandra.

- Dobrze - pochwalił Chase. - Bardzo dobrze. Co jeszcze?

- Sosny - podsunęła Hope.

- Tak. Zdecydowanie tak. Sosny też tu są. A teraz spróbujcie wyczuć smak wiatru.

Był już wieczór, kiedy dotarli do Bodega Bay. Zanim rozeszli się do swoich pokoiów z widokiem na ocean, ustalili, że spotkają się na obiedzie o zachodzie słońca.

Chase siedział przy stoliku koło okna, gdy pojawiła się Cass. Wstał i odsunął dla niej krzesło.

- Dostałaś wygodny pokój?

- Wszystkiego w nim aż nadto. Dziękuję. Chociaż jest tu znacznie mniej ptaków, niż sobie wyobrażałam.

- Wieść niesie, że Hitchcock wypożyczył kilka. A gdzie jest Hope?

- U siebie. Zejdzie za chwilę, akurat żeby zdążyć na zielone bryzgi.

- Błyski.

- Bryzgi czy błyski, to i tak wymyśl.

- Nigdy tego nie widziałaś?

- Jasnozielonych błysków, kiedy słońce z rozbryzgiem wpada do morza? Nie, i Hope też nie widziała, chociaż miałyśmy tego próbkę w starej szkole. Zajęcia kończyło się tam dokładnie w chwili, gdy słońce zachodziło za rząd urwistych skał. Miałaś kiedykolwiek okazję to zobaczyć?

- Nigdy. - Chase zmrużył szare oczy. - Czy Hope dobrze się czuje?

- O, tak. Po prostu potrzebuje odrobiny samotności. Prosiła, żeby zamówić dla niej

dietetyczną pepsi.

- Cassandro?

- Ona ma się świetnie, Chase. Nie wyjawiać swoich zamiarów znaczy być silnym.

- To prawda - przyznał spokojnie. - Więc dietetyczną pepsi dla Hope. A co dla ciebie?

Biały zinfandel?

- Tak, proszę. O ile zniesiesz widok czegoś równie różowego na stole.

- Masz na myśli zagrożenie dla mojego poczucia męskości? Sądzę, że jakoś się z tym uporam. Ale może zechciałabyś spróbować naszego blanc de noirs. Jest równie słodkie i różowe jak zinfandel, a w dodatku ma bąbelki.

- I zdobyło wszelkiego rodzaju nagrody. Chase uśmiechnął się.

- To też.

- Chciałabym spróbować. Kiedy przyniesiono drinki, Cass uniosła kieliszek z szampanem.

- Za Hope - szepnęła.

- Za Hope - powtórzył Chase uroczyście. Potem wypił za zdrowie Cass i oświadczył: - Cudownie, że wyciągnęłaś ją z domu. Bałem się, że spędzi lato nad romansami, zamknięta w swoim pokoju.

- Hope nie czytuje romansów.

- Nie? Zawsze czytała.

- Wiem. Ale teraz już nie. Hope nie bierze do ręki beletrystyki, chyba że musi.

- Ale przecież coś czyta.

- Nawet dużo. Wszystko, co ma związek z prawem. Czy mówiła ci, że chce studiować prawo?

- Tak, ale nie wyjaśniła, dlaczego.

- Ja też nie wiem. Prawda. Sprawiedliwość. Amerykański ład. Może o to chodzi?

- Może. - A może, pomyślał, pociąga ją niezawodność prawa. Jego surowy kodeks. Jednoznaczne przepisy. Brak emocji. Niemożność oszukiwania. W każdym razie dzięki tobie Hope nie spędza lata pogrążona w problemach wymiaru sprawiedliwości.

Szare oczy spoglądały ciepło, z aprobatą, która wprawiała Cass w euforię, nie mającą nic wspólnego z tańczącymi w kieliszku bąbelkami. A przecież ona, Cassandra, niczym sobie na to nie zasłużyła.

- Nie dzięki mnie, Chase. Hope... się stara. I to jej chyba dobrze robi. Mam na myśli radość.

- Też tak sądzę. I uważam - nie, Cassandro, po prostu jestem pewien - że to wszystko

nie stałoby się bez twojego udziału.

Jego słowa wprawiły Cass w zakłopotanie. Zmieszały ją na tyle, że gdyby dalej trwał przy swoich pochwałach, uciekłaby, skryła się za maską Blanche. Jednak Chase zręcznie zmienił temat, co pozwoliło Cassandrze, tylko Cassandrze, pozostać.

- Eleanor mówi, że poznałaś Jane Parish. Cass nadal szybowała w różowych oparach euforii. Mogłaby tak szybować już zawsze.

- Owszem.

- I jak ci się podoba?

- Bardzo. Jest ogromnie utalentowana i taka poukładana.

- Poukładana?

- Tak. Spokojna i pozbawiona lęku. Jane, obecnie czterdziestotrzyletnia, nigdy nie wyszła za mąż, mimo że, jak opowiadała Eleanor, wielu wspaniałych mężczyzn prosiło ją o rękę. Mężczyźni ci nadal zajmowali ważne miejsce w życiu artystki: kochankowie zamieniali się w przyjaciół, których dzieci uwielbiały ciocię Jane, a żony wierzyły, że artystka nigdy nie skusi ich mężów do powtórnego romansu. - To znaczy? - delikatnie nalegał Chase.

- To znaczy, że Jane nie przejęłaby się, gdyby miała twarz, ręce czy włosy upakane odrobiną albo nawet całą masą farby. Nic ani nikt nie jest w stanie tej kobiety spieszyć. Gdyby tak była z nami tego dnia, kiedy miałyśmy starcie z czarownicą.

- Czarownicą? Niebieskie oczy Cassandry rozszerzyły się. Powiedziałam „czarownicą”? Wybacz. To krzywdzące dla wszystkich czarownic świata. Rzecz jasna, miałam na myśli sukę.*

- Aha uśmiechnął się Chase - A któż to taki? Rodzimy produkt Napa Valley, miejscowa dziewczyna z okładki. Sibyl „Moja Twarz Powinna Zdobić Vogue” Raleigh. Opis uderzał trafnością. Niezaprzeczalnie była to Sibyl jak żywa. Ale I uwaga Cassandry też nie odbiegała od prawdy. - Nie przepadam za tą damą.

- A jednak Eleanor mówi, że to właśnie Sibyl ma kierować galą z okazji stulecia Domaine. Że nasza pani Raleigh prowadzi firmę o nazwie „To moje przyjęcie”, która organizuje tego typu uroczystości.

- Zgadza się co do joty.

- Dla każdego, kto ma jakieś wyczucie literackie, nazwa „To moje przyjęcie” brzmi śmiesznie.

- Śmiesznie - zgodził się Chase - ale raczej nieszkodliwie. Sibyl przeszła drogę od

* Gra słów: *witch* (czarownica) i *bitch* (suka), przyp. tłum.

eleganckiej pani domu w San Francisco do kobiety interesu i biznesmena roku w Bay Area. Z czego wynika, że - jak się domyślam jej klientów nie zniechęca nazwa firmy.

- Podobnie, jak ciebie.

- Właściwie to była decyzja Victora. Jego prośba. Victor. Cassandra zamyśliła się. Nie ojciec, tata, staruszek.

- Victora?

- Obydwoje zadali sobie wiele trudu.

- Och, w porządku. W przerwach między podłymi uwagami nasza organizatorką przyjęć żądała - kilka razy, o ile pamiętam - żeby jej powiedzieć, kiedy dokładnie Victor przyjedzie na uroczystości. Czy coś już wiadomo na ten temat?

Twarz Chase'a odrobinę się zachmurzyła.

- Nie. - Cienie się pogłębiły. - Opowiedz mi o tych podłych uwagach. Czy Sibyl coś ci powiedziała?

- Cóż, tak, ale... - Cassandra lekceważąco wzruszyła ramionami, jakby dezaprobata wobec jej osoby była czymś zupełnie naturalnym. - W każdym razie naprawdę złośliwe było to, co powiedziała do Hope, zwłaszcza że zjadliwość maskowała pozorami troski. Słowo „tusza” nie padło ani razu, ale na buzi ślicznotki z okładki malowało się politowanie, kiedy rozwodziła się nad tym, jaki ciężki musiał być dla Hope ostatni rok i jak martwiłaby się wasza matka, gdyby o tym wiedziała.

- Może jednak Sibyl nie będzie organizować rocznicowej gali. - Ton Chase'a był niebezpiecznie spokojny. - Z pewnością nie będzie.

- Nie, Chase. Hope poczułaby się bardzo niezręcznie, gdybyś zrobił z tego wielką sprawę. To jeszcze dla niej nie koniec świata, jeśli nauczy się radzić sobie z sukami. Albo, jak w tym przypadku, słuchać, kiedy przyjaciółki waszej matki - bo zakładam, że Sibyl była jej przyjaciółką - przypisują zmarłej zupełnie nieprawdopodobne reakcje.

- Nieprawdopodobne? - powtórzył Chase. - Frances nie byłaby przygnębiona z powodu tuszy Hope?

Frances, pomyślała Cassandra. Nie matka, mama.

- Cassandra?

- Nie - odparła - Frances nie byłaby przygnębiona. W rzeczywistości... O, Hope, już jesteś!

- Cześć. Zdaje się, że wam przerwałam...

- Wcale nie - zapewnił ją Chase z uśmiechem. - Dyskutowaliśmy właśnie z Cass o tym trudnym do opisanego zielonym blasku i mieliśmy nadzieję, że pojawisz się na czas, żeby go

zobaczyć.

- Co też ci się udało - mruknęła Cassandra. Więc ty także czasem kłamiesz, Chase - gładko, po mistrzowsku... z miłości. - W samą porę.

W samą porę, bo za kilka sekund słońce zniknie za horyzontem i skończy się ten czarodziejski dzień. Jego ciepło, światło, uskrzydlająca radość utoną na zawsze w lodowatym morzu.

Cassandra z lękiem wypatrywała tej śmierci, która już się prawie dokonała, tej straty nieodwołalnej i całkowitej. Widoczny pozostawał jeszcze tylko fragment ognistego obrzeża, ale i on zniknął szybko. Spadanie z siłą ciężkości, poddawanie się temu, co nieuniknione.

I wtedy na oczach ich wszystkich stało się - przepiękny rozbryzg światła zamiast bolesnego tonięcia. Po ciemniejącym niebie rozsypały się szmaragdy, nieskończoność bezcennych klejnotów, a każdy z nich roziskrzony zieloną obietnicą dla świata.

Znowu będzie światło.

I ciepło. I radość.

I czar.

Dwadzieścia cztery godziny później Chase i Cassandra wyjaśnili, dlaczego każde z nich musiało wrócić do Napa przed czwartą. Cass przyjęła posadę hostessy w restauracji Courtland i rozpoczynała pracę o piątej. Chase natomiast potrzebował chwili czasu, żeby się uporać z powstałymi podczas jego nieobecności zaległościami, a o ósmej również musiał być w Courtland.

Cass dostrzegła Chase'a, kiedy tylko się pojawił, jeszcze zanim on ją zauważył. Właśnie ruszyła, by pożegnać wychodzącego gościa, starszą panią z laską. Otworzyłaby przed nią drzwi, gdyby Chase nie zrobił tego pierwszy. W oczach starszej pani błysnęły ulga i wdzięczność.

Chase Tessier ubrany był w nieskazitelny ciemnoszary garnitur i harmonizujący z nim gołębiego koloru krawat. Jednak elegancki strój w jego przypadku stanowił dodatek bez znaczenia.

Gdy za starszą panią zamknęły się drzwi, Cass zauważyła prawdziwą ozdobę Chase'a, bynajmniej nie błąhą: piękną, królewską i wytworną. Kobieta, z którą Chase przyszedł, oparła idealnie wymanikiowaną dłoń na jego ramieniu - oparła, a nie przyłgnęła doń kurczowo. Na to była zbyt pewna swojej pozycji.

Wtedy właśnie Chase dostrzegł Cassandrę. Wreszcie. Zdumienie - i coś jeszcze, czego nie potrafiła odczytać - mignęło w głębi szarych oczu.

- Cześć, Cassandro.

- Dobry wieczór, Chase. Nie zauważyłam twojego nazwiska w naszej książce rezerwacji. Czy ty...?

- Tak.

- Och, rzeczywiście. Jest tutaj. - Czarno na białym i z pięknym „dodatkiem”, który sprawił jej taki ból. - Momencik, według tego dopisku dokonałeś rezerwacji wczoraj wieczorem. - Po naszym obiedzie o zachodzie słońca w Bodega Bay. Po tym, jak oglądaliśmy szmaragdowy skarb rozbryzgujący się na niebie. - Życzyłeś sobie dostać stolik w alkwie gardenii.

- Jeżeli to, możliwe - powiedział. Cass podniosła wzrok znad książki rezerwacji i uśmiechnęła się.

Olśniewająco.

- Oczywiście. Dla Chase'a Tessiera? Oczywiście.

- Świetnie - towarzyszka Chase'a uprzejmym tonem wyraziła entuzjazm. - To nasze ulubione miejsce.

- Staramy się, żeby nasi klienci byli zadowoleni.

- Dziękuję. A przy okazji, jestem Paige.

- Przepraszam - mruknął Chase. - Paige, to jest Cassandra Winter. Cassandro, to Paige Roderick.

- Więc to ty jesteś przyjaciółką Hope - stwierdziła panna Roderick.

- Tak - potwierdziła Cass cicho. Kim jest Paige Roderick? Dziedziczką cieszącą się największym powodzeniem w dolinie, dowiedziała się Cass, gdy Chase i Paige jedli obiad w pachnącym gardeniami ustroniu. Informacje napływały - okraszone bezkrytycznymi zachwytaami - zarówno ze strony personelu, jak i gości.

Paige była prawdziwą sensacją. Szykowna i elegancka. Z jej wynikami w Vassar mógł konkurować równie olśniewający dyplom, który uzyskała kilka lat później na harwardzkim wydziale administracji. Trzy lata temu Paige otrzymała stanowisko kierownika finansowego rodzinnej firmy winiarskiej i świetnie sobie radziła. Od marca uchodzili z Chase'em za parę. Hope nigdy o tym nie wspominała.

Zapewne sama nic nie wiedziała, uznała Cassandra. Było mało prawdopodobne, by Chase rozmawiał z siostrą o swoich romansach, nawet gdy chodziło o kogoś tak bajecznego jak Paige. Dopóki nie zajdzie coś, o czym Hope powinna wiedzieć, a co teraz może się zdarzyć każdego dnia. Wszystko bowiem wskazywało na to, że małżeństwo Chase'a z Paige zostało zapisane w jakichś winiarskich niebiosach.

Kiedy Paige wyszła z alkwie - pod pretekstem przypudrowania nosa - Cass rzuciła

wyzwanie własnemu instynktowi samozachowawczemu.

Nawet gdy już znalazła się w ozdobionym gardeniami ustroniu, miała aż nadto możliwości, żeby się cofnąć. Chase wpatrywał się w kieliszek szampana, poważnie, z napięciem. Sprawiał wrażenie, jakby stał w obliczu jakiejś ważnej decyzji - może propozycji małżeństwa.

- Cześć. Chase podniósł wzrok. Wstał.

- Cassandra.

- Mogę? - Wskazała opuszczone przez Paige krzesło. Czy mogę usiąść z tobą w tym niebie kochanków, przynajmniej na tak długo, by sobie przypomnieć, kim jestem? I kim nigdy nie będę?

- Pewnie. - Chase przytrzymał krzesło, kiedy nerwowo przycupnęła na miękkich poduszkach. Jest nadal roztrzęsiona, uznał, zajmując miejsce naprzeciw. Pod warstwami barwnego szyfonu cała drży. - Zimno ci, Cassandro? Chcesz moją marynarkę?

- Nie, dziękuję. Trochę tu chłodno. Z założenia, jak przypuszczam. Świetny pretekst do przytulank.

Niech cię diabli, pomyślał Chase, wściekły, a mimo to oczarowany. Oczarowanie przeważało. Chciał, żeby była tutaj, z nim, dziewczyna o asymetrycznej twarzy rozjaśnionej blaskiem świec, o błękitnych oczach błyszczących wewnętrznym światłem.

Uśmiechnął się serdecznie, uspokajająco, ale nie potrafił pohamować ciekawości.

- Czy nie należy do twoich obowiązków rola wartownika - o, przepraszam, wartowniczk - przy wejściu?

- Owszem, ale równie ważnym aspektem pracy hostessy jest sprawdzanie, czy stali klienci czują się u nas szczęśliwi. Nad wyraz szczęśliwi. Więc właśnie się upewniam co do twego samopoczucia. - Przechyliła głowę, aż światło świec zatańczyło na jej włosach. - Czujesz się szczęśliwy?

- Oczywiście. Roztańczony blask zamarł, błękitny płomień zaczął przygasać, ale po chwili znów zajaśniał.

- Cóż, to dobrze. Poza wszystkim mamy już komplet gości. Odkąd wymagane są rezerwacje - o czym rodowici mieszkańcy Napa świetnie wiedzą, a każdy turysta może przeczytać w przewodniku - jedyni wpadający z zewnątrz goście to ta banda z Hollywood.

- Która nie czytuje przewodników?

- Która jest przekonana, że żadne przepisy jej nie dotyczą.

- Czyżbym w twoim głosie słyszał nutę dezaprobaty w stosunku do przybyszów z Miasta Blichtru?

- To wynik racjonalnej analizy, Chase, a nie jakaś nieprzemyślana niechęć. Bo czy nie wydaje ci się absurdem spędzanie życia na udawaniu, że jest się kimś innym, z własnego wyboru?

- A ciebie nie bawi odgrywanie Blanche DuBois? Bawi? O, nie. Ale czasem bycie mną - właśnie mną - rani tak bardzo, że muszę się zmieniać w kogoś innego. Kogokolwiek innego.

- Cassandro?

Niechętnie wzruszyła ramionami, zupełnie jakby jej wątłe barki zmagaly się z niewidzialnym ciężarem. Niedowład policzka stał się bardziej widoczny, niczym ucieleśnienie smutku.

Chase poczuł, że pragnie całować te urocze usta o opuszczonym żałośnie kąciku, zdjąć najdrobniejszy ciężar z delikatnych ramion.

- Powiedz mi - szepnął.

- Co? Ach, to nic takiego. W każdym razie nie mam wiele do czynienia z hollywoodzkimi atrakcjami, tylko podczas pracy tutaj albo kiedy ekipa filmowa blokuje na czas zdjęć przejazd jakąś ulicą.

- Zmartwię cię więc pewnie, Cassandro, ale od początku przyszłego tygodnia na terenie winnicy będzie kręcony Duet.

- Twojej winnicy, Chase?

- Domaine Tessier nie jest moje.

- Ale zarządzasz nim.

- Razem z Victorem.

- To wyjątkowo nienarzucający się partner, prawda? - Nienarzucający się partner, nienarzucający się ojciec, nienarzucający się producent win. - O ile się orientuję, Victor Tessier nie dba nadmiernie o Domaine. - Nie dba o nikogo ani o nic, oprócz samego siebie.

- To nie jest tak, naprawdę - zaoponował spokojnie Chase. Znał źródła jej niechęci do Victora, rozumiał to uczucie i doceniał żarliwą lojalność wobec Hope. Ale Chase również był lojalny. - Przez cały czas porozumiewamy się z Victorem. On jest na bieżąco ze wszystkimi decyzjami, które podejmują. Właściwie podejmujemy je razem.

- Porozumiewacie się? Wyobrażam sobie, że Victor Tessier to typ faceta utrzymującego stosunki z ludźmi za pomocą e - maila. - Bezgłośnie, beznamietne przekazy wysyłane nocą.

- Rozmawiamy ze sobą. Często. Cass zmrużyła błękitne oczy.

- A to towarzystwo z Hollywood to jego znajomi, prawda?

- Victor od czasu do czasu komponuje muzykę do ich filmów - uśmiechnął się Chase - która zresztą zazwyczaj otrzymuje nagrody Akademii. Tak właśnie jest i z Duetem.

- Więc dlaczego Victora dotąd tu nie ma?

- Muzykę do Duetu napisał już zeszłego lata. Zeszłego lata, pomyślała Cassandra. Kiedy umarła Frances, kiedy Hope tak wiele utraciła. Tyle nadziei. Ale tego lata Hope była tutaj i miała przed sobą dość czasu, szczęśliwego czasu w raju.

- Jednak pewnego dnia Domaine Tessier będzie twoje.

- Nie liczyłbym na to, Cassandro. To wykluczone.

- A czy... - Wzruszyła ramionami, próbując pokonać poczucie pustki wywołane jej własnymi fantazjami, jej własnym bólem. A były to piękne fantazje: lato za latem tutaj, w raju, z Hope i z Chase'em, wspólne smakowanie wiatru i podziwianie szmaragdów rozpryskujących się z morza w mroczniejsze niebo.

- Czy co? Czy twoja narzeczona liczy na to? Gwałtowna Blanche miała ochotę pokazać pazurki, sprowokować go do wybuchu wściekłości, tak ostatecznego, żeby wszystkie piękne i głupie marzenia - wraz z całą bolesną tęsknotą - skończyły się wreszcie raz na zawsze.

Ale Cassandra nie mogła, nie potrafiła zdobyć się na obraźliwe słowa. I okazało się, że wcale nie musiała.

- Co ty robisz, Cassandro? Co to znowu za gra? Jedyna gra, na jaką mnie stać, ta, która chroni moje serce przed połamaniem na kawałki.

- Paige jest bardzo piękna - powiedziała cicho. Czuła się obolała i rozbita. - I wygląda... na całkiem miłą.

- Ona jest... całkiem miła. Cassandra skinęła głową i zdobyła się na uśmiech - dla niego, dla jego szczęścia z Paige.

- Zupełnie jak ty - ciągnął miękko Chase. - Całkiem miła. Czasami. - Po czym dodał z uśmiechem, nie zmieniając tonu: - Bo czasami, Cassandro, jesteś nieznośna.

Szpital Westwood Memorial, oddział chirurgii

piątek, 2 listopada

Wole, kiedy pan jest przy niej.

Chase siedział na krześle, z oczami wbitymi w podłogę. Obrazy i wspomnienia wirowały w jego spragnionym snu mózgu.

Dopiero obcy głos skłonił go, by podnieść wzrok. Grzeczność nakazała wstać.

- Co pani mówiła, Dorothy? Pielęgniarka z oddziału chirurgii nie była pewna, czy to uprzejmość z powodu jej sześćdziesięciu trzech lat, czy szacunek dla kobiet zmusiły tego słaniającego się ze zmęczenia mężczyznę do poderwania się na nogi. Stał teraz przed nią zrozpaczony i pełen niepokoju.

- Powiedziałam - powtórzyła - że wole, kiedy to pan czuwa przy Cassandrze. Ona się wtedy lepiej czuje. Jest silniejsza. Bardziej spokojna.

Chase zmarszczył brwi. Cassandrze podano potężne dawki narkotyków, żeby zahamować każdą normalną fizjologiczną reakcję. Serce nie mogło pracować na przyspieszonych obrotach, ciśnienie krwi nie miało prawa się podnieść, nawet gwałtowne wciągnięcie powietrza było niemożliwe dzięki respiratorowi dokładnie wyznaczającemu wdechy i wydechy.

Trudno było ocenić, czy chora czuje się lepiej. Mimo to cichym, pełnym szacunku głosem Chase zapytał:

- Skąd pani wie?

- Proszę to uznać za sztukę pielęgniarstwa, zdolność, którą nabywa się po latach, po dziesięcioleciach wykonywania zawodu. Cassandra czuje się lepiej, kiedy pan z nią jest. Poprawia jej się nawet barwa skóry.

Barwa skóry? Cassie była biała, sinobiała, jak rozciągnięty na jeziorze cienką warstewką kruchy, przejrzysty lód - I zimna jak mroźna woda pod jego szklistą taflą. To oni ją tak wyziębili. Myśli wyły z bólu, przeszywały serce. A jednak Chase wpatrywał się w doświadczoną pielęgniarkę niczym żarliwy wyznawca w najwyższą kapłankę.

- Lepiej - szepnął.

- Lepiej - potwierdziła Dorothy.

- Także kiedy on tu jest? - On. Robert. Kochanek. Ukochany. W pytaniu Chase'a dźwięczała nadzieja, modlitwa za Cassandrę.

Liczyła się tylko poprawa stanu chorej, obojętne przez co lub przez kogo spowodowana.

Ale najwyższa kapłanka przecząco potrząsnęła głową.

- Przy Robertcie czuje się gorzej. Może to z powodu jego przygnębienia. Chociaż nikt nie przeżywa tego tak silnie jak pan. - Uśmiechnęła się nieznacznie na widok zdumionej miny Chase'a. - Może pan to nazwać sztuką pielęgniarstwa. Rzecz w tym, że pan ukrywa przed Cassandrą swój lęk. Ona wyczuwa w panu odwagę, pewność, spokój.

- Niczego takiego we mnie nie ma.

- Może. Ale dla niej jest. Nawet jeśli pan milczy. Bo pan nie mówi do niej, prawda?

- Nie. - Nie na głos. - A sądzi pani, że powinienem?

- Oczywiście. O ile jęki Romea mogą ją tylko zdenerwować, o tyle pańskie słowa - pana pewność, spokój... - Dorothy zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- Podejrzewam, że jest coś... trudnego... jakaś dawna historia między wami?

- Tak.

- Radziłabym unikać tego tematu, a przynajmniej najbardziej raniących Szczegółów. Proszę opowiadać Cassandrze o sprawach, o ludziach jej bliskich. Jestem pewna, że pan wie, o czym i o kim.

Wiedział. Dobrze wiedział. Tamtej letniej nocy, osiem lat temu, kiedy wrócił do Domaine po obiedzie z Paige, poznał uczucia Cassandry.

Dochodziła druga nad ranem. W bawialni, na dywanie przed olbrzymim telewizorem, siedziała po turecku Cassandra. Była boso, w zniszczonym płaszczu kąpielowym. Rozwichrzone włosy przypominały płataninę księżycowego blasku.

Na twarzy Cass malowało się zamyślenie. Zamyślenie i bezwład. Kiedy Chase uświadomił sobie, w jak znacznym stopniu musiał być uszkodzony jej nerw policzkowy, zrozumiał ogrom wysiłku, który - nie tracąc ani przez chwilę czujności - podejmowała, by przezwyciężyć kalectwo.

Teraz jednak Cassandra sądziła, że jest zupełnie sama i całą energię skoncentrowała na ekranie, na tym, co miało się tam ukazać, gdy tylko smukłe palce wcisną guzik pilota.

Co zaabsorbowało tę zawsze czujną wróżkę tak bez reszty, że Chase mógł stać i przyglądać się jej, sam niezauważony? Może jakiś romantyczny film? Srogi los Jurija i Lary? Historia namiętności Scarlett i Rhetta?

Nie. Chase uświadomił to sobie, kiedy Cass odnalazła na taśmie fragment, którego szukała.

Uwagę Cassandry przykuła nie fikcja, a autentyczny dramat, mogący zresztą, jeśli chodzi o fachowe wykonanie, śmiało rywalizować z najlepszymi hollywoodzkimi produkcjami.

Chase nigdy nie oglądał tej taśmy. Uczestniczył jednak we wspaniałej uroczystości i od razu poznał, który moment przyjęcia z okazji czterdziestych drugich urodzin Frances Tessier pokazuje film. Victor właśnie wręczył żonie diamentową kolbę, a teraz jubilatka obdarzała wspaniałymi prezentami, czy raczej obietnicą prezentów, swoje dzieci.

Uczucie zakłopotania zastąpił nagły przyptyw furii, kiedy Cassandra pochyliła się bliżej w stronę ekranu - różdżka wykrywająca źródło wody, licznik Geigera wyczuwający złoto. Było oczywiste, że już nie pierwszy raz ogląda tę kasetę. Przewinęła film do wybranej sekwencji i dobrze wiedziała, co za chwilę nastąpi.

- To prezenty, a nie spadek - zapewniła swych gości Frances Tessier. - Mam zamiar być tutaj, żeby zobaczyć, jak Chase i Hope cieszą się nimi. Chase może otrzymać swój prezent w każdej chwili. Pod jednym warunkiem. Kiedy - i jeśli - go wypełni, dar przejdzie w jego ręce. Natomiast prezent dla Hope musi poczekać do dnia jej trzydziestych urodzin. Czternaście lat. To brzmi jak wieczność, prawda, moje małe kochanie? Ale czas płynie tak szybko, zbyt szybko. Wydaje mi się wprost niemożliwe, że masz już szesnaście lat. Cudowne szesnaście lat, moja cudowna Hope. Tak dobrze pamiętam dzień, w którym się urodziłaś.

Kamera ukazała Frances w momencie, gdy pani Tessier zadawała córce retoryczne pytanie. Teraz obraz przybliżył się, ukazując wiecznie młodą, piękną twarz. Frances mogłaby mieć szesnaście lat. Ciągle. Zawsze.

- Trzydziestka nadejdzie wystarczająco szybko, kochanie. Więc te lata przed tobą są niesłychanie ważne, bo dają ci szansę na odkrycie tego, kim jesteś, bez rozterek spowodowanych przez bogactwo... i przez łowców posagu. Wiem, że nie będziesz liczyć dni do trzydziestych urodzin, moja Hope, moja nadziejo. Pieniądze nie są ani nigdy nie będą tym, na czym ci szczególnie zależy. Toteż nie one są moim darem. Mówię ci o marzeniach, nie o pieniądzech. Marzeniach o drodze życia. - Słynna powieściopisarka uśmiechnęła się. - Wystarczy tego prologu! W dniu swoich trzydziestych urodzin Hope otrzyma honoraria i dywidendy za moje utwory. Co do grosza. Za książki, filmy, nagrania, za wszystkie prace.

Ciszę, która towarzyszyła wystąpieniu Frances, przerwał - co uchwyciły mikrofony - szmer zdumienia wśród odzianych w eleganckie suknie i smokingi, obwieszonych biżuterią gości. To miliony. Już w tej chwili. Miliony.

W końcu kamera odnalazła beneficjentkę. Stała koło Chase'a, szukając u niego schronienia. Kiedy pełne zachwyty poruszenie przetoczyło się przez salę balową, zdobyła się

na niezdarny uśmiech, po czym jej pulchne policzki załał jaskrawy rumieniec.

W tym momencie powinna była przedrzeć się przez jedwabno - satynowe morze do Frances i zaprezentować zebranym widowiskowy uścisk z matką. Ale oszczędzono Hope tego upokarzającego popisu, bo Frances znów zaczęła mówić.

- A teraz prezent dla Chase'a wraz z warunkiem, który znajdujące się w tej sali matki z pewnością zrozumieją. Mam wrażenie, że nazywa się to tęsknotą za wnukiem. Ale nie martw się, Chase, nie jest tak źle. Wiem, że nie planujesz posiadania dzieci w najbliższej przyszłości, a może nawet nigdy. Uprawa winnicy wypełnia twoje życie i daje ci pełną satysfakcję. Nie jestem tak głupia, żeby Tessierowskiego wnuka, a tym bardziej gromadki wnucząt, wymagać jako warunku prezentu - twojego prezentu, Chase - Czarnej Góry.

Kiedy Frances przerwała, aby wywołać lepszy efekt, mikrofony przekazały ochy i achy szeptane wśród szelestu drogich jedwabi.

- Właśnie tak - głos Frances wznosił się ponad szemranie tłumu. - Czarnej Góry. Jak większość z was wie, Jean - Luc Tessier nie umiał czytać. Więc Chase mu czytał. Dziadek i wnuk uczyli się razem, zdobywali wiadomości o geologii doliny, o żyłach wulkanicznego popiołu przebiegających tu wszędzie wokół. Grandpère przewidział - słusznie, jak wiemy - obfite zbiory winogron na takiej glebie.

Przepowiedział również, że największe złoża popiołów leżą pod obsydianową skorupą góry i tylko czekają, by obsadzić te tereny winoroślą. Jean - Luc Tessier dzielił się swoją śmiałą wizją z wieloma z nas. Ale przede wszystkim z Chase'em. Czarną Górę ofiarował mi Grandpère w dniu mojego ślubu. Teraz będzie ona darem dla mojego syna w dniu jego zaślubin.

Szczupłe palce Frances pieszczotliwie gładziły diamenty otaczające jej szyję, sznur jednokaratowych kamieni bez skazy, kryształowo przejrzystych.

- To właśnie mój warunek, Chase. Panna młoda, żona. I musi to być prawdziwe małżeństwo, oparte na miłości i zobowiązaniu. Tego pragnąłby dla ciebie Grandpère i, oczywiście, jest to także moim najgorętszym życzeniem.

Palce Frances nadal błędziły po klejnotach, po urodzinowym prezencie od męża, jakby ten sznur idealnie dobranych diamentów stanowił symbol jej związku z Victorem, pokazywał, jak nieskazitelne może być małżeństwo.

- Prawdziwa miłość, Chase. To wszystko, o co proszę, rezygnując z domagania się wnuka. Pozostawię to zadanie mojej przyszłej synowej, kimkolwiek będzie.

Frances uśmiechnęła się prowokacyjnie, jakby w jej słowach kryło się coś więcej.

- Kiedy ty będziesz wprowadzać Domaine w drugie stulecie i szukać, z równym

zaangażowaniem, miłości swego życia, ja dodam jeszcze jedno czy dwa ulepszenia do prezentu. Moja droga przyjaciółka Sibyl ma jeszcze droższego przyjaciela Gavina, który buduje dla mnie - dla ciebie, Chase - chateau. Nie jakiś stare zamczysko, rzecz jasna, tylko nowoczesną wersję chateau i winnicy Tessierów w Szampanii. Jego otwarcie uświetnimy bożonarodzeniowym balem nad bale, ekstrawagancką imprezą zorganizowaną przez Sibyl Raleigh tak wspaniale, że nawet Victor zechce spędzić święta w dolinie - wreszcie.

Film ukazał twarz Frances właśnie w momencie, gdy pani Tessier rzuciła złośliwe spojrzenie na męża. Nie została nagrana odpowiedź Victora. Kamera uchwyciła tylko przelotną zmarszczkę niezadowolenia na porcelanowym czole jego pięknej żony.

- To zamek dla ciebie, Chase, i dla panny młodej. Będzie siedzibą twojego przedsiębiorstwa winiarskiego i, być może, moich wnuków. A jeśli do tego nie dojdzie, może zostać przerobiony na najelegantszy hotel, jaki kiedykolwiek widziała ta dolina. To straszne zarozumiałstwo z mojej strony. Wiem o tym. Ale Grandpere byłby zachwycony pomysłem odrodzenia jego rodowego gniazda w tak wspaniałej postaci, więc przypuszczam, że tobie też się to spodoba. - Znowu w jej oczach zabłyśła iskierka oznaczająca żart, skierowany do przystojnego syna. - I co, Chase, twoja stara matka nie jest chyba taka okropna, prawda?

Obiektyw kamery rozpoczął wędrówkę w stronę Chase'a, powolny przejazd tu i tam, po twarzach jaśniejących zachwytem dla podziwu godnej szczodrości Frances, by wreszcie uchwycić reakcję syna na ten hojny dar.

Chase pamiętał ten moment. Wiedział, co wówczas czuł. Uniesienie. Wdzięczność. Radość niemożliwą do wyrażenia słowami.

Nie miał jednak pojęcia, która - jeśli w ogóle którakolwiek - z tych gwałtownych emocji odmalowała się na jego twarzy. Nie chciał wiedzieć. Nie chciał, żeby Cassandra wiedziała. Ale dla niej nie było to już tajemnicą. Oglądała tę kasetę przynajmniej raz. A teraz przysuwała się w stronę ekranu, oczekując, że znowu zobaczy wyczekiwany moment.

- Dostyc tego, Cassandro. Jego głos zabrzmiał chrapliwie, szorstko. Chase sięgnął po pilota wideo i włączył przewijanie. Ekran przybrał kolor indygo, a cichy szum zasygnalizował, że rodzinne sekrety powracają do swego celuloidowego ukrycia.

- Och! - Cass gwałtownie wciągnęła powietrze. - Chase. Tak różny od młodego człowieka, który w Courtland's jadł obiad z Paige. Nie miał już na sobie ciemnoszarej marynarki ani eleganckiego krawata. Koszulę rozpiął pod szyją i podwinął rękawy.

Teraz był u siebie w domu, w swoim luksusowym zamku. Ten mężczyzna, ten książę mógł w pełni zaspokoić każdą swoją pasję, każde pragnienie. Najlepsze jedzenie, najlepsze wina, najlepszy seks.

A mimo to Chase Tessier wyglądał, jakby nadal dręczył go głód.

Drapieżnie.

- Wyjaśnij mi to, Cassandro.

- Ja... nie mogłam spać. - Ciągle widziałam, jak ją całujesz, dotykasz, jak się z nią kochasz.

- I? I to bolało.

- No, cóż. Postanowiłam obejrzeć jakiś film. I zobaczyłam tę kasetę - tutaj, na półce.

Znalazła kasetę zatytułowaną „Czterdzieste drugie urodziny Frances, prezenty dla Hope i Chase'a”, kiedy szukała czegoś poświęconego wyłącznie młodym Tessierom. Jednak inne filmy wideo opowiadały tylko o karierze, nie o rodzinie: koncerty Victora, występy Frances w programach „Oprah”, „Larry King na żywo” i „Rozrywka nocą”, wspólne pojawienie się państwa Tessier na uroczystości rozdania nagród Akademii.

- I zainteresowało cię to bardziej niż zwykły film?

- Tak.

- Bo? Stanął nad nią, wysoki, zawzięty, budzący strach. Cassandra podniosła się z podłogi. Mimo że Chase znacznie przewyższał ją wzrostem, stawiała czoło jego lodowatemu spojrzeniu.

- Bo - wyjaśniła - chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o Hope. A teraz, jeśli chcesz, nazwij mnie niemożliwą.

Boso, pozbawiona barwnych piórek, w które zazwyczaj się przyodziewała, wyglądała na istotę delikatną, kruchą. I tak bardzo zranioną tym, co powiedział Chase. Jego słowa były tylko łagodną kpina - przynajmniej w zamierzeniu - a naprawdę ją ugodziły. Do głębi.

- Gdybym mógł, Cassandro, cofnąłbym tamtą uwagę albo przynajmniej ją sprostował. Może określenie „trudna” byłoby właściwsze. A także trafniejsze - dodał miękko - i bardziej zgodne z tradycją najlepszych win „złożonej natury”.

Zgodne z tradycją najlepszych win. Cassandra oblała się rumieńcem.

- O... dziękuję.

- Proszę bardzo. Więc chciałaś dowiedzieć się czegoś o Hope?

- Tak. Chase spojrzał na dumną, zbuntowaną twarz o bezwładnym policzku - i uwierzył. Uwierzył jej.

- No i dowiedziałaś się? - zapytał łagodnie. Jego spokój był jeszcze bardziej przerażający niż wściekłość.

Cassandra cofnęła się o kilka kroków, do majestatycznego fortepianu, czarnego jak włosy Chase'a. W zamyśleniu powiodła palcem po połyskliwej politurowanej krawędzi.

- Myślę, że pośrednio tak.

- To znaczy?

- Cóż, ten film ukazuje przede wszystkim waszą matkę. - Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w lśniące drewno, po czym podniosła wzrok na Chase'a. - Była bardzo młoda, kiedy przyszedłeś na świat. Film pokazuje jej czterdzieste drugie urodziny. Jeśli Hope miała wówczas szesnaście lat, ty musiałeś mieć dwadzieścia cztery. Frances była zaledwie osiemnastolatką, gdy się urodziłeś, a twój ojciec nie mógł być o wiele starszy.

- Frances miała osiemnaście, a Victor dwadzieścia lat. Ale moja matka miała lat trzynaście. Nie wiem, w jakim wieku był mój ojciec - ani kto nim był.

- Jesteś... adoptowany?

- Tak.

- Hope nigdy o tym nie mówiła.

- A mogła. To żaden sekret. Miałem wtedy sześć lat.

- Co się stało z twoją matką?

- Umarła od przedawkowania heroiny.

- Tak mi przykro.

- Mnie też. Z jej powodu. Była zbyt młoda na dziecko i o wiele za młoda na śmierć. A mimo to okazała się dobrą matką, chociaż sama była jeszcze dziewczynką. Karmiła mnie, ubierała, chroniła.

- Kochała cię.

- Kochała - powtórzył Chase miękko. Nawet umierając, trzymała go przy sobie, w bezpiecznej grotce miłości i ciepła, która zmieniła się w lodowatą pieczarę, gdzie przebywał przez wiele godzin po śmierci matki.

- Pamiętam, jak cierpliwie uczyła mnie czytać.

- A później ty równie cierpliwie uczyłeś dziadka.

- Próbowałem go nauczyć, ale on był dyslektykiem. Teraz to rozumiem. Wszystkie litery wyglądały dla niego tak samo.

- Ale to bez znaczenia, bo miał ciebie. Łagodny blask, błysk czystego srebra, rozjaśnił ciemnoszare oczy mężczyzny, który kiedyś był tym dzieckiem.

- Mieliśmy siebie nawzajem - wyjaśnił Chase. - Uczyłem go czytać, a on uczył mnie francuskiego. Powiedz mi Cassandro, czego się dowiedziałeś o Frances z tej taśmy wideo.

Cass musiała odsunąć się jeszcze dalej. Koniecznie. Inaczej byłaby zbyt blisko tych lśniących szarych oczu. Tym razem zawędrowała do mahoniowej ściany, wypełnionej książkami.

- Tak naprawdę chodzi tu tylko o nią. Chyba się nie mylę? - zapytała, bacznie przyglądając się powieściom Frances Tessier. - Nawet kiedy mowa o prezentach dla jej dzieci.

- Tak, rzeczywiście. Wywnioskowałaś to tylko z filmu? A może Hope coś ci mówiła? Odwróciła się od półek w jego stronę.

- Hope opowiadała mi o różnych sprawach, ale nigdy krytycznie. Sądzę, że dla niej jest jeszcze za wcześnie, żeby w pełni zrozumieć - albo po prostu przyznać - jak egoistyczna była jej matka.

- Domyśliłaś się egoizmu Frances na podstawie tego filmu?

- I jej powieści. Czytałaś je?

- Nie.

- Hope też nie. Frances zabroniła jej, dopóki nie skończy osiemnastu lat. Pod pretekstem, że to literatura dla dorosłych, a Hope jest zbyt niewinna. Zupełny absurd, zważywszy, że twoja siostra miała zaledwie siedem lat, kiedy Frances uznała za stosowne podzielić się z nią prawdą o jej pochodzeniu.

- Hope miała wtedy siedem lat? - zdziwił się Chase.

- Tak. Wiedziała, oczywiście, że Tessier nie jest jej ojcem. Jak się domyślam, dla was obydwójga zawsze był Victorem, a nie tatą. Ale w wieku siedmiu lat Hope zapragnęła dowiedzieć się czegoś o człowieku, którego nigdy nie znała. To była zwykła dziecięca ciekawość, i Frances mogła ją zaspokoić różnymi fikcyjnymi opowieściami. Zamiast tego opowiedziała Hope wszystko: o złości, którą czuła, kiedy Victor przedkładał własną muzykę nad żonę; o chęci odwetu i podróży do Europy w poszukiwaniu materiałów na książkę; o seksualnym charakterze tych poszukiwań; o licznych bajecznie bogatych i przystojnych mężczyznach, z których każdy mógł być ojcem Hope; o pewnym kochanku szczyjącym się królewskim pochodzeniem.

Chmura splecionych księżycowych promieni opadła na zamyśloną twarz, kiedy Cassandra wywołała obraz tego mężczyzny wysokiego rodu, uroczego, hojnego przyjaciela.

- Kimkolwiek był, zapewne rzeczywiście wywodził się z królewskiej rodziny.

- Prawdopodobnie - przytaknął spokojnie Chase. Łód w jego ciemnych oczach zaczął topnieć pod wpływem miłości do siostry. - Czy Hope bardzo to przeżywała?

Księżycowe promienie drgnęły, kiedy Cass stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie. Wcale. Była zupełnie niewinna i prawie nic z tego nie rozumiała.

- Taka jest nadal - mruknął Chase, a jego spojrzenie znowu stwardniało. - Nie mogę uwierzyć, że Frances opowiedziała jej wszystko.

- Masz na myśli Frances Tessier? - rzuciła gorzko Cass, przemierzając niespokojnymi krokami przestrzeń przed szafami bibliotecznymi. - Ten świetnie sprzedający się wzór cnót rodzinnych i miłości? Jeśli jej powieści mogą stanowić jakąś wskazówkę, nie była w tych dziedzinach arii wzorem, ani tym bardziej ekspertem.

- O?

- Mam na myśli to, że miłość nie może być egoistyczna, prawda? Powinna dawać. Być życzliwa. Bohaterowie powieści Frances są zawsze zachłanni, pobłażają sobie we wszystkim, zwłaszcza kiedy chodzi o...

Przerwała.

- O seks, Cassandro? - spytał cicho, urzeczony tą bosą, rozemocjonowaną kobietą, wygłaszającą bez tchu swoją śmiałą definicję miłości. Ale kiedy przyszło do kwestii intymności fizycznej, Blaszyński Dzwoneczek znów stracił pewność siebie. - Powiedz mi, jaki powinien być seks, kochanie się.

- No, ja... - Jej spojrzenie uciekło w bok, złociste, gęste rzęsy przysłoniły oczy.

- Nieegoistyczny, Cassandro? Dający i życzliwy?

- Tak - potwierdziła, wpatrując się we wrzosowy dywan. - Myślę, że tak. - Podniosła wzrok, na nowo ogarnięta pasją na myśl o przyjaciółce. Zastygła w całkowitym bezruchu, zwróciła się do mężczyzny, który stał na tle pulsującego błękitem telewizyjnego ekranu. - Chociaż Frances była najwyraźniej utalentowaną pisarką, jej powieści pozostawia ją we mnie wrażenie... pustki.

- Którą w stosunkach z matką musiała odczuwać Hope. - Głos Chase'a brzmiał bardzo spokojnie. - Czy ona wspominała ci o tym?

- Nie - przyznała Cass. - Nie w takich słowach. Ale.

- Jej tusza.

- Tak - potwierdziła cicho Cassandra. - Jedzenie jest, było, dla Hope formą pocieszenia - i męką. Sposobem, by wypełnić pustkę, wypełnić ją choć na chwilę.

- W Bodega Bay powiedziałaś, że Frances nie martwiłaby się tuszą Hope. To mnie zdziwiło.

- Ale to prawda. Z jakiegoś powodu Hope wierzy, że Frances nie odpowiadał jej wygląd, gdy jeszcze była chuda.

- Gdy była chuda? - zdziwił się Chase. - To znaczy kiedy?

- Nie wiem. Nigdy nie widziałeś jej chudej?

- Chudej? Nie. Była szczupła jako malutka dziewczynka, podczas tych czterech lat, gdy mieszkała w Domaine. Szczupła, nie chuda. Dorastając, nabrała pulchności, takiej

zdrowej, uroczej dziewczęcej pulchności. - Oczami wyobraźni Chase ujrzał siostrę. Przypomnił sobie jej wesołość, łatwy do wywołania uśmiech, przyjmowanie bez słowa skargi trudów życia w internatach i na letnich obozach. - Była łobuziakiem, wyzywającym się w sporcie i bardzo sprawnym fizycznie.

- A potem?

- A potem - ciągnął Chase miękko - wszyscy czworo spotkaliśmy się w Paryżu, w marcu, kiedy skończyła trzynaście lat. To było udane spotkanie, przynajmniej tak mi się wydawało. Hope wyglądała na szczególnie szczęśliwą, zwłaszcza od chwili, kiedy Frances powiedziała, że ma zamiar wysłać ją latem do Willow Ranch, na obóz dla nastolatków w północno - wschodniej Montanie, gdzie przed laty sama kilkakrotnie spędzała wakacje. Mieliśmy spotkać się znowu pod koniec sierpnia, tutaj. Ale na tydzień przed planowanym spotkaniem Frances i Victor się rozstali, zapewne z tych samych przyczyn, dla których trzynaście lat wcześniej Frances wyjechała do Europy prowadzić swoje seksualne poszukiwania. Frances i Hope spędziły resztę tego lata w Londynie, potem mała wróciła do swojej szkoły z internatem w dolinie Izery. Nie widziałem Hope aż do Bożego Narodzenia.

Chase westchnął głęboko. Szare oczy pociemniały ze smutku, kiedy pamięć podsunęła mu obraz siostry z tamtego okresu.

- Przybrała na wadze, odrobinę. Porzuciła sport na rzecz książek i zrobiła się niepewna, ostrożna, czujna. Nie chciała o tym mówić. Nawet najdelikatniejsze pytania o jej sprawy powodowały, że chowała się jeszcze głębiej w swój ochronny kokon. Frances przypisywała stan Hope swoim problemom małżeńskim.

Przed oczami Cassandry również pojawił się obraz: promienna, radosna Frances Tessier otrzymująca od męża urodzinowy prezent, naszyjnik z diamentów bez skazy.

- Ale sytuacja znacznie się poprawiła do dnia czterdziestych drugich urodzin Frances - powiedziała.

- Tak - potwierdził Chase. - Znacznie. Wyglądało na to, że z Hope jest wreszcie lepiej, aż do schyłku ostatniego lata. Czy opowiadała ci o dniu śmierci Frances?

- Nie, właściwie nie - odparła Cassandra, - Czy mógłbyś mi o tym opowiedzieć, Chase?

Nie zastanawiał się ani chwili. Jego głos brzmiał teraz bardzo łagodnie.

- Opowiem ci, Cassandro. Ale Hope nie chciałaby o tym mówić. Żadne z nich by nie chciało.

- Żadne z nich?

- Victor także był tutaj. Po wypadku.

- Victor - powtórzyła Cassandra. - Lubisz go, prawda?

- Tak. Lubię i szanuję.

- A Hope za nim nie przepada.

- Wiem - odparł Chase spokojnie. - Ale nie zawsze tak było.

- Nie zawsze?

- Nie. Victor nie poświęcał jej wiele czasu. Koncerty zmuszały go do podróży po całym świecie. Gdyby dostał drugą szansę, pewnie nie miałby dzieci.

Bo jego życie, pomyślała Cassandra, wypełnia miłość do skrzypiec, tak jak Chase'a Tessiera całkowicie satysfakcjonuje tworzenie nowych gatunków znakomitego wina. Ale czy to zbrodnia zdecydować, że nie będzie się miało dzieci? Nie, w każdym razie nie dla niej. Cassandra Winter miała wiele powodów, by podziwiać ludzi, którzy zawczasu zrozumieli, że nie zdołają poświęcić wystarczająco dużo dla bezcennego młodego życia..., i którzy wiedzieli, iż ofiarowanie dziecku byle czego byłoby w stosunku do niego nie w porządku.

- Więc Victor właściwie nie chciał mieć dzieci? Tak jak ty?

- Tak jak ja, Cassandro - potwierdził Chase. - I jak ty. Nie chciała? Nigdy nie sądziła, żeby miała jakiś wybór.

- Cassandro? Nie wyglądasz na zadowoloną.

- Och! - Jej myśli rozbiegły się w popłochu pod dociekliwym spojrzeniem szarych oczu, rozproszyły się i przemieszały. Rozmawiali o Victorze, ojcu, który zapewne nigdy nie pragnął dzieci. A mimo to je miał. - Wiem, że Hope nie była planowana, zwłaszcza przez Victora. Ale ty... Przecież oni cię adoptowali, dwa lata przed narodzinami twojej siostry.

- To Grandpère mnie adoptował. Nie oficjalnie, ale faktycznie. - To Grandpère zobaczył w wieczornych wiadomościach małego chłopca, który chciał już tylko umrzeć. Chłopiec ten stał się cieniem Jean - Luca, cieniem Piotrusia Pana, i poznał ukryte sekrety jego serca. - Grandpère bardzo kochał Victora, a Victor odpłacał mu równie gorącym uczuciem.

To, zdała sobie sprawę Cassandra, tłumaczy oddanie, z jakim Chase odnosi się do przybranego ojca, lojalność opartą na bazie miłości do starego Jean - Luca.

Miłość, nie więzy krwi, łączyły Chase'a i Victora Tessierów. Ale pewna sprawa nadal ją intrygowała, coś, co zauważyła, kiedy na filmie wideo ujrzała Victora ofiarowującego żonie wspaniałe klejnoty.

- Jesteście bardzo do siebie podobni. - Wiem o tym.

- Czy myślisz, że to możliwe, aby... ?

- Że dwudziestoletni Victor Tessier był sprawcą ciąży trzynastoletniej Haight Ashbury, ojcem jej nieślubnego dziecka? Nie. To nie jest możliwe.

Wrażenie spokoju, które starał się wywołać doktor, zostało zakłócone przez przeraźliwy sygnał kardiologicznego monitora nad łóżkiem Cassandry. W chwili gdy Chase i Hope opuszczali separatkę, pokój wypełnił się batalionem lekarzy i pielęgniarek. Tessierowie przystanęli po drugiej stronie szklanej ściany.

W czasie ostatnich dwóch dni Chase poznał wiele terminów medycznych, które później wyjaśnił z Hope. Obrzęk mózgu, skurcz naczyń krwionośnych i dziesiątki innych, sumiennie objaśnianych przez lekarza Cassandry za każdym razem, kiedy pojawiały się po raz pierwszy.

Teraz jednak uszu Chase'a i Hope dobiegały nowe słowa, nieznane i przerażające. Terminy, których nikt nie miał czasu tłumaczyć.

- Bo?

- Bo Victor Tessier nigdy by jej nie porzucił... ani mnie.

*Szpital Westwood Memorial**sobota, 3 listopada*

- Praca serca spada do dwudziestu.

- Dwudziestu?

- Przy ektopii.

- Trzeba podać koniinę.

- Ale nie można.

- Atropinę?

- Dostała. Brak reakcji.

- Dobrze. Spróbujmy isuprelu. Nowe słowa, brzmiące obco i strasznie, wywoływały odpowiednie do nich emocje. Jaki okrutny kontrast z równie nieznanymi, lecz cudownymi uczuciami, które przed laty obudziły się w sercu Chase'a po nocnej rozmowie z Cassandrą...

Widywali się tylko w przelocie.

Chase był zajęty, całkowicie pochłaniała go praca. Termin zbioru winogron na wina musujące zbliżał się w zastraszającym tempie. Teraz zależał już tylko od decyzji właściciela Domaine. Jednak ilekroć ich ścieżki się krzyżowały, Chase zwalniał kroku. Zatrzymałby się na widok Cass zawsze, obojętne jak bardzo by się spieszył.

Spojrzenie jego szarych oczu, czujne i bystre, skupiało się na niej, jakby to właśnie ona była jedynym przedmiotem zainteresowania tego mistrza produkcji win.

- Cassandro.

- Chase.

- Jak sobie radzisz z tymi typami z Hollywood?

- Całkiem nieźle. Jak dotąd nie stratowali ani jednego krzewu winorośli i nie odszypuntowali ani jednej beczki wina.

- Więc nie spuszczasz z nich z oka? Przyglądasz się pracy nad filmem?

- To pierwsze, tak. Ale czy przyglądam się ich pracy? Tylko wtedy, kiedy nie mam nic lepszego do roboty. Mój udział jest tu zresztą znikomy. To Hope ich oczarowała.

- Hope?

- Niejaka Nicole Haviland, aktorka, pragnie ponad wszystko mieć takie włosy jak Hope. Zachłanność tej damy obejmuje ich wszystkie walory: długość, kolor, połysk. Pani Haviland domaga się nazwiska fryzjera, który czesze Hope, i informacji, jaka farba daje taki

odcień cynamonu. Oczywiście, radziłam Hope, żeby ją trochę pozwodziła. Ale znasz swoją siostrę. Jest diabelnie uczciwa.

- Nie to co ty?

- Moi, Chase?

- Tu, Cassandro. Tu, nie vous. Wiedziała, że Chase płynnie mówi po francusku, a jej szkolna znajomość tego języka była wystarczająca, by rozpoznać słowo o charakterze osobistym, zaimek tu, zarezerwowany dla drogich przyjaciół.

W ciągu następných dziesięciu dni Cass rozkoszowała się tą cudowną świadomością. Aż nadszedł sierpień, parny i gorący. Chase spędzał całe dnie w winnicach, sprawdzając, czy spieczone słońcem grona przesiąkły już należycie smakiem wiatru, rzeki, róż i księżycowego blasku.

Tego sierpniowego popołudnia Chase jak zwykle miał być poza Domaine. Cassandra udała się więc do jego biura, by przejrzeć fachowe książki i filmy wideo. Właśnie kończyła oglądać kasetę poświęconą metodom produkcji szampana, kiedy gospodarz niespodziewanie stanął w drzwiach.

- Cassandra.

- Chase! - Chase. Nieogolony. Ogorzały. Zmęczony. - Myślałam, że jesteś w Andersen Valley.

- Właśnie wróciłem.

- I jak się mają stada na północy? W znużonych szarych oczach zapaliły się iskierki.

- Potrzebują jeszcze trochę czasu na wypas. Czy taśmy wideo okazały się przydatne?

- Tak. Dziękuję bardzo. Jego zmęczenie było wynikiem obowiązków związanych z Domaine. Ale wyraz zmartwienia na znużonej twarzy nie miał nic wspólnego z szansą uzyskania idealnie słodkich owoców w Tessierowskich winnicach. Troskę Chase'a budziła sprawa, która nie dotyczyła go bezpośrednio.

- Jak wygląda sytuacja z filokserą?

- Źle, Cassandro. Niedługo niebo nad Napa Valley będzie czarne od dymu.

Krzewy winorośli zostaną zniszczone, spalone na popiół.

- Nie całe niebo. W każdym razie nie to nad ziemiami Tessierów.

- Mamy dużo szczęścia.

- To nie sprawa szczęścia. Czy nie wynalazłeś cudownego płynu, który chroni korzenie przed tym cholernym paskudztwem?

- Nie wynalazłem. To występująca w naturze mieszanka.

- W porządku, wobec tego ją odkryłeś i wiedziałeś, że będzie skuteczna.

- Odkrył ją Grandpère i to on wiedział, że będzie skuteczna. Nie taką wersję tej historii słyszała Cassandra.

- Jak zła będzie tego roku sytuacja innych winiarzy?

- Katastrofalna, zwłaszcza właściciele niniejszych winnic.

- Czy Tessierowie zamierzają im w jakiś sposób pomóc? Cassandra знаła już odpowiedź. Eleanor opowiedziała jej o wszystkim.

Chciała jednak usłyszeć potwierdzenie z ust Chase'a.

- Pewnie.

- Jak?

- Oddając poszkodowanym część własnych zbiorów. Oddając, nie sprzedając.

- I ofiarujesz im magiczny płyn przeciw filokserze dla ochrony krzewów, które zasadzą wiosną?

- Jeżeli tylko zechcą. - .. Zechcą. Zobaczyła go dopiero osiem dni później. Właściwie najpierw na niego wpadła, a dopiero potem zobaczyła. Właśnie skręcała za róg korytarza, z oczami wbitymi w podłogę, poruszając wargami w wyimaginowanej rozmowie.

- Och! - zawołała, dostrzegłszy Chase'a. Och, powtórzył za nią bezgłośnie. Zawtórował jej każdym zmysłem, kiedy ich ciała zderzyły się ze sobą.

- Cassandra - wymamrotał.

- Chase - szepnęła. Niechętnie wypuścił ją z objęć. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. A było to milczenie pełne niewypowiedzianych uczuć i pragnień. Wreszcie Cassandra, przytłoczona tymi pragnieniami, poruszyła się.

Ten nieznaczny ruch zwrócił uwagę Chase'a na jej strój. Luźny żakiet z długimi rękawami miał odcień intensywnie kremowy, spodnie z lejącego się, błyszczącego materiału były hebanowoczarne, a jedwabna bluzka w kolorze będącym wypadkową tych dwóch. Całość wyglądała elegancko i widać było, że została skomponowana z wielką pieczołowitością.

W nadziei, że jemu się spodoba.

I udało się. W oczach Chase'a błysnęło uznanie. Popatrzył z aprobatą nawet na dodatki: różową wstążkę ściągającą włosy i kolczyki, lawendowe kiście ręcznie malowanych winogron.

Chase zaaprobował jej wygląd. Ale czy widoczna w jego oczach pochwała nie zamieniłaby się we wściekłość, gdyby odkrył, dlaczego Cass ubrała się w ten sposób?

- Jakież problemy z towarzystwem z Hollywood? - zapytał. Dostrzegł jej nagle zwarzoną minę i przypomniał sobie gniewny dialog, który prowadziła bezgłośnie sama ze

sobą.

- O, nie. Nic ponad zwykłą dozę socjopatii. Ale... pamiętasz naszą rozmowę o suce?

- O Sibyl.

- Otóż to. Już wiem, dlaczego jej firma nazywa się „To moje przyjęcie”. „Moje”
czytaj: „jej”.

- Suki?

- Tak! Od kiedy to właśnie ona jest boginią winobrania? Czy ona nazywa się Tessier?
Czy to uroczystość stulecia jej winnicy? Czy chociaż kropla wina płynie w jej żyłach?

Chase przez chwilę milczał, zdumiony tą gwałtowną obroną praw rodziny Tessierów.

- Szczerze mówiąc, płynie - odparł w końcu. - Panieńskie nazwisko Sibyl brzmi
Courtland.

- To ci od Piwnic Courtlandów? Od Centrum Medycznego Courtlandów? Od
Courtland Lane?

- Tak. Jej kuzyn ma winnice i wszyscy w Napa korzystają z ich drogi, a chociaż ojciec
Sybil już wieki temu sprzedał założone przez siebie Centrum Medyczne, ona zasiada w
zarządzie szpitala.

- A restauracja?

- Jestem przekonany, że też została sprzedana, łącznie z nazwą, która musiała stanowić
kosztowny dodatek do ceny. Obawiam się więc, że żyły Sibyl Courtland Raleigh są pełne
wina. Czyżby doszło do sporu na temat roczników, które mamy podać gościom?

- Nie. Uważam, że tego typu decyzje należą do ciebie.

- Słusznie - odparł Chase poważnie, ale na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

- Zatem, Cassandro, w czym tkwi problem?

- Chodzi o kieliszki do szampana projektowane przez Jane. Sibyl mówi, że nie
możemy ich użyć, a tym bardziej ofiarować na pamiątkę uczestnikom przyjęcia.

- A jakie są po temu powody? Oprócz wspomnianych zaburzeń osobowości tej pani?

- Podobno sprawiłoby to przykrość Victorowi. Sibyl utrzymuje, że wie o jakiejś
dawnej historii między Victorem i Jane, o Czymś, co wyklucza nie tylko pomysł z
kieliszkami, ale i udział samej Jane w uroczystości.

- Nazwisko Jane znajduje się na liście gości, którą dałem Sibyl.

- Już nie. Usunęła je, zanim zaczęto rozsyłać zaproszenia. Wszelkie ślady rozbawienia
zniknęły.

- A co na ten temat ma do powiedzenia Jane?

- Eleanor nie rozmawiała z nią o tym. Ale, rzecz jasna, to następny krok. Zapewne

okaże się, że chodzi o jakiś nieważny drobiazg, pewnie jeszcze z czasów szkolnych. Oczywiście może to być także przejaw rasizmu w dawnym stylu.

- Rasizmu?

- Matka Jane była pełnej krwi Indianką Lakota.

- Nie wiedziałem o tym.

- Ale Sibyl wie, więc fanatyzm też trzeba wziąć pod uwagę. Chociaż wydaje mi się, że chodzi o coś więcej. Szczerze mówiąc, myślę, że pani Raleigh posługuje się osobą Victora, by nadać znaczenie głupstwu, które w ogóle nie zasługuje na uwagę. Sądzę... nie słyszałeś żadnych plotek o Victorze i Jane, prawda?

- Nie. Ale poznałem Jane dopiero w marcu, kiedy Eleanor postanowiła sprzedawać jej prace w Błękitnym Irysiu. Nie wiem nawet, od jak dawna Jane mieszka w Napa.

- Od niedawna, niespełna rok. Ale urodziła się tutaj i dorastała. Podobnie jak Sibyl. Więc chociaż Jane jest od niej o parę lat młodsza, sprawa może dotyczyć czasów szkolnych. Tak czy owak, masz rację. Trzeba zapytać samą Jane.

- A dlaczego nie chcesz, żebym ja zagadnął Victora?

- Masz teraz znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż rozsądzanie damskich sporów.

- Właściwie nie - odparł Chase. Nic ważniejszego, chyba tylko chęć, żeby cię pocałować. - Zbiór winogron na chardonnay już się rozpoczął.

- Wiem - mruknęła Cassandra, ledwie dobywając głosu, bo wydało jej się, że w ciemnoszarych oczach błysnęło pożądanie. Pewnie to tylko złudzenie, miraż, który zrodził się z jej własnych, niemożliwych do spełnienia marzeń. - Widziałam to z mojego okna. Coś pięknego. Lampy w winnicy wyglądają jak tysiące maleńkich księżyców.

- Jeżeli chcesz przyjrzeć się temu z bliska, moglibyśmy umówić się o północy przy fontannie. O ile nie masz innych planów.

O północy? Kiedy karetka zamienia się w dynię, a Kopciuszek znów ma na sobie łąchmany?

- Nie, nie mam żadnych planów. Ciekawe, czy Hope zechce się do nas przyłączyć?

Chase uśmiechnął się.

- Pewnie tak. Świetny pomysł. Uśmiechał się, a jednocześnie się zastanawiał, czy Cass obawia się zostać z nim sam na sam w świetle tysiąca księżyców, bo wyczuwa jego ogromną żądzę.

Jesteś bezpieczna, Błaszany Dzwoneczku, dopóki nie będę miał ci czegoś do zaoferowania... a i wtedy potraktuję cię z największą delikatnością.

- A jak ona się ma?

- Dobrze, nawet bardzo dobrze. Straciła trochę na wadze.

- Wiem.

- Coś w tym jest, Chase. Tej wiosny Hope chciała schudnąć, wrócić do Napa szczupła i smukła. Ale nie mogła.

- Więc to, że podczas obecnego pobytu straciła parę kilo, może oznaczać, iż czuje się bezpieczniejsza.

- Tak - szepnęła Cassandra. Czyżby ten mężczyzna, tak pewny siebie, skupiony, silny, rozumiał potrzebę poczucia bezpieczeństwa? Czyżby wiedział coś o jego braku? - Myślę, że tak właśnie jest.

- Jednak tutaj Hope nigdy nie będzie się czuła naprawdę bezpieczna?

Wiedział tak wiele, tak wiele... a teraz wpatrywał się w nią, prosząc o szczerą odpowiedź. Żądając jej.

- Cassandro?

- Nie - przyznała cicho. - Nigdy. Twoja siostra nigdy nie poczuje się bezpiecznie w tym raj, który jest waszym domem.

Trzy godziny później Chase zajrzał do rodzinnej bawialni. Od lat była to tylko pusta nazwa. Ale nie w tym momencie. Bo teraz siedziały tam Eleanor, Cassandra, Hope i Jane, na podłodze przed ogromnym ekranem telewizora.

Chase niechętny zakłócił im zaplanowane wcześniej zajęcia. Został jednak serdecznie przyjęty przez wszystkie panie oprócz jednej: Cassandry.

- Chase! - powitała go Hope. - Przyszedłeś w samą porę. Przebój z naszą Cass Winter w roli głównej.

- O? - Pełne chłodnego zainteresowania spojrzenie przesunęło się na bohaterkę wieczoru, która w tym momencie powinna była zaprosić go na pokaz.

Ale nie zrobiła tego. Nie pokazała po sobie, co czuje, lecz w jej słowach dźwięczał niepokój.

- Nie oglądajmy dzisiaj tej kasety. Najlepiej w ogóle nigdy tego nie oglądajmy. Hope, zamierzasz zostać prawnikiem. Muszą istnieć jakieś przepisy zabraniające filmowania osoby, która na to nie zezwoliła. Jeśli tak, to mam szansę wygrać spore odszkodowanie.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, o co właściwie chodzi? Eleanor mu wyjaśniła.

- O film, na którym Cassandra oprowadza turystów po winnicy.

- Cassandra oprowadza turystów po winnicy? - Chase nie dodał ani słowa, dopóki Cass nie podniosła na niego wzroku; dopóki jej błękitne oczy nie przyznały, że prezentowanie gościom jego winnicy to zajęcia, o którym powinna była mu wspomnieć. - Nie wiedziałem,

Cassandro, że jesteś przewodnikiem. Wydawało mi się, że zatrudniłeś się w restauracji Courtland.

- Robi i to, i to - wyjaśniła Hope. - Cass zawsze pracowała w kilku miejscach.

- Oprowadzanie nie jest pracą - wtrąciła Cassandra.

- Tylko dlatego, że odmawiasz wzięcia zapłaty.

- Nie chcę za to pieniędzy.

- Cass powinna wynegocjować z tobą procent od zysków, jakie przynosi teraz sklep z pamiątkami - oznajmiła Eleanor. - Pewnie zwróciłeś uwagę, sprawdzając księgi, że sprzedaż wzrasta w zawrotnym tempie.

- Tak, zauważyłem. - Ale wzrost dochodów przypisywał temu, że był właśnie szczyt sezonu turystycznego, a na terenie posiadłości kręcono film w reżyserii Adriana Ellisa, laureata Oscara. - I mamy nagranie z wycieczki po winnicy?

- Owszem. - Hope wskazała na blat stojącego w pobliżu stołu. - Nawet kilka kaset. Adrian wziął udział w takiej wycieczce, wpadł w zachwyt i zdecydował się uwiecznić ją na taśmie. Chciał, aby wszystko wypadło naturalnie, więc towarzyszący grupie kamerzyści udawali, że po prostu robią próbne ujęcia różnych miejsc.

- I byli na tyle przebiegli, że w to uwierzyłam. Od czasu do czasu urządzali przedstawienie na mój użytek, coś sprawdzali, majstrowali przy obiektywach. Ale, jak się okazało, spoczywające na ich ramionach kamery bez ustanku pracowały.

- I uchwyciły dokładnie to, na czym Adrianowi zależało - dodała Eleanor. - Prawdę mówiąc, czołowy hollywoodzki reżyser ogłosił wszem i wobec, że jeśli Cass kiedykolwiek zechce przyjąć rolę w jakiejś jego produkcji, może uznać ten swój filmowy debiut za śpiewająco zdany egzamin.

- Nie chcę grać w żadnym filmie. Nigdy.

- A my - odezwała się Jane Parish - nie będziemy oglądać tej kasety. Nie dziś. W ogóle, jeżeli Cass sobie tego nie życzy.

- Nie chodzi o was - odparł Chase spokojnie - tylko o mnie.

- Cass? - Hope spojrzała na przyjaciółkę. - To prawda? Chase byłby zachwycony twoim oprowadzaniem. Jestem o tym przekonana.

- Chase ma inne sprawy na głowie - mruknęła Cassandra. - Ważniejsze. Na przykład, wieczór z...

- O ile sobie przypominam, Cassandro, ty, ja i Hope umówiliśmy się na dziś o północy.

- Tak, ale jest dopiero ósma.

- Mam jeszcze sporo pracy. - Spojrzenie szarych oczu było surowe i zimne. Chase podszedł do zawalonego kasetami stołu. - Czy jedna z nich jest dla mnie?

Pytanie zostało skierowane do niej, więc Cass nie miała wyboru.

- Oczywiście.

- Świetnie - odparł, a zanim ruszył do wyjścia, dodał cicho: - Czas na pokaz.

Rękę zdobywcy Oscarów znać było już po początkowych sekwencjach filmu - perspektywa z góry na dwór widoczny przez gałęzie drzew oliwnych, wyłaczarnia winogron... i Cass.

Stała na dziedzińcu koło fontanny, otoczona grupką urzeczonych turystów. Ujęła ich, jeszcze zanim się odezwała, zachwycała kremowo - czarnym strojem, różową wstążką we włosach, lawendowymi, harmonizującymi z jej urodą kolczykami.

- Mam na imię Cassandra. - zaczęła. - W ciągu najbliższych czterdziestu minut będę państwa przewodniczką. Przede wszystkim chciałabym was serdecznie powitać w Domaine Tessier. Jesteśmy zachwyceni, że zdecydowali się państwo odwiedzić nasze przedsiębiorstwo winiarskie. Pragnę, żebyście w pełni odczuli, że ta wycieczka jest specjalnie dla was. Jeżeli będziecie mieli jakieś wątpliwości, proszę śmiało pytać. Odgaduję nawet pierwsze pytanie, na zadanie którego są państwo z pewnością zbyt dobrze wychowani: dlaczego, u licha, Cassandra taszczy ze sobą gruby czarny sweter w tak upalny dzień? Odpowiedź jest prosta. Zawsze trochę marznę, więc piwnice, w których przechowujemy beczki, są dla mnie zbyt chłodne.

Ale nie martwcie się. Jestem pewna, że dla państwa, podobnie jak dla naszego wina, okażą się miejscem idealnym, miłym wychnieniem od letniego skwaru. Musimy jeszcze spędzić jednak parę chwil w tym upale, ponieważ chciałabym, żebyście na własne oczy zobaczyli nasze winogrona. Proszę za mną.

Cassandra poprowadziła gromadkę turystów i towarzyszących im filmowców do winnicy.

- Te purpurowe cuda noszą nazwę pinot noir. Zapewne będziecie zdziwieni, ale pod fioletową skórką pinot są krystalicznie przejrzyste. Mnie w każdym razie to zdumiało. Ale dlaczego nie mielibyście tego sprawdzić? Patrzcie i smakujcie - tu i teraz.

Kamera wykonała zbliżenie bujnej kiści pinot noir, po czym znów ukazała turystów, jak delektują się Tessierowskimi winogronami.

- Dopóki jeszcze jesteśmy w winnicy, proszę, by zwrócili państwo uwagę na róże. To moje ulubione kwiaty, więc łatwo można sobie wyobrazić zachwyt, jaki ogarnął mnie, kiedy przyjechałam do tego rajcu i po raz pierwszy ujrzałam różane krzewy zdobiące każdy rząd

winorośli. Jak idealnie dobrane, pomyślałam wówczas. Jakie romantyczne. I jak piękne jest to przeplatanie się kwiatów i krzewów winorośli. Za moment przekonają się państwo, że tematem naszej wycieczki jest łączenie sztuki i wiedzy przy produkcji wina. By nie odbiegać od tego głównego wątku, chcę zaznaczyć, iż artystyczny mariaż winorośli z różami ma też uzasadnienie naukowe. Czy są może wśród państwa hodowcy róż?

Cass zaczęła: kilka rąk podniosło się w górę, wtedy z zachęcającym uśmiechem spytała:

- Czy zetknęli się państwo z czarnymi lub przypominającymi proszek plamami, które czasami pojawiają się na liściach? Okazuje się, że winogrona i róże są podatne na podobne choroby. Jednakże róże łatwiej się zarażają. Oznacza to, że jeśli, na przykład, w okolicy panuje grzybica, róże złapią ją pierwsze. Tak więc kwiaty te są nie tyle ozdobą, ile strażnikami winnicy, uprawianymi po to, by zawczasu wykrywać zagrożenie dla winorośli. Proszę zauważyć, że każda z Tessierowskich róż jest zdrowa, pachnąca... doskonała.

Kamera podążyła do najbliższego różanego krzewu w ślad za szczupłą dłonią, która na moment zastygła w lekkim jak muśnięcie dotyku, jakby czarodziejka sama uległa magicznej mocy. Po chwili Cass znowu zaczęła mówić:

- Już czas, byśmy ruszyli dalej. Idąc w stronę wyłaczarni, proszę spojrzeć w lewo, ponad szczyt dachu. Czy widzą państwo tę górę? Tę z obsydianową skałą u wierzchołka?

Kiedy wszystkie oczy oraz obiektywy kamer spełniły jej polecenie, Cassandra wyjaśniła:

- To Czarna Góra, choć ma jeszcze jedną, znacznie trafniejszą nazwę. Poznają ją państwo, zanim nasza wycieczka dobiegnie końca.

Zachwyceni turyści podążali za swoją bursztynowowłosą przewodniczką wśród letniego skwaru. Ale Cassandra Winter na widok rozgrywających się na ekranie scen poczuła, że marznie bardziej niż zwykle.

Chase także oglądał ten film. Wiedziała o tym. Wyobrażała sobie jego zdziwienie i pogardę.

Wzdrygnęła się, kiedy grupa wraz ze zdradzieckimi kamerami dotarła do wyłaczarni.

- Nadszedł czas, żeby wyjaśnić kilka terminów. Właśnie teraz trwa wyłaczanie, co oznacza, że zbiór winogron już się rozpoczął. Wyłaczanie to po prostu wyciskanie soku z gron. Owoce należy wyciskać powoli, delikatniej pieczołowicie. Od właściwej metody wyłaczania zależy smak i jakość wina. Nie radziłabym wyciskać owoców w zaciszu własnego domu.

- Wina dzieli się na nie musujące i musujące. Jedne i drugie są dobre, więcej -

znakomite. Biały zinfandel Tessierów, na przykład, jest wprost niezrównany. Muszę jednak wyznać, że wolę wina musujące, pełne życia i roztańczonych bąbelków. A najbardziej lubię różowego szampana - blanc de noirs.

Błękitne oczy rozszerzyły się i roziskrzyły.

- Tak, dobrze mnie państwo zrozumieli - szampana. Bo przecież wino musujące to szampan. Jednak zdaniem Francuzów jedyny prawdziwy szampan pochodzi z regionu Francji zwanego Szampanią. Tak stanowczo obstawali przy swoich prawach, że przekonali kilka innych państw do podpisania zobowiązania, na mocy którego tylko francuskie wina musujące mogą nosić to miano. W rezultacie Włosi nazywają swojego szampana spumante, Hiszpanie używają nazwy cava, a Niemcy sekt. Tak się jednak składa, że umowa została podpisana w czasach prohibicji i Stany Zjednoczone nie były w niej brane pod uwagę. Dlatego jest całkowicie zgodne z prawem, że niektórzy kalifornijscy producenci win opatrują swoje wina musujące etykietkami ze słowem „szampan”. Zwłaszcza ci, którzy współpracują z francuskimi firmami winiarskimi bądź też mają, jak rodzina Tessierów, francuskie korzenie, słyną z wina musującego. Cass uśmiechnęła się.

- Firma Tessierów produkuje wina zarówno niemusujące, jak i musujące, co może się wydać trochę dziwne. Ale w przypadku takiego mistrza winiarstwa, jakim jest Chase Tessier, dziwiłaby inna decyzja. I tak doszliśmy do historii Domaine Tessier. Ci z państwa, którzy zwiedzali już inne winnice, uważają zapewne, że w tym momencie powinnam zaprezentować nasze muzeum, wypełnione czarno - białymi fotografiami sprzed lat i dawnymi narzędziami niezbędnymi przy produkcji wina. Ale wycieczki takie jak nasza są w posiadłości Tessierów nowością, więc to ja muszę państwu takie muzeum zastąpić. Najlepiej zamknijcie oczy i pozwólcie pracować wyobraźni.

Jeżeli nawet któryś z oczarowanych przewodniczką turystów posłuchał polecenia, żadna z kamer tego nie uchwyciła. Uwaga zarówno filmowców, jak i członków grupy całkowicie koncentrowała się na Cassandrze. A ona, niczym Szeherazada, ciągnęła swoją opowieść.

- Wyobraźcie sobie mężczyznę o nazwisku Etienne Tessier, który przyszedł na świat w Szampanii sto trzydzieści cztery lata temu. Etienne był nie tylko wyjątkowo przystojny, ale i odważny. Kiedy ukończył trzydzieści lat, wraz z żoną Louise i małym synkiem. Jean - Lukiem opuścił ojczystą Galię i popłynął do San Francisco. Cztery lata później - tego roku we wrześniu przypada właśnie setna rocznica - Etienne założył Domaine Tessier. Przez prawie sześćdziesiąt lat obaj z Jean - Lukiem kierowali winnicą. Długowieczność jest cechą typową dla mężczyzn z tej rodziny, podobnie zresztą jak uroda i doskonałość pod każdym względem.

Bo oni są doskonali i, należy dodać, niebezpieczni - interesujące skrzyżowanie pirata z poetą, dżentelmena z nicponiem.

Żadna fotografia - ani czarno - biała, ani kolorowa - nie ukazałaby tak obrazowo gwałtownej, a jednocześnie subtelnej natury panów Tessier, jak słowa, których znaczenie podkreślała dodatkowo jakaś tajemna wiedza błyszcząca w błękitnych oczach.

- A poza wszystkim ta rodzina ma talent we krwi. Etienne i Jean - Luc tworzyli nowe gatunki wina, prawdziwe symfonie barwy, składników smaku, natomiast Victor Tessier komponuje muzykę. Jean - Luc był bardzo dumny z syna wirtuoza. Sam zachęcał Victora, by wykorzystał swój dar i zapomniał o winnicy. Pałeczka została przekazana synowi Victora, Chase'owi, a on przejął ją z entuzjazmem. Jeszcze za lat chłopięcych Chase czytał na głos dziadkowi, który był dyslektykiem, i pomagał mu zarówno w robocie papierkowej, jak i w pielęgnacji winorośli.

Cassandra zamilkła na chwilę, aby malowane przez wyobraźnię obrazy nadały się za słowami.

- Robert Louis Stevenson wyraził się szczególnie trafnie: „Wino to poezja w butelce”. Takie podejście do sprawy czyni z Chase'a Tessiera prawdziwego poetę. Od dziadka Chase nauczył się sztuki robienia wina, a dzięki książkom i studiom zdobył wiedzę fachową. W przypadku tego człowieka sztuka i wiedza stanowią mieszankę doskonałą.

Cass nie potrafiła już dłużej usiedzieć spokojnie. Serce waliło jej jak szalone, cała drżała.

- Idę się przejść.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Och, nie, Hope. Dziękuję. Hope uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- On będzie tym zachwycony, Cass.

- Na pewno - potwierdziła Eleanor.

- Zaufaj mu, Cassandro - poradziła Jane. - I zaufaj sobie. Idąc przez dziedziniec, Cass zauważyła, że w oknie biura migocze światło. Chase jeszcze oglądał kasetę. Dobrze. Przynajmniej będzie mógł docenić jej profesjonalizm, obrazowość i poprawność opisów produkcji wina.

Nic jednak nie mogło zatrzeć tego, co już zobaczył: przekraczającego granice rozsądku uwielbienia, którym go darzyła - zupełnie jakby był jej piratem - poetą, jej dżentelmenem - nicponiem.

Nicpoń mógł się poczuć ubawiony, dżentelmen dowartościowany.

Dżentelmen, oczywiście, zatriumfuje. Z nieskazitelną uprzejmością Chase Tessier

wyjaśni, że on i Paige są zaręczeni.

To moja wina, stwierdzi szarmancko. Myślę o tobie, Cassandro, jak o młodszej siostrze, a znasz moje przywiązanie do Hope. Przykro mi, jeśli wprowadziłem cię w błąd. Strasznie mi przykro. Naprawdę.

Wiem, Chase! - jakimś cudem zdołała mu odpowiedzieć. Urządziłam tylko przedstawienie, rozumiesz? Dla turystów. Jestem aktorką, zagrałam przed nimi. To wszystko.

Ale Cassandra Winter nie była aktorką, już nie, od kiedy szarooki pirat skradł jej ten talent; odebrał czarownicy niegdyś potężną moc.

Muszę ją odzyskać, aby znowu móc udawać, że o nic nie dbam.

Umiała to doskonale, zanim spotkała Chase'a. Potrafiła odgrywać brawurowe scenki, które mówiły tym, co drwią i dokuczają: nie zależy mi! To nie boli!

Nie zależy mi, Chase. To nie boli. Ale bolało.

Drzwi do biura stały otworem, zupełnie jakby Chase wiedział, że ona tu przyjdzie. Cassandra była pewna, że wyczuł, kiedy się pojawiła. Nic jednak nie dał po sobie poznać, nie odwrócił się, nawet na mgnienie oka nie oderwał wzroku od telewizora.

- I jeszcze jedno - na ekranie Cass nadal przemawiała do zachwyconych gości - ostatnia sprawa, zanim przekażę was w ręce Marka i Aleca, guru naszej winiarni, i zanim pójdą państwo się rozejrzeć wśród wspaniałych upominków i słodczy w Błękitnym Irysie. Pragnę opowiedzieć państwu o winie musującym przyszłości, o napoju takiej klasy, że termin „szampan” wraz ze wszystkimi kontrowersjami, które budzi, odejdzie po prostu w zapomnienie.

Pamiętają państwo Czarną Górę? Po francusku jej nazwa brzmi Montagne Noir. Spróbujemy wymówić to razem? Montagne Noir... Świetnie! Nadejdzie czas, gdy zamiast zamawiać szampana, będą państwo prosili o montagne noir. Nie umiem powiedzieć, kiedy, ale tak się stanie. Na pewno. Z uprawianej na obsydianowym stoku winorośli, której korzenie sięgają głęboko w płataninę żył popiołu, Chase Tessier stworzy ten opisywany przez Roberta Louisa Stevensona „niezrównanej delikatności płomień”. Doskonałą poezję, zrodzoną na wulkanicznych pokładach. Sami zresztą państwo zobaczą.

Rozmarzone niebieskie oczy zdawały się wpatrywać w przyszłość, w sen, z którego człowiek nie chce się obudzić.

Po chwili jednak Cass powróciła do rzeczywistości.

- Pora już, by odwiedzić Błękitny Irys i spróbować najlepszych wyrobów Tessiera. To, że Alec i Mark są autentycznymi znawcami i miłośnikami wina, w najmniejszym stopniu nie przewróciło im w głowach. Oczywiście znają wszelkie określenia, za pomocą których można

opisać szlachetny trunek, ocenić jego aromat, wygląd, bukiet. Równocześnie jednak są świadomi, że liczy się indywidualny gust. Indywidualny smak i indywidualny opis. Bądźcie zatem, państwo, twórczy! Zwracam się teraz do panów z naszej grupy. Kiedy skosztujecie wina, które rzeczywiście wam odpowiada, naprawdę was zachwyci, spróbujcie opisać je słowami, jakie chciałyby usłyszeć od was wasze żony lub dziewczyny. Może porywające? Albo łagodne, urocze, delikatne, pełne słodyczy...

Kamery pokazały, jak Cass prowadzi wesołą gromadkę wielbicieli swojego talentu przez dziedziniec, po czym pojawiło się kończące film ujęcie Montagne Noir. Obraz znieruchomiał, ale nadal słychać było głos Cassandry: w idealnym wieku, z charakterem, eleganckie, seksowne.

- Chase - szepnęła - przewiń to! Proszę. Nawet nie drgnął. Cass zobaczyła kadr z Montagne Noir i usłyszała swoje entuzjastyczne słowa:

- I wreszcie ostatni, choć nie najmniej ważny komplement, jakim można obdarzyć wino albo kobietę: skomplikowane.

W tym momencie film się skończył i Chase odwrócił się w jej stronę. Nareszcie.

Cassandra oczekiwała rozbawienia pomieszanego z zakłopotaniem, znajomych iskerek w oczach.

Ale mężczyzna, który stał przed nią, nie wyglądał na dżentelmena ani na poetę.

Tylko na pirata. Nicponia.

W ciemnych oczach nie było śladu wesołości, tylko zimna furia. Wyraz ust zapowiadał ostre słowa, okrutną pogardę.

- Tak mi przykro.

- Przykro, Cassandro? - Głos Chase'a brzmiał lodowato. - To właściwie nie twoja wina.

Oczywiście, że tak. Powiedziałam coś, czym cię rozwścieczyłam. Ale co to było? Na pewno nie pochwały, w których się nad nim rozplywała, dla niej poważne, dla niego śmieszne. Więc coś innego, może wszystko pozostałe. Jej mózg pracował na najwyższych obrotach, odtwarzając przebieg całej wycieczki, próbując dopatrzeć się błędu w każdym zapamiętanym szczególe. Bez tchu, chaotycznie zaczęła się tłumaczyć.

- Nie sądziłam, że zabrmi to lekceważąco, to zdanie o wyciskaniu winogron w zaciszu własnego domu. Myślałam, że odrobina humoru pomoże mi ich zainteresować. Wiem, mówiłam tak, jakby to była także moja winnica. Ale w taki sposób mówią wszyscy przewodnicy wycieczek. Naprawdę. Och, i mówiłam o dysleksji twojego dziadka. Tak mi przykro. Nie sądziłam, że to sekret. Przecież Frances wspomina o tym na filmie z przyjęcia

urodzinowego i... Nigdy nie zawiodłabym z rozmysłem twojego zaufania. Nigdy.

- Ty nie, Cassandro. Ale Eleanor zawiodła.

- Eleanor? - Moja urocza czarodziejska matka chrzestna? Kochana pani Mikołajowa? - Masz na myśli to, że pozwoliła mi oprowadzać turystów bez porozumienia z tobą? Ale ja należałam, Chase, a Eleanor jest tak miła, że nie potrafi powiedzieć „nie”.

- Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że ona wie. - Chase mówił właściwie sam do siebie. - Grandpere musiał powiedzieć Andrew.

- Co powiedzieć?

- Wymienić tę nazwę, Cassandro, jej francuską wersję. Montagne Noir.

- Och - szepnęła Cass. - Ale Eleanor nie miała o tym pojęcia, dopóki nie wzięła udziału w mojej wycieczce.

Jeśli nie Eleanor, jeśli nie Andrew, to...

- Powiedziała ci Hope?

- Tak. I jestem pewna, że nie chciała zdradzać żadnych.

- Wiem - przerwał jej miękko. - Wiem. Kiedy rozmawiała z tobą o Montagne Noir?

- Niech się zastanowię. - Tak trudno było zebrać myśli. Lód stopniał, ale szare oczy nadal iskrzyły się intensywnym blaskiem. Chase nie gniewał się na Hope - Cass czytała to w jego łagodniejącym spojrzeniu. Ale czekał na odpowiedź i było dla niego bardzo ważne, żeby Cassandra podała wszelkie szczegóły. - Już wiem. Jak mogłam zapomnieć? To zdarzyło się wkrótce po naszej czarującej wymianie zdań z Sibyl. Hope zabrała mnie tam.

- Na górę?

- Tak.

- Wjechałyście na sam szczyt?

- Nie. - Cassandra sądziła, że to solidna brama stanowi przeszkodę w dalszej podróży. Ale skoro Chase pytał, czy dostały się na szczyt, to znaczy, iż Hope знаła kod otwierający przejazd. Chodziło więc o coś zupełnie innego. - Och, nie. To tam umarła Frances, prawda? Na górze?

- Tak.

- Pojechałyśmy tam, Chase, ale Hope nawet nie wspomniała o wypadku matki. Powiedziała mi tylko, jak ta góra nazywa się po francusku i że kiedyś będziesz na jej zboczach uprawiał winorośl, na pokładach wulkanicznych popiołów.

W szarych oczach zapłonęło światełko. Zapłonęło i przygasło.

Cass znała już prawdę. Marzenie Chase'a - marzenie Jean - Luca - umarło wraz ze śmiercią Frances. Hope nie wiedziała o tym. A ona, Cassandra, nie sprawdziwszy dokładnie,

z entuzjazmem odnosiła się do czegoś, czego Chase pragnął i co nigdy nie miało się stać.

- Przepraszam.

- W porządku.

- Nigdy więcej nie wspomnę o górze.

- Ależ właśnie chcę, żebyś wspomniała. Przynajmniej jeszcze raz - mnie. Powiedz mi, jakim cudem się dowiedziałaś, że Grandpère planował nowy gatunek szampana, który chciał nazwać montagne noir. Hope nie mogła ci powiedzieć, bo sama nie miała o tym pojęcia. Wiedział tylko Grandpère. Wiedziałem ja. I ty. W jaki sposób?

- Cóż, ja... Nie wjechałam na samą górę, ale widziałam, że szczyt otula mgła. Wyglądała na gęstą, tak gęstą, że nieprzenikalną nawet dla silnych promieni słonecznych. A potem zobaczyłam coś, co zdarza się o tej porze niemal każdego dnia.

- Tęczę.

- Tak - potwierdziła. Tęczę. Łuki o pastelowych barwach, zdobiące wierzchołek góry jak lśniąca korona. - Więc logiczne byłoby, zważywszy na te chłodne morskie mgiełki i nasłonecznienie, uprawiać tam winogrona na szampana.

- Tak byś właśnie zrobiła, Cassandro? Jako właściciel Montagne Noir?

- Tak.

- Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś skomplikowana?

- Tak - szepnęła. - Tak.

- A czy ten ktoś dodał do tego najbardziej pożądanego przez winiarzy komplement: „a jednak bez chaosu w głowie”?

Nie. Bo jak by mógł, Chase, kiedy pogrążam się właśnie w pełnym chaosie? Kiedy sposób, w jaki na mnie patrzysz, pozwala mi wierzyć, że moje marzenia mimo wszystko nie muszą umrzeć? I że możliwe są dla mnie czary i tęcze, i...

- Nie - odparła cicho. - Nie dodał. W niebieskich oczach Chase dostrzegł iskierkę nadziei.

- A powinien był - stwierdził. - Ja powinienem był. Bo to właśnie cała ty, Cassandro. Skomplikowana, a jednak bez chaosu w głowie.

Szpital Westwood Memorial, oddział chirurgii

sobota, 3 listopada

Nie mogli dostrzec, co się dzieje za kręgiem białych lekarskich fartuchów. Ale w szaleńczych zabiegach wokół kruchej, szczupłej Cassandry dawało się wyczuć atmosferę paniki. Alarmujące dźwięki kardiomonitora ucichły. W największym pośpiechu do sali wtoczono wózek z defibrylatorem.

Ale ani Chase, ani Hope nie dosłyszeli słów, które nie wymagały żadnych dodatkowych wyjaśnień.

- Odsunąć się. Wstrząs elektryczny.

Nie widzieli przerażającej pantomimy, kiedy krąg pracowników szpitala rozszerzył się na sekundę przed tym, nim prąd szarpnął ciałem Cassandry.

- Chase? Znał ten głos dobrze, chociaż nie słyszał go od lat. Był to jedyny głos, który mógł zmusić Chase'a, by choć na moment oderwał wzrok od żony.

- Victor. Nawet najbystrzejszy obserwator przysięgłby, że są spokrewnieni. Ojciec i syn. A może bracia. Lustrzane odbicia, obaj eleganccy i pełni wdzięku. Victor nie zaprzeczał temu podobieństwu, przez pamięć dla Grandpère'a. Nigdy dotąd jednak nie dostrzegł w przybranym synu podobieństwa duchowego. Aż do dziś. Bo teraz ujrzał przed sobą mężczyznę, którym sam kiedyś był - głęboko, rozpaczliwie zakochanego.

Tessierowie stali twarzą w twarz, rozumiejąc się bez słów. Milczenie przerwał zdumiony, cichy głos:

- Victor? Victor odwrócił się i, dostrzegłszy na twarzy Hope zakłopotanie równe temu, które dźwięczało w jej tonie, odezwał się łagodnie:

- Witaj, Hope.

- Nie rozumiem... dlaczego przyjechałeś.

- Przyjechałem pomóc - odpowiedział spokojnie. - O ile zdołam. A co, spytała w duchu Hope, mógłbyś zrobić?

Wyglądało na to, że niedługo się dowiedzą, czy Victor podoła ostatecznemu sprawdzianowi - czy potrafi pomóc mężczyźnie, który nie jest jego synem, przetrwać śmierć ukochanej kobiety.

Złowieszczo wyglądający stos kocy został wniesiony do pokoju chorej i zniknął za murem zasłaniających widok pleców. Biała ściana zaczęła się powoli wykruszać, kilku

lekarzy skierowało się do wyjścia. Najpierw dało się dostrzec stopy Cassandry, teraz już starannie okryte, potem, również opatulone, nogi, brzuch, ramiona. Klatka piersiowa nadal unosiła się i opadała.

Respirator, jeszcze nie odłączony, pracował spokojnie, powodując rytmiczne wdechy i wydechy. Kiedy neurochirurg opuścił miejsce przy wezglowiu chorej i ruszył w stronę oczekującej za szklaną taflą rodziny, zobaczyli wyraźnie srebrzysty hełm na odsłoniętej głowie Cass.

- Dostała zapaści - wyjaśnił lekarz. - Oznacza to, że tempo pracy serca zmalało. Teraz jest już w porządku, podobnie jak ciśnienie krwi. Najprawdopodobniej zapaść była spowodowana wyjątkowo niską temperaturą ciała.

- A co to jest koniina? - dopytywała się Hope.

- Używa się jej w przypadku obrzęku pnia mózgu na skutek wzrostu ciśnienia wewnątrzmożgowego. Tu nie ma zastosowania. Usunięcie fragmentu kości czaszki daje nam całkowitą pewność, że do takiej sytuacji nie dojdzie, bo obrzęk powoli ustępuje. Już wczorajszego wieczoru zaczęliśmy wycofywać barbiturany, a od północy zmniejszamy również hiperwentylację.

- Więc gdyby nawet tempo pracy serca nie obniżyło się...

- Zaczęlibyśmy ocieplanie. Dziś po południu. Ale z powodu zapaści odważyliśmy się przyspieszyć ten proces.

- Ile to potrwa? - zapytał Chase.

- To proces powolny - powiedział lekarz - ale systematyczny. Powolny. Systematyczny. Słowa lekarza uspokoiły Hope, zmusiła się więc, by zapanować nad kłębiącymi się w niej samej emocjami.

Była pewna, że już nigdy w życiu nie zobaczy Victora, że nie zostanie zmuszona do konfrontacji z dwuznacznymi uczuciami, jakie w niej budził. Chociaż właściwie nie musiała stawić czoła tej sytuacji. Victor przyjechał tu z powodu Chase'a, nie jej, a Chase serdecznie go powitał, tego człowieka, który osiem lat temu spowodował, że cały świat jego przybranego syna rozpadł się na kawałki.

- Gdzie on się podziewa? - Sibyl ze złością spojrzała na wysadzany diamentami zegarek. - Wszyscy goście już są, a my nie zaproponowaliśmy im jeszcze nawet kropli picia czy kęsa jedzenia. Wiem, że wieczór miał się rozpocząć toastem, Chase, ale...

- I od tego zaczniemy, Sibyl. Rozumiem, że szampan jest już gotowy do podania?

- Tak.

- W kieliszkach Jane?

- Tak. Ale co z Victorem?

- Nie przyjedzie.

- Co?

- Nie przyjedzie.

- Od kiedy to wiadomo?

- Od jakiegoś czasu.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Doprawdy? A jaką ci to robi różnicę? Mniejsza liczba kompozycji lodowych? Mniej ekstrawaganckie przystawki?

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi o to, że wszyscy goście.

- Przybyli z powodu Chase'a - przerwał im głos Hope, całkiem nowy głos, w którym dźwięczała zapowiedź stanowczości przyszłego prawnika. - Większość gości nawet nie zna Victora.

- Tak, ale Victor Tessier jest...

- Utalentowanym muzykiem. - Hope uśmiechnęła się nieznacznie, widząc, że Sibyl aż zbladła na takie umniejszanie roli Victora. - A dzisiejszy wieczór jest świętem wina.

- I już czas - zauważył Chase - najwyższy czas, żeby rozpocząć uroczystość. Co z szampanem, Sibyl?

- Czekają na mój sygnał.

- Więc daj go. Sibyl Courtland Raleigh przywykła do wydawania rozkazów, a nie do słuchania. Najeżyła się więc, ale posłuchała. Chase patrzył za nią wystarczająco długo, by nabrać pewności, że poszła do kuchni, po czym uśmiechnął się szeroko do siostry.

- Twarda z ciebie sztuka, Hope Tessier. Hope pospiesznie zaprotestowała.

- Właściwie nie. Wcale nie. To było naprawdę straszne. Ciekawe, czy Cass też tak się denerwuje, kiedy udaje Blanche albo kogokolwiek innego, nawet jeżeli mówi wtedy prawdę, co ja właśnie zrobiłam.

- Prawda jest taka, że wyglądasz rewelacyjnie.

- Och! Dziękuję - mruknęła zawstydzona, ale zadowolona. - Ja...

- Co? - nalegał łagodnie.

- No, dobrze. Powiedziałam o tym Cass, ale prosiłam, żeby ci o tym nie wspominała, dopóki nie będę pewna, że mi się uda. Pamiętasz zachód słońca w Bodega Bay? Kiedy wspólnie oglądaliśmy zieloną łunę?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Wtedy podjęłam decyzję, Chase. Właśnie wtedy. Albo może spłynęła ona na mnie

wraz z tym zielonym blaskiem. Tak czy owak, postanowiłam schudnąć. Wiem, że będę się czuła lepiej niż teraz. Niezależnie od wyglądu.

- Niezależnie od wyglądu? - zdziwił się Chase i wtedy przypomniał sobie słowa Cassandry. Hope sądziła, że matce nie podobałoby się, gdyby pozbyła się nadwagi. - Powtarzam, Hope Tessier, wyglądasz rewelacyjnie.

Rewelacyjnie, pomyślał, w szmaragdowej sukni o barwie zachodu w Bodega Bay. Ale jeszcze wspanialszy był blask nadziei w błyszczących oczach siostry.

- Zapamiętaj sobie - dodał spokojnie - że wyglądasz dobrze, niezależnie od tego, ile ważysz. Ale jeśli dzięki schudnięciu poczujesz się lepiej...

- Poczuję się. Tego właśnie chcę.

- Więc naprzód, do celu - uśmiechnął się. - Tylko rozsądnie.

- Dobrze. - Odpowiedziała mu uśmiechem i zarumieniona zmieniła temat. - Czy widziałeś Cass?

- Nie.

- Myślę, że jest w kuchni, bo chce mieć pewność, że Sibyl w ostatniej chwili nie podmieni kieliszków. Tak czy siak, zaczekaj, aż ją zobaczysz.

- Byłyście na zakupach?

- Pojechałyśmy coś pożyczyć. Chodziło tylko o sukienki na dzisiejszy wieczór. O, już idzie.

Cassandra, która właśnie zbliżała się do nich, miała ma sobie olśniewającą kreację ze złotej lamy.

- Widzisz, Chase? - Hope z entuzjazmem wskazała na drżącą ze zdenerwowania przyjaciółkę. - Czy ona nie jest oszałamiająca?

- Tak - przyznał cicho. - Jest oszałamiająca. Ty też, pomyślała Cassandra, w tym świetnie uszytym smokingu, czarnym jak twoje włosy. Jednak Chase Tessier był równie wspaniały w drelichu, szarym garniturze czy - czego ona nigdy pewnie nie zobaczy - zupełnie nagi.

Dźwięk kryształowego dzwoneczka przywołał do porządku jej niestosowne myśli. Na podium, wzniesionym specjalnie na tę ceremonię, stała Sibyl. Za chwilę przemówienie Chase'a miało rozpocząć rocznicową galę i wprowadzić Domaine Tessier w następne stulecie.

- No i co, czy to nie jej przyjęcie? - mruknęła Cass.

Chase uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, ona właśnie robi to, co jej kazałem. Może z niewielką domieszką biernej agresji, ale co do joty.

Cassandra wiedziała o tym. Podczas wypadu do kuchni mogła się przekonać, jak ściśle były polecenia Chase'a. Sięgnięto po najlepsze roczniki. Najświetniejszy szampan z piwnic Tessierów schłodzono do idealnej temperatury.

- A więc - stwierdził Chase - czas na moją mowę. Tłum rozstał się przed nim i zapadło pełne szacunku milczenie. Jak zawsze czarujący, Chase Tessier zaczął od serdecznego powitania wszystkich gości i od złożenia podziękowań Eleanor, Sibyl i Jane, która, pomimo nalegań gospodarza, odmówiła udziału w uroczystości.

- Nie tylko Jane, ale również Victor nie może być tu z nami dzisiejszego wieczoru. Decyzję o tym, że nie przyjedzie na galę, jak i o innych sprawach, o których zaraz usłyszycie, podjęliśmy wspólnie. Uznaliśmy za najstosowniejsze, abym to właśnie ja was powiadomił, iż Domaine Tessier zamyka swoje podwoje.

Przez salę przetoczyło się zdławione westchnienie, jakby zebranych zabrakło powietrza.

- Tessierowie przeżyli w Napa sto wspaniałych lat. Wspaniałych - powtórzył miękko - choć nie pozbawionych momentów smutku. Trzydzieści lat temu Jean - Luc niemal zdecydował się opuścić dolinę, kiedy zmarła jego ukochana Margaret. To właśnie ich syn przekonał go, by został. Czternaście lat później, po śmierci Jean - Luca, Victor sam o mało nie zdecydował się na sprzedaż posiadłości. Jednak nie zrobił tego. Ze względu na mnie. Bo ta dolina, ta winnica stała się moim domem. I był to cudowny dom.

Chase Tessier wziął głęboki oddech. Może żeby odzyskać równowagę. Ale w sali balowej brakowało już tlenu. Goście, a w każdym razie ci spośród nich, którzy nie zamienili się w słup soli, zużyli chyba cały zapas powietrza.

- Od dawna za Domaine Tessier oferują dobrą cenę i francuskie, i miejscowe firmy winiarskie. Jednak zdecydowaliśmy się z Victorem dokonać takiego wyboru, jakiego dokonałby Grandpere. I chyba nam się to udało. Jean - Luc Tessier wierzył, że należy dzielić się bogactwem. Tak więc, dla uczczenia jego pamięci, chcemy podzielić pomiędzy sąsiadów część naszych majątków - tegoroczne zbiory i ziemię. Zajmę się tym osobiście i obiecuję, że będę sprawiedliwy. Jeśli chodzi o dom i wyłaczarnię, Adrian Ellis, który właśnie zakończył pracę nad Duetem, przejmie te budynki z dniem pierwszego listopada. Chociaż byłby to ciekawy precedens, gdyby znany hollywoodzki reżyser został wybitnym producentem win, Adrian nie ma takich planów. We dworze chce zamieszkać, a w wyłaczarni urządzi studio dźwiękowe.

Chase na moment opuścił wzrok i znaleźli się tacy, którzy potem opowiadali, że podczas tej krótkiej chwili ręce mu drżały, a oczy zaszyły łzami. Ale goście stojący najbliżej

widzieli, że to nieprawda. Chase Tessier był spokojny. Kiedy jego spojrzenie znów padło na tłum, lekki uśmiech zaigrał na nieporuszonej dotąd, kamiennej twarzy.

- Tak to wygląda. Dziękuję i życzę wam wszystkiego najlepszego w imieniu własnym i Victora. A teraz, czy moglibyśmy rozpocząć przyjęcie toastem na cześć Jean - Luca Tessiera, naszego ukochanego Grandpère'a?

Z tymi słowy Chase wzniósł ręcznie malowany kielich.

- Za Grandpère'a.

Grandpère. Grandpère. Zadzwończyły kryształ, wypełnione najlepszym szampanem.

Kiedy zamarło echo toastu, a nie zdążyła jeszcze wybuchnąć burza oklasków, Chase zszedł z podium. Cass odwróciła się do Hope, w stronę, gdzie Hope powinna była stać, ale przyjaciółka zniknęła. Najwidoczniej odeszła, gdy tylko Chase oznajmił o zamknięciu Domaine, bo teraz zbliżała się już do brata.

- On właśnie tego chce.

Cass spojrzała w kierunku, z którego dochodził uspokajający głos.

- Eleanor! Ty o tym wiedziałaś?

- Powiedział mi dzisiaj. Martwił się o mnie w typowy dla siebie sposób. Ale dzięki Chase'owi wiem już, że mogę się zajmować, czym tylko zechcę. To kwestia poczucia własnej wartości. Kto wie, może zrobię konkurencję Sibyl, zacznę organizować złotodajne przyjęcia.

- Cóż za... - koszmarny pomysł, chciała dokończyć Cass, ale nie zdążyła, bo uwagę Eleanor odciągnął miejscowy właściciel sklepu, pragnący wyrazić żal z powodu tego, co się stało.

Cass zaczęła się przeciskać przez salę, unoszona przez olśniewające ludzkie morze - złoty liść na wzburzonym oceanie.

A nie był to bynajmniej ocean milczący. Nawet najciszej szeptane uwagi huczały w jej uszach jak sztormowe fale.

- To są właśnie biblijne grona gniewu. Nie miałam pojęcia, że nienawiść Victora do Chase'a sięga tak głęboko.

- A dlaczegóżby nie? Chase stał się dla Jean - Luca synem, jakim Victor nigdy nie był.

Lekarz z Centrum Medycznego Courtlandów wygłosił zwięzłe podsumowanie sytuacji.

- Chase, czego byliśmy właśnie świadkami, dokonał wiwisekcji. Na naszych oczach wyrwał sobie serce i poćwiartował własne marzenia.

- Więc nie wierzy pan, że Chase Tessier rzeczywiście miał swój udział w tej decyzji?

- Raczej nie.

- Łupy należą do zwycięzcy, jak to się mówi.

- Wiadomo, krew nie woda. Victor nie mógł znieść myśli, że posiadłość Tessierów przypadnie człowiekowi, który nie jest prawym dziedzicem, zwłaszcza komuś, kto urodził się z heroiną, a nie winem we krwi.

Podróż przez jedwabne morze nie była tak przypadkowa, jak to na pozór wyglądało. Z każdym krokiem Cassandra zbliżała się do Chase'a, który stał w cieniu z Hope.

Rozmawiali, a raczej to Hope mówiła, gwałtownie o coś błagała. A Chase? Wyglądał jak ubrany w smoking posąg, uosobienie wdzięku i dumy. Czy w ogóle oddychał? Nic na to nie wskazywało. Zresztą jakim cudem mógłby oddychać, skoro nie miał już serca?

Rozmyślaniom Cassandry bezceremonialnie położyło kres pojawienie się Sibyl Raleigh, która z pogardliwą a zarazem zadowoloną z siebie miną przesłoniła jej widok.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, Cassandro. To twoje dzieło i dobrze o tym wiesz. Twoja wina.

Wiem. Wiem!

- Oczywiście, musiałaś polecieć do Chase'a w związku z Jane, prawda? A on, rzecz jasna, musiał udać się z tym do Victora. Ostrzegałam cię, co się może stać, jeśli Victor się dowie, że Jane Parish wślizgnęła się do Domaine.

To prawda. Ostrzegała. A ona zlekceważyła słowa Sibyl, uznała je za głupstwa, porachunki ze szkolnych czasów. A teraz Chase krył się w cieniu, z wydartym sercem.

- Ale Victor powiedział Chase 'owi, że to doskonały pomysł, żeby użyć do toastu kieliszków Jane.

- I był toast, może nie? Wielka szkoda, że Jane nie zobaczyła na własne oczy, do czego doprowadziła.

- Co zaszło między Victorem i Jane?

- To chyba nie twoja sprawa, Cassandro. Mówiłam ci, a ty nie chciałaś słuchać, i teraz... teraz jest już za późno.

- Nie, to niemożliwe. Porozmawiaj z Victorem. Proszę. Powiedz mu, że to moja wina, nie Chase'a. Moja.

- Co jest twoją winą, Cassandro?

- Och, Chase!

- No cóż - Sibyl mruczała niczym kot na widok śmietanki. - Już was zostawiam. Ciesz się, Cassandro.

Powiedziawszy to, wycofała się ostentacyjnie. A Cass została. Z nim. Z Chase'em, który stał naprzeciw niej żywy i zdrowy.

Oddychał. Puls na jego szyi był wyraźnie widoczny. Uwodzicielskie szare oczy błyszczały jak płynne srebro.

I uśmiechał się.

- Wiesz, co? - Jego głos miał w sobie delikatność najlepszego wina. - Nadszedł czas, żebyśmy się przespacerowali.

Wyprowadził ją przez francuskie okno do ogrodu. Nocne powietrze napełniały zapach róż i słodka woń dojrzewających winogron. W oddali szemrała fontanna, wyrzucając w górę strumień roziskrzonych kropli. Z sali balowej dobiegały pierwsze tony romantycznej melodii.

- A teraz, Cassandro, powiedz mi, o co chodzi z tą winą? Stali z dala od siebie, rozdzieleni krzewami róż. Ponad ich kwiatami i kolcami Cass spojrzała odważnie na Chase'a, gotowa przyjąć całą odpowiedzialność za swój błąd i gniew, na który zasłużyła.

- Nie posłuchałam ostrzeżeń Sibyl w sprawie Jane i Victora. Prosiłam cię, - żebyś z nim porozmawiał.

- Wcale mnie o to nie prosiłaś.

- W każdym razie Victor wściekł się, kiedy go zapytałeś o Jane, prawda? Tak się wściekł, że... - skrzywdził cię, człowieka, który zawsze był wobec niego lojalny. Victor Tessier cię zdradził. Zabił. Sprawił, że sam siebie zabiłeś.

Tyle tylko, iż ten stojący przed nią w blasku jesiennego księżyca mężczyzna nie sprawiał wrażenia martwego.

- Victor się przejął - przyznał Chase. Patrzył na Cass i czekał. Zdawało się, że Cassandra chce wyrzucić z siebie to, co tak głęboko przeżywa. Skoncentrowała się na własnym poczuciu winy, a on potrzebował całej jej uwagi. - Przejął się, ale jednocześnie był bardzo spokojny. Z pewnością nie wściekły. Poprosił, żebym mu przysłał jeden z kieliszków Jane.

- I jednocześnie zażądał zamknięcia podwojów Domaine.

- Nie.

- Ale to nie była twoja decyzja, prawda?

- To nie był mój pomysł. Jednak zapaliłem się do niego.

- Z powodu Hope. I tego, co ci o niej powiedziałam. Że Hope nigdy nie poczuje się bezpiecznie w Napa.

- O ile sobie przypominam, pierwszy o tym wspomniałem. Ty tylko potwierdziłaś wszystko, o czym już wiedziałem.

- A jednak opuszczasz dolinę. Niegdyś Tessierowskie ziemie zostaną sprawiedliwie rozdzielone, a ty zajmiesz się produkcją wina w jakimś innym miejscu. W okolicach

Waszyngtonu, w Nowej Zelandii albo we Francji. Musisz mieć winnicę, Chase, i to tym razem własną.

Nadal drżała, ale już nie z poczucia winy, a przejęta pomysłem, który jej przyszedł do głowy. Wspaniały pomysł: ona, Cass, pomoże Chase'owi odzyskać utracone marzenia.

- Winnicę?

- Tak. Wiem, że to bardzo kosztowne. Ale... mam trochę pieniędzy, Chase. I chcę je zainwestować w twoją winnicę.

Proponowała mu oszczędności całego swojego życia. Z ochotą. Z radością. Zupełnie, jakby sądziła, że to wszystko, co miała do ofiarowania.

Och, Cassandro, masz o wiele więcej. Czy i to oddasz mi równie chętnie?

- Dziękuję ci.

- Więc zgadzasz się?

- Nie. Obecnie jestem w pełni wypłacalny. Moja część, zgodnie z umową...

- Jesteś bogaty. Oczywiście. Ja... to głupota z mojej strony. Cassandra straciła odwagę, zawstydziła się trywialnością swojej propozycji. Speszona spuściła wzrok na róże o bladej barwie jej rumieńca.

Wtedy Chase wyciągnął rękę. Delikatnie, pieszczotliwie, samymi koniuszkami palców dotknął jej podbródka i zmusił Cass do podniesienia głowy. Dopiero kiedy jej oczy napotkały jego spojrzenie, cofnął dłoń. Ale namiętność pozostała.

- Nie. To, co zrobiłaś, było wspaniałe. Nieegoistyczne, szczodre, życzliwe - To przecież jej słowa, jej definicja miłości, a on powtórzył je w sposób tak przejmująco intymny.

- Nie potrzebuję pieniędzy, Cassandro. Muszę mieć górę.

- Montagne Noir - szepnęła. - Myślałam, że kiedy Frances umarła... - umarły też twoje marzenia. Jednak ten sen się nie skończył. Chase zaniechał go tylko z powodu Hope, bo dla siostry ta góra marzeń była miejscem najboleśniejszej straty. A teraz? Cassandra przypomniała sobie gwałtowną rozmowę rodzeństwa. - Hope chce, żebyś pozostał w Napa, prawda? Żebyś zamieszkał na górze i uprawiał winorośl. To właśnie ci powiedziała.

- To właśnie mi powiedziała - potwierdził Chase spokojnie. - Że pewnego dnia zechce wrócić na Montagne Noir, a stanie się to tylko wtedy, jeśli ja tu będę.

- Ona naprawdę tak myśli, Chase. Zdajesz sobie z tego sprawę. Chce tego. I ty tego chcesz.

To tylko część tego, czego pragnę, Cassandro. Nieistotna część.

Zamierzał zwierzyć się jej z tych innych pragnień. Już wkrótce. Ale jego śliczna wrózka Blaszyany Dzwoneczek nadal drżała, jakby bała się tego, co Chase mógłby jeszcze

powiedzieć, kiedy ona wreszcie się uspokoi.

- Wiesz, kim była Kasandra? - zapytała.
- Pewnie. Prorokinią, której nikt nie słuchał.
- Chociaż nigdy się nie myliła. Będziesz uprawiał winorośl na Czarnej Górze, Chase.
- Tak myślisz?
- Ja to wiem.

Mówiła jak wyrocznia i była z niej pełna wdzięku prorokini, z błyszczącymi w księżycowej poświacie, błękitnymi oczami, w których jaśniało szczęście - z jego powodu.

Zapadło milczenie. Cass poczuła się spokojna, dokonała swojego dzieła, los Chase'a był oczywisty.

A teraz, Cassandro, moja wróżko, dyskusja o przeznaczeniu Chase'a Tessiera dopiero się zacznie.

- Pamiętasz, na jakich warunkach Montaigne Noir ma stać się moja?
- Musisz się ożenić. - Z kobietą, którą kochasz. To takie proste, Chase. Przecież już ją znalazłeś.

Czy to gra wyobraźni, czy księżyc zaszedł? Nie, uzmysłowił sobie Chase. Księżycowa poświata trwała niezmiennie. Tylko blaskowi w oczach Cassandry groziło, że całkiem zgaśnie. A jednak spoglądała na Chase'a spokojnie, zdecydowana stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

- Kiedy przyszedł czas podpisywania aktów prawnych, Frances dodała do umowy pewien mały kruczek. Ponieważ sama dostała Montagne Noir w dniu ślubu, uznała, że powinien być to dar nie dla mnie, a dla mojej narzeczonej.

- Aha. Rozumiem. Ale czy z tego wynika jakiś problem?
- Nie, o ile małżeństwo przetrwa dziesięć lat. Góra przejdzie na moją własność w dziesiątą rocznicę ślubu. Zgodnie z intercyzą ziemia ta będzie wyłączoną ze wspólnoty majątkowej, gdyby rozwód nastąpił później.

- A jeśli nastąpi przed upływem wyznaczonego przez Frances okresu?
- Moja żona dostanie wszystko - górę, winnicę, chateau.
- I może ci je ofiarować bądź sprzedać?
- Nie. Ani to, ani to. Nigdy.
- A jeśli ją zamordujesz? Chase uśmiechnął się.
- Zakładając, że zdołam uniknąć wyroku, odziedziczę cały majątek.
- Poczciwa stara Frances - mruknęła Cassandra. - I nadal wszystko kręci się wokół niej, prawda? Musi rządzić, nawet z za grobu. Ale w końcu i tak ją przechrzyłeś.

- Przechytryłem?

- Tak. Wybierając Paige. Ona nie wygląda na typ potencjalnej rozwódki, a jest tak miła, że nie będziesz odczuwał pokusy, żeby ją zamordować. Nie w tym rzecz, że nie potrafiłbyś popełnić zbrodni doskonałej. Ale po prostu nie będziesz musiał, bo Paige jest absolutnie idealna.

Gwiazdy mrugały, księżyc świecił, a ciemne oczy Chase'a nigdy nie patrzyły na nią z większym skupieniem.

- Jest jednak jeden mały problem, Cassandro. Ja nie proszę Paige o rękę. Proszę ciebie.

- Mnie? Chase nie dotknął jej, nie wyciągnął po raz drugi dłoni ponad pachnącą przegrodą z kwiatów i kolców.

Ta odległość między nimi była teraz ważna. Potrzebna.

- Ciebie, Cassandro. Ciebie. Ależ ty nie możesz mnie chcieć, Chase. Nie mógłbyś mnie chcieć nawet na jedną noc, a co dopiero na dziesięć lat.

- Powiedz mi, Cassandro.

- Powiedzieć ci? Co?

- Dlaczego wyglądasz na tak bardzo zbitą z tropu? Skomplikowana... i stropiona. Przez jeden cudowny, krótki jak uderzenie serca moment nie czuła nawet cienia popłochu. Tylko czystą, jaśniejącą radość. A potem nadeszło zmieszanie. Ból.

- Zbita z tropu? Ja? Ani trochę. - Jej uśmiech był olśniewający, odważny, fałszywy. - A jeśli chodzi o pańską propozycję, panie Tessier, cóż, oczywiście, poślubię pana:

Chase starał się pohamować wściekłość, jednak tliła się ona w niebezpiecznie miękkim tonie jego głosu.

- Ja nie pytam Blanche, Cassandro. Pytam ciebie. Nie musisz odpowiadać teraz. Chcę tylko, żebyś o tym pomyślała. Dobrze?

- Szybko będziesz miał mnie dosyć. - Bolesny szept zaszemrał w nocnym powietrzu tak cicho, że ktoś inny, mniej wrażliwy mógłby go w ogóle niedosłyszeć.

- Nigdy, Cassandro. Nigdy nie będę miał cię dosyć.

- Ale ty i Paige...

- Zerwaliśmy ze sobą tego wieczoru, kiedy widziałas nas w Courtland. Tego wieczoru? Gdy po powrocie do Domaine wyglądałeś, jakbyś nadal był głodny? Tak drapieźnie.

- Paige znalazła kogoś nowego? Chase uśmiechnął się.

- Ja znalazłem, jak wiesz. A w każdym razie zakładałem, że o tym wiesz, Cassandro. Sądziłem, że zdajesz sobie z tego sprawę, tak jak ja sobie zdawałem od pierwszej chwili,

wtedy w czerwcu.

Od pierwszej chwili, Chase? Kiedy pojawiłam się w twoim domu - życiowy zbieg, samotna, ubrana na czarno dziewczyna o bezwładnym policzku?

- Ale

- Dlaczego ci nie powiedziałem? Chyba po prostu myślałem, że to oczywiste, nawet jeżeli tak nie powinno być.

- Nie powinno być?

- Jesteś gościem w moim domu. Najlepszą przyjaciółką Hope. A poza tym była sprawa mojej niepewnej przyszłości. I twojej.

- Mojej?

- Twoich pasji, Cassandra, i tego, dokąd cię one zawiodą. I jeszcze jedna sprawa, a mianowicie twoja nieprzejeżdżana niechęć do instytucji małżeństwa i związanej z nim monotonii. Muszę ci jednak powiedzieć, że ze wszystkich kwestii, które brałem pod uwagę, ta akurat najmniej mnie martwi. Nie chcę przez to powiedzieć, że monogamia jest mi obojętna. Bynajmniej. Wcale nie. Wątpię po prostu, żeby kiedykolwiek mogło się to stać monotonne... z tobą.

- Chcesz...

- Kochać się z tobą? - Roześmiał się cicho, radośnie. - Chyba wiesz, jak bardzo chcę? Ale ona nie wiedziała, ta jego pełna wahań wróżka. Cień lęku przemknął jej po twarzy.

- Cassandro? - Jego niski, głęboki głos przepełniała łagodność. - Czy kochałaś się już z kimś?

Czy się kochała? Nie. Czy uprawiała seks? O, tak. Wiele razy, poczynając od czasów gimnazjum, kiedy to najpopularniejszy chłopak w szkole chciał ją, ją... Sandrę, nastoletnią czarownicę, A potem okazało się, że to był kawał, okrutny żart, na który mogła się nabrać każda dorastająca dziewczyna, nawet czarownica. Nie wiedziała o tym, dopóki się nie okazało, że ojej młodzieńczym wybryku wie cała szkoła.

W końcu Sandra Jones zamieniła się w Cassandrę Winter, dzieło samotności i rozpacz. Na uczelni mężczyźni uganiali się za zwracającą powszechnie uwagę uwodzicielką, zwłaszcza kiedy kusila ich pod postacią Blanche DuBois. Ale to były same rozczarowania. Pod kamuflażem jaskrawych piórek Cassandra nadal pozostawała czarownicą, chudym stworzeniem zrobionym z lodu.

- Cassandro?

- Tak. Kochałam się.

- A czy sądzisz, że będziesz chciała kochać się ze mną? Chase Tessier robił to z nią już teraz, pieścił ją głosem, wzrokiem, czułością, której nigdy dotąd nie zaznała.

- Tak - usłyszała własny szept.

- Właśnie ze mną? Przy potwierdzającym skinieniu roztańczyły się bursztynowe włosy - balet nadziei w blasku księżyca. Właśnie z tobą... tylko z tobą... zawsze z tobą.

- Dobrze - powiedział cicho, widząc rumieniec na jej policzkach. Przyglądał się przez chwilę ślicznym ustom o opuszczonym kąciku i było to spojrzenie pełne obietnic. Wreszcie uśmiechnął się do błękitnych oczu Cass. - A co z twoimi pasjami, Cassandro? Czy jest coś, co mogłoby cię odciągnąć od Napa Valley?

- Nie.

- Nie? Bo to ty jesteś moją pasją. Właśnie ty. Tylko ty. Zawsze ty.

Uśmiechnęła się i tym razem był to jej własny uśmiech, nieśmiały, uroczy, a jednocześnie pełen otuchy i radości.

- Myślę, że chciałabym zostać producentem szampana.

- Więc wyjdź za mnie, Cassandro.

San Francisco

wrzesień, osiem lat wcześniej

Miała tremę. A przecież była aktorką przez całe swoje życie, aż do chwili, gdy spotkała Chase'a. Nie chciała wygłaszać publicznie przysięgi małżeńskiej, nawet w, obecności Hope, najlepszej przyjaciółki, która wzruszyła się, ale wcale nie zdziwiła na wieść, że Cassandra i Chase zamierzają się pobrać.

A jednak, wahała się Cass, czy nie byłoby lepiej wziąć ślub już po powrocie Hope do szkoły? Zacząć dzielić łóżę z Chase'em, dopiero kiedy Hope wyjedzie?

Chase przyznał narzeczonej rację. Potwierdził też, że liczą się naprawdę prywatne przyrzeczenia. Ale nie chciał słyszeć o ostatniej z przedślubnych próśb Cassandry. Nie zgodził się mianowicie na spisanie intercyzy dającej mu od momentu zawarcia małżeństwa wyłączne prawo do decydowania o Montagne Noir.

- Nie ma takiej potrzeby - oświadczył.

- Ale tak byłoby lepiej - upierała się Cass. - A co będzie, jeśli uznam, że Montagne Noir jest świetnym miejscem do utworzenia największego w Kalifornii parku rozrywki?

- Nie uznasz.

- A co, jeśli zniemacka zapadnę w śpiączkę i...

- Nie zapadniesz. - Chase ujął jej rękę i, zmarszczywszy brwi, spytał przyszlą pannę młodą: - Boisz się tego?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Stanowczo tak. - Do tego stopnia, iż zaczynała już wierzyć, że północ nigdy nie nadejdzie, ciemności nie zapadną, a Kopciuszek będzie tańczył wiecznie.

Wreszcie Jane Parish, twórczyni szklanych pantofelków i innych kryształowych cacek, wymyśliła rozwiązanie problemu cichego ślubu.

Przyjęcie odbędzie się z wyprzedzeniem, przed zaślubinami, w hotelu Fairmont, gdzie później państwo młodzi spędzą noc poślubną. Goście - Eleanor, Hope i Jane - po sutym weselnym lunchu odjadą na południe i w drodze do Los Angeles odwiedzą targi sztuki w Carmel i Santa Barbara. Tymczasem Chase i Cass spotkają się ze swoim prawnikiem, podpiszą niezbędne dokumenty, sędzia bez fanfar, ale w całym majestacie prawa ogłosi ich małżonkami, a potem...

I właśnie nadszedł ten piątkowy wieczór.

Cass i Chase byli już mężem i żoną. Znaleźli się sami w swoim podniebnym apartamencie w hotelu Fairmont. Wszędzie dookoła rozkwitały ulubione kwiaty Cassandry, nawet w sypialni, gdzie kilka różowych płatków opadło na białą satynową kołdrę.

Świeżo poślubieni małżonkowie siedzieli w salonie, ona na kanapie, on na stojącym tuż obok krześle. W srebrnym naczyniu chłodził się szampan, obok czekały kryształowe kieliszki.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Chase. Był to ślubny pierścionek, zrobiony specjalnie dla niej przez złotnika z Oakville, który, wysłuchawszy uważnie wskazówek Chase'a Tessiera, wcielił je w życie i stworzył udany mariaż trzech różnych barw złota.

Róże ze złota różowego, jak subtelne odzwierciedlenie radości, wraz z listkami z najczystsze go kruszcu zostały precyzyjnie osadzone w obrączce o srebrnym połysku.

Ale ślubny pierścionek nie mógł dorównać blaskiem pełnym niedowierzania błękitnym oczom.

- Chase - szepnęła Cassandra. Nie dotknęła nawet prezentu, zawstydzona i przejęta.

- Nie wydaje mi się, żeby istniał zakaz ślubowania sobie nawzajem - powiedział, wsuwając jej na palec złotą obrączkę. Pasowała idealnie, bo w pamięci Chase'a wyrył się bardzo dokładnie obraz delikatnych dłoni Cass. - Tym pierścionkiem, Cassandro, biorę sobie ciebie za żonę.

- Chase... ja nie... nie mam dla ciebie obrączki.

- To będzie nasz wspólny ślubny pierścień, Cassandro. Będziesz go nosić dla nas obydwójga. Myślę, że teraz twoja kolej na złożenie przysięgi.

Nie była aktorką. Nie przy nim. Teraz już nie musiała. Była panną młodą. Jego panną młodą.

- Tym pierścionkiem, Chase, biorę sobie ciebie za męża. Wpatrywał się w nią, studiował każdy szczegół ze srebrzystymi iskierkami w oczach.

- Co się stało?

- Zastanawiam się, w jaki sposób mógłbym cię skłonić do wypowiedzenia pozostałych słów.

Masz na myśli to, że cię kocham, Chase? Bo ja cię kocham. Kocham. Właśnie o te słowa chodziło, o przyrzeczenie miłości małżeńskiej, które chciał od niej usłyszeć.

- A co by pani powiedziała, pani Tessier, na odrobinę szampana?

- Bardzo chętnie. - W błękitnych oczach pojawiły się żartobliwe iskierki, a potem zabłysła powaga i pewność. - Zdecydowanie tak.

Na butelce widniała prowizoryczna etykieta, wypisana ręką Chase'a. Nazwa firmy: Montagne Noir. Gatunek wina: Cassandra.

- Już zacząłeś uprawiać winorośl na górze? I zdołałeś zebrać plony... - i otrzymać co najmniej jedną butelkę wina, tę bezcenną butelkę, która została opatrzona moim imieniem?

- Razem z Grandpere'em zasadziliśmy tam pierwsze krzewy winorośli, kiedy miałem siedem lat. Gdy wydały owoce, zasadziliśmy kolejne, i tak to trwało aż do tej pory.

- A więc Grandpere wiedział, że jego marzenie może stać się rzeczywistością?

- Tak - odparł Chase łagodnie. - Wiedział.

- A kto jeszcze zna waszą tajemnicę?

- Nikt. Absolutnie nikt. Winnica położona jest w otoczonych mgłami dolinach na zachodnim zboczu, całkowicie ukryta przed ludzkim wzrokiem.

- Nawet Hope nie wie?

- Nie. Wzięliśmy ją tam tylko raz. Była wtedy rozbrykanym dwulatkiem. Stok wzgórza okazał się dla niej za stromy, bieganie wśród winnych krzewów zbyt niebezpieczne. Potem nieraz jeździła z nami na górę, ale już nigdy więcej nie zabieraliśmy jej na zachodnie zbocze. Tak więc nikt o tej winnicy nie wie. Tylko ty, Cassandro. - Moja prorokini. Moja panno młoda. - I co, chcesz spróbować?

- Tak. Chase Tessier otworzył szampana w sposób, w jaki powinno się to robić, kierując szyjkę butelki z dala od wszystkich oczu, a zwłaszcza tych ślicznych, błękitnych, płonących ciekawością i zdumieniem. Korek wysunął się gładko, z cichym westchnieniem zamiast donośnego wystrzału, ponieważ i tej części operacji dokonano prawidłowo - obracając butelkę, a nie korek.

Wreszcie Chase napełnił kieliszki płynem o różowej barwie.

- To blanc de noirs - rozpoznała Cass.

- Ulubiony trunek panny młodej.

- Ale nie pana młodego. Chase uśmiechnął się.

- Jestem facetem, który łatwo przystosowuje się do otoczenia... zwłaszcza we własną noc poślubną. Twoje zdrowie, Cassandro.

- I twoje. Kryształ uderzył o kryształ. Chase patrzył i czekał, aż blad różowe marzenie dotknie jej warg, znajdzie się w ustach, spłynie łagodnie w dół smukłej szyi.

- Och - szepnęła z zachwytem.

- Powiedz mi, Cassandro, powiedz, co wyczuwasz?

- Czuję mgiełkę - wymruczała, z przymkniętymi oczami smakując kolejny łyk. - I łagodny żar starego wulkanu. - Podniosła powieki. - I tęczę, Chase. Czuję tęczę.

- Pozwól i mnie spróbować - poprosił, a jego wargi dotknęły jej ust. - O, w ten sposób.

- Mgiełka - szepnął, gdy odkrył jej delikatną słodycz.

- I ogień - odpowiedziała Cassandra. Wreszcie w pełni poznała jego namiętność.

- I tęcza - wyznał Chase swojej świetlistej wróżce. - I ty, Cassandro. Ty. Ty. Ty. Ty.

Cassie, Cassie, Cassie.

Kiedy się kochali w białej satynowej pościeli ozdobionej blad różowymi różami, Chase szeptał to nowe imię, symbol ich intymnej więzi. Powtarzał je i powtarzał. Bo ją kochał.

Cassie.

Cassie. Na wszystkie sposoby, na jakie można je wypowiedzieć.

Czule, z tęsknotą.

W uniesieniu, pieszczotliwie.

Cassie. Z zachwytem. Z miłością.

A ona wymawiała jego imię śmiało, skwapliwie, jaśniej radością. Jednak gdy potem odpoczywała w ramionach męża, ogarnął ją strach przed tym, jakich odkryć dokonał Chase, kiedy się kochali. Bo przecież musiał dostrzec wrażliwość tego ciała, które nadal pieścił delikatnie.

- Czy nie przeszkadza ci, że jestem taka chuda? Była bardzo chuda. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, nie domyślał się. W swoich barwnych szatkach wyglądała bardzo szczupło - szczupło, ale nie mizernie. A w rzeczywistości była straszliwie chuda. Cienka jak pajęczyna jedwabna skóra opinała jej drobne, sterczące kości.

I teraz Cass niepokoiła się, czy to, że jest taka chuda, nie razi go, nie rozczarowuje.

Chase odszukał spojrzeniem jej zmartwione oczy i uśmiechnął się.

- Pytasz, Cassandro Tessier, czy jest możliwe, żebyś wydała mi się jeszcze atrakcyjniejsza? Czy mógłbym cię pragnąć jeszcze bardziej? - Czule przesunął palcem po zarumienionym policzku żony. - Jeśli tak, najwidoczniej nie uważałaś dostatecznie. Gdybym pragnął cię jeszcze bardziej, zabiłoby to nas oboje.

- Och - szepnęła z ulgą, z radością.

- Tak, Cassie, - Ucałował jej oczy i leciutko opadający kącik uroczych ust. Za chwilę mieli znowu zacząć się kochać, obydwójce tego chcieli, potrzebowali. Za chwilę. - Nie jadasz chyba zbyt wiele.

- Nie, nigdy nie jadałam. - Nigdy nie czułam się wystarczająco bezpieczna, rozumiesz, nigdy wystarczająco bezpieczna, żeby jeść.

- Ciekaw jestem, czy mogłabyś spróbować jeść więcej. - Chase zdołał przewyciężyć

nagły przypływ jej lęku łagodnym uśmiechem. - Nie, Cassandro. Nie dla mnie. Dla ciebie. Dla twojego zdrowia, żebyś tak ciągle nie marzła. - Czuł głęboką obawę, obawę o nią. Leżała taka chudziuteńka, naga. Biała satynowa kołdra zsunęła się na bok. Chcieli widzieć się nawzajem. - A czy teraz ci zimno? Czy zmarzłaś, kiedy się kochaliśmy?

- Nie. Teraz nie.

Po raz pierwszy w życiu było jej ciepło. Po raz pierwszy w życiu. Cassie poczuła się ogrzana... a Chase spełniony.

*Szpital Westwood Memorial, oddział chirurgii
niedziela, 4 listopada*

Jeszcze nie wstał świt. Hope i Victor spali w hotelowych pokojach, a Chase siedział przy łóżku Cassandry. Chciał na nią patrzeć, dotykać, mówić do niej, zanim wczesnym rankiem zawiozą ją na salę operacyjną. Fragment kości, który usunięto, żeby zmniejszyć ucisk na opuchnięty mózg, miał powrócić na swoje miejsce. Obrzęk się zmniejszał. Pozostawało tylko uzupełnić ubytki czaszki.

Jednak Cassandra dotąd nie odzyskała przytomności. Może nigdy nie miała jej odzyskać.

Ale jest ci cieplej, prawda, kochanie? Chase błagalnie przemawiał w myślach do żony, kiedy sięgał po jej rękę. Dłonie Cass. Ogrzewał je własnymi, ostrożnie tulił, uważając, żeby nie urazić, zwłaszcza tej lewej, tak strasznie poranionej podczas napaści.

Rąk Cassandry nie krępowały żadne sondy ani igły kroplówki. Plastikowy przewód o dużej średnicy, przez który karmiono ją dożylnie - a do niedawna podawano też narkotyki - prowadził w poprzek klatki piersiowej i zagłębiał się w ciało ponad obojczykiem.

Obraz ramion Cass, pięknych, o jasnej skórze, wyciągniętych ku niemu, obudził Chase'a z koszmarów, jakie nawiedzały go w ciągu tych kilku godzin, gdy na żądanie lekarzy opuścił miejsce u wezłowania żony i próbował odpocząć.

Miał wrażenie, że podczas jego pełnego udręki snu coś się wydarzyło. W serce wstąpiła mu nadzieja, kiedy zbliżał się do budynku chirurgii. Może Cassandra odzyskała przytomność, potrzebuje go...

Ale chora nie ocknęła się, mimo nasilonej porannej krzątaniny na oddziale. Sobotnia noc przyniosła Miastu Aniołów potoki deszczu i nawet ciężkich wypadków. Wokół Cass toczyło się życie, a ona nadal spała.

Obudzi się. Chase powtarzał te słowa jak zaklęcie, kiedy tulił małe poranione dłonie. Dręczyła go jednak pewna myśl, która wciąż powracała nieproszona. Cassandra ocknie się dla Roberta. Do Roberta wyciągnie ręce, z ulgą, z radością.

Robert. Słynny aktor nie spędzał już tyle czasu co przedtem przy łóżku chorej. A jednak, dzięki środkom masowego przekazu, jego ból był powszechnie znany.

Tego deszczowego niedzielnego poranka Chase nie odezwał się do Cassandry. Jeszcze nie. Tylko ścisnął w milczeniu jej dłonie, ogrzewał je. Tak witali dawniej każdy ranek. Teraz

Chase rozpoczynał szpitalny dzień za nich oboje.

Kiedys szepnęłby „cześć” i upewnił się, czy Cass czuje się dobrze, naprawdę dobrze, i czy ma zamiar niedługo wstać. Będzie musiał znowu wymówić te słowa, mimo wszystko. Uczucia, jakich doświadczał wycieńczony brakiem snu, były coraz bardziej niszczące, dotkliwe, a przecież ona potrzebowała jego siły i spokoju.

Już tyle razy opowiadał jej o ludziach, których kochała.

Hope została prawnikiem. Osiąga oszałamiające sukcesy i wygląda oszałamiająco. Taka szczupła, zgrabna.

A Eleanor jest zupełnie niesamowita, pełna życia i jak zawsze młoda. Jej firma kateringowa przynosi zaszczyt Napa. Poza tym Eleanor spotkała kogoś. Ma na imię Samuel i jest o osiem lat od niej młodszy. To zbliżający się do emerytury profesor archeologii, który - jak twierdzi Eleanor - po prostu nie potrafił się oprzeć takiemu przedpotopowemu okazowi.

Jane też świetnie sobie radzi. Nadal jest niezamężna. Szczęśliwie niezamężna. Jej ręcznie malowane szkła cieszą się dużym powodzeniem, zwłaszcza we Francji. I nie dość że taka utalentowana, została jeszcze mecenasem sztuki. W swojej galerii w St. Helena prezentuje nie tylko własne prace, ale i innych twórców z Napa Valley.

Początkowo Chase dzielił się z żoną tylko dobrymi nowinami, przedstawiał tylko szkielec rzeczywistości, zbudowany ze szczęścia i sukcesów. Ale przecież jego Cassandra, jego wrażliwa wróżka z Nibylandii, jaśniała najpiękniejszym blaskiem, kiedy czuła się potrzebna, kiedy mogła pomóc. Więc zaczął wypełniać suchy kościec swoich opowieści żywym ciałem.

Opowiedział jej prawdę o nowej miłości Eleanor. O tym, jak trudno było Eleanor i Samuelowi znowu kogoś pokochać, zachować wierność wspomnieniom o nieżyjących ukochanych - jej mężu i jego żonie - i mimo to znaleźć wspólnie szczęście.

Opowiedział też Cassandrze o Hope.

Jest oddana swojej pracy, pochłonięta nią. To całe jej życie... jej ucieczka. Hope zeszczuplała, bo tak postanowiła. Przysięgła to sobie tamtego dnia, kiedy słońce zachodziło na zielono w Bodega Bay. Podobnie, siłą woli, zmusza się do odwiedzania Napa i Montagne Noir, zupełnie jak gdyby nie czyhały tam na nią żadne bolesne wspomnienia. Jest teraz silniejsza, ale nie czuje się bezpieczna. Ani szczęśliwa. I nadal dręczy ją wewnętrzna pustka. Hope potrzebuje przyjaciółki, Cassandro. Potrzebuje cię.

I ja ciebie potrzebuję.

Do tej pory Chase nie zwierzył się nikomu z tej bolesnej prawdy o sobie. Ani przed nikim nie obwiniał Cass. Nigdy, chociaż dręczyło go bolesne pytanie, które zadawał teraz

śpiącej żonie - Dlaczego go opuściła? Nigdy dotąd jej nie powiedział, jak bardzo cierpiał, kiedy zniknęła, jak szalał, szukał, bał się o nią. Aż pewnego dnia usłyszał o niej: o gwieździe, która pojawiła się na firmamencie Hollywoodu. Jaśniała. Olśniewała. Rozkwitała - bez niego.

- Panie Tessier? Chase podniósł wzrok znad splecionych rąk. W drzwiach stała dyżurna pielęgniarka. - Tak?

- Porucznik Shannon prosi pana do telefonu.

- Dobrze. Dziękuję. Wstał i wyszedł w milczeniu. Powie jej wszystko po powrocie.

A tymczasem Cassandrę przewieziono na salę operacyjną. Nie zdążyła usłyszeć ani jego słów powitania, ani pożegnania.

Wiadomość od Jacka Shannona brzmiała tajemniczo, ale stanowczo. Porucznik z wydziału zabójstw chciał zobaczyć się z Chase'em i, jeśli ten się zgadza, pozostałymi członkami rodziny Tessierów tak szybko, jak to tylko możliwe.

Chase poprosił Hope i Victora, by mu towarzyszyli. Spotkanie rozpoczęło się o ósmej rano w sali konferencyjnej sąsiadującej z oddziałem chirurgii, ponieważ poczekalnie były całkowicie zajęte przez rodziny i przyjaciół ofiar ubiegłego nocnego libacji, ekstrawaganckich przyjęć i śliskich od deszczu jezdni.

- Jest kilka spraw związanych ze śledztwem, o których powinienem państwa poinformować - zaczął Jack. - Dodam, że wszystko, o czym się państwo teraz dowiedzą, musi zostać zachowane w ścisłej tajemnicy.

- To oczywiste. - W głosie Chase'a brzmiała irytacja i lęk. - Proszę mówić, poruczniku.

- W porządku. Jak państwo wiedzą, znaleźliśmy ślady włamania. Zniknęła cała biżuteria, w tym kilka bardzo cennych sztuk, które nie były własnością pani Winter. Wszystko wskazywało na to, że Cassandra zaskoczyła złodzieja.

- Wskazywało - powtórzyła za nim Hope. - Czas przeszły.

- Nie do końca przeszły. Nadal badamy możliwość nieudanego włamania. Wszystkie możliwości, łącznie z tą, że Cassandra Winter znała człowieka, który ją napadł.

- Robert - cicho, dobitnie stwierdził Victor. Jack Shannon spojrzał na słynnego muzyka z uwagą.

- Tak. Robert. Co pana skłoniło, żeby o nim pomyśleć?

- A czy on nie jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym?

- Jasne. W normalnych warunkach. Ale tu mamy Miasto Blichtru, gdzie aktorki są napastowane przez psychopatycznych fanów. Zna pan ten świątek, panie Tessier, a mimo to przypuszcza pan - choć, szczerze mówiąc, nie brzmiało to jak zwykły domysł - że napadu

dokonał Robert. Ciekaw jestem, dlaczego?

- Bez konkretnego powodu. - Co to znaczy, Victorze?

- Nic, Chase.

Ale Jack Shannon czekał cierpliwie na dalsze wyjaśnienia. Dopiero kiedy stało się jasne, że Victor nie ma już nic więcej do powiedzenia, że niczego już nie chce dodać, porucznik ciągnął dalej.

- Pod paznokciami Cassandry znaleziono fragmenty naskórka. Badania DNA potwierdziły, że pochodzą one od Roberta. Mamy też fotografie zadrapań na torsie podejrzanego, które odpowiadają tym strzępkom, jak również oświadczenie Forresta złożone z własnej woli i, nawiasem mówiąc, bez prośby o obecność prawnika.

- Chętnie zeznawał - mruknęła z zastanowieniem Hope.

- Był wręcz zachwycony - potwierdził Jack. Rozpoczął się dialog profesjonalistów - porucznika z sekcji zabójstw, który był prawnikiem, i błyskotliwej zastępczyni prokuratora okręgu San Francisco; obydwójce byli ekspertami od problemów przemocy w rodzinie i związanych z tym przestępstw.

- A jak Robert tłumaczy obecność zadrapań? - spytała Hope.

- Twierdzi, że to wynik namiętności i rozpaczki Cassandry. Ich związek od początku był niezbyt udany. I w efekcie nietrwały. Robert chciał odejść, a ona chciała, żeby został. Stąd zadrapania. Oczywiście, napad, którego ofiarą padła Cassandra, przekonał go, jak bardzo ją kocha.

- Oczywiście - szepnęła Hope. - Jak mocne jest jego alibi?

- Aż nazbyt mocne. Idealnie dopasowane do określonego przez nas czasu zbrodni, aczkolwiek na tym kończą się wszystkie zbieżności z naszą wersją wydarzeń. Forrest będzie miał świadków, którzy potwierdzą, co tylko zechce. Jego historia brzmi następująco: w środę między pierwszą a drugą po południu uprawiali z Cassandrą seks w jej domu w Brentwood. Kłócili się przedtem i potem. Około drugiej czterdzieści pięć opuścił Brentwood, wściekły. Sąsiad Cassandry, scenarzysta, który pracuje w domu, potwierdza, że Robert odjechał ze znaczną prędkością mniej więcej o tej porze.

- Forrest twierdzi, że potem jeździł bez celu przez jakiś czas, a w końcu dotarł do swego mieszkania w Malibu. Czuł się winny i było mu przykro z powodu tego, co powiedział Cassandrze, zwłaszcza że tego dnia wypadały jej urodziny. Między piątą trzydzieści a szóstą kilka razy próbował się do niej dodzwonić. To rozmowy zamiejscowe, więc Robert jest przekonany - podobnie zresztą jak ja - że urząd telekomunikacji je potwierdzi. Ponieważ w Brentwood odzywała się tylko automatyczna sekretarka, Forrest uznał, że Cassandra wyszła

już na imprezę dobroczynną, której miała być gospodynią. On sam nie zamierzał brać udziału w tej imprezie, ale w tej sytuacji uznał, że powinien pojechać, żeby zobaczyć się z przyjaciółką i ją przeprosić. Kiedy jednak dotarł do Beverly Wilshire, nie zastał tam Cassandry. Jeszcze raz - bez skutku - wykręcił jej numer domowy, a potem zadzwonił pod 911. Natychmiast odezwał się policyjny wóz patrolowy i zostało zawiadomione pogotowie. Zanim Robert wraz z kilkoma innymi powszechnie znanymi osobami zdążył przyjechać na miejsce, Cassandra była już w drodze do szpitala.

- A Robert Forrest został bohaterem dnia - dokończyła Hope. - Nie pierwszy raz łajdak przejmuje tę rolę. - Zwróciła wzrok na mężczyznę, który był znany z niesamowitego wyczucia, jeśli chodziło o sprawy morderstw. - Sądzi pan, że Forrest zostawił ją, żeby umarła, prawda? Że miał nadzieję, iż pogotowie znajdzie już tylko...

- Tak, właśnie tak sądzę. Jestem o tym głęboko przekonany.

- Czy są jeszcze jakieś namacalne dowody oprócz zadrapań?

- Kilka. Ale bardzo wątpliwe. Sam rodzaj napaści. Miało tu miejsce pobicie, znęcanie się z premedytacją, które świadczy o emocjach, wściekłości, intencji zabójstwa. Zaskoczony przez gospodarzy włamywacz myślałby przede wszystkim o ucieczce. No i te zadrapania na klatce piersiowej Roberta. Dla mnie wyglądają na rezultat walki w obronie własnej, a nie wybuchu namiętności.

- Ciekawa jestem...

- Tak?

- Cóż, na ostrym dyżurze neurochirurgii nikt zapewne nie pomyślał o sprawdzeniu ewentualności napadu o podłożu seksualnym.

- Wręcz przeciwnie. Cassandra została przebadana przez doktor Amandę Prentice, jednego z najlepszych specjalistów. I chociaż doktor Prentice nie może zakwalifikować tego przypadku jako gwałtu, twierdzi, że miał miejsce brutalnie uprawiany seks. - W tym momencie Jack zdał sobie sprawę, że bestialstwo zbrodni na Cassandrze nie ogranicza się do pobicia i wymuszonego seksu, ale obejmuje też koszmar przeżywany przez słuchających o tym wszystkim jej bliskich, łącznie z kompetentną panią prokurator, która jest przecież szwagierką ofiary. Postarał się więc mówić dalej w sposób mniej obrazowy. - Wracając do fragmentów naskórka pod paznokciami Cassandry, chcę państwu powiedzieć, że po przeprowadzeniu różnych badań mikroskopowych patolog sądowy uważa, że do zadrapań doszło w tym samym czasie, który uznajemy za czas napaści.

- Rozumiem, że Robert Forrest został aresztowany - odezwał się w końcu Chase. Dotychczas milczał, ale zaciśnięte pięści i niebezpieczne błyski w oczach były wystarczająco

wymowne. - Że już siedzi.

- Nie.

- Dlaczego, do diabła?

- Ponieważ jak dotąd dysponujemy jedynie dowodami pośrednimi. Ale zastępca prokuratora okręgowego Mallory Mason, która została przydzielona do tej sprawy, włączyła się już aktywnie w śledztwo.

- Porucznik ma rację, Chase - poparła Jacka Hope. - To za mało, żeby aresztować podejrzanego.

Hope świetnie wiedziała, że bez obciążających zeznań Cassandra może nigdy nie dojść do aresztowania. Ale jeżeli Robert Forrest rzeczywiście jej to zrobił i jeżeli nie będzie zdolna sama zeznawać, ona - z pomocą Jacka Shannona - zbierze taką górę dowodów poszlakowych, że szybko i bez cienia wątpliwości uzyskają wyrok skazujący.

Hope popatrzyła uważnie na porucznika.

- A co z zarzutem o stosowanie przemocy fizycznej?

- On, oczywiście, wszystkiego się wypiera. A my nie mamy żadnego świadka czy nawet jednego anonimowego telefonu w tej sprawie.

Ale przecież gdyby Robert Forrest ją uderzył, zastanawiał się Chase, gdyby chociaż odgrażał się, że to robi, Cassandra zerwałaby ten związek, wezwała na pomoc policję. Jego Cassie nie pozwoliłaby się tak obrażać. Czy jednak na pewno?

- Chcę go zobaczyć za kratkami, poruczniku.

- Ja również, panie Tessier. Ale na razie jeszcze na to za wcześnie.

- I ma się w ogóle nie pojawiać w pobliżu Cassandra. Jack Shannon uśmiechnął się lekko.

- Jest pan jej mężem, więc decyzja w tej sprawie należy do pana. Moi ludzie będą zachwyceni, mogąc pana życzenie wprowadzić w życie.

- Lepiej niech o tym pamiętają. Bo jeśli go tylko zobaczę... Natarczywe stykanie przerwało mu w pół słowa i porucznik nie dowiedział się, co mogłoby wyniknąć ze spotkania Chase'a z Robertem.

Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzała pielęgniarka Cassandra, Dorothy.

- Już ją przywieziono z sali operacyjnej. Ona pana potrzebuje, Chase. Potrzebuje pana natychmiast.

Neurochirurg, pod którego opieką znajdowała się Cassandra, czekał na nich w otwartych drzwiach oszklonej izolatki.

- Zniosła narkozę dużo lepiej, niż można się było spodziewać - oświadczył. - Do tego

stopnia, że już mogliśmy ją ekstubować. Lada moment odzyska przytomność. Może gdyby pan coś do niej mówił...

Mówić do niej. Znowu ma wyrecytować suchą listę wydarzeń, którą potem uzupełni smutniejszymi wiadomościami? Już to przecież robił. A może najświeższe wieści o Sibyl?

Nie. Nie teraz. Bo kiedy usta dotknęły przejrzystej skóry na skroni chorej, uczucie pokonało rozsądek, marzenia zwyciężyły nad opanowaniem.

- Cassandro? - szepnął. - Słyszysz mnie, kochanie? Obudź się, Cass. Cassie.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, z umieszczonego nad łóżkiem kardiomonitora rozległ się alarmujący dźwięk. Przenikliwy sygnał jej cierpienia? Ogromnego - i może już nie do odrobienia - urazu, który Chase spowodował nierozważnymi słowami?

Tak, najwyraźniej tak. Do łóżka chorej rzucił się lekarz, a za nim trzy pielęgniarki. Wykrochmalona biel zakotłowała się przy wtórze szaleńczego jęku alarmu. Sygnał się powtórzył. Drugie, potem trzecie ostrzeżenie.

Popatrz, co zrobiłeś! Alarm wył. Gwizdał. Popatrz. Popatrz. Popatrz. Zielone linie wykresu pracy serca galopowały po ekranie, sensory ciśnienia krwi drżały jak w ataku lęku. Przyspieszenie. Drgawki. Jęk.

Konanie.

- Chase?

W symfonii narastającego wokół obłądu zabrzmiała nagle uroczą nutą, czar, który przywołał go z chaosu w krainę spokoju, od rozszalałych monitorów do jasnych, niebieskich oczu.

I czar trwał, bo gdy Chase zapatrzył się w ten cudowny błękit, zamilkł alarm, uciszony czyjąś wprawną ręką - i już niepotrzebny. Przenikliwy sygnał obwieszczał nie śmierć, a życie, powrót do przytomności.

- Cześć - szepnął Chase, kiedy lekarz wraz z pielęgniarkami opuścili pokój. - Pamiętasz mnie?

Delikatny uśmiech pojawił się na białych wargach Cass; półuśmiech, bo jeden kącik ust pozostał opuszczony.

- Pamiętam. Gdzie...

- W szpitalu.

- Aha - mruknęła bez cienia niepokoju. Płynęła w oparach ciepłej, wirującej wokół niej mgiełki, dryfowała powoli, unoszona w uroczym sen. Uroczy, ciepły, bo był tam z nią Chase, jego szare oczy...

Ból - i przypomnienie - nagle zgruchotały, zmroziły jej piękny sen. Cassandra uciekła

wzrokiem w bok. Ale kiedy jej spojrzenie padło na ręce, myśli znów zaczęły odpływać, unosić się z prądem, zafascynowane tym, co ujrzały oczy. Dłonie. Jej własne dłonie. Bujający we mgle umysł kojarzył z najwyższym trudem.

Wydawały się jej dziwnie piękne. Szczupłe, blade, prawie przejrzyste. Intrygowała ją zwłaszcza lewa, z serdecznym palcem, który przypominał tkaninę o żywej fakturze i barwie. Poszarpana do żywego, tak jak dusza Cass. Strzępy skóry skojarzyły się chorej z koronkowym mankietem, śnieżnobiałymi falbankami zdobiacymi purpurowe jeziora.

- Co się stało? - Zabrzmiało to, jakby pytała własne poranione ciało.

- A co pamiętasz? Jego kochany głos, taki łagodny, miękki. Cassandra oderwała wzrok od swoich rąk i wpatrzyła się w wirującą, nieprzeniknioną mgłę. Nagle, bez ostrzeżenia, pojawił się całkowicie wyraźny obraz.

- Victor. Victor? Może jej pamięć po prostu odrzuciła ostatnich osiem lat, zastanawiał się Chase. Czyżby nadwerężony mózg - albo serce - przeniósł ją w przeszłość, w lepsze, szczęśliwsze czasy, w tę pachnącą różami noc, kiedy się zaręczyli? Zaczniemy od nowa, Cassie. Od początku. I tym razem...

- Dziwisz się, dlaczego Victor nie pojawił się na przyjęciu? Podniosła wzrok na Chase'a. Spojrzenie miała jasne i przytomne.

- Nie. Victor był na przyjęciu. Chciał się ze mną spotkać, ale mu odmówiłam. Nie zachowywałabym się tak niegrzecznie, Chase, gdybym wiedziała.

- Wiedziała o czym?

- O tych sekretach - oświadczyła stanowczym tonem i zmarszczyła brwi. - Nie pamiętam, o co chodzi. - Nadaremnie szukała w ciemnościach, próbowała je przeniknąć, zdenerwowana, zmęczona.

W końcu powieki jej opadły, ale po chwili znowu otworzyła oczy. - On przyszedł do mnie do domu.

W tym momencie Chase Tessier zrozumiał, jak może czuć się człowiek zamieniony w bryłę lodu, z każdą żyłką zamarzniętą, z płucami ściśniętymi mrozem.

- Victor odwiedził cię w domu? Kiedy to było?

- Dzisiaj... dziś po południu. - Zamyślona przechyliła owiniętą białym turbanem głowę w pozę boleśnie znajomej, chociaż nie towarzyszyła jej już obfitość bursztynowych włosów.

- Spytałam go, co z niego za człowiek. Jaki z niego ojciec. I wiesz, co odpowiedział?

- Nie. Powiedz mi.

- Niezbyt dobry człowiek, Cassandro. I godny pogardy ojciec.

- A co się potem stało?

- My... rozmawialiśmy. - Mówili o ważnych sprawach. Tak bardzo ważnych. A teraz to wszystko ukryło się w najciemniejszych mrokach niepamięci. - Potem usłyszałam twój głos. - I zaczęłam śnić. - Chase?

- Tak?

- Jestem strasznie zmęczona.

- Wiem - szepnął, ukrywając przed nią lęk, wszystkie swoje lęki. Czy sen był dla niej bezpieczny? Może oznaczał powrót do stanu śpiączki? Czy pytania o Victora nie prowadziły zbyt daleko?

Wznosząc w duchu błagalne modlitwy, Chase patrzył, jak powieki Cass zamykają się powoli. Po chwili dostrzegł drgnienie złocistych rzęs, znak, że Cass zaczęła o czymś śnić.

Kiedy w końcu oderwał wzrok od żony, ujrzał przed sobą Jacka Shannona. Poważny wyraz twarzy świadczył o tym, iż porucznik znajduje się w pokoju już od jakiegoś czasu. Wystarczająco długo.

Udostępniono im na rozmowę pomieszczenie bez okien, poczekalnię opuszczoną przed chwilą przez bliskich człowieka, dla którego dzisiejsza noc okazała się ostatnią.

Tu umierały, rozpadały się rodziny.

Ale Tessierowie nigdy nie byli rodziną.

Chase wpatrywał się z nienawiścią w mężczyznę, którego niegdyś szanował: W ukochanego syna Grandpère'a.

- Widziałeś się z nią, Victorze. Właśnie ty.

- W poniedziałek, Chase. Nie w środę. Kiedy została zaatakowana, byłem w Nowym Jorku. Miałem tam próbę.

Czy w głębi serca Chase wiedział, że wszelka przemoc musi być obca synowi Jean - Luca? Może tak, bo nie przyjął tych wyjaśnień ani z ulgą, ani ze zdziwieniem. Wściekłość nadal w nim wrzała.

- Ale rozmawiałeś z nią o czymś ważnym? O czymś, co ma związek z tą sprawą?

- Ważnym, owszem. - Głos Victora był spokojny, na jego twarzy malowała się powaga. - A czy mającym związek z napadem? Nie. W najmniejszym stopniu. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Zresztą do niedawna sądziłem, że Cassandra została zaatakowana przez włamywacza.

- Ale dzisiaj - odezwała się Hope - kiedy Jack powiedział, że Cass mogła znać napastnika, wymieniałeś imię Roberta, akurat Roberta, bez cienia wahania. Ona musiała ci coś o nim powiedzieć.

- Nie, Hope. Niczego mi nie powiedziała. - Więc dlaczego, Victorze?

- Właśnie dlatego - wyjaśnił cicho Victor Tessier - że podczas naszej długiej rozmowy Cassandra ani razu nie wspomniała o Robercie.

Gmach sądu, San Francisco

czwartek, 8 listopada

Ze schodów przed gmachem sądu San Francisco, w podmuchach porywistego wiatru, wita państwa Beth Quinn.

Korespondentka sądowa stacji Global News Network uśmiechnęła się do kamery. Było wietrznie i zimno. Zanosilo się na deszcz.

- Po siedmiu dniach procesu Craiga Madrida, oficera policji San Francisco oskarżonego o gwałt małżeński, zbliża się moment ogłoszenia wyroku. Sędziowie przysięgli rozpoczęli już obrady, a my wszyscy w napięciu oczekujemy werdyktu. W tej sytuacji mamy nadzieję na konferencję prasową z udziałem obu przeciwników - obrony i prokuratury. Jak nasi widzowie wiedzą, przedstawiciele środków masowego przekazu nie wpuszczono na salę rozpraw.

Ponieważ zapewne żadna ze stron nie chce, aby proces zakończył się błędnym wyrokiem, przedstawiciele prawa będą prawdopodobnie wygłaszać opinie w sposób wyjątkowo ostrożny. Jednak mamy kilka pytań, które chcielibyśmy zadać Hope Tessier. Czy odpowie nam na nie? Wygląda na to, że za chwilę się dowiemy. Hope Tessier i prokurator okręgowy Meryl Atwood właśnie nadchodzą.

Pierwsze pytania, wykrzykiwane przez tłum reporterów, dotyczyły wyłącznie procesu. Czy obie panie są przekonane, że Madrid zostanie uznany za winnego? Jak długo, ich zdaniem, będą obradować sędziowie przysięgli?

- Mamy wygraną sprawę - oświadczyła Meryl Atwood. - Nie wszczynałybyśmy procesu, gdyby tak nie było. Trudno nam powiedzieć, jak długo potrwać będą obrady sędziów przysięgłych, ale jesteśmy głęboko przekonane, że zostanie ogłoszony słuszny werdykt.

- To znaczy: winny.

- Jednogłośnie.

- W swojej mowie końcowej stwierdziła pani, pani Tessier, że gwałt jest rodzajem morderstwa. Jest morderstwem dokonany na duszy kobiety, jak to pani określiła. Czy rzeczywiście pani tak myśli?

Hope Tessier nie odezwała się ani słowem, ale cicha pasja malująca się na jej twarzy wystarczyła za odpowiedź. Tak, Hope wierzyła w słuszność tego, co powiedziała na temat gwałtu. Nigdy by nie wygłosiła podobnego oświadczenia, gdyby z całego serca nie była

przekonana o swojej racji.

- Pani Tessier, jeżeli werdykt będzie brzmiał „winny”, czy nie spowoduje to rozdzwienku pomiędzy biurem prokuratury okręgowej a policją? Czy nie dojdzie do poważnego rozłamu? Detektyw Lawrence Billings, współpracownik oskarżonego, obszernie wypowiada się na temat szkód, które, jego zdaniem, już się z powodu tego procesu dokonały.

- Mam nadzieję, że wszyscy wierzymy, wszyscy wiemy, iż nikt nie stoi ponad prawem. Ani prezydent, ani prokurator, ani policja. Ani prasa.

Słowa Hope zabrzmiały jak ostrzeżenie. Bo też nim były, jak mogli się wkrótce przekonać przedstawiciele środków masowego przekazu.

- Jak się czuje pani bratowa, pani Tessier?

- Bardzo dobrze. Dziękuję.

- Co Cassandra Winter pamięta, jeśli chodzi o napad?

- Przykro mi, ale nie mogę się na ten temat wypowiadać.

- Z pewnych źródeł wiadomo, że Robert Forrest był przesłuchiwany przez policję. Czy jest podejrzany o tę brutalną zbrodnię?

- Jak państwo doskonale wiedzą, nie mam prawa dyskutować na temat policyjnego śledztwa - Hope zamilkła na chwilę, zdając sobie sprawę, że padną jeszcze inne pytania. Na niektóre z nich, co do czego zgodzili się oboje z Chase'em, powinna odpowiedzieć. Zaczęło jednak lać, a ona miała jeszcze ważną informację do przekazania. - Mogę natomiast, za zgodą brata, udzielić państwu informacji dotyczących rekonwalescencji Cassandry. Powiadomić, gdzie Cassandra będzie wracać do zdrowia. Nikt z nas nie zamierza bawić się w kotka i myszkę ze środkami masowego przekazu. Mamy jednak nadzieję, że w zamian za naszą szczerą uszanują państwo prawo Cassandry do prywatności w ciągu następnych tygodni, a może nawet miesięcy.

- Miesiące?

- Cassandra odniosła poważne urazy. Była bliska śmierci. Każdy lekarz powie państwu, że powrót do zdrowia po tak tragicznym wypadku zajmuje dużo czasu. Długa i niezbędna rekonwalescencja Cassandry rozpoczyna się właśnie dziś. W Montagne Noir.

- Dzisiaj?

- Dzisiaj. Powtarzam: to, że Cassandra została wypisana ze szpitala, nie oznacza, że jest już w pełni zdrowa. Lekarze z Centrum Medycznego Courtlandów mają kontrolować jej stan raz, a może nawet dwa razy dziennie. Tak długo, jak to będzie konieczne.

- Lekarze będą wzywani z wizytami domowymi?

- Tak. Z wizytami zamkowymi, jak zażartowała Cass. Na chwilę powróciła wówczas

życzliwie pokpiwająca ze wszystkiego dawna Cassandra. Ten przelotny obraz był tak gorzki i bolesny, że w pochmurnych oczach nowej Cassandry zakreśliły się zniechęcające łzy.

- Wracając jednak do Montagne Noir, pragnę przypomnieć, że góra jest prywatną posiadłością. Osoby wchodzące na ten teren bez pozwolenia zostaną pociągnięte do odpowiedzialności karnej. Z całą bezwzględnością. W pełni zdaję sobie sprawę, podobnie zresztą jak mój brat, z istnienia prawa prasowego. Ale żadne z nas nie zamierza dopuścić do deptania prawa Cassandry do prywatności. Jest ono bowiem - i sądzę, że wszyscy państwo się ze mną zgodzą - prawem nadrzędnym. Cassandra zawsze traktowała środki masowego przekazu życzliwie. W jej imieniu pragnę więc państwu podziękować za uprzejme zastosowanie się do naszej prośby.

I na tym skończyła się, zakłócona ulewnym deszczem, konferencja prasowa z udziałem prokuratury, a w każdym razie jej część nagrywana na żywo. Jednak większość stacji Bay Area, jak również Global News Network i Court TV transmitowały powtórzenie wybranych fragmentów, w tym całą wypowiedź Hope Tessier.

A była to transmisja zdecydowanie efektowna. Pani prokurator stała na schodach przed gmachem sądu, dystygowana, majestatyczna, zdecydowana. Wiatr szarpał nobliwie wyglądający warkocz francuski, chłuszcząc kosmykami o ognistym odcieniu mokrą od deszczu twarz. Ale Hope Tessier nawet nie drgnęła, nie zmrużyła oczu, a jej łagodny głos brzmiał mocno.

Spokojnie, a mimo to groźnie.

I stanowczo, pomyślał Nicholas Wolfe, który oglądał wywiad, siedząc w dawnej wozowni majątku przy Zinfandel Lane w Napa, gdzie mieszkał i pracował w stadninie koni.

Hope zawsze była taka stanowcza. Patrzył na ekran, dopóki mógł jeszcze widzieć dawną przyjaciółkę, a potem zatonął we wspomnieniach. Przed oczyma wyobraźni przesuwały się inne wizerunki Hope, poczynając od tych sprzed trzynastu lat, z czasu tamtych wakacji w Willow Ranch.

Początek pobytu Hope w Willow Ranch wyglądał podobnie jak na innych obozach - piłkarskim w Tours albo żeglarskim nad Jeziorem Genewskim.

Pierwszych kilka godzin - czy to we Francji, Szwajcarii czy w Montanie - poświęcano na odebranie uczestników z lotniska, dowiezenie ich na teren obozu i rozlokowanie w domkach kempingowych. Potem zbierano wszystkich na wspólnym apelu, witano i informowano o organizacji życia obozowego.

Dla Hope zapoznanie z Willow Ranch wypadło przyjemniej niż dla innych, bo przecież jej mama spędzała tu letnie wakacje jako dziewczynka. I teraz Hope była już na tyle

duża, żeby iść w ślady ukochanej matki. Wreszcie miała trzynaście lat, co przyjmowano za dolną granicę wieku dla uczestników obozu na ranczo.

Najbliższe, oddalone o sto kilometrów lotnisko znajdowało się w Great Falls. Ponieważ dobra organizacja i sprawność były znakiem firmowym Willow Ranch, przylot setki uczestniczek obozu zaplanowano na mniej więcej tę samą porę. Z równą sprawnością zapakowano dziewczęta oraz ich bagaż do niewielkiej karawany minibusów zielonych jak wierzbowe listki i wyruszono w drogę.

W czasie podróży każda z obozowiczek dowiedziała się, w którym domku będzie mieszkać tego lata i przy którym stole ona i jej koleżanki mają jadać. Domek Hope nazwał się Meadowlark, a stół miał numer dwunasty.

Hope pokochała Willow Ranch, jeszcze zanim zobaczyła je na własne oczy. Pokochała dzięki opowieściom matki o obozowych ogniskach przy świetle księżyca, o prawoślazowych cukierkach i żeglowaniu pod letnim niebem Montany. Rzeczywistość nie przyniosła dziewczynce rozczarowania. Jezioro Wilderness lśniło błękitem, listki słynnej wierzby kołysały się lekko, jakby machały jej na powitanie, a wznoszące się w oddali góry połyskiwały bielą śniegu.

Domek nad jeziorem okazał się wprost doskonały, a cztery koleżanki, z którymi miała spędzić lato pod jednym dachem - cudowne. Wszystkie były od niej starsze o co najmniej trzy lata, a jedna skończyła już nawet osiemnaście lat.

Nigdy przedtem Hope nie mieszkała ze starszymi dziewczętami. W internacie szkoły Edwiny Barclay w Greenwich, czy ostatnio we francuskiej szkole w dolinie Izery uczennice rozdzielano według wieku, identycznie jak w czasach, kiedy jej matka uczyła się w tych samych renomowanych miejscach. Linia podziału - i wtedy, i teraz - stanowił wiek czternastu lat.

Ale w Willow Ranch Hope miała zamieszkać ze starszymi koleżankami i cieszyła się z tego ogromnie. Myślała, że tyle się od nich nauczy, zwłaszcza że pozostałe mieszkanki Meadowlark przyjęły ją ciepło, serdecznie, zupełnie jakby była ich dawno niewidzianą młodszą siostrzyczką.

W ich serdecznym zachowaniu kryło się jednak coś jeszcze: współczucie. Oczywiście, współczucie, pomyślała z ulgą Hope, patrząc, jak koleżanki rozpakowują bagaże. Te starsze, dojrzałe już dziewczęta bardzo dbały o swój wygląd, o stroje, makijaż, uczesanie.

Hope Tessier, kiedy tylko wybór należał do niej, nosiła dzinsy i sportowe koszulki. Była stanowczo zbyt młoda, żeby się malować, a włosy miała obcięte króciutko, na chłopaka. To ta fryzura, uznała, wywołuje największe współczucie - i zaniepokojenie - u nowych

przyjaciółek. Ale przecież sama taką wybrała.

Na krótką chwilę Hope zrobiło się przykro, że być może starsze dziewczęta współczują jej z powodu stroju i włosów. Zaraz jednak przewyciężyła ten nastrój. No i dobrze! Wszystko to należało do gry, dawało dreszczyk emocji związany z pobytym w Willow Ranch - spotkać nowych ludzi, dowiedzieć się czegoś o nich, zaakceptować ich takimi, jacy są, i zostać przez nich zaakceptowaną.

Jedyna walizka Hope dawno już była rozpakowana, a młode wysportowane ciało było zniecierpliwione zbyt długą bezczynnością. Do pierwszego oficjalnego spotkania uczestników obozu w jadalni głównego budynku rancza zostało jeszcze pół godziny.

Hope serdecznie pożegnała swoje współmieszkanki - niedługo miały się znów spotkać przy stole numer dwanaście - i wyruszyła na przechadzkę, która zawiodła ją pod majestatyczne drzewo, żywy symbol, znany z obozowego logo. Na ósme urodziny Hope dostała koszulkę ze znakiem Willow Ranch.

Teraz miała na sobie jej nową wersję - i inny rozmiar. Luźny strój był częścią starannie zapakowanego prezentu, który matka wręczyła dziewczynce w marcu, nie czekając nawet na dzień urodzin.

Cudownego prezentu. Regulamin Willow Ranch owinięty był w jasnozieloną koszulkę razem z naklejkami na bagaże, poświadczającymi, że Hope naprawdę spędzi lato w miejscu, o którym tyle słyszała.

I wreszcie znalazła się tutaj. Stojąc pod słynną wierzbą, powtarzała w myśli słowa czytane wielokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy. Przywoływała nawet zakazy, które nie mogły jej w najmniejszym stopniu dotyczyć. Właściwie większość tych przepisów ustanowiono ze względu na starsze dziewczęta, takie jak jej koleżanki z Meadowlark, które interesowały się chłopcami.

Pod żadnym pozorem, głosił regulamin Willow Ranch, nie wolno uczestniczkom obozu umawiać się z opiekunami. Zdaniem Hope był to zupełnie zbędny zakaz. Wychowawcy mieli przecież co najmniej po dwadzieścia jeden lat, nie byli więc chłopcami, tylko dorosłymi mężczyznami. O wiele za starymi, sądziła Hope, dla nawet najbardziej dojrzałej nastolatki. A jednak ten przepis, absolutny zakaz, pojawiał się w regulaminie kilkakrotnie, podobnie zresztą jak uwagi - w znacznie mniej kategorycznym tonie - mówiące o przyjaźni z chłopcami z Ravenwood, obozu leżącego po drugiej stronie jeziora.

Dżinsy dozwolone były w jadalni Willow Ranch tak długo, jak były czyste. To samo dotyczyło bermudów. „Cisza nocna” oznaczała ciszę. I tak dalej, strona po stronie, kolejne równie oczywiste informacje.

Ale nigdzie, Hope była tego absolutnie pewna, nie było zakazu wspinania się na dostojną wierzbę.

Natychmiast ten fakt wykorzystała.

Z daleka Nick dostrzegł jakieś poruszenie na drzewie. Liście trzęsły się tak intensywnie, że ogarnął go lęk, iż to zagubiony kociak kuguara albo porzucone niedźwiedziątko buszuje w gęstwinie gałęzi. Jego ciekawość wzrastała w miarę, jak drganie przesunęło się coraz wyżej, towarzysząc gwałtownej wspinaczce oszalałego zwierzątka, które najwyraźniej straciło orientację, a może próbowało skryć się przed pogonią.

Nick zostawił robotę i szybkim krokiem ruszył przez korral. Stanąwszy pod drzewem, podniósł wzrok i usiłował zajrzeć pod ciężką zasłonę liści.

Nicholas Wolfe nie przepracował w Willow Ranch jeszcze nawet pełnego dnia. Jednak już godzina spędzona w tym rozległym majątku wystarczała, by stwierdzić, że ranczo bardziej przypominało klub ziemiański - szykowne miejsce, gdzie letnią porą córki bogatych i uprzywilejowanych rodzin spędzają wolny czas. Wydawało się mało prawdopodobne, zakładał Nick, by rozpieszczone panienki wchodziły na drzewa.

A jednak to była dziewczyna, chociaż włosy barwy cynamonu miała króciutko ostrzyżone. Wyglądała na bardzo młodą i przyjazną światu. Uważne spojrzenie Nicka powitała entuzjastycznym skinieniem ręki i promiennym uśmiechem.

- Cześć!

- Cześć! - mruknął Nick, zaskoczony. Czy ktokolwiek witał go kiedyś z taką bezinteresowną radością? - Wszystko w porządku?

- Tak. Świetnie. Naprawdę wspaniały stąd widok i... - W czystym powietrzu Montany rozległo się jasne, rześkie dzwonienie. - Oops. Czas na mnie.

- Uważaj.

- Dobrze. Ani trochę nie uważała, uznał Nick, widząc, jak zsuwa się na dół. Była zupełnie pozbawiona lęku - zwinna dziewczyna poruszająca się z bezpretensjonalnym wdziękiem młodego kuguara, za którego z początku ją wziął.

Hope zeskoczyła z ostatniej gałęzi i wylądowała prosto przed Nickiem. Twarz miała zarumienioną z radości, oczy błyszczały zielenią. Objęła nowego znajomego otwartym, szczerym spojrzeniem i zanim pobiegła na zbiórkę, zdążyła jeszcze zaprezentować się w roli uprzejmej damy, na którą była wychowywana.

Uprzejmej, a jednocześnie zaskakująco szczerzej.

- Dziękuję za troskę - powiedziała i popędziła przed siebie. A Nick, chociaż sygnał dotyczył także jego, zawrócił do korralu, żeby dokończyć karmienie koni.

Stół numer dwanaście znajdował się prawie na końcu rozległej jadalni, w pobliżu okna wychodzącego na stajnie, pastwiska i ośnieżone szczyty Gór Skalistych w tle. Hope właśnie podziwiała ten widok, kiedy delikatny brzęk łyżeczki o krawędź szklanki uciszył panujący wokół szum i zmusił do zwrócenia uwagi na to, co działo się po drugiej stronie sali.

Pani Fairchild, kierownik rancza, otoczona batalionem wychowawców i innych członków personelu obozowego, rozpoczęła oficjalne powitanie.

- Panienki, jeśli można, proszę o uwagę. - Alicia Fairchild sama nie uczęszczała do Vassar. Miała jednak świadomość, że zwraca się do przyszłych wychowanek tego i innych równie szacownych college'ów: do młodziutkich dziedziczek, które już obecnie uczyły się w najlepszych szkołach. - Dziękuję. I serdecznie witam was wszystkie. Jakaż to przyjemność widzieć w Willow Ranch grupę tak wyjątkowych młodych kobiet. Doprawdy, jesteście najlepszymi z najlepszych.

- Co roku powtarza to samo - skomentowała jedna z mieszkanek Meadowlark, osiemnastoletnia, ładna i bardzo pewna siebie blondynka, Trish. Była ekspertem od wszystkiego, co dotyczyło życia na ranczo, bo spędzała tu już trzecie lato. Tym razem zademonstrowała jednak swoje talenty w jeszcze jednej dziedzinie: potrafiła wygłaszać różne uwagi szeptem w sposób niemal niezauważalny. W każdym razie pani Fairchild nie zwróciła na to uwagi. Chyba w ogóle nie była świadoma, że Trish się odezwała.

Szeptanie, kiedy ktoś mówi, było niegrzeczne, i Hope nigdy by się tak nie zachowała. Ale Trish robiła to bardzo dyskretnie, a w dodatku miała tyle ciekawych rzeczy do powiedzenia, iż Hope przyłapała się na tym, że słucha jednocześnie przemówienia kierowniczkii obozu i wygłaszanych przez koleżankę komentarzy.

- Mamy tu w Willow Ranch pewne zasady - ciągnęła pani Fairchild.

- Zasady, do których należy się stosować - podsunęła Trish tonem ostrzeżenia na chwilę, zanim kierowniczka wypowiedziała te słowa.

- Wiem, że każda z was, tak jak o to prosiliśmy, czytała już regulamin. Chciałabym jednak, żeby dzisiaj wieczorem, w czasie godziny poprzedzającej ciszę nocną, wszystkie uczestniczki obozu zapoznały się z nim raz jeszcze.

- To nam zajmie dziesięć minut. Najwyżej - poinformowała koleżanki Trish, - A potem mamy czas na sekrety.

- Czas na sekrety? - zaniepokoiła się Robyn o wiele głośniejszym, niż należało.

Ale pani Fairchild sprawiała wrażenie, jakby niczego nie zauważyła i niestosowne zachowanie zostało pущzone w niepamięć. W końcu Robyn miała tylko szesnaście lat.

- Nie bój się, Robsy - wtrąciła osiemnastoletnia Jenna. - Dzielenie się tajemnicami jest

całkowicie dobrowolne. A poza tym Trish ma wystarczająco dużo sekretów za nas wszystkie.

Jenna wiedziała, co mówi. Była najlepszą przyjaciółką Trish, równie jak ona pewną siebie, ładną i miłą. Próba uspokojenia młodszych dziewcząt dobrze o niej świadczyła.

Robyn, od tej chwili już Robsy, westchnęła z ulgą. Hope także poczuła się, jakby kamień spadł jej z serca. Nie miała żadnych sekretów, a byłoby jej głupio, gdyby koleżanki uznały, że nie chce się im zwierzyć.

- Okay, teraz słuchajcie - poleciła Trish szeptem, który mimo wszystko brzmiał jak rozkaz. - Pani Fairchild zaraz zacznie nam przedstawiać tegorocznych przystojniaków. I - obrzuciła wychowawców badawczym spojrzeniem - miło mi was zawiadomić, że w porównaniu z zestawem z zeszłego lata, doprawdy ze wszech miar ponurym, wprowadzono pewne zmiany.

- Uczestniczkom obozu nie wolno umawiać się na randki z wychowawcami - mruknęła Robsy.

- Och, zamknij się. A poza tym, kto mówi o randkach? Opiekunowie w Willow Ranch musieli legitymować się równie dobrym pochodzeniem - i majątkiem - jak ich podopieczne. Wszyscy razem stanowili wspaniały przykład amerykańskiej młodzieży z uprzywilejowanych środowisk, dziewcząt i chłopców patrycjuszowskiej krwi, dbających o strój, z należytą uwagą pielęgnujących figurę, włosy, zęby. Wychowawcy ubrani byli zgodnie z obowiązującym w ziemiańskim klubie szykiem - luźne spodnie koloru khaki, koszulki polo o barwie wody w jeziorze z naszytym symbolem rancza i firmowe obuwie sportowe różnego typu, ale obowiązkowo nieskazitelnie białe.

- Ja biorę tego - siedemnastoletnia Bonnie odezwała się po raz pierwszy.

- Możesz go sobie wziąć. - Rzuciwszy okiem na absolwenta Princeton, który jesienią miał rozpocząć studia na harwardzkim wydziale prawa, Trish pogardliwie uniosła brwi. - Był tu zeszłego lata. Kompletny mięczak w skórze wilka, przykro mi to stwierdzić.

- Och! Nie... nie wiedziałam.

- Trish - szepnęła Jenna - a co powiesz o tym? Dyskretnie wskazała młodego mężczyznę, z którym Hope rozmawiała pod wierzbą. Dziewczynka była zupełnie pewna, że nie został przedstawiony przez panią Fairchild na początku jej przemówienia.

Stał z boku, ostentacyjnie odizolowany od reszty zebranych. W niedbały, bezczelny sposób opierał się o najodleglejszą ścianę. Zamiast eleganckiego khaki miał na sobie zwykły drelich i przybrudzone, zdarte buty. Zmierzwił, długie włosy otaczały czarną grzywą twarz bez cienia uśmiechu. I na dodatek palił. Palił w sali jadalnej, łamiąc zakaz znany wszystkim dziewczętom z dobrych domów, uczennicom najelegantszych szkół, nawet tym, które nie

zdążyły jeszcze przeczytać regulaminu Willow Ranch.

- A kim on jest? - spytała Robyn. - Kowbojem? Czy może Indianinem?

- Kto go tam wie? - odparła Trish. - Zresztą, co to ma za znaczenie? Jest wspaniały, kimkolwiek jest.

- Wspaniały? - syknęła Bonnie, najwidoczniej nadal urażona uwagami Trish o jej wybranku. - Wygląda na aroganta i łajdaka.

Na aroganta? - zastanowiła się Hope. Nie. On nie jest arogancki, tylko dumny. Na łajdaka? Zatrzaszczył się o nią, kiedy schodziła z drzewa. Nie, z pewnością nie był łajdakiem.

- To się nazywa „mężczyzna niebezpieczny”, najmiłsza Bon - Bon - wyjaśniła słodkim tonem Trish. - I niewiarygodnie seksowny. A ja, tak się składa, nie obawiam się ani niebezpieczeństwa, ani seksu. On jest mój, panienki. Kowboj jest mój.

Oświadczenie Trish zbiegło się z ostatnimi słowami przemówienia pani Fairchild.

- Przedstawiłam wam już wszystkich oprócz, rzecz jasna, Sabriny. - Na widok grzecznie, ale uparcie wzniesionych w górę palców kierowniczką obozu gniewnie zmarszczyła brwi. - Tak, Trish?

- Bardzo przepraszam, że przerywam, pani Fairchild, ale jestem pewną, że on nie ma na imię Sabrina. - Trish z wdziękiem skinęła w stronę kruczoczarnych włosów i wijącej się smużki dymu, wywołując w całej sali atak zduszonego chichotu.

- Nie, oczywiście, że nie - mruknęła pani Fairchild. - Proszę wybaczyć. Nie zauważyłam, kiedy wszedłeś.

Głos Alicii Fairchild brzmiał uprzejmie, ale wyraz jej twarzy mówił Sam za siebie: młody człowiek spóźnił się, wślizgnął do jadalni ukradkiem, palił, a jego odzież przedstawiała opłakany widok, podobnie zresztą jak włosy. Słowa usprawiedliwienia miały więc chyba znacznie mniej wspólnego z tym, że zapomniała przedstawić jednego z członków personelu, niż z uczuciem zażenowania, iż musiała zatrudnić taką osobę, nie znalazła nikogo lepszego, kiedy Joe, który od lat pracował w Willow Ranch, niespodziewanie zachorował.

Pani Fairchild zerknęła na kartkę z nazwiskami.

- To Nicholas Wolfe – oznajmiła.

- O, tak - szepnęła Trish z entuzjazmem. - Wilk w wilczej skórze. Nareszcie.

- Nicholas... ach, prawda, życzyś sobie, żeby nazywać cię Nick. - Mimo manier wyniesionych z dobrej szkoły pani Fairchild nie potrafiła ukryć, jak niesmaczne i prostackie jest przedkładanie Nicka nad Nicholasa. Chociaż imię Nick pasowało do człowieka tak nieokrzesanego. - Tego lata Nick będzie zajmował się końmi w Willow Ranch. Został tu zatrudniony dla koni, nie dla was.

- Ale ja chcę, żeby Nick był tu dla mnie - zawiadomiła Trish koleżanki zebrane przy stole numer dwanaście. - Chcę, żeby mną się zaopiekował.

Pani Fairchild wyraźnie się spieszyła, bo narastający w jadalni szum oznaczał, że nie tylko Trish skomentowała jej wypowiedź.

- Mam na myśli to, że Nick nie będzie udzielał lekcji jazdy konnej. Zgodnie z prawem tylko doświadczeni jeźdźcy mogą korzystać z koni w Willow Ranch. I nie ma najmniejszego znaczenia, za jak wprawne amazonki się uważacie. Bez zgody podpisanej przez rodziców nie można rozpocząć jazd.

- Ale ja życzę sobie, żeby Nick udzielał mi lekcji jazdy - jęczała Trish. - Chcę lekcji z Nickiem. Jestem pewna, że nauczyłby mnie więcej, niż umiem.

- On stoi niżej od ciebie - upierała się Bonnie.

- Nie zamierzam wychodzić za niego za męża, Bon - Bon! A czy będzie chciał być niżej czy na wierzchu, to już jego wybór. - Wyraz twarzy Trish z żartobliwego zmienił się w poważny, kiedy jej wzrok padł na najmłodszą mieszkankę Meadowlark. - Och, Hope! Speszylaś cię. Pewnie nawet nie masz pojęcia, o czym mówiłam?

- Mam pojęcie - odparła Hope, chociaż, prawdę powiedziawszy, było ono bardzo mgliste. Wiedziała jednak wystarczająco dużo, żeby zrobiło jej się przykro za Nicka z powodu sposobu, w jaki o nim rozmawiały, zupełnie jakby był przedmiotem, pozbawioną uczuć zabawką. - Pewnie, że wiem.

- Ale zawstydziałaś się? Nie trzeba. Proszę. - Trish wyglądała na zmartwioną. - Twoja niewinność jest taka czarująca, Hope. Taka wartościowa, zupełnie jak ty sama.

Hope oblała się rumieńcem i zamilkła, ponieważ pani Fairchild znów zaczęła mówić.

- Teraz - oświadczyła kierowniczka Willow Ranch - mam przyjemność oddać głos Sabine Blyth. Jak wszystkie wiecie, przez ostatnie pięć lat obóz nasz oferował wybranym uczestniczkom rewelacyjny program odchudzania. Nazywamy go „Zwycięzaj”, co pozwala osoby, które z niego skorzystały, obdarzyć mianem zwyciężczyń. Dzięki Sabine program „Zwycięzaj” stał się oszałamiającym sukcesem, sukcesem tej miary, że w tym roku aż szesnaście spośród was zgłosiło chęć uczestniczenia w nim. Ale dlaczego to ja o tym wszystkim opowiadam? Sabrino, proszę bardzo.

Sabrina Blyth miała dwadzieścia osiem lat i dyplom psychologii. Jak powiedziała zebranych w jadalni dziewczętom, które słuchały jej z pełnym szacunku skupieniem, sama była zawsze szczupła. Patrzyła jednak z bólem na udramkę swojej młodszej, cierpiącej na nadwagę siostry.

- I właśnie dlatego tak bardzo zaangażowałam się w nasz program. Wiem, jak źle

może być osobie zbyt tęgiej, zwłaszcza nastolatce. Problem ten można pokonać, ucząc się sympatii i szacunku do własnej osoby, zadowolenia z samej siebie i miłości, niezależnie od tego, co pokazuje waga. Drugim rozwiązaniem jest, oczywiście, utrata zbędnych kilogramów. Program „Zwycięzaj” opiera się na obu tych metodach. Uczymy się kochać same siebie i chudniemy. Szesnaście waszych koleżanek dzieli ze mną to przekonanie i osiągnie oba cele jeszcze tego lata, właśnie dzięki pomocy wszystkich zebranych w tej sali. Tak naprawdę każda z nas korzysta z programu „Zwycięzaj” w Willow Ranch. I każda zwycięża. Wszystkie uczymy się rozumieć innych, pomagać im, ufać i wspierać się nawzajem. Trzeba prawdziwej odwagi, żeby pojechać na obóz, gdzie większość koleżanek jest szczupła. Wielkiej odwagi! Czy mogę poprosić was, odważne młode kobiety, abyście wstały, kiedy odczytam wasze nazwiska, i opowiedziały nam trochę o sobie?

Intencją Sabriny było uhonorować, a nie upokorzyć główne bohaterki programu „Zwycięzaj”. Dziewczęta, szczęśliwe, że udało im się dostać na listę uczestniczek, podrywały się ochoczo, gdy tylko padało kolejne nazwisko. Ich odwagę i optymizm witano oklaskami. Jeszcze żywsze oklaski i pomruk prawdziwego współczucia wywoływały czytane przez Sabrinę wzruszające fragmenty prac, w których otyłe dziewczynki opisywały swoje problemy.

- I wreszcie - oznajmiła Sabrina - ostatnia, co nie znaczy, że mniej ważna, uczestniczka naszego programu. Jest nią najmłodsza z tegorocznych obozowiczek, Hope Tessier. Obawiam się, Hope, że twoja praca gdzieś się zapodziała. Wobec tego informacje o tobie przeczytam po prostu z podania o udział w naszym programie. Co my tu mamy? Zobaczmy. Urodziłaś się w Kalifornii, w Napa Valley. Waga od lat była dla ciebie problemem. Twoja matka to - o rety - znana powieściopisarka Frances Tessier, a ojciec - cóż za utalentowana rodzina, Hope - to słynny skrzypek Victor Tessier. Czy mogłabyś wstać, Hope? Tak, żeby koleżanki mogły cię powitać, podczas gdy ja będę dalej czytała?

Hope podniosła się, ponieważ zawsze robiła to, co jej kazano, i zawsze starała się - och, jak bardzo się starała - robić wszystko jak należy. Ale teraz, kiedy stała, trzęsąc się na całym ciele, jej młode serce krzyczało z rozpacz. Nie. Nie! To nie o mnie chodzi!

Nigdy przedtem nie słyszała o programie „Zwycięzaj”, a tym bardziej nie pisała żadnej pracy o swoich cierpieniach. Nie wypełniała nawet żadnego podania. Otworzyła tylko starannie zapakowany prezent urodzinowy. Waga nie była dla niej problemem... ani trochę. A może tak?

Tak, najwyraźniej tak. Przecież dlatego tu się znalazła. W miejscu, gdzie przegrani mają szansę zostać zwycięzcami. W miejscu, które mama uznała za szczególnie odpowiednie,

które sama dla niej wybrała.

Ale jej piękna, szczupła matka nigdy nawet słowem nie wspomniała o nadwadze. Nikt nie wspomniał.

I teraz nagle okazało się, że Hope Tessier ma jednak sekret - sekret znany wszystkim oprócz niej samej, wstydliwą tajemnicę, którą każdy mógł dostrzec.

Nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Nie było takiego miejsca. Na twarzach wokół malowały się współczucie i zrozumienie, potwierdzające tylko smutną prawdę, że Hope nie była w stanie kontrolować swego problemu, obojętnie jak bardzo się starała.

Ale ja przecież nigdy nie próbowałam!

I wtedy wzrok Hope padł na niego.

Na Nicka.

A on patrzył na nią.

Nicholas Wolfe już nie opierał się niedbale o ścianę. Był Czujny, napięty, chociaż spokojny. Błyszczące niebieskie oczy spoglądały surowo, uważnie. Nick nie klaskał razem z pozostałymi, kiedy Sabrina przedstawiała problemy Hope.

Patrzył tylko na dziewczynkę, tak jakby chciał zabrać ją jak najdalej od tego okrucieństwa, na które - jak mówił jego zawzięty wzrok - na pewno nie zasłużyła.

Uratowanie Hope od dalszych tortur wydawało się wyczynem nieprawdopodobnym. A jednak Nick dokonał cudu poprzez samo pragnienie niesienia pomocy, bo kiedy Hope spojrzała mu w twarz, coś poruszyło się w głębi jej duszy, jakaś iskierka radości, która jeszcze do końca nie wygasła.

Och, w porządku!

Może to było jej ostatnie „och, w porządku”. Ale w tym momencie Hope Tessier nie widziała innego sposobu, by przetrwać koszmar.

I wytrzymała. Usiadła i słuchała, jak pozostałe mieszkanki Meadowlark mówią jej wszystko, co w takiej sytuacji należało powiedzieć, wygłaszają zapewnienia, możliwe, że zalecane w materiałach programowych dla szczupłych uczestniczek obozu, które miały „zwyciężyć” poprzez wspieranie swych otyłych koleżanek.

- Wcale nie jesteś taka tęga - powiedziała Jenna.

- Racja - przytaknęła Bonnie. - Prawdę mówiąc, rozmawialiśmy nawet o tym, kiedy wyszłaś na spacer. Masz tylko odrobinę dziecięcego tłuszczu i to wszystko!

Rozmawialiście o mnie?

- Pulchność - zapewniła Jenna - którą łatwo stracisz, jeśli tylko naprawdę zechcesz.

Pulchność? Nie. Jestem tłusta. Spasiona. Hope czuła, jaka jest gruba, nabita. Teraz

każda komórka jej ciała ciążyła... i trzęsła się.

- A ja nie bardzo rozumiem, dlaczego w ogóle chcesz się odchudzać - powiedziała Trish. - Mam na myśli to, że waga najwyraźniej nie przeszkadza ci w osiągnięciu sukcesów w sporcie. A chłopcami, najdroższa, niewinna Hope, przecież jeszcze się nie interesujesz. Więc co ci zależy?

Mojej matce zależy! Nie rozumiesz? Ona przez całe lata czuła się zażenowana, upokorzona moim wyglądem.

- Zgadzam się z Trish - oświadczyła Robyn. - Dopóki jesteś szczęśliwa, Hope, tusza nie ma żadnego znaczenia.

Shczęśliwa? Hope nie pamiętała już, co to znaczy.

Do ich stołu zbliżyła się pospiesznie Sabrina, zaniepokojona, czy wiadomość o udziale w programie nie była dla dziewczynki szokiem. Taki początek mógłby zmarnować całą przyszlą pracę, ponieważ program „Zwycięzaj” - jego ogromny sukces - opierał się na zaangażowaniu i dobrowolnym wyborze.

- Możliwe, że zaszła jakaś pomyłka - zwróciła się do Hope. - Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale...

- Nie - odparła głucho Hope. - To nie jest pomyłka. Frances Tessier nie powiedziała córce ani słowa, ale w ciągu wielu lat dostarczyła aż nadto wskazówek, które teraz splatały się w jedną całość. Hope zdała sobie sprawę, z jakim wyrazem twarzy matka patrzyła na co grubsze spośród jej szkolnych koleżanek. I jak marszczyła brwi, zwracając potem wzrok ku niej. Dopiero teraz dotarły do dziewczynki ciągle powtarzane uwagi, że dla osoby pozwalającej sobie na taki wygląd nie ma żadnego wytłumaczenia.

I jeszcze te talerze owoców, które matka zawsze zamawiała dla nich obu. I sałatki. I wreszcie najwyraźniejszy trop: radość Frances - czy też ulga? - że córka kończy już trzynaście lat i może spędzić wakacje w Willow Ranch.

- Chcę być tutaj - oświadczyła Hope koleżankom z Meadowlark i Sabine. Tu, w miejscu, o którym marzyła od tak dawna, w krainie cukierków prawoślazowych i żeglowania pod letnim niebem, gdzie każdego serdecznie się wita i przyjmuje takim, jaki jest.

Pod wpływem nowego ataku bólu i rozpacz Hope pobiegła wzrokiem ku ścianie, ale Nicholas Wolfe już odszedł.

Zobaczyła go później, w czasie obiadu, którego w ogóle nie tknęła. Nick był na pastwisku za korralem. Z daleka wyglądało, jakby rozmawiał z koniem.

Willow Ranch, Montana
trzydzieści lat wcześniej

Tydzień później Nick znalazł Hope w jej kryjówce, na wypełnionym sianem strychu nad stajnią.

Nie miał wątpliwości, że tam będzie, podobnie jak w ciągu Ostatnich sześciu dni. Siedziała tak godzinami, schowana przed oczami niepowołanych osób. Jednak przed nim nie zdołała się ukryć. Nick wiedział, kiedy wspinała się na górę po drewnianej drabinie, a gdy znikwała, próbował odszukać jakieś ślady wyjaśniające, dlaczego wybrała akurat to miejsce.

Niczego jednak nie znalazł, oprócz wgłębienia w sianie, gniazdko, w którym kuliła się, samotna i milcząca.

Dziękuję za troskę, powiedziała mu pierwszego dnia, a potem w jadalni spoglądała na niego z wdzięcznością.

Nick niepokoił się o to dziecko, które zapamiętało się w uporze i rozpacz.

Tego dnia, kiedy ją zagadnął, Hope siedziała w swoim gniazdku w sianie zwinięta w ciasny kłębuszek, a jej bystry umysł koncentrował się na kolejnych zadaniach programu.

Ślęczała nad jasnozielonym notatnikiem z emblematem obozu i zastanawiała się, co napisać. Tak bardzo chciała wykonać zadanie, tak była tym zaabsorbowana, że nie usłyszała nawet, kiedy nadszedł.

- Cześć.

- Och! - podniosła czujny wzrok. Dziewczynka, która dawniej bez oporów potrafiła wspinać się na drzewa, teraz wyglądała na zaleknioną. - To źle, że tu przyszedłam?

- Źle? Nie. Ani trochę. Czy mogę usiąść?

- O, tak. Oczywiście.

- Dzięki. - Gniazdko zbudowane przez to młode stworzenie, przez tę zranioną łanię, nie było duże, zaledwie złocista łąta słomy obramowana belami siana. Nick usiadł pod jedną z bel twarzą ku Hope i, zapalając papierosa, uważnie przyjrzał się dziewczynce. - Jestem Nick.

Hope skinęła głową. To z jego powodu tu przyszła, przybiegła w rozpacz, bo czuła, że musi gdzieś się schować, a nie potrafiła wymyślić żadnej innej kryjówki. Ale kiedy dotarła do stajni, do człowieka, który zatroszczył się o nią, Nick był akurat w korralu i rozmawiał z Trish. Więc Hope wspięła się po drabinie na strych. Znalazła miejsce, jedyne bezpieczne... w pobliżu niego.

A jednak teraz Nick przedstawił się Hope, jakby jej nie pamiętał.

- Wiem - powiedziała cicho.

- A ty jesteś Hope, która wdrapuje się na wierzby i która urodziła się w Napa, i otrzymuje najlepsze oceny, gdziekolwiek się znajdzie, i świetnie gra w piłkę...

Jakimś cudem każde słowo z podanej przez Sabrinę informacji wryło mu się w pamięć, tak jak cierpienie Hope zostawiło ślad w jego sercu. W sercu? W tym zimnym, pustym miejscu, które nie doświadczyło miłości? Nie miało powodu, by kochać? - Co robisz? - zapytał.

- Pracuję nad moim zadaniem na dzisiaj.

- Zadaniem? Myślałem, że jedyne zadanie w Willow Ranch to dobrze się bawić.

- Ale... ja biorę udział w programie „Zwycięzaj”.

- Wiem. - Nick popatrzył na nią, na tę dziewczynkę, której, pulchne ciało było prawdziwym okazem zdrowia i energii. - I nie rozumiem, dlaczego.

- Co dlaczego?

- Dlaczego bierzesz udział w programie „Zwycięzaj”. - Wyglądało na to, że jego uwaga, zamiast uspokoić, wprawiła dziewczynkę w zakłopotanie. Bo Hope już się poddała, zdał sobie sprawę Nick. Jej rana była tak ciężka, zdrada, której doznała, tak paraliżująca, że jedyną nadzieją na poprawę, na poradzenie sobie z sytuacją wydawało się podporządkowanie bez słowa protestu wszystkim zaleceniom Sabriny i programu „Zwycięzaj”. - Jakie dostałaś zadanie? A może to sekret?

- Nie. - Nie ma już żadnych sekretów. Nigdy więcej. To również należało do zadania: mówić o swoim „problemie”, o otyłości, prosto i bez ogródek. - Dziś wypisuję wszystkie powody, dla których jem. To znaczy, staram się wypisać. Najpierw muszę je odkryć. I nie bardzo mi to idzie.

- A bycie głodnym się liczy?

- Chyba tak - mruknęła i jej twarz rozjaśnił błady cień dawnego promiennego uśmiechu, którym obdarzyła go podczas spotkania przy wierzbie. - Czy to dlatego jesz?

- No, pewnie.

- To wspaniale.

- Ty też przecież jesz, bo jesteś głodna. Na przykład kiedy spędzisz całe popołudnie na grze w piłkę.

- Tak. - przyznała Hope i posmutniała. Nie mogła sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś zagra w piłkę, założy szorty, będzie biegać po boisku z tym swoim trzęsącym się, ciężkim cielskiem. - Ale... ja jem nie tylko wtedy, także z innych powodów. Jak dotąd odkryłam

jeden. - Zaczerpnęła powietrza, po czym pospiesznie wyznała: - Jem, kiedy czuję się samotna.

Och, Hope Tessier, nie czuj się samotna. Nicka ogarnęła zdumiewająca chęć, by ją objąć, ukołysać, pocieszyć. Jego, który rzadko kogoś dotykał, a jeśli nawet - to na pewno nie z takich pobudek.

Ale Hope nie potrzebowała od niego pociechy. Kiedy oświadczyła, że je, gdy czuje się samotna, że ma takie chwile pustki w życiu, po jej twarzy przemknął błysk ulgi. Mimo wszystko podołała zadaniu, ona, ta sumienna uczennica, która zawsze otrzymywała najlepsze stopnie. Znalazła ukryty powód obżarstwa i głośno się do niego przyznała.

Dziewczynka rzuciła okiem na zegarek. Wyraz ulgi na jej twarzy zastąpił popłoch i odrobina żalu.

- Muszę lecieć - oświadczyła. - Dzisiejszy wykład o odżywianiu zaczyna się za dziesięć minut.

- Przychodź tu, kiedy tylko zechcesz, Hope. Wszystko będzie dobrze. Przez następne trzy tygodnie przychodziła codziennie i rozmawiali na strychu. Nick dołączał do niej niezapraszany, ale zawsze serdecznie witany. Ale pewnego dnia Hope sama odszukała go w stajni, właśnie gdy obrządzał sroką klacz.

- Przyniosłam jabłko dla koni, to znaczy dla któregoś z nich.

- Swoje jabłko, Hope?

- Jem, kiedy jestem głodna, a teraz nie byłam głodna. Nick obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Mimo upału miała na sobie džinsy i koszulkę z emblematem Willow Ranch, która była na nią za duża i wisiała prawie do kolan. W błyszczących oczach malował się wyraz determinacji.

- Czy ty w ogóle coś jadasz?

- Tak!

- Okay - powiedział Nick łagodnie, ustępując trochę wbrew sobie, ponieważ nie chciał otwierać w jej sercu starych ran, które ze wszystkich sił próbowała zaleczyć. - Może dałabyś jabłko Frackles?

W odpowiedzi Hope wyciągnęła ku niemu rękę z czerwoną lśniącą kulą.

- Lepiej ty jej daj.

- Boisz się? - zapytał Nick. Cała odwaga tego dawniej nieustraszonego dziecka najwyraźniej znikła. - Zrzucił cię koń?

- Nie. Nigdy w życiu nie jeździłam. Ale jedna z przyjaciółek mojej mamy spadła z konia i bardzo się potłukła. W końcu wyzdrowiała, ale moja mama więcej już nie usiadła w siodle. I nie chce, żebym ja jeździła.

- A ty chcesz? Hope wzruszyła ramionami. Nigdy tego nie pragnęła, nie myślała o tym. Przyglądała się tylko Nickowi, kiedy jeździł konno. Wyglądało to, jakby oboje, wierzchowiec i człowiek, tańczyli, płynęli, szybowali, pełni mocy i majestatycznego wdzięku.

- Czy to oznacza „tak”? - dopytywał się Nick. - Jeśli chcesz, nauczę cię.

- Przecież nie możesz. Moja matka nigdy nie podpisze zgody, a bez tego będziesz miał kłopoty.

Na twarzy Nicholasa Wolfe'a pojawił się łagodny, wymuszony uśmiech.

- Zdarzało mi się już mieć kłopoty. Ale jej nie. Nie tej dziewczynce, która tak bardzo starała się być posłuszna i która za nic nie chciała znowu sprawić zawodu.

- Nie. Nie mogę. Lepiej nie. - Nigdy by nie potrafiła tak tańczyć na koniu. - Gdybym to zrobiła, mama by się naprawdę zmartwiła. Ale dziękuję ci.

Tym razem uśmiech Nicka był już tylko łagodny.

- Oczywiście. W ciągu ostatnich tygodni Nick wiele się dowiedział o rodzinie Tessierów. O bracie, dokładnie w jego wieku, którego dziewczynka wprost uwielbiała. I o Frances.

- Ona jest niesamowita - unosiła się Hope - cudowna i piękna, tak bardzo piękna, i wesoła, dowcipna, i niebywale elegancka. Wszystko jaśnieje, kiedy moja matka wchodzi do pokoju.

To zupełnie jak ty, pomyślał Nick, ale nie powiedział tego na głos. Hope i tak by mu nie uwierzyła. Nie umiałyby, nawet gdyby w żartach przyznał jej rację pod jednym względem: nie była aż tak wesoła.

Może kiedyś, dawno temu, w innym świecie, zanim zasiadła przy stole numer dwanaście. Ale dla zranionej dziewczynki życie stało się poważną sprawą. I Hope właśnie się z nim zmagала, walczyła, by nigdy więcej nie sprawić zawodu, nigdy więcej nie rozczarować olśniewającej matki, którą tak bardzo kochała.

Alę czy rzeczywiście Frances Tessier była taka niesamowita? - zastanawiał się Nick.

- To twoja mama Wpadła na pomysł, żebyś tu przyjechała? - Zastawiła na ciebie zasadzkę, tak gruntownie niszczącą uczucia, że może już nigdy nikomu nie zaufasz.

- Tak.

- I nie uprzedziła cię o niczym, prawda?

- O programie „Zwycięzaj”? Nie. Nie wprost. - Ale sama powinnam wiedzieć, więc dobrze, że mnie tu przysłała. - A co z twoją rodziną, Nick?

Nick zaciągnął się głęboko nieodłącznym papierosem.

- Nie mam rodziny. - Jak to? Wypuścił dym. Powoli. Nie na nią. W żadnym wypadku

nie na nią. Wyglądało, jakby wydychał znacznie mniej dymu, niż go wciągał. Płomienie pozostawały w jego wnętrzu, osmalając płuca, paląc żyły.

- Nie ma nic do opowiadania. Naprawdę. Zupełnie nic. - Jest tyle spraw, o których nie mogę ci nawet wspomnieć. Znowu się zaciągnął. - A co z twoim ojcem?

- Moim... och, masz na myśli Victora. Właściwie on nie jest moim ojcem.

- A kto nim jest?

- Nie wiem. Nigdy go nie znałam. I bardzo dobrze. To nie ma żadnego znaczenia. Moja matka i Victor pobrali się, zanim przyszłam na świat.

- Więc jaki jest Victor? Pytanie brzmiało zdawkowo, ale zdradzało zainteresowanie.

Nick spodziewał się natychmiastowej entuzjastycznej odpowiedzi, jak to miało miejsce, gdy rozmowa dotyczyła Chase'a i Frances.

Tymczasem Hope wyciągnęła z beli siana złociste źdźbło i szarpała je w zamyśleniu.

- Nie lubisz go? Hope nadal łamała w palcach słomkę.

- Nie, nie. Lubię. - Popatrzyła w ciemnoniebieskie oczy za zasłoną papierosowego dymu. - Właściwie nigdy nie spędzałam z nim wiele czasu. Ale on był zawsze... miły... dla mnie.

I Hope opowiedziała o swoim ostatnim spotkaniu z Victorem w marcu, kiedy to podczas ferii wiosennych mieli się zjechać całą rodziną w Paryżu. Chase i Frances mieli przyjechać pierwsi, potem Hope, a w końcu Victor, który obiecywał zrobić trzydniową przerwę w tournée po Europie.

Frances leciała do Paryża z Los Angeles, gdzie właśnie kręcono serial oparty na jej ostatniej powieści. Chase miał towarzyszyć matce w tej podróży. Ale gdy samolot Chase'a wylądował na LAX, lotnisko zostało zamknięte z powodu mgły, która, jak obawiali się meteorolodzy, mogła utrzymać się przez kilka dni. Frances zawiadomiła dyrekcję szkoły, że Hope musi zostać w dolinie Izery, dopóki ona i Chase nie dotrą do Paryża.

- Parę godzin później - opowiadała dziewczynka - zadzwonił Victor. Występował akurat w Wiedniu i kiedy się dowiedział, że przez kilka dni mam mieszkać sama w internacie, poprosił, żebym dołączyła do niego. Ni gdy przedtem nie spędzaliśmy czasu tylko we dwoje.

- I?

Hope na chwilę zamilkła, niepewna, jak ubrać myśli w słowa. Victor też wyglądał wówczas na niepewnego. Na niepewnego i niemal wystraszonego. Ale zarazem sprawiał wrażenie, jakby się cieszył z przyjazdu Hope i nie czuł się ani trochę zawiedziony z powodu jej wyglądu. Victor Tessier nigdy nie patrzył na nią z rozczarowaniem czy dezaprobatą, co - teraz Hope wyraźnie zdawała sobie z tego sprawę - niejednokrotnie zdarzało się Frances.

- I było miło - odparła w końcu. - Victor był miły. Chodziliśmy po muzeach i pałacach, a on opowiadał mi o Mozarcie, Wiedniu i o muzyce, tej, którą wykonuje, i tej, którą pisze: Zabierał mnie na wszystkie swoje koncerty. To naprawdę utalentowany artysta.

Pochwalna mowa na cześć przybranego ojca była żarliwa, ale pobrzmiwała w niej nuta zakłopotania.

- Coś mi się wydaje - zagadnął spokojnie Nick - że jednak nie wszystko w Victorze ci się podoba.

- To nie chodzi o mnie. Ja go lubię. Tylko że,.. on unieszczęśliwia moją matkę. Nie zawsze, oczywiście. Czasami. Tak bardzo jest zaangażowany w swoją muzykę, że mama czuje się zaniedbywana. Victor rzeczywiście ją zaniedbuje. To nie do wybaczenia. Nie wobec takiej kobiety. Ona nie powinna marnować życia, ciągle na niego czekając.

Zarówno słowa, domyślił się Nick, jak i oburzenie zostały żywcem wzięte z wypowiedzi powieściopisarki, która miała talent do tego typu sformułowań, a przy tym cieszyła się bezkrytycznym uwielbieniem córki.

Ogarnęła go ciekawość, czy zaślepienie Hope było równoznaczne z całkowitą nieświadomością. Podsunął więc łagodnym tonem:

- Jednak muszą być okresy, kiedy to twoja matka jest całkowicie pochłonięta pisaniem.

- Tak, oczywiście.

- Czy wówczas Victor czuje się ignorowany? Na twarzy Hope pojawił się lekki uśmiech.

- Nie. Ani trochę. I z tego powodu mama jest jeszcze bardziej nieszczęśliwa, bo sądzi, że jemu na niej nie zależy. Ale jemu zależy. Wiem o tym. Zresztą, czy mogłoby być inaczej? Tylko że... W Wiedniu zobaczyłam na własne oczy, jak Victora pochłania muzyka. Dużo wysiłku kosztowało go, by zwrócić na mnie uwagę.

- Ale zrobił to.

- Tak. - Hope zamilkła, lecz po chwili dodała zdecydowanym tonem: - Był dla mnie bardzo miły.

A kto nie byłby miły dla tej uroczej dziewczynki? Kto nie chciałby otaczać jej opieką i sprawiać, by się uśmiechała?

Frances... matka, która ją tu przysłała, która oczekiwała, że Hope spędzi wakacje, próbując się zmienić, by zdobyć jej aprobatę i miłość.

- Mam nadzieję, że oni mają szczęśliwe lato. Czułe, serdeczne słowa dziewczynki stanowiły ostry kontrast z cierpkimi myślami Nicka.

- Co powiedziałaś?

- Że mam nadzieję, że mama i Victor mają dobre lato. Są teraz razem. Ona póki co odłożyła pisanie, a on chwilowo zrezygnował z koncertów. W sierpniu wszyscy czworo spędzimy dziesięć dni w Domaine.

- W Domaine?

- Domaine Tessier. Tam, gdzie mieszka Chase. W Napa. Gorzkie uczucia znów opanowały Nicka, ale nie było ich słychać w jego głosie.

- Często tam bywasz?

- Nie. Prawie nigdy. Znasz Napa, Nick? Byłeś tam kiedyś? Czy znam Napa? Nie. Czy tam byłem? Tylko w koszmarach sennych.

- Nie.

- Jeśli zdecydujesz się przyjechać, musisz odwiedzić Domaine, poznać Chase'a i koniecznie wdrapać się na sam szczyt Czarnej Góry. Stamtąd można zobaczyć całą dolinę.

- Całą dolinę? - W snach Nicholasa Wolfe'a dolina Napa była niezmiernie, potworna, a zarazem bardzo, bardzo mała. - To rozległy teren?

- Raczej tak. Od wybrzeża do góry świętej Heleny jest około pięćdziesięciu kilometrów. W dolinie leży kilka miasteczek. Największe to Napa, właściwie można je uznać za miasto. A oprócz tego mniejsze: Yountville, Oakville, Rutherford, St. Helena i Calistoga. - Hope uśmiechnęła się promiennie, co ostatnio było rzadkim widokiem. - Naprawdę powinieneś odwiedzić Napa. Jestem pewna, że ci się tam spodoba.

W stwierdzeniu Hope brzmiało tyle przekonania, jakby na mgnienie oka powróciła dawna serdeczna, pełna optymizmu dziewczynka, która zapewne wierzyła, że nocne koszmary można zamieniać w piękne sny.

Skąd brało się jej przeświadczenie, że spodoba mu się Napa Valley? Może to z powodu stadnin rozrzuconych po całej dolinie, pośród morza winorośli?

Nick chciał ją zapytać, planował, że zrobi to następnego dnia, kiedy Hope przyjdzie na strych, ale dziewczynka się nie pojawiła. Ani nazajutrz., Ani później.

Minął tydzień. Dziesięć dni. Hope Tessier nadal przebywała w Willow Ranch i brała udział w programie „Zwycięzaj”.

Nick widywał ją, pracując w korralu, kiedy siedziała z koleżankami przy stole numer dwanaście. Nie jadła, zaledwie udawała, i nigdy nie spoglądała w stronę stajni, strychu, w jego stronę.

Tęsknił za nią. Ale zdawał sobie sprawę, że to on poniósł stratę, nie ona. Hope potrzebowała towarzystwa przyjaciółek, powinna była śmiać się, śpiewać, skakać z radości.

Ciemnoniebieskie oczy Nicka szukały dziewczynki na żaglówkach, które sunęły po muskanym wiatrem jeziorze, w pobliżu spokojnej tafli basenu pływackiego, na kortach tenisowych i nawet na drzewie.

Ale Hope nigdzie nie było. Nie śmiała się. Nie śpiewała. Nie skakała. Siedziała ukryta w jakimś nowym miejscu, którego nie znał.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego porzuciła swoje gniazdko na strychu. Upewnić się, że nie stało się to z jego winy.

Jedenastego wieczoru czekał koło głównego budynku rancza, jak wilk zaczajony w mroku i wypatrujący samotnej łani.

- Hope?

- Nick - szepnęła, jeszcze zanim się odwróciła. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, dostrzegł, że jest bardzo smutna.

- Chodź do stajni, Hope. Musimy pogadać. Po drodze nie zamienili ani słowa. W milczeniu przeszli przez trawnik, minęli wierzbę, wspięli się po drabinie do dawnej kryjówki na strychu. Tam przyjęli znajome pozycje, tak daleko od siebie, jak tylko pozwalało na to małe gniazdko.

- Przestałaś tu przychodzić - odezwał się wreszcie Nick. - Dlaczego? Tego lata zmuszono ją do odkrycia wszystkich sekretów, ujawnienia wszelkich wad, do tego, by nigdy niczego już nie ukrywała. Odpowiedziała uczciwie. Nie wątpił w to.

- Wszyscy sądzili, że to było dziwne.

- Co było dziwne?

- Że jestem twoją... - Wzruszyła ramionami i zaczerwieniła się.

- Moim czym? Nick czuł, jak wszystko się w nim gotuje. Mógł sobie wyobrazić koszarne pomysły zepsutych nastolatek. Czyżby koleżanki Hope sądziły, że między niewinną dziewczynką a dalekim od tego stanu mężczyzną zrodził się związek o charakterze seksualnym?

Nie, chyba nie, uznał po chwili. Hope wyglądała raczej na zmartwioną niż Speszoną tym, co mu miała powiedzieć. Cokolwiek to było, chodziło o sprawy dla niej zrozumiałe.

- Twoim przyjacielem - wyznała w taki sposób, jakby słowo „przyjaciel” było najważniejszym wyrazem języka angielskiego.

I to prawda, pomyślał Nick, dla którego określenie to stanowiło zupełną nowość, więc tym bardziej wydało mu się cenne.

- Ale przecież jesteś moim przyjacielem, Hope. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdził łagodnie. - Naprawdę. Już wszystko w porządku?

- W porządku - szepnęła i znowu wzruszyła ramionami. - Każdy chce być twoim przyjacielem.

- Masz na myśli Trish. Skinęła głową. I pozostałe też, pomyślała. Tyle starszych dziewcząt, zdumionych tą przyjaźnią z wilkiem, zagadywało Hope. Ponieważ jednak było widać, że z niewiadomej przyczyny Nick poświęca dziewczynce wiele uwagi, błagały Hope, by szepnęła za nimi dobre słówko. Pierwszeństwo u Hope miała, rzecz jasna, Trish.

- Trish jest naprawdę...

- Nie dla mnie.

- Och, za młoda. - Uwaga Hope uderzała szczerością i rozsądkiem.

- O wiele za młoda - potwierdził Nick z całkowitym spokojem. Wszystkie one były zbyt młode, te zepsute panienki z dobrych domów, kokietujące kogo popadnie; bardzo niedojrzałe, za bardzo, i to pod wieloma względami - a dla niego pod każdym względem nieciekawe.

- Myślę, że Sabrina jest bardziej w twoim typie - wyznała Nickowi jego mała przyjaciółka. - Starsza, dojrzalsza. I taka ładna, i...

Dalsze słowa Hope rozplynęły się w uczuciu zakłopotania, którym wydawało się naładowane powietrze.

Nickowi nie podobała się ta pełna niedomówień rozmowa. Hope miała, oczywiście, rację. Sabrina dokładnie odpowiadała wyobrażeniom Nicholasa o partnerce do łóżka. Uprawianie miłości, jego zdaniem, to tylko przyjemność dwojga dorosłych ludzi, którzy w ten sposób się umówili. Ani mniej, ani więcej. Bez uczuć, bez przywiązania, bez żadnych zobowiązań.

Nick nigdy nie uganiał się za kobietami - nie uwodził, nie nagabywał, nie przymilał się. To kobiety odnajdywały jego. Jednak brał je do łóżka dopiero wtedy, gdy był pewien, że w pełni zdają sobie sprawę, jak beznamiętny będzie ich romans.

Wyglądało na to, że Sabrina wyznawała te zasady, jeszcze zanim doszło do rozmowy, w której zaproponowała Nickowi igraszki na sianie, zaspokojenie pożądania bez zobowiązań.

Ale tego lata miejsce na sianie - zarówno w przenośni, jak i dosłownie - należało do Hope. Sabrina, która w innych okolicznościach mogłaby mieć dla Nicka pewien urok, teraz była dla niego tylko nieświadomą sprawczynią bólu jego małej przyjaciółki.

- Nie jestem związany z Sabriną. Ani z nikim innym. I nie mam zamiaru, nie tego lata.

Może to utrata wagi dodała Hope lat. Na jej mizernej twarzy malowały się znużenie i mądrość. Zupełnie jakby rozumiała, na czym polega samotność człowieka, który bywa

chciany, pożądany... ale nigdy jako przyjaciel.

- Chyba powinieneś przestać palić - zasugerowała. - Powiniennem? A dlaczego?

- To by ci ułatwiło sytuację. Wszystkie dziewczyny uważają, że z papierosem w ustach wyglądasz niesamowicie seksownie.

- Wystarczający powód, żeby rzucić palenie.

- Naprawdę? To znaczy, że to zrobisz?

- A ty nie lubisz, kiedy palę?

- Nie. Jasne, że nie! Przecież to dla ciebie szkodliwe. Niebezpieczne.

- Cóż - mruknął Nick - co byś powiedziała, gdybym obiecał, że nie zapalę papierosa, dopóki ty jesteś w Willow Ranch?

I dalej trwała przyjaźń pomiędzy wilkiem a młodzieńką łanią. Hope opowiadała Nickowi o wszystkim, co jej dotyczyło a Nick odwzajemniał się tą garstką informacji o sobie, którą mógł się z dziewczynką podzielić.

Opowiadał, jak raz po raz zmieniał pracę, i robił to w taki sposób, że przed oczami dziewczynki malowała się kręta ścieżka życia niespokojnego ducha, a nie prawda o mężczyźnie, który nie mógł, nie ośmielał się pozostać dłużej w jednym miejscu. O kimś, kto dotąd nie znalazł i być może nigdy nie odnajdzie swojego gniazda.

Czyżby Nicholas Wolfe, który nikomu nie wierzył - nie widział powodu, żeby wierzyć - nie miał zaufania również do swojej małej przyjaciółki? Czyżby sądził, że znając prawdę, Hope pobiegłaby natychmiast do pani Fairchild, a ta z kolei zawiadomi policję?

Byłaby to, oczywiście, słuszna decyzja. Ale przecież Hope nigdy by go nie zdradziła. Nick wiedział o tym i czuł się upokorzony.

Zdawał sobie również sprawę, jak prawda - prawda o nim - zraniłaby Hope. Nie mógł dodatkowo jej zasmucać ani też obarczać koszmarem, którego pewnie nie potrafiłaby zrozumieć.

Dziesięć dni przed zakończeniem obozu w Willow Ranch Nick odnalazł dziewczynkę na strychu, pochłoniętą jakąś pracą i szczerze zmartwioną.

- Co się stało? Zaskoczona podniosła wzrok. Teraz wyglądała na jeszcze bardziej przygnębioną.

- Widziałeś, co piszę? Zaraz ci wyjaśnię.

- W porządku, Hope. Nie przeczytałem ani słowa.

- Och. - To dobrze. Powinna wiedzieć. Nick nigdy nie zaglądał do jej dziennika, a właściwie pamiętnika. Był na to zbyt delikatny. A przecież czasami zostawiała zeszyt otwarty, więc mógł przeczytać wszystko, co napisała o nim, swoim przyjacielu, i czego nigdy

nie ośmieliłaby się mu powiedzieć.

- Ale nadal nie wytłumaczyłaś, o co chodzi. Hope?

- Okay. - Miała do wykonania zadanie, jedno z ostatnich, które dotyczyło kształtowania poczucia własnej wartości. - Najpierw musimy udawać, że siedzimy naprzeciw kogoś, kogo lubimy i, patrząc na niego, mówimy, co nam się w nim podoba. Wszystko, o czym pomyślimy w ciągu dziesięciu minut. - To było łatwe, bardzo łatwe. Tyle tylko, że dziesięć minut wydawało jej się zbyt krótkim czasem, by wyliczyć wszelkie zalety mamy, brata, Victora... i Nicka. - A potem trzeba udawać, że siedzimy naprzeciw samym sobie, i wykonać podobne ćwiczenie, ale na własny temat.

- Przez dziesięć minut opowiadać o wszystkim, co w sobie lubisz?

- Tak. - Wszystko, co wam się w samych sobie podoba, powiedziała Sabrina; wszystko, co w sobie kochacie. - Nie można wymieniać takich rzeczy, jak dobre stopnie czy liczba straconych na ranczo kilogramów.

Każda z uczestniczek programu trochę wyszczupiała. Hope, która miała najmniej kilogramów do zrzucenia, schudła najbardziej. Bezdyskusyjnie została zwyciężczynią, gwiazdą programu, chociaż Sabrina podkreślała, że odchudzanie to nie rodzaj zawodów. I teraz Hope, jak zwykle pierwsza uczennica, recytowała Nickowi lekcję, której pilnie się wyuczyła.

- Ludzie o niskim poczuciu własnej wartości oceniają siebie według tego, co udało im się osiągnąć, a nie zgodnie z tym, kim naprawdę są. Na przykład, jesteś człowiekiem godnym szacunku, bo straciłeś kilogram, lub złym, ponieważ przytyłeś. Nie można też podawać zalet, które od ciebie nie zależą, jak to, czyim jesteś dzieckiem albo że dziedziczysz inteligencję po rodzicach. Musisz wymienić pozytywne cechy, które mówią, jaki jesteś wewnątrz przez cały czas, niezależnie od tego, czy odnosisz sukcesy, czy też ponosisz porażki.

- W porządku, ale nadal mi nie powiedziałaś, w czym tkwi problem.

- Przecież właśnie powiedziałam. Mam podać Sabrinie słowo świadczące o moim poczuciu własnej wartości. Dziś po południu.

Nick szczerze chciał pomóc przygnębionej dziewczynce. I uczyniłby to, gdyby tylko wreszcie pojął, o co chodzi.

- Słowo świadczące o twoim poczuciu własnej wartości? - powtórzył łagodnie.

- Tak. Każda z nas ma podać taką cechę, którą najbardziej w sobie lubi. Sabrina przeczyta całą ich listę podczas pożegnalnego obiadu.

- A ty się boisz, że twoje słowo przedstawi też któraś z koleżanek, i starasz się być twórcza? Próbujesz znaleźć cechę, jakiej nikt inny nie wybierze?

- Nie.

- Więc co? Przepraszam, Hope, ale nadal nie chwytam, w czym rzecz.

- Nie potrafię znaleźć żadnego słowa! - Biedziła się nad tym zadaniem już od wielu godzin. Próbowwała przyjrzeć się samej sobie. W końcu znalazła coś pozytywnego, wspaniałego - „przyjaciółka Nicka”. Ale było to osiągnięcie, a nie jej zaleta, i mówiło o wartości Nicholasa, a nie Hope. Przekreśliła więc oba wyrazy grubymi kreskami.

- Aha. - Nickowi wreszcie zaczęło coś świtać. Wyglądało na to, że pokazowa uczestniczka programu, najbardziej błyskotliwa ze wszystkich tegorocznych zwycięzczyń, nie zdoła się uporać z najważniejszym zadaniem. Nicholas ukrył ogarniającą go furię i oznajmił najłagodniej, jak potrafił: - Mogę wymyślić co najmniej tysiąc takich słów.

- Jak to? - W głosie Hope dźwięczało niedowierzanie. Dziewczynka z trudem złapała powietrze, bo chociaż we własnym mniemaniu była nadal gruba, w rzeczywistości bardzo schudła, co spowodowało kłopoty z oddechem i koncentracją. Teraz jednak całą siłą woli skupiła się na niebieskich oczach, których spojrzenie już kiedyś ją uratowało. - Naprawdę możesz?

.. - Mogę - powtórzył Nick miękko. - Co najmniej tysiąc. Ale ty potrzebujesz tylko jednego słowa. Zastanówmy się.

Popatrzył na nią i ogarnął go lęk o to mizerne, wystraszone dziecko. O tę uroczą dziewczynkę, taką szczodłą i dobrą. Wdzięczną, kochającą, odważną, lojalną i...

- Strasznie trudno, prawda?

- Wybrać jedno? Tak. Bardzo trudno. I zdecydować, które z tych wszystkich słów powinnaś przekazać Sabine? Prawie niemożliwe. Myślę, że najlepiej, jeśli podam ci całą listę, a ty sama wybierzesz.

- Nie, Nick. Nie. Proszę. Ty zdecyduj. Była taka zrozpaczona, bezradna, zagubiona.

I Nicholas Wolfe wybrał dla swojej przyjaciółki słowo, którego ona sama użyła, opisując przybranego ojca. Kiedy mówiła o Victorze, w jej głosie brzmiała nuta radosnego zaskoczenia, nieobecna mimo wszystkich zachwyty, podczas opowieści o matce.

- Miła - powiedział serdecznie. - Bardzo, bardzo miła. Następnego dnia dowiedział się od Sabriny, że Hope użyła jego słowa. Autorka programu „Zwycięzaj” siedziała w pozbawionej okien klitce Nicka, gdzie mieściło się niewiele więcej poza łóżkiem.

Sabrina przyjęła zaproszenie Nicholasa z pewnym siebie uśmiechem. W końcu pociągający kowboj przejrzał na oczy. Obiecywała sobie, że zaczyna nadrabiać stracony czas od tego popołudnia, kiedy to wszystkie nastoletnie obozowiczki były zajęte przygotowywaniem skeczy na pożegnalną imprezę.

Ale Nick, zamiast namiętnością, powitał Sabrinę pytaniami.

- Tak - potwierdziła niecierpliwie - Hope straciła na wadze. I to znacznie. O to właśnie chodziło, Nick. Zrozumiała sens programu. Jej uwagi podczas dyskusji w grupie są zawsze trafne. Wnikliwe.

- Bo Hope jest wyjątkowo bystra - stwierdził Nick. I tak rozpaczliwie chce wszystkich zadowolić. - Poza tym robi bardzo dokładne notatki.

- Ale też - upierała się Sabrina - wierzy w to, czego się uczy. Hope jest teraz z siebie bardzo zadowolona. Zresztą tak być powinno. Wygląda świetnie i wyjedzie stąd jako zwycięzcy na całe życie, z sięgającym nieba poczuciem własnej wartości.

Zadowolona? Nick zupełnie się z tą opinią nie zgadzał. Mimo utraty kilku kilogramów, młodzieńka łania była nadal czujna, wystraszona i niespokojna, a jednocześnie pełna nadziei, że tym razem sprostała oczekiwaniom. Możliwe, że Hope poczuje się usatysfakcjonowana, ale dopiero kiedy Frances Tessier zaaprobuje jej wygląd. Będzie to jednak radość z tego, co osiągnęła, a nie z tego, kim jest.

Zresztą, pal sześć przyczyny. Nick pragnął dla Hope tej kojącej chwili samozadowolenia. I to jak najszybciej. Dziewczynka zbyt długo cierpiała głód, zbyt długo męczyło się jej serce i wymizerowane ciało.

- Nick? - Sabrina z uwodzicielską miną przerwała mu rozmyślenia. - Czy naprawdę zaprosiłeś mnie tu po to, żeby rozmawiać o Hope?

Jej uśmiech zmienił się w gniewny grymas, ponieważ w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Żeby otworzyć, Nick nie musiał fatygować się daleko. W ciemnej klitce było dość miejsca jedynie do spania - albo do uprawiania miłości.

Nigdy przedtem Hope nie przychodziła do pokoju przyjaciela. Nawet nie próbowała zapukać. Tego dnia, straszliwie onieśmielona, zrobiła to po raz pierwszy. Jej twarz zalał rumieniec zakłopotania, kiedy dostrzegła, że Nick nie jest sam;

- Przepraszam - szepnęła.

- Przecież nic się nie stało - uspokoił ją. Właśnie rozmawiamy. O tobie. Jak bardzo Hope poczułaby się zdradzona. Co by pomyślała: mamusia i tatuś dyskutują o problemach córki, a potem - chociaż z pewnością nie leżało to w planach Nicka - zaczynają się cieszyć swoim towarzystwem.

- Chodźmy stąd - zaproponował, zostawiając za zamkniętymi drzwiami swój pokój, łóżko i Sabrinę.

Nie poszli daleko, tylko do pustych przegród w stajni.

- Co się stało, Hope?

- Przyszłam, żeby się pożegnać. Ból przeszył go i ogłuszył.

- Wyjeżdżasz? Dzisiaj?

- Tak. Za chwilę. Samochód już czeka. Nick wciągnął oddech, cierpkie, dręczące pragnienie dymu.

Teraz już będzie mógł palić, będzie mógł robić, co mu się żywnie podoba, bo Hope wyjedzie.

- Powiedz mi, co się stało?

- Dzwoniła moja matka. Powiedziała, że opuszcza Victora. Ignorował ją przez całe lato, zaniedbywał, pomimo wszystkich obietnic. Dlaczego on to zrobił?

Ponieważ, Hope Tessier, ludzie łamią przyrzeczenia. Ciągle.

- Nie wiem. Może jest tak silnie związany z muzyką, że nic na to nie potrafi poradzić.

- Potrafi, ale teraz już za późno.

- Dokąd jedziesz?

- Do Londynu. - W pięści zaciśniętej tak mocno, żeby Nick nie domyślił się głupstwa, które Hope chciała zrobić, tkwił skrawek papieru z adresem w Knightsbridge, gdzie miała mieszkać do końca wakacji, i z adresem jej francuskiej szkoły. - Muszę już iść! O czwartej mam samolot z Great Falls.

- Okay. Hope?

- Tak?

- Jedz. Lekki uśmiech pojawił się na wychudzonej twarzy.

- Nick?

- Tak?

- Nie pal! Uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał.

- Uważaj na siebie, Hope Tessier - powiedział łagodnie. Na twarzy Hope również odmalowała się powaga, a zarazem mądrość - jakby dziewczynka nagle poznała prawdę o jego złym, samotnym życiu.

- Ty też, Nicholasie Wolfe. Potem Hope odwróciła się i ruszyła biegiem, ciężko chwytając powietrze. Patrzył za nią, aż znikła mu z oczu... i z jego życia.

Montagne Noir

czwartek, 8 listopada

Powrót Cassandry do Napa Valley przypominał jej pierwszy przyjazd do doliny. Jechała samochodem z Los Angeles. To najdyskretniejszy i najbezpieczniejszy sposób przewiezienia chorej do Montagne Noir, zdecydował Chase. Lekarze w pełni podzielali jego zdanie.

Wtedy, przed ośmioma laty, Cassandra Winter jechała do Napa cała w czerni. Dziś miała na sobie lawendowy płaszcz kąpielowy, jeden z jasnych, miękkich szlafroków, które kupiła dla niej Hope.

Wtedy ściągnęła bujne, jedwabiste włosy w ciasny węzeł, tuż przy głowie. Teraz jej pokierszowana czaszka była całkiem naga, powleczone bładą, pociętą purpurowymi szramami skórą.

Tego szarego listopadowego dnia żadne diamenty nie migotały na powitanie gościa. Krzewy winorośli dawno już straciły nie tylko owoce, ale i połyskujące wszystkimi barwami jesieni liście.

W winnicach pozostały tylko suche, nagie szkielety.

Zima.

Pustka.

Nie powinnam tu przyjeżdżać! Nie mogę.

Myśli kłębiły jej się w głowie, usiłując rozerwać mgłę, która nadal spowijała umysł. Lekarze zapewniali Cass, że stan przewlekłego oszołomienia jest w tym przypadku całkowicie uzasadniony, a nawet potrzebny. Falująca zasłona miała ją izolować od wszelkich zmartwień i kłopotów, aż do momentu, kiedy będzie wystarczająco silna, by stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

Cassandra niejasno przypominała sobie, że w jej domu w Brentwood popełniono zbrodnię. Otulająca mózg mgła uczyniła ją jednak w znacznym stopniu obojętną na szczegóły wypadku. Cass niepokoilo tylko, czy ktoś jeszcze oprócz niej nie został zraniony.

Ale mglisty, kojący kokon nie chronił jej serca. Kiedy więc Chase ostrożnie pokonywał wietrzny stok Czarnej Góry, niespokojne myśli znowu zaczęły wirować w pokierszowanej głowie.

Powinnam była odmówić.

Nawet próbowała, w niezdecydowany, pokrętny sposób. Mogła przecież powracać do zdrowia w jednym z bungalowów hotelu Bel - Air. Lekarze przyjeżdżaliby do niej w miarę potrzeby albo hotelowa limuzyna woziłaby ją na badania do szpitala. Dostarczaniem posiłków zajęłaby się pokojówka, a i tak większość czasu Cass musiałaby przespać.

Delikatnie, bardzo delikatnie Chase zawiadomił żonę, że zabiera ją na okres rekonwalescencji do chateau. Wpatrywał się w nią przy tym badawczo, z napięciem i zakłopotaniem, ale bez odrazy, chociaż przedstawiała sobą oplotany widok. A potem Hope i Eleanor zatelefonowały do Cass i pogodnie, lecz stanowczo powtórzyły zaproszenie.

Hope miała przyjechać do Montagne Noir natychmiast po wypisaniu ze szpitala. Eleanor obiecała odwiedzić ją, gdy tylko przyjaciółka będzie miała dość siły na przyjmowanie wizyt. Kiedy Chase'a pochłoną sprawy zawodowe, które zaniedbał od czasu wypadku, one umówią się na lunch czy podwieczorek i spędzą miło czas.

One, dziewczyny: Cassandra, Hope, Eleanor, Jane.

Tylko że ja nie chcę widzieć Jane! Wstrząsającej pewności towarzyszył nagły przebłysk światła, na tyle oślepiający, że Cass nie potrafiła dojrzeć poza nim istoty sprawy.

Nie Chciała spotkać się z Jane. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale dlaczego? Dlaczego?

Bezsukutecznie szukała odpowiedzi. Podobnie jak i na wiele innych pytań. A teraz znowu była tutaj, gdzie białe mury zamku lśniły na tle szarego zimowego nieba.

Cassandra czuła na sobie spojrzenie męża, ogarniało ją ciepło panującego między nimi milczenia. W końcu jednak Chase odezwał się cichym, serdecznym, pełnym bólu głosem.

- Czy mam cię zanieść, Cassandro? - Czy nie możesz nawet na mnie popatrzeć? Nie możesz? Ale przecież wiedział. Oczy, które przytomniejąc, były przejrzyste błękitne, na jego widok ściemniały, zachmurzyły się i napełniły lękiem, zupełnie jakby to on ją skrzywdził. - Cass?

- Nie - odpowiedziała, zwracając się w stronę bielejących przed nią zabudowań. - Dziękuję.

Wydawało jej się zupełnie niemożliwe, że znowu znalazła się tutaj, że wróciła do tego baśniowego zamku, gdzie - zanim wybiła północ - Kopciuszek i królewicz kochali się przez trzy miesiące.

I to jak się kochali...

W ciągu tych zaklętych miesięcy osiem lat temu byli badaczami rozległej marmurowej budowli, przeszukującymi pełne przepychu wnętrza, by odnaleźć w nich wymarzony dom.

Byli również pionierami, zakładającymi gniazdo w sypialni, którą wybrali dla swojej

miłości. Okna ich pokoju wychodziły na zachód, na nadmorskie mgły. Nie mogli stąd dostrzec winnic, nie było ich widać nawet z najwyższego piętra, ale i tak wiedzieli, gdzie na wulkanicznym zboczu dojrzewa winorośl. Tęcza precyzyjnie wskazywała im to miejsce.

Z okien sypialni Chase i Cassandra dokładniej niż kiedykolwiek przedtem przyjrzeni się tęczom nad Montagne Noir. Kiedy złociste promienie słońca przesączały się przez szarą mgiełkę, nadając jej kolor szampana, wiedzieli, że za chwilę na niebie ukaże się malowany pastelowymi barwami łuk.

Byli też przez te cudowne miesiące farmerami - farmerami, a nie kowbojami, chociaż ich pierwsze zadanie w nowej posiadłości polegało na ujarzmieniu zdziczałej, rozbuchanej winorośli. Winnice Montagne Noir pozostawały bez opieki przez ponad rok, od momentu, gdy śmierć Frances Tessier przyniosła kres marzeniom Chase'a.

Ramię w ramię nowi właściciele pracowali, przycinając nadmiernie wybujałe krzewy. Czasem wśród płataniny gałęzi dokonywali wspaniałego odkrycia - odnajdowali kiście winogron, soczystych, dorodnych, gotowych do zerwania. Niewielkie było to winobranie w miodowym miesiącu Chase'a i Cassandry, ale dla nich cenne. Na wiosnę nowożeńcy planowali obsadzić winoroślą całe zbocze.

Chase obiecał żonie również więcej róż. Górę ukwieconą różami.

Badacze. Pionierzy. Farmerzy.

I kochankowie.

Cassandra oddawała się mężowi ze skwapliwością, radością i zdumieniem, ilekroć tego pragnął. A Chase pożywał swojej Cassie ciągle i ciągle. Potrzebował jej, tęsknił za bliskością, za uczuciem zjednoczenia, którego nigdy przedtem nie zaznał.

W sypialni Cassandra nigdy nie robiła pierwszego ruchu. Nie musiała, bo Chase sam sięgał po nią. Zawsze, aż do pewnej nocy. Leżeli w milczeniu, bez ruchu.

- Cassie? Chcesz się kochać?

- Tak - szepnęła z radością.

- Ty też możesz zacząć, przecież wiesz. Pragnę cię. Zawsze będę cię pragnął.

Nigdy dotąd nie powiedział jej, że ją kocha. Ale sądził, że Cass wie o jego uczuciach. Jak mogłaby nie wiedzieć? A przecież mogła. Była pozbawionym pewności siebie rozbitkiem, który wkroczył w jego życie w obdartym stroju i z poranioną duszą.

Jednak tej nocy nie wyznał żonie, że ją kocha. Zaczekał do rana, aby zrobić to w pełnym świetle dnia, w ich wymarzonej winnicy na obsydianowym stoku.

Cassandra stała przed bujnie rozrosłymi, zaniedbanymi krzewami chardonnay. Jej inteligentne oczy zwięzły się w zamyśleniu, kiedy się zastanawiała, w jaki sposób

poprzycinać płataninę gałęzi.

- Kocham cię.

Podniosła wzrok. Z niedowierzaniem. Z nieśmiałą nadzieją.

- Co powiedziałeś? Chase uśmiechnął się.

- Powiedziałem, że cię kocham. Jestem w tobie zakochany. Zobaczył w jej oczach tak wielką radość, że kiedy znowu się odezwał, w jego głosie brzmiała prośba o wybaczenie.

- Powinienem był ci o tym już dawno powiedzieć. Mówić ci to zawsze, codziennie.

Na policzki Cass wypłynął blady rumieniec, gęstwina otaczających jej głowę księżycowych promieni ożyła, a w oczach zabłyśły łzy. Chase ujął w dłonie kochaną twarz.

- A może nie? - zapytał cicho. - Czy naprawdę jest aż tak źle?

- Nie. Nie. Chodzi tylko o to, że... - że nikt nigdy mnie nie kochał.

- O co, Cassie?

- Nic, już nic. - Jej oczy znowu zasnuły się łzami. - Naprawdę? Naprawdę mnie kochasz?

- Tak. Bardziej niż sądziłem, że potrafię.

- Ja... - zająknęła się, ale Chase wiedział, co chciała mu wyznać. Dojrzał to w jej zwilgotniałym spojrzeniu.

- Powiedz - szepnął.

- Kocham cię, Chase. Ja też cię kocham. Ale bajka nie mogła trwać bez końca.

Dla Kopciuszka musiała kiedyś wybić północ.

Cassandra była świadoma tej prawdy, od samego początku... od tej skąpanej w świetle księżycy chwili w różanym ogrodzie, gdy Chase Tessier poprosił ją o rękę. Wtedy serce waliło jej jak oszalałe z miłości i radości, ale żołądek skręcał się w przeczuciu nieubłaganego przeznaczenia.

Koszmary zaczęły dręczyć Cassandrę w nocy po miłosnych wyznaniach Chase'a. Śniło jej się wtedy, że stoi na skraju urwiska, nad lśniącą obsydianem przepaścią, ponad bujnymi winnicami Montagne Noir. W ciągu kilku zapierających dech sekund czuje się niesamowicie szczęśliwa i bezpieczna, całkowicie bezpieczna. Nagle błyszcząca krawędź skalna zaczyna się kruszyć pod jej stopami, a ona bezwładnie leci w dół. Może bujny gąszcz krzewów winorośli złagodzi upadek? Nie. Winnica gdzieś znika. Cassandra spada w ciemność, w mrok, coraz szybciej, dalej, głębiej. Pomocy! Proszę! Pomocy!

Ale jej krzyk pozostaje bez odpowiedzi, bo Cass jest sama...

Obudziła się zlnana potem, ciężko dysząc. Chase trzymał ją w objęciach i delikatnie przyciskał usta do wilgotnej skroni.

- Cassie, Cassie. Już w porządku, kochanie. To tylko zły sen. Nie! To była prawda. Jej prawda.

Tuląc Cass coraz mocniej, czuł oszalały łomot jej serca.

- Mów do mnie - odezwał się łagodnie. - Powiedz.

- Bardzo się boję. To wszystko wydaje mi się tak... - nietrwałe, ulotne, kruche.

- Jakie? - dopytywał się. - Takie idealne?

- Idealne - powtórzyła z nadzieją.

- Tak. Idealne. Przynajmniej dla mnie. Mam wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, a nawet o wiele, wiele więcej. Górę, tęczę, a przede wszystkim ciebie.

- Więc jesteś szczęśliwy? Chase delikatnie ujął Cass pod brodę, obrócił jej twarz tak, by dojrzeć w mroku oczy, i uśmiechnął się.

- Do szaleństwa. - Po chwili jednak spowaźniał. - A ty, Cassandra? Czy jesteś szczęśliwa?

- Tak - szepnęła. - Do szaleństwa. Szczęśliwa i przeraźliwie wystraszona. Za wszelką cenę pragnęła się upewnić, że nic się nigdy nie zmieni.

Ale właśnie wszystko miało się zmienić. I to z jej winy.

W noc poprzedzającą rozstanie Cassandra Tessier przygarnęła do siebie męża o kilka uderzeń serca wcześniej, niż on przytulił ją.

- A jednak - szepnął ze śmiechem - pragniesz mnie.

- Pragnę. Potrzebowała wspomnienia tych chwil, żeby udźwignąć ciężar reszty życia.

Ta noc była jak żadna dotąd. Kochali się z bólem, czułością, powagą i rozpaczą. Kiedy o świcie Chase musiał wstać, niechęć do opuszczenia łóżka, do pozostawienia żony, mieszała się w jego sercu z lękiem. Tego dnia jednak miał spotkanie z prawnikami w San Francisco, finalizujące sprawy majątku Domaine.

- Jedź ze mną, Cassie. Wiem, że umówiłaś się z Eleanor i Jane, ale jedź ze mną. Zatrzymamy się w Fairmont, w naszym ślubnym apartamencie, jeżeli tylko będzie wolny. Zrobimy zakupy na święta. - Uśmiechnął się. - Co ty na to?

- Ja... - nie mogę. Musiała odejść dzisiaj. Chase'a nie będzie w domu aż do wieczora. Kiedy wróci i po rozmowach telefonicznych z Jane i Eleanor stwierdzi, że go oszukała, ona będzie już daleko. - Nie, nie pojedę.

- Dobrze się czujesz?

- Tak! Świetnie. Lepiej się pospiesz, bo się spóźnisz... I jedź ostrożnie. Chase wyszedł, ale tylko po to, by wrócić już po godzinie, w chwili, gdy Cassandra, ubrana na czarno, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w Domaine, skończyła właśnie pakować swoje

wojskowe worki. Bagaż leżał na podłodze koło łóżka, na którym tyle razy się kochali, a na dziedzińcu czekała już taksówka.

Jednak złowieszczą szarość za oknem była niczym w porównaniu z wyrazem ciemnoszarych oczu Tessiera.

- Chase! Skąd się tu wzięłeś?

- Mieszkam tutaj, Cassandro. I sądziłem, że ty też.

- Ale...

- Powinienem być w San Francisco. Wiem. Ale martwiłem się o ciebie. - Pomimo tłęcej się w nim wściekłości Chase bał się teraz o Cass jeszcze bardziej. Była taka krucha, podatna na ciosy. - Czułem, że mnie okłamujesz. I najwyraźniej miałem rację.

- Zostawiłam list - wydusiła z trudem Cassandra, zupełnie jakby to wszystko wyjaśniało, jakby mogło cokolwiek wyjaśnić. List nie ujawniał powodów jej decyzji. Nie potrafiła ich wyjawic, wyznać prawdy o tym, że zawiodła człowieka, który dał jej szansę. - Leży na dole, w twoim biurze.

- Dlaczego nie powiesz mi, co napisałaś?

- Że muszę odejść. Tak, pomyślał Chase. Widzę, jak szaleńczo, rozpaczliwie się stąd wrywasz.

- Niewiele mi to mówi, Cassandro. Powiedz, dlaczego.

- Ja... Jest ktoś inny. Ciche słowa spadły na niego jak grom, siła ich uderzenia zupełnie go ogłuszyła. Kłamiesz! Chciał krzyknąć z wściekłości. To musi być kłamstwo.

Ale ze spojrzenia żony wyczytał, że Cassandra, która umiała grać - udawać, tym razem nie próbuje żadnych sztuczek.

- Zapewne miarą mojej arogancji jest poczucie kompletnego zaskoczenia. - Wymuszony uśmiech nie objął lodowatych oczu. - Czy to ktoś, kogo znam?

- Nie. Ale.... Montagne Noir jest twoja, Chase. Będzie twoja. W odpowiedzi wrzucił ramionami.

- Rób, co chcesz, Cassandro. Och, Chase. Nie mogę zrobić tego, co bym chciała.

- Muszę już iść.

- Wezmę twoje torby. Dobytek Cass nie był ciężki. Ot, barwne piórka, w których, coraz bardziej znużona, stawiała czoło życiu.

- Dziękuję. Mogę je sama zanieść. Przez długą, pełną napięcia chwilę Chase wpatrywał się w żonę.

Wreszcie odezwał się bardzo cicho:

- Niech to szlag trafi, Cassandro. I sięgnął po jej bagaż.

*Montagne Noir**sobota, 10 listopada*

Eleanor przywiozła ze sobą kanapki i zupe. I miłość. Przybyła z całym tym kramem na wyraźną prośbę Chase'a. Nie chodziło mu, rzecz jasna, o kosz piknikowy. Sam przygotowywał posiłki dla Cassandry, karmił ją, próbował zmusić do jedzenia. A jednak...

- Ona się przede mną cofa, Eleanor. Hope przyjeżdża dziś po południu, ale może i ty mogłabyś wpaść.

W jego głosie brzmiała ta sama cicha, szalona rozpacz, którą musiał kiedyś słyszeć u Eleanor. Z równą bezradnością patrzyła, jak umierał jej ukochany Andrew, kiedy choroba Alzheimera opanowywała go coraz bardziej, a ona, mimo całej miłości i starań, nie mogła zatrzymać procesu zniszczenia.

- Oczywiście, Chase. Już jadę.

Na okres rekonwalescencji umieszczono Cass w rozległym apartamencie gościnnym na piętrze. Chase sypiał w pokoju obok, żeby w każdej chwili móc przyjść żonie z pomocą.

Eleanor znalazła Cass w jej apartamencie. Cassandra, otulona od stóp do głów kocami, siedziała przy oknie. Wpatrywała się jednak nie w świat za szybą, a w kryształową wazę pełną róż.

- Stuk, puk - zaśpiewała Eleanor pogodnie, mimo smutnego widoku, który przed sobą ujrzała. - Nawet nie próbuj wstawać !

- Och! Eleanor - szepnęła Cassandra i rozplakała się. - Znowu łzy. To samo było, kiedy Hope odwiedziła mnie w szpitalu. Ja płakałam. Ona płakała. To...

- Wspaniałe - dokończyła Eleanor. Taki strumień emocji, pomyślała, jest najlepszym sposobem, żeby zmyć niepewność ostatnich ośmiu lat. Umożliwił im obu powrót do dawnej przyjaźni bez potrzeby jakichkolwiek wyjaśnień. - Hope wspominała, że pierwsze, co jej powiedziałaś, to to, jak bardzo jesteś z niej dumna.

- Bo jestem. I z ciebie też. Mistrzyni katering, królowa balu, a wkrótce szczęśliwa żona.

- Ha!

- Bo czy ty i twój młody, wspaniały, niesamowicie miły profesor nie jesteście...

- Zaręczeni? Tak. Jesteśmy. - Eleanor usiadła. Od Cass oddzielał ją bukiet kremowych kwiatów. - My też jesteśmy z ciebie dumni, Cassandro.

- A, tak.

- Wszystkie te nagrody Akademii.

- Nominacje, Eleanor.

- Jedną nagrodę zdobyłaś, a do innych byłaś wytypowana. Możesz nazwać mnie staroświecką, ale uważam, że udział w takiej konkurencji to ryzyko, loteria. - Eleanor uśmiechnęła się i popatrzyła na Cassandrę mądrymi, życzliwymi oczami baśniowej matki chrzestnej. - Jak się czujesz, kochanie?

- Łzawo.

- Nie ma nic złego we łzach. Ale coś złego dzieje się z tobą, Cassandro. Hope ostrzegła ją.

Dawna Cass zniknęła bezpowrotnie. Ta zmiana musiała dokonać się wcześniej, na długo zanim doszło do ostatniej tragedii.

Oczywiście, że tak, uświadomiła sobie Eleanor. Zapowiedź tej zmiany odnalazła w liście, który Cass wysłała do niej w dniu, kiedy opuszczała Montagne Noir. Napisała wtedy do Eleanor, Hope i Jane. Dziękowała za serdeczne przyjęcie i życzyła szczęścia.

Były to listy - pożegnania napisane przez osobę, której nawet nie przyszło do głowy, że ktoś może za nią tęsknić.

A teraz ta wyjątkowa kobieta, zmalretowana, pokonana, ale nadal dzielna, uśmiechała się lekko, rzucając kolejne odpowiedzi na pytanie przyjaciółki.

- I tyso.

- Co wygląda całkiem interesująco:

- I bezwładnie.

- Tak między nami mówiąc, Cassandro, zawsze mi się wydawało, że ten twój opadający kącik ust wygląda interesująco.

- I puszyście. - Wychudłe palce odsunęły koc, spod którego wyłonił się mięciutki płaszcz kąpielowy. - Hope kupiła dla mnie kolorową kolekcję szlafroków i flanelowych koszul, a do tego kapturki w stosownych odcieniach.

- Bardzo szykowne.

- Owszem, i ciepłutkie. - Cass zmarszczyła brwi, jakby jakaś dziwna, choć niezbyt kłopotliwa myśl przedarła się przez spowijający jej mózg kokon. - Nie mam żadnego innego ubrania. Nie, żebym czegoś potrzebowała. I tak większość czasu spędzam w łóżku.

- Bo jest to dokładnie to miejsce, w którym powinnaś się znajdować. Na razie. Kiedy będziesz już zdrowsza, powiedz tylko słowo, a Jane, Hope i ja z przyjemnością wyprawimy się dla ciebie po zakupy.

Nie. Nie Jane.

Ta myśl, żenująca, nie do opanowania, odbiła się wyraźnie na twarzy Cassandry. Eleanor nie mogła udawać, iż niczego nie dostrzega.

- O co chodzi, kochanie?

- Nie mogę widzieć się z Jane. - I nie chcę, żeby kupowała dla mnie cokolwiek, żeby cokolwiek dla mnie robiła.

Teraz Eleanor wyglądała na zakłopotaną.

- Nie możesz?

- Nie. Nie wiem, dlaczego, Eleanor. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi bezsensownie. Ale nie mogę się z nią spotkać. Nie mogę. Czy zechciałabyś...

Eleanor udało się pokonać zmieszanie i przywołać na usta uśmiech.

- Załatwić to? Tak, żeby nie zranić jej uczuć? Oczywiście. Nie zobaczysz Jane Parish, dopóki nie wydobrzejesz i nie będziesz na to spotkanie gotowa.

Starsza pani zamilkła. W ciągu kilku chwil jej twarz przybrała dobrze znany Cassandrze wyraz. Cass znów ujrzała przed sobą bajkową matkę chrzestną, która kiedyś przekonywała ją, by spędzić lato w Domaine, wesółą panią Mikołajową o zwodniczo niewinnej, a zarazem stanowczej minie.

I rzeczywiście, Eleanor odezwała się tak, jak osiem lat temu.

- Cudownie, że jesteś tutaj. Oczywiście, cieszy mnie nie powód przyjazdu, a twoja obecność. W dodatku zbliża się Boże Narodzenie. Będziemy mieć wspaniałe święta. Czuję to w moich starych kościach. Wspaniałe dla nas wszystkich. Przynajmniej raz... Nareszcie.

Chase da ci szansę, nawet tobie, Cassandro. To właśnie próbowała przekazać jej Eleanor osiem lat temu. I miała rację. Chase dał Cassandrze szansę i przez chwilę byli niewiarygodnie szczęśliwi.

Teraz życzliwa światu pani Mikołajowa obiecywała kolejne cuda, uroki Bożego Narodzenia. Chociaż Cass wiedziała, że odejdzie na długo przed tym dniem, coś ją zmuszało, by kontynuować temat.

- Przynajmniej raz, Eleanor?

- Wydaje mi się, że Boże Narodzenie zawsze było problemem dla Chase'a i Hope, zwłaszcza od śmierci Grandpere'a. Jean - Luc zmarł, jak pewnie wiesz, przed samymi świętami, akurat tymi, które cała rodzina Tessierów miała spędzić wspólnie w Domaine. Przedtem Grandpere co roku zabierał dzieci tam, gdzie akurat przebywali Frances i Victor.

- Ponieważ Victor nie chciał obchodzić Bożego Narodzenia w Napa.

- Racja - potwierdziła Eleanor. - Skąd o tym wiesz?

- Nie... Ależ tak, pamiętam. Na filmie z urodzin Frances wspomina o przyjęciu bożonarodzeniowym tak wspaniałym, że nawet Victor zechce spędzić święta w dolinie. - Zmarszczka przecięła przezroczyście niemal czoło Cass. - Chyba stąd wiem. Ale mam wrażenie, jakbym słyszała na ten temat coś jeszcze.

- Może Victor o tym z tobą rozmawiał? Hope opowiadała, że bardzo się ucieszyłaś, kiedy odwiedził cię w szpitalu.

- To prawda. - Cieszyła się na widok człowieka, który zmusił Chase'a do podziału Domaine? Tak, z jakiegoś powodu tak.

- Więc przez te lata zaprzyjaźniliście się?

- Nie. Nigdy przedtem nawet go nie spotkałam. Poznaliśmy się dopiero na przyjęciu, cztery dni przed Halloween. Następnego popołudnia odwiedził mnie w domu i... To takie dziwne.

- Co, kochanie?

- Wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne, że w ogóle rozmawialiśmy, a tym bardziej o czymś rzeczywiście ważnym.

- A jednak rozmawialiście.

- Tak mi się zdaje. Tak. To on. Victor. Niewyraźny obraz w półmroku pamięci.

Victor był podobny do Chase'a i sprawiał wrażenie tak udręczonego, że ona - jego synowa - nie zgodziła się na rozmowę podczas przyjęcia. Intrygowało ją, co chciał jej powiedzieć. Bała się, że chodzi o to, iż Chase znienawidził go za Domaine. Zaprosiła więc Victora do swego domu.

I rozmawiali. O czym? Nie miała pojęcia. Wspomnienie o tym drugim spotkaniu z Victorem ukryło się w miejscu, które nie było całkowitą czernią, ale okazało się zbyt ciemne, by mogła cokolwiek odszyfrować. A jednocześnie w głębi ociężałego umysłu Cass zrodziła się zdumiewająca pewność.

- Victor musi spędzić Boże Narodzenie w Napa. Musi porozmawiać z Chase'em i Hope. Nie mam najmniejszego, powtarzam: najmniejszego pojęcia, dlaczego.

Eleanor odpowiedziała uśmiechem pełnym wahania. Czy powinna powiedzieć coś więcej? Zdecydowała, że tak, bo kobieta, na którą patrzyła poprzez bukiet róż, nie potrafiła jeszcze poczuć się uczestnikiem świątecznego zjazdu w Montagne Noir.

- Mój Andrew zmarł w Boże Narodzenie.

- Och, Eleanor. Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

- W porządku, kochanie. Ale wtedy nic nie wydawało się w porządku. To był nadal mój Andrew, chociaż choroba Alzheimera robiła wszystko, żeby mi go odebrać.

Opowiadałam ci, że dobrze trzymał się fizycznie, nawet gdy jego umysł uległ już destrukcji. Zdrowy, pełen życia, silny przez całe lata. Ale we wrześniu, kiedy umarła Frances, serce zaczęło szwankować. Serce, a potem płuca. Dawno temu, w młodości, rozmawialiśmy o śmierci. A raczej on o tym mówił. Ja odkładałabym takie rozważania w nieskończoność. Dla niego jednak było to ważne. W trzeźwy, irytująco męski sposób Andrew przedstawił mi swoje poglądy. Na każdego przychodzi kres. Bohaterska walka z przeznaczeniem nie interesowała go, podobnie jak życie, które nie pozwoliłoby mu pozostać takim człowiekiem, jakim chciał być. Nie życzył sobie kiedyś, żeby w przyszłości stać się dla mnie ciężarem. Jeśli taki czas nadejdzie, oświadczył, wtedy on po prostu skończy ze sobą.

- Och, Eleanor. I zrobił to?

- Czy się zabił? Nie. Odebrałby sobie życie dużo wcześniej, gdyby wiedział, co go czeka. Ale Alzheimer jest podstępna, złośliwą chorobą, Cassandro.

Kiedy Andrew dowiedział się, w czym rzecz, sądził, że zdoła sobie poradzić. Był taki inteligentny, błyskotliwy. Wydawało mu się, iż chodzi tylko o coraz silniejsze skupienie, koncentrację umysłu. Ale sprawa na tym się nie skończyła, a potem było już za późno. Jego mózg nie działał wystarczająco sprawnie, by Andrew potrafił się zabić, by mógł podjąć decyzję i ją zrealizować. Chociaż zdarzało się - jestem tego pewna - że nawiedzała go ta myśl.

Eleanor siedziała zapatrzona w pastelowe róże. Oczy zaszkliły jej się na wspomnienie tamtych dni.

- Dziękowałam Bogu, że nie potrafił tego zrobić. Czułam wdzięczność z całkowicie egoistycznych pobudek. Ale czy to był ten sam Andrew, którego kochałam przez czterdzieści lat? Ten dawny Andrew ukrył się gdzieś w środku, w nieprzytomnym, oszołomionym ciele. Chciałam jednak, żeby pozostał ze mną, bez względu na okoliczności. Tamtej jesieni, kiedy nastąpiło pogorszenie, błagałam lekarzy, żeby zrobili wszystko, co w ich mocy. I robili. Ale nie było już ratunku. Andrew miał ataki bólu, zdarzało się, że musiał walczyć o każdy oddech. Bardzo cierpiał i tylko moje egoistyczne pragnienie, żeby pozostał ze mną, utrzymywało go przy życiu. Jednak miłość sięga dalej niż egoizm. Tylko że ja nie potrafiłam tego zrobić sama. Potrzebowałam kogoś, komu mogłam zaufać, kogoś, kto by zrozumiał.

- Chase - szepnęła Cassandra. - Chase ci pomógł.

- Zwróciłam się do niego, żeby pomógł umrzeć mojemu mężowi. Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że naprawdę odbyłam tę rozmowę. To straszne, niewiarygodne poprosić o coś takiego kogokolwiek, a tym bardziej młodego, zaledwie dwudziestosześcioletniego człowieka, już i tak przytłoczonego troską o siostrę. Jednak zatelefonowałam do Chase'a i on mi nie odmówił. Tak, powiedział, pomogę ci. Andrew umarł

tej nocy we śnie. Jakby przeczuł, o czym myślę, i wiedział, że byłoby to dla mnie niemożliwe.

- Eleanor spojrzała na Cassandrę i jej oczy rozjaśniły się. - Myślę, że odgadłaś morał tej historii.

Tyle morałów, pomyślała Cass. Tyle prawd o życiu... i o miłości.

Wiele mówiły one o kobiecie, która przetrwała bez swojej drugiej połowy, a potem zdołała pokochać raz jeszcze.

Ale podobnie jak osiem lat temu, morał historii Eleanor był przeznaczony dla Cassandry.

- Możesz powiedzieć Chase'owi wszystko, kochanie, dosłownie wszystko. Och, Eleanor! Nie. Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Starsza pani dostrzegła gwałtowną reakcję Cass. Nagłe osłabienie. Wyraźny lęk.

- Zmęczyłam cię.

- Nie - zapewniła ją Cassandra. - To mi się zdarza. W jednym momencie jestem przytomna, całkowicie przytomna, a już po chwili, bez żadnego ostrzeżenia, po prostu padam.

- A zatem - zarządziła Eleanor - czas do łóżka. Niech ci się przyśni Boże Narodzenie w Montagne Noir. Świąteczne słodycze i musujący szampan.

Dziesięć minut później przyjechała Hope. Eleanor czekała na nią w kuchni.

- Oto zwycięska bohaterka - powitała przybyłą.

- Mieliliśmy po prostu bardzo dobrą ławę przysięgłych i bardzo dobrą sprawę.

- A nie mieliście przypadkiem bardzo dobrego zastępcy prokuratora okręgowego, który potrafi wszystko przewidzieć?

Hope uśmiechnęła się.

- W każdym razie już po wszystkim.

- I przyjechałaś.

- Na krótko.

- Czujesz się winna?

- Oczywiście... dopóki nie pomyślę o Cass.

- Myśl o niej, Hope. Ona ciebie potrzebuje. Oboje cię potrzebują.

Hope wiedziała, że to prawda. Przechodząc przez hol, zajrzała do gabinetu Chase'a. Zauważyła, że brat wygląda tak jak osiem lat temu, w pierwszych miesiącach po zniknięciu Cassandry. Zmęczony brakiem snu. Niespokojny. Udręczony przez los, nad którym nie mógł zapanować.

- Cass śpi?

- Tak. Wspominała, że teraz często zapada w drzemkę. A jutro chce być wypoczęta,

bo ma spotkanie z Mallory Mason.

- Boję się, że i tak bardzo się zmęczy.

- Nie dałoby się odłożyć tej rozmowy? - spytała Eleanor. - Do czasu, aż Cassandra poczuje się lepiej?

- Owszem, ale tu chodzi o przestępstwo. Nawet jeśli Cass nie pamięta samego napadu, może będzie potrafiła rzucić trochę światła na osobę napastnika.

- Czy Mallory Mason jest dobra? Znasz ją?

- Uchodzi za ostrego, upartego prokuratora. To zaleta w przypadku tej profesji. - Hope uśmiechnęła się. - Podobno jest bardzo dobra.

- I lepiej niech się taka rzeczywiście okaże. - Eleanor odpowiedziała na uśmiech przyjaciółki i zrezygnownie zmieniła temat. - Tymczasem, Hope Tessier, mam dla ciebie propozycję. Właściwie dla nas obu. Dziś wieczorem w galerii jest otwarcie wystawy dzieł pewnego artysty. Jane twierdzi, że to najbardziej niezwykle płótna, jakie kiedykolwiek widziała. Pojedziemy?

- Oj, Eleanor. Sama nie wiem.

- Ty też unikasz Jane?

- Nie. Skądże znowu. I jestem pewna, że Cass również z czasem zmieni zdanie.

- Mam nadzieję - stwierdziła Eleanor. - Na razie chyba po prostu powiem Jane, że Cassandra jest zbyt słaba i zmęczona, by prowadzić życie towarzyskie.

- Co zresztą nie odbiega od prawdy. Także w moim przypadku. Oczywiście, mam na myśli zmęczenie. Sztuka nie interesuje mnie specjalnie, chyba że ze względu na Jane.

- Ale ty znasz tego artystę.

- Ja? - Hope zmarszczyła brwi.

- Tak. Nazywa się Nicholas Wolfe. Opowiadał Jane, że trzynaście lat temu spotkaliście się w Montarne. W Willow Ranch.

Tak, tam się spotkaliśmy. Ale był jeszcze jeden dzień, cztery lata później, w Montagne Noir. Dzień tańca i zniszczenia.

- Nick jest tutaj? Zajął się malarstwem?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak. Mieszka w dawnej wozowni, w Mariposie przy Zinfandel Lane. Teraz ta posiadłość nazywa się Belvedere. Nicholas opiekuje się końmi właściciela i maluje. Jane twierdzi, że jest niewiarygodnie utalentowany. Pewnego dnia pojawił się w jej galerii, przynosząc zwinięte w rulon, niedokończone obrazy. Prosił, by Jane zechciała na nie spojrzeć, a ona wprost nie mogła uwierzyć własnym oczom. Od tego czasu nie przestaje się zachwycać zarówno Nicholasem, jak i jego pracami.

- Widziałaś te płótna, Eleanor?

- Nie. Nikt ich jeszcze nie oglądał, oprócz Jane. Nie spotkałam też Nicka, chociaż ciągle o nim słyszę. W każdym razie prezentacja artysty i jego sztuki ma odbyć się dziś wieczorem. Jedź ze mną, Hope. Cassandra będzie spać. Chase pracuje. Samuel pojechał jako konsultant na wykopaliska. A poza wszystkim moje stare oczy i spowolniony refleks nie pozwalają mi na prowadzenie po zmroku. - W oczach, których wyrazowi daleko było do starości, migotały wesołe iskierki. - No, chodź. Jane tak się ucieszy. - I Nick też.

Też? Hope ogarnęła ciekawość. Co Nick zapamiętał z tamtego wrześniowego dnia? Taniec czy spustoszenie?

*Montagne Noir**wrzesień, dziewięć lat wcześniej*

Muszę jeszcze załatwić kilka spraw, a potem już z czystym sumieniem zajmę się tobą. Możemy wspólnie poszaleć od San Francisco aż po Carmel. Co ty na to?

- Świetnie - mruknęła Hope. Cudownie... nie do uwierzenia? Pięć dni razem. Matka i córka. Szansa, żeby pogadać, jak obiecała Frances. Naprawdę pogadać.

- Potrzebna mi jeszcze godzinka, Hope. - Frances zerknęła na wysadzany diamentami zegarek. - Albo lepiej półtorej. Za chwilę powinien nadjechać ostatni transport rzeczy, a poza tym muszę sprawdzić meble, których wczoraj nie wypakowano. Poprosiłabym cię o pomoc, ale chcę, żeby to była niespodzianka. Może znajdziesz jakieś słoneczne miejsce na łące i poczytasz chwilę? Pewnie przywiozłaś ze sobą różne romanse.

- Nie. - W ciągu najbliższych pięciu dni Hope chciała żyć swoim życiem, a nie historiami fikcyjnych bohaterów, którymi tak się zachwycała. - Nie przywiozłam.

- O? Tutejsza biblioteka jest obficie zaopatrzona w moje powieści. Myślę, że już do nich dorosłaś. Masz siedemnaście lat i lada moment jedziesz do college'u! Poczekaj sekundę, zaraz ci coś znajdę.

- Dzięki, mam. Nie trzeba. Popatrzę sobie na piękne widoki. I porozmyślę, i pomarzę... i potańczę.

Pragnienie, by zatańczyć, ogarnęło ją, gdy tylko znalazła się na łące, zupełnie jakby jej stopy przypomniały sobie, że kiedyś już dotykały tego wulkanicznego stoku.

Hope zdawała sobie sprawę, że kiepska z niej tancerka, niezdarna i gruba. Ale w tym momencie czuła się lżejsza niż piórko, pewna siebie i śmiała.

Będziemy rozmawiać, naprawdę rozmawiać, o mojej wadze... i o tym, jak się czuję, jak nienawidzę samej siebie, swojej tuszy. W każdej sekundzie każdego dnia.

Czy naprawdę wyglądam gorzej, kiedy jestem chuda? Może nie aż tak źle. Teraz jestem starsza, wyższa, mam długie włosy. Niezależnie od wyglądu, czy to nie lepiej, zdrowiej?

W tańcu poczuła się szczupła, silna, ładniejsza. Była Marią z Dźwięków muzyki, derwiszem wirującym z nieokiełznaną odwagą i radością. Łąka i wzgórza rozbrzmiewały muzyką, a Hope czuła, że teraz potrafi zdobyć każdy szczyt.

Tańczyła i kreśliła piruety, zupełnie nieświadoma obserwujących ją z zachwytem

zmęczonych niebieskich oczu. Oczu Nicka.

Nicholas Wolfe wcale nie oczekiwał, że spotkają się w Napa. Odwiedził wreszcie zieloną dolinę, bo Hope powiedziała mu, że powinien, że musi. Przyjechał poprzedniego wieczoru i spędził noc, włóczęc się po opustoszałych uliczkach, ciemnych alejach i zapuszczonych śmietniskach za posesjami bogaczy.

Chciał wreszcie poznać Napa Valley, obrzydzić ją sobie do końca i wyrzucić z pamięci. Ale nie poczuł nienawiści do tego, co zobaczył w ciemnościach bezksiężycowej nocy, a tym bardziej do krajobrazu wyłoczonego wrześnie słońcem.

Teraz zaś na górskiej łące ujrzał widok, którego piękno znacznie przewyższało jesienną urodę winnic.

Długie, rozwiane włosy o barwie cynamonu błyszcząły w słońcu jak rdzawy wieniec, a cała postać emanowała wdziękiem i radością. Dawny łobuziak przemienił się w baletnicę, balansującą z subtelną delikatnością na granicy dzieciństwa i kobiecości, szczęścia i nadziei.

Nagle tancerka dostrzegła przybysza i zamarła w pół kroku.

- Nick. Nick, z którym mogła rozmawiać o wszystkim, gdy miała trzynaście lat. Ale teraz jego oczy były o wiele za błękitne. Zbyt uważne. I nie potrafiłaby już powiedzieć mu o czymś najważniejszym - o tym, że wydaje jej się jeszcze przystojniejszy, niż go zapamiętała, a pamiętała, myślała o nim przez wszystkie te lata.

Hope spuściła wzrok, ale kątem oka dostrzegła znoszony drelich, plecak i miękką futrzaną kulkę u stóp Nicka.

- A to co? - Uklęła wśród dzikich kwiatów i wyciągnęła ręce do czarnego jak węgiel młodzieńczego spaniela.

- Ma na imię Molly. Molly wierciła się podekscytowana, wyraźnie ciekawa nieznanego, ale nie podeszła bliżej, dopóki nie zrobił tego jej pan.

- To jeszcze szczeniaczek - wymruczała Hope, zanurzając dłonie w miękką, jedwabistą sierść.

- Ma cztery miesiące - potwierdził Nick, przyklękając obok dziewczyny. - Hope?

- Tak?

- Cześć. Wpatrzona w łaszącego się do niej pieska, nie mogła się uwolnić od obrazu swoich tęgich ud, groteskowo ociężałej, tłustej, niezgrabnej postaci. Ale łagodny głos Nicka przypomniał jej, że rozmawia z przyjacielem i cieszy się z tego spotkania.

- Cześć - odpowiedziała i podniosła na niego oczy. - Przyjechałeś. Ty też, pomyślał. Telefonował do biura Chase'a, żeby o nią zapytać, ale nawet nie marzył o spotkaniu. Powiedziano mu, że Tessier będzie przez cały dzień nieobecny, planował więc zadzwonić

później jeszcze raz. Chciał się upewnić, że Hope jest zdrowa i szczęśliwa.

Teraz, kiedy się przekonał, że tak, wkrótce odejdzie. Musi odejść. Ale w ciągu tych kilku chwil w słońcu i kwiatach...

- Przyjechałem - powtórzył cicho. - Brama była otwarta. Co za miejsce.

- Chateau? To prezent ślubny od mamy dla Chase'a. Mama właśnie przeprowadza tu ostatnie poprawki. Natknąłeś się na nią może?

- Nie. Zaparkowałem ciężarówkę i od razu przyszedłem tutaj, żeby popatrzeć na widok, o którym tyle słyszałem.

Hope objęła wzrokiem rozciągającą się pod czystym wrześnieowym niebem panoramę Napa Valley.

- To piękny widok, prawda?

- Bardzo piękny - zgodził się Nick, wpatrzony w rozjaśnioną słońcem barwę cynamonu. Po chwili zmusił się, żeby oderwać wzrok od Hope, i sięgnął do plecaka po butelkę wody, czerwoną plastikową miseczkę i torebkę karmy dla szceniąt. - Świetne miejsce na popołudniową przekąskę Molly.

- I na twojego popołudniowego papierosa.

- Już nie palę. W zielonych oczach błysnęła ulga.

- Nie palisz?

- Ani szluga.

- Z powodu Molly - stwierdziła Hope bez cienia wątpliwości. - Dym mógłby zaszkodzić jej małym płucom.

Nick nie próbował protestować, chociaż Hope zupełnie się myliła. Rzucił palenie na długo przed tym, nim trafiła do niego Molly. I to właśnie z powodu Hope. Bo ilekroć brał papierosa do ust, widział przed sobą poważną młodą twarz, pełną niepokoju o jego zdrowie, zmartwioną, że sam siebie zabija.

Nie strach ani nie widmo śmierci skłoniły go do zmiany, tylko wspomnienie o niej. Brakowało mu małej przyjaciółki i ta tęsknota przetrwała, choć z płuc dawno już zniknęły ostatnie ślady dymu.

Mów do mnie, Hope Tessier.

Bezgłośnie prośba Nicka zgrała się, jak w tanecznym pas de deux, z pragnieniami dziewczyny. Hope chciała rozmawiać z przyjacielem, z tym mężczyzną, któremu cztery lata temu tak łatwo było wszystko powiedzieć. Ale teraz... Co mogłoby go zainteresować?

Panowało milczenie. W powietrzu krążyły motyle. Ptaki śpiewały. Trawa złociła się w jesiennym słońcu.

Szczeniak wychłptał wodę z miski i zaczął głośno, z zapałem chrupać psie smakołyki, którymi karmił go Nick.

Kiedy wreszcie Wolfe się odezwał, jego głos zabrzmiał trochę chrapliwie, jakby wydobywał się z gardła wysuszonego długą wędrówką przez jałowe życie.

- A więc to jest Czarna Góra.

- Tak - odparła Hope z ulgą. Milczenie zostało przerwane i popłynął potok słów. - Dawniej bywałam tu często z Chase'em i Grandpère'em.

Często. Powiedziała to z taką pewnością. Ale czy to prawda? Tak. Kiedyś, dawno temu, młodzianka baletnica tańczyła tutaj i marzyła.

- Z Grandpère'em?

- Moim dziadkiem. Wierzył, że na stoku Czarnej Góry można uprawiać winorośl.

- A można?

- Nie wiem. Dziadek już nie żyje.

- Grandpere - powtórzył cicho Nick. - Nigdy mi o nim nie opowiadałaś.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Grandpere. Napływały obrazy z przeszłości. Radosne wspomnienia.

- Był cudowny. Taki łagodny, dobry. Sprawiał, że my, jego wnuki, czuliśmy się najwspanialszymi ludźmi pod słońcem.

Pochyliła głowę nieznacznym, pełnym powagi gestem. Lśniaca miedzianoruda zasłona opadła jej na twarz, zupełnie jakby próbowała odgrodzić się od Nicka, jakby nie chciała dzielić z nim odległych wspomnień o miłości.

Ale Hope była istotą szczodłą, więc po chwili podniosła wzrok, odsłoniła dla niego twarz.

- Panie dzieju - mruknęła pod nosem.

- Panie dzieju? - powtórzył jak echo Nick, poruszony wyłaniającymi się z mroku niepamięci wspomnieniami.

- To było jedno z ulubionych powiedzonek dziadka. „Hope, panie dzieju”, mawiał do mnie, a ja, oczywiście, umierałam ze śmiechu. Czekał wtedy cierpliwie, aż się uspokoję, bo obydwójce wiedzieliśmy, że kiedy Grandpere zaczyna od „panie dzieju”, chce powiedzieć coś naprawdę ważnego.

- Na przykład co? Zacytuj mi jakieś ważne „panie dzieju”. Hope napotkała uważne, pełne zainteresowania spojrzenie pociągającego mężczyzny, który był jej przyjacielem.

- Mogę ci powtórzyć najważniejsze ze wszystkich. „Hope, panie dzieju, jestem

pewien, że znam miejsce, gdzie wyrosnie winorośl.” Nie miał na myśli tej łąki ani nawet tego stoku. Dziadek wierzył, że winogrona będą dojrzewać tylko na przeciwległym zboczu, karmione mgłą i tęczą. Czy to nie brzmi bajkowo? - Znów pochyliła głowę. Odgradzając się od niego? Nie. Zapraszając go do udziału w tej bajce. - Ale to chyba prawda. Po tamtej stronie rzeczywiście pojawiają się mgły i tęcze. A Grandpere twierdził, że w miejscu, gdzie tęcza dotyka góry, winorośl będzie, panie dzieju, rosła najpiękniej.

Nick nie zdołał odplącić Hope równie barwną historią. Ale podzielił się z nią, czym mógł.

- Znałem kiedyś człowieka, który mówił „panie dzieju”. Miał na imię Hank. Nauczył mnie wszystkiego o koniach, jak się nimi opiekować, jak na nich jeździć.

- I kiedy Hank zaczynał od „Nick, panie dzieju”, wiedziałeś, że powie coś ważnego.

- Bardzo ważnego - potwierdził Nick. Nawet jeśli wydawało się banalne.

Hope czekała, mając nadzieję, że dowie się jeszcze czegoś o Hanku. Ale Nicholas Wolfe milczał.

- A czy Hank miał zwyczaj powtarzać „o rety”? - zapytała.

- Nie. A Grandpere?

- Tak. „O rety, Hope, widziałaś tęczę?”, „O rety, Hope, przez tę gorzycę cała dolina wygląda jak zanurzona w złotej chmurze”. - Hope uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i z wdziękiem wskazała rozpościerające się w dolinie budynki. - „O rety, Hope, to Centrum Medyczne Courtlandów, gdzie przyszłaś na świat”.

Nick spojrzał na imponujące nawet z tej odległości zabudowania w kształcie litery L. A więc to jest Centrum Medyczne Courtlandów. Zapadła cisza. Przerwała ją Hope.

- Pewnie zauważyłeś, że przytyłam - powiedziała. Niebieskie oczy popatrzyły na nią z powagą.

- Naprawdę?

- Tak.

- Bo czułaś się samotna? Samotna. Powiedziała mu o tym dawno temu w kryjówce na strychu. Czy Nick, tak jak i ona, pamięta wszystkie rozmowy, jakie odbyli tamtego lata w Willow Ranch?

- Chyba tak - odparła.

Samotna i smutna, i zrozpaczona, i... W ciągu tych czterech lat Hope poznała tysiące powodów, by się objadać. Wiedziała wszystko, co można wiedzieć o odczuwaniu własnej wagi, o przeraźliwej świadomości, że spowija ją gruba powłoka, o przeżywaniu słabości i wstydu.

Czasami śniła, że ślubuje pozbyć się na zawsze ohydneho ciężaru. Potrafiła to zrobić. Potrafiła. Ale rano znów była głodna, otyła, przytłoczona poczuciem własnej słabości. Więc jadła i z każdym kęsem nienawidziła siebie coraz bardziej.

- A poza tym - wyznała beznamiętnie, jakby zwracała się do smutnych wspomnień - nie miałam już żadnego powodu, żeby nie tyć.

- Dlaczego?

- Mama wyglądała na bardzo rozczarowaną, kiedy tamtego lata wróciłam taka chuda z rancza.

- Wyglądała na rozczarowaną? A co takiego ci powiedziała?

- Właściwie nic. Ale... Ale Hope nauczyła się odczytywać nawet ledwo uchwytnie zmiany nastroju matki. Od razu, jeszcze w Londynie, dostrzegła niezadowolenie Frances - gniewne spojrzenia, które trudno było przeoczyć; niezadowolenie i rozczarowanie, znacznie wyraźniejsze niż irytacja w czasach, gdy Hope była tęga.

- A co na twój widok powiedział Chase? - dopytywał się Nick. - I Victor?

- Z Chase'em spotkałam się dopiero w Boże Narodzenie. Do tego czasu przybrałam już na wadze. A Victora nie widziałam przez następne dwa lata.

- Przez dwa lata?

- Mama i Victor byli w separacji.

- Ale teraz znowu są razem.

- Tak - Hope rozpromieniła się. - Naprawdę razem. I wszystko wskazuje na to, że między nimi dobrze się układa, zwłaszcza w te wakacje.

Na widok jej uśmiechu Nick pomyślał o baletnicy wirującej wśród kwiatów, pełnej wdzięku tancerce, która lada moment przekroczy granicę dorosłości.

- Wyglądasz na zadowoloną.

- Bo jestem zadowolona. - W zapewnieniu Hope zdecydowanie mieszało się z nutą pobożnego życzenia. - Mama i ja wyjeżdżamy razem na kilka dni; tylko we dwie. I będziemy rozmawiać, naprawdę rozmawiać. Och!

Świadomość rozstania ugodziła ich oboje.

- Kiedy wyjeżdżacie? - zapytał Nick. Hope spojrzała na zegarek.

- Powinam być w chateau za dziesięć minut. - Spotkanie na zalanej słońcem łące zbliżało się ku końcowi. - Jak długo zostaniesz w Napa?

Na zawsze, pomyślał. Na zawsze zostanie w miejscu, do którego powinien czuć nienawiść, ale nie czuł. W każdym razie nie teraz, gdy ogarnął go taki spokój.

A przecież nic się nie zmieniło, oprócz tego, że ujrzał tancerkę, zastygłą w pół ruchu

przed pełnym gracji skokiem w przyszłość.

Więc chociaż sam bez przyszłości, uśmiechał się, zadowolony z jej szczęścia, którego początek miał nastąpić lada chwila.

- Następne dziesięć minut - odpowiedział na pytanie Hope. - Jestem w drodze na ranczo w Nevadzie.

- Razem z Molly. Nick spojrzał na czarne stworzonko śpiące spokojnie wśród dzikich kwiatów. Małe ciało tuliło się do niego, potrzebowało dotyku, żeby czuć się bezpiecznie.

- Tak, Moll zdecydowanie należy do bagażu.

- Ty naprawdę kochasz zwierzęta. Kocham? Nie, Hope Tessier, nie kocham nikogo. Nie ośmieliłbym się.

- Może w poprzednim wcieleniu byłem weterynarzem.

- Nadal jeszcze mógłbyś nim zostać. Nie. Nie mógłbym. Nie w tym życiu.

- Teraz już wiem, gdzie bije „źródło wiecznej nadziei”. To ty.

- Och! Nie. Ogarnął ją spojrzeniem niebieskich oczu.

- Tak. Pas de deux z gwałtownego i chaotycznego stało się idealnie zgrane. Ale nadszedł już czas na opuszczenie kurtyny.

- Hope, panie dzieju - oświadczył Nick - powinniśmy już chyba powędrować w stronę château.

Frances czekała przed Wejściem, na marmurowych schodach.

- Hope, kochanie.

- Witaj, mamó. Przepraszam, że się spóźniłam. To są Nick i Molly.

- Halo, Nick. - Upierścieniona dłoń o aksamitnie różowych paznokciach skinęła gościowi na powitanie. - I Molly.

- Znamy się z Nickiem z Willow Ranch.

- I teraz Nick przyjechał z wizytą? Wspaniale się składa. To znacznie ułatwi sprawę, Hope. Nie będę się czuła tak bardzo winna.

- Co ułatwi, mamó? Dlaczego winna?

- Właśnie miałam zostawić parę słów. Jak to mówią? Pisarze lubią pisać. Ale dużo lepiej powiedzieć ci bezpośrednio. Trudniej, ale lepiej. Nie ma dowodów na piśmie, nie ma czego niszczyć.

Nie ma czego ani kogo niszczyć, oprócz twojej córki, pomyślał Nick. Nie wiedział, co się stanie, ale był pewien, że ta kobieta, ta matka, za chwilę zrani Hope.

Znowu.

I że w ogóle o to nie dba.

Frances Tessier była wyraźnie podekscytowana. Kokaina, domyślił się Nick. Bujała w euforycznych przestworzach, oddalona od problemów swojej uroczej, wrażliwej córki.

- Pani Tessier.

- Proszę, nazywaj mnie Frances.

- Frances. Hope naprawdę bardzo czekała na wyjazd z tobą.

- Wiem, Nick. Któregoś dnia ja i Hope będziemy razem spacerować po Pebble Beach.

- Frances powiodła wzrokiem od przystojnego kowboja, w którym wyczuwała dziwną niechęć, do córki. - Ale najbliższe dni, Hope, musisz spędzić tutaj, co nie oznacza jeszcze końca świata. Jakby nie było, to wspomniały zamek, jeśli mogę się na ten temat wypowiadać. A dostawa specjalna, na którą czekałam? Jedzenie, stopy słodczy, same twoje ulubione - lody, ciastka, chipsy i różne takie.

Nick wiedział, że nie były to wcale smakołyki, za którymi Hope przepadała, a w każdym razie nie wymieniła ich w sumiennie prowadzonym dzienniku w Willow Ranch ani nie wspominała o nich w szczerych rozmowach z przyjacielem. Frances Tessier wyobraziła sobie po prostu, co objadające się dziewczynki powinny lubić, a w oczach matki Hope nie różniła się niczym od przeciętnego grubasa.

A może tusza Hope była pobożnym życzeniem Frances? Czy przypadkiem święcąca triumfy powieściopisarka nie czuła się zagrożona urodą, która uwidoczniła się u jej córki wskutek głodówki na ranczo?

To całkiem możliwe, uznał Nick, zważywszy wiek Frances i fakt, że w tym właśnie czasie nastąpiło rozstanie z Victorem. Prawdopodobnie osoba tego pokroju, kobieta niezwykle egocentryczna, wolała przejąć rolę współczującej matki nastolatki, która cierpi na nadwagę, niż mieć w córce rywalkę.

- Zostawiłam twoją walizkę w foyer - oznajmiła Frances, nie zważając na widoczną rozpacz Hope. - Śpij, gdzie chcesz. Wszystkie sypialnie są bajecznie romantyczne. Sama zobaczysz. Planowałam wyłączyć telefon, żebyś nie odebrała przez pomyłkę. Ale ty jesteś bystra. Wiesz, o czym trzeba pamiętać. Nie wolno ci odpowiadać na telefony ani stąd wyjeżdżać. - Wymanikiurowane palce przesuwają się wzdłuż sznura nieskazitelnych diamentów. - Ja muszę z nim być, Hope! Pięć dni, pięć nocy, z nim.

- Ale przecież on jeszcze nie skończył pisać muzyki do Duetu.

- Och, mówisz o Victorze. - Frances nadal gładziła klejnoty, które mąż ofiarował jej na czterdzieste drugie urodziny. - Ja wyjeżdżam z Gavinem, kochanie. Z Gavinem, nie z Victorem.

Gavin? Architekt chateau! Przyjaciół Sibil?

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz, rozumiesz - upierała się Frances. - Wiesz, jak Victor mnie traktuje, jak zawsze mnie traktował.

W świadomości Hope to lato było wyjątkowo udane. Matka wydawała się wypoczęta i szczęśliwa. Jeszcze dwie godziny temu, żartobliwie przekomarzając się z uśmiechniętym Victorem, nakazywała mu skończyć pracę do chwili jej powrotu z Carmel!

- Myślałam, że wszystko jest w porządku.

- Nie, kochanie, Ani trochę. To, że obywa się bez krzyków i kłótni, nie oznacza... Tegoroczne lato było okropne. On był okropny. - Frances przerwała i, jak przystało na doświadczoną literatkę, po chwili zręcznie przeszła do następnej sceny. - Ale, słoneczko, Victor nie może się o tym dowiedzieć. Sibyl, oczywiście, też. Byliby wściekli, po prostu wściekli. Całe miesiące zajęłoby mi ugłaskiwanie ich, a zwłaszcza Sibyl, mogłoby to całkowicie zrujnować plany bożonarodzeniowego balu.

- Ale jeżeli Victor jest dla ciebie taki okropny. Na pięknej twarzy Frances odmalowało się rozdrażnienie. To była jej opowieść, a Hope miała obowiązek wierzyć w każde słowo matki bez zadawania pytań.

- On jest okropny - powtórzyła z naciskiem. - Chociaż nie zawsze. Kocham Victora, kocham na dobre i na złe. Ale potrzebują Gavina, Hope. Potrzebuję spędzić z nim trochę czasu.

Jaskrawoczerwone ferrari z rykiem silnika pojawiło się na podjeździe. Przystojny mężczyzna, który wyszedł z samochodu, najwyraźniej zdenerwował się na widok oczekującej go grupki.

- Frances? - warknął.

- Och, odpręż się, kochanie! Hope to moja przyjaciółka, najlepsza. Mogę jej całkowicie zaufać. Oddana jest mnie, swojej matce, a nie Victorowi.

- Do diabła, Frances. Brałaś.

- Pociągnęłam raz czy dwa! Wystarczy jeszcze dla ciebie, Gavin, dla nas obydwójga.

Gavin obrzucił rozentuzjasmowaną kochankę wściekłym spojrzeniem i niecierpliwie wskazał na Nicka, który, odkąd czerwone ferrari pojawiło się na drodze, trzymał troskliwie w objęciach Molly.

- A to kto?

- Och! To jest Nick. Wspaniały, seksowny kowboj Hope. Jaka matka, taka córka - jeśli chodzi o mężczyzn, gust ma bez zarzutu. Nick, zostaniesz tu z Hope, dobrze?

- Mamo!

- Tak, Frances - odparł Nick. Zostanę przy tej uroczej, cierpiącej męki upokorzenia tancereczce, którą niszczysz z premedytacją.

W jego oczach błyszczała zimna furia, czego Frances Tessier nie potrafiła, a może nie chciała zauważyć.

- Słuchaj, Gav - kontynuowała z werwą - ani Nick, ani Hope nikomu nie pisną słowa. Dlaczego mieliby to zrobić? Wszyscy będziemy mieć znacznie więcej frajdy, niż gdybyśmy z Hope pojechały do Carmel, - Wypielegnowana dłoń Frances zaczęła wymownie błędzić koło sprzączki u paska Gavina. - Och, na litość Boską! Jedźmy już. Weźmiemy mój wóz. Jest dużo bardziej... przestronny. Ale ty prowadzisz.

Po chwili Frances i Gavin ruszyli. Jesienne słońce zdążyło jeszcze oświetlić namiętą scenę: mężczyzna za kierownicą i tuląca się do niego, przekomarzająca się z nim kobieta. Zanim dojechali do pierwszego z licznych ostrych zakrętów, Frances ze śmiechem pochyliła się ku kochankowi i tak zniknęli z oczu Hope.

- Okay - powiedział Nick spokojnie, ukrywając prawdziwe uczucia. Okrucieństwo nie dziwiło go. Był do niego przyzwyczajony. Ale żeby rozmyślnie krzywdzić Hope... - Pora na spenetrowanie tego wspaniałego zamku.

- Nie, Nick.

Rozpacz brzmiała w jej głosie, malowała się na ślicznej, oszołomionej twarzy.

- Posłuchaj, Hope - zaczął łagodnie, ze skruchą, bo miał przekazać przyjaciółce prawdę, którą sam świetnie znał: ze bardzo niewielu ludzi jest wartych...

Przerwał mu nagły pisk hamulców, a potem zgrzyt i łoskot metalu toczącego się w przepaść, miażdżonego o twardy obsydianowy stok.

- Prędko do domu, dzwoni pod 911! - krzyknął, podając Molly Hope. Zanim pobiegł do miejsca, gdzie zatrzymały się powyginane szczątki wozu, dorzucił kategorycznym tonem: - A potem czekaj tutaj.

Do wnętrza złocistego mercedesa nie przedarł się łoskot miażdżonej karoserii. Okna wozu były szczelnie zamknięte, szumiała klimatyzacja. Sibyl wyteżęła uwagę, by dosłyszeć cichy, wyprany z emocji głos, który płynął do niej z telefonu komórkowego.

- Chcesz wierzyć w wierność Frances - przerwała rozmówcy. - Ale, Victorze, już w ciągu pierwszych lat małżeństwa przekonałeś się, że to nieprawda. Nie rozumiem, jak możesz o tym zapominać. W końcu Hope jest żywym dowodem zdrady. I zapewne zdajesz sobie sprawę, że w okresie separacji twoja żona nie zachowywała się jak mniszka.

- Wiem, Sibyl. O niczym nie zapominałem. - Ale i Victor Tessier miał kochanki. Niewidzialne, ulotne, nie z krwi i ciała, z którymi Frances nie mogła konkurować. Jego

obecna namiętność - muzyka do Duetu - była najbardziej wymagającą miłością. Akcja filmu toczyła się w Napa, co zmuszało kompozytora do podróży sentymentalnej, którą chciał i musiał odbywać w samotności.

- Czy nic cię nie obchodzi, że twoja żona i mój przyjaciel nas zdradzają? Obchodzi? Tak... i nie. Zasłużył na niewierność Frances. Nie potrafił darzyć jej takim uczuciem, jakiego potrzebowała, a może po prostu nie chciał już kochać tak bardzo.

Jednak rewelacje Sibyl zdziwiły Victora. Pomimo pracy nad Duetem poświęcał Frances dużo uwagi i ostatnie miesiące w Napa wydawały się jednymi z najlepszych w ciągu dwudziestu lat ich małżeństwa. A może... .

- Gavin projektował chateau - odparł. - Nic dziwnego, że chce tam zajeżdżać po drodze.

- W ogóle mnie nie słuchasz! Powtarzam jeszcze raz. Gavin dzwonił do mnie, twierdząc, że jest w San Francisco i za chwilę wsiada na pokład samolotu. Piętnaście minut później jego ferrari pędziło w stronę zamku. A teraz odkryłam, że Frances też planuje pięciodniowy wyjazd. W tym przypadku, mój drogi, dwa plus dwa daje pięć - pięć odrażających dni zdrady.

Z Hope jako świadkiem? Victor dziwił się i bolał nad tą miłą nastolatką, której prawie nie znał. On zasłużył na zemstę Frances. Hope nie.

- Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, Frances i Gavin zadali sobie wiele trudu, aby ukryć swój romans. To tylko przelotna zachcianka, Sibyl. Kaprys.

- Więc mamy udawać, że o niczym nie wiemy? Może ty jesteś do tego zdolny, Victorze. Robiłeś to już przedtem. Ale ja nie. Jeżeli Gavin naprawdę wierzy, że mogłabym go kiedykolwiek przyjąć z powrotem... O, Boże! Victor! Coś się stało. Pełno tu policji, pędzą w stronę zamku...

Przez słuchawkę telefoniczną dobiegło Victora wycie syren, a potem zapadła pełna lęku cisza.

- Już jadę, Sib. Zostań tam, gdzie jesteś. Nick usłyszał syrenę, kiedy właśnie kończył ponure zadanie, którego się podjął.

Nie mógł nic dla nich zrobić oprócz oszczędzenia im rozgłosu i zapewnienia godności w obliczu śmierci. Wyciągnął zwłoki z dymiącego wraka i ułożył na wysepce trawy na urwistym zboczu.

Potem zasłonił im twarze. Musiały zostać zakryte, podobnie jak szyja Frances Tessier. Sznur najwyższej klasy diamentów niczym ostrze brzytwy wszedł w delikatne ciało.

Ostrożnie, przytrzymując opadającą głowę, Nick dźwignął zwłoki kobiety. Rozerwany naszyjnik zsunął mu się pod nogi. Diamenty błyszczały w słońcu jak krwawe łyzy. Pomiędzy

kamieniami widniały strzępy skóry. Zauważył to, dopiero gdy podniósł klejnoty z ziemi.

Teraz już chciał wracać do niej. Do Hope. Dostrzegł ją, nim jeszcze zaczął wspinać się pod górę, w chwili gdy powietrze rozdarł ryk syren. Stała na krawędzi urwiska, ściskając kurczowo Molly, wpatrzona w zgliszcza na dole.

Ile mogła stamtąd dojrzeć?

Wystarczająco dużo, zdał sobie sprawę, kiedy zobaczył jej porażone grozą oczy i spopieloną twarz. Zbyt dużo. Wszystko.

Jasnoniebieska koszula Nicka była przesiąknięta krwią Frances Tessier, a z zaciśniętej dłoni zwisał mu sznur zakrwawionych diamentów pokrytych strzępami skóry.

Dotarłszy do zastygłej w bezruchu dziewczyny, zdjął koszulę, położył na ziemi i rzucił na nią pokrzwawione diamenty. Został w czarnym T - shircie, również wilgotnym od krwi, ale na ciemnej tkaninie plamy nie były tak widoczne.

W tym momencie wozy policyjne i karetka pogotowia wyłoniły się zza zakrętu. Nick napotkał spojrzenie Hope. W jej oczach malował się ból, ale nie płakała. Jeszcze nie w pełni zdała sobie sprawę z tego, co się stało.

- Chodź ze mną - powiedział cicho. Posłuchała. Przeszli na drugą stronę drogi, na łagodny stok porośnięty wysoką trawą.

- Zostań tutaj - polecił, kiedy Hope usiadła. - a ja porozmawiam z policją.

Zostańcie tu z Molly.

Sybil i Victor przyjechali jednocześnie. Policjanci powiedzieli im, co się stało.

- Nie - krzyknęła Sybil. - Nie wierzę! Victorze, pomóż mi.

Nie miał wyboru. Sybil osunęła mu się w ramiona. Wyszeptał odruchowo jakieś pocieszenie bez znaczenia, na które, ku swemu zdumieniu, czekał się po chwili odpowiedzi.

I to wcale nie cichej. Słowa Sibyl docierały zarówno do uszu policjantów, jak i pielęgniarzy z pogotowia.

Słowa sensowne, ale nieszczerze.

- Och, gdybym nie poprosiła Gavina, żeby zajechał do chateau - rozpaczła Sybil. - Żeby przywiózł do mnie Franny. Mogłam sama do niej pojechać, przedstawić jej plan balu. Ale nie zrobiłam tego i teraz moja najlepsza przyjaciółka i mój Gavin, mój ukochany, nie żyją.

Victor cofnął się i wlepił w szlochającą kobietę osłupiałe spojrzenie.

- Co ty, do diabła, opowiadasz?

- Ciii... - Sibyl przysunęła się do niego. - Chcesz, żeby cała dolina знаła prawdę?

- Mam gdzieś dolinę. Jedyne osoba, która się liczy, to Hope, a ona już wie.

- Hope wie? Zamiast odpowiedzi Victor odwrócił się i ruszył w stronę porośniętego żółtą trawą zbocza, gdzie siedziała osierocona córka Frances. Mały czarny piesek drzemał koło niej zwinięty w kłębek. Obok stał ciemnowłosa mężczyzna, który wyglądał, jakby pełnił przy Hope uroczystą wartę.

Nick przyglądał się Victorowi od momentu, kiedy maestro wkroczył na scenę. Zauważył jego badawcze spojrzenie zwrócone w stronę pasierbicy, udrękę i ogromne opanowanie.

Żona Victora nie żyła, a on najwyraźniej był wstrząśnięty jej straszliwą śmiercią. Stłumił jednak własny ból ze względu na Hope, cudzą córkę.

Kiedy Victor podszedł bliżej, Nick dostrzegł coś jeszcze, coś wyjątkowego u człowieka, który potrafił się zdobyć na tak doskonałe opanowanie: wyraz jawnej bezradności. W poważnym spojrzeniu Nick odczytał wdzięczność dla niego, nieznanego, za to, że pomógł Hope tak, jak Victor pomóc jej nie potrafił.

Nigdy by mu na to nie pozwoliła.

Niechęć Hope do ojczyma emanowała z każdej komórki jej wstrząsanego dreszczami ciała. Kiedy podszedł, dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej, ukryła swą rozpacz pod miedzianorudą zasłoną.

Mimo to Victor przykucnął obok niej na trawie. Ale ręka, którą wyciągnął w geście pocieszenia, zmieniła w ostatniej chwili kierunek i spoczęła na futerku Molly.

- Hope? - zaczął błagalnym tonem. - Tak mi przykro. Połyskliwa miedziana zasłona rozchyliła się.

- I powinno być ci przykro! To wszystko twoja wina. Zaniedbywałeś ją. Byłeś dla niej okrutny. To ty ją zabiłeś, Victorze. Ty!

- Wiem - zdążył szepnąć, zanim zasłona znowu opadła. - Zadzwoń do Ghase'a. Powiem mu, żeby jak najszybciej wracał do domu. Będę koło samochodu. Kiedy poczujesz, że już jesteś gotowa, odwiozę cię do Domaine. Do Chase'a. Dobrze?

Czekał, lecz odpowiedziało mu tylko nienawistne milczenie. Po chwili, jakby wyczuwając cierpienie Victora, Molly polizała jego rękę. Aksamitny, miękki dotyk, wyraz przywiązania, tylko uraził i tak już obolałe serce. Ale Victor Tessier odpowiedział na psią życzliwość. Delikatnie pogłaskał Molly po jedwabistym łebku, przelewając na pieska cały swój żal.

W końcu się podniósł, smutno skinął głową Nickowi i poszedł pożegnać Frances. Ale zanim dotarł do zmasakrowanego ciała żony, drogę zastąpiła mu Sibyl.

- Victor?

- Co? - zapytał ze znużeniem.

- Kim jest ten mężczyzna koło Hope?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Boże, Victor, a jeśli on jest w to zamieszany? Pamiętasz, kiedy Gavin wylał jednego z kamieniarzy - wylał go na żądanie Frances! - zaczęły się te telefony z pogroźkami? Może to on groził? Może majstrował coś przy hamulcach?

Nick słyszał oskarżenia Sibyl i widział, jak oficer policji podchodzi do rozmawiających z jego zakrwawioną koszulą w rękach. Głos policjanta brzmiał spokojnie, ale w plastikowym woreczku na dowody rzeczowe błyszczały diamenty, na których z pewnością zachowały się odciski palców Nicka.

- To złodziej! - oświadczyła Sibyl. - Z pewnością groźny bandzior, a najprawdopodobniej także morderca. Niech pan go aresztuje! Aresztujcie tego człowieka, natychmiast.

Sibyl Courtland Raleigh oczekiwała, że jej rozkaz zostanie wypełniony. Zawsze tak było. Również teraz, jak zauważył Nick, policjant posłusznie zareagował.

Ale gdy tylko ruszył w stronę Wolfe'a, został zatrzymany gestem ręki, która przedtem chciała pocieszyć Hope, a zamiast tego spoczęła na futerku Molly. Kilka słów wypowiedzianych przez znanego muzyka sprawiło, że oficer wzruszył ramionami i odszedł.

Victor Tessier ofiarował Nicholasowi Wolfe'owi odroczenie egzekucji, szansę ucieczki.

- Muszę już jechać. Na dźwięk głosu Hope Nick oderwał wzrok od sceny rozgrywającej się pomiędzy Victorem i Sibyl. Hope stała przed nim z suchymi, pełnymi determinacji oczami.

Zrozumiała, słyszała każde słowo.

Morderca. Groźny bandzior. Złodziej.

Czy uwierzyła w złośliwe pomówienia Sibyl?

Nie. Nie. Ale...

- Musisz jechać, Hope? Dokąd?

- Do domu. Z Victorem.

- Weź Molly.

- Nie. Nie mogę.

- Dobrze - powiedział łagodnie. - Wobec tego zobaczymy się jutro. Odwiedzimy cię z Molly w Domaine.

- Nie. - Drżała, jakby zachodzące jesienne słońce zostawiało po sobie lodowaty chłód.
- Musisz wyjechać z Napa, Nick. Natychmiast.

Miała rację. Nie wierzyła, że popełnił jakiekolwiek przestępstwo, ale wiedziała, że jego odciski palców znajdują się na zerwanym naszyjniku, i że Sibyl - wzgardzona, ziejąca nienawiścią - łaknie krwi.

Więc opuszczała to miejsce, aby i on mógł odejść.

- Nie ma mowy - upierał się Nick. - Zatrzymam się w motelu Vineland. Będę czekał na twój telefon.

- Ale ja nie zadzwonię - powiedziała. - Niedługo zacznę naukę w college'u. Nick, wyjedź stąd, proszę. Proszę.

I odeszła. W drodze do samochodu Victora ani razu nie obejrzała się. Za siebie, nie spojrzała na swoje minione życie. Nick czekał na jej telefon. I na gliny.

Ale nie doczekał się ani jednego, ani drugiego.

Dwa dni później Hope Tessier opuściła dolinę. Nicholas Wolfe także.

Galeria Vineland, St. Helena

sobota, 10 listopada

Brawo! - Jane Parish powitała Hope uśmiechem i uściskami. - Uwielbiam, kiedy źli faceci dostają za swoje. - No, cóż. Miło, gdy prawo sprawnie funkcjonuje.

- Amen. Dobrze, że przyjechałaś. Nick też się ucieszy. Czy na pewno? - chciało wiedzieć bijące gwałtownie serce.

Tylko serce? Nie. Każda cząstka ciała, niegdyś przytłoczonego własnym ciężarem i smutkiem, teraz delikatnego i drżącego pod wpływem nadziei.

- Nie widzieliśmy się od dziewięciu lat.

- Ale - przerwała jej Jane - przyjaciel to zawsze przyjaciel. A właśnie tym, jak twierdzi Nick, dla siebie jesteście.

- Czy on już przyjechał?

- Jeszcze nie. Zapewne pojawi się dość późno. Może tymczasem obejrysz jego obrazy? Sama zobaczysz, jakiego zdolnego masz przyjaciela.

Hope przekonała się o talencie Nicka... i nie tylko. Dostrzegła ścieranie się sprzeczności - łagodny zachwyty i cierpki ból; niebo tak błękitne, że raziło oczy, i winnice spalone na popiół; majestat rodzącego się dnia i gorzkie pożegnanie zmierzchu.

W zdumiewających obrazach Nicka zobaczyła swoją własną dolinę Napa, pokusę i udrękę, unicestwienie i marzenia, raj nawiedzany przez dawne duchy przy blasku księżyca.

Wspomnienia... i gniew.

Walka przeciwności, trawiąca i nieunikniona, była obecna na wszystkich płótnach Nicka oprócz ostatniego, zamykającego cykl. Przedstawiało ono wiosnę i niczym niezmaconą radość: cała dolina tonęła w złotej chmurze kwiatów gorczycy.

Hope wpatrywała się w obraz i wspominała, wspominała. Serce uderzało jej w zdradliwym rytmie. Drżała z przejęcia. I nagle poczuła coś ciepłego, dygoczącego tuż koło swoich nóg.

Dygoczącego? Nie. Raczej wierzącego się szaleńczo, zupełnie jakby mały, pełen entuzjazmu ogonek wymachiwał psem, a nie odwrotnie.

Hope uklękła, żeby powitać mięciutkie stworzonko, pogłodzić lśniąca czarna sierść.

- Molly - szepnęła.

- Witaj, Hope. Podniosła się z kolan, stanęła z nim twarzą w twarz i uśmiechnęła się.

Był uderzająco przystojnym mężczyzną z jej wspomnień o tańcu i o śmierci. Ale teraz wydawał się jeszcze urodziwszy, wspanialszy. Bardziej szorstki. Twardszy. Bardziej zawzięty.

Jego oczy, intensywnie niebieskie, sprawiały wrażenie surowych jak niebo, które malował.

- Cześć - odezwała się. - Przyjechałeś.

- Ty też - odparł łagodnie. Hope udało się uciec spojrzeniem do płótna, na którym Nick uwiecznił widok zawsze żywy w jej pamięci.

- Wspaniały. Wszystkie twoje obrazy są wspaniałe, ale ten...

- Namalowałem to, o czym mi opowiedziałaś.

- Nigdy nie widziałeś wiosny w dolinie?

- Nie. Jeszcze nie.

Nick spędził tu niespełna dwa miesiące. Powrócił do Napa Valley - do swoich koszmarów i marzeń - po dziewięciu latach, podczas których opierał się temu pragnieniu. Mógł się trzymać z dala od doliny. Zmusić się do tego. Ale Nicholas Wolfe podjął decyzję, dokonał wyboru. Nie chciał już więcej uciekać. Postanowił zaryzykować. Był już zmęczony wieczną tułaczką. Ukrywaniem się. Wspomnieniem kuszącego spokoju i związanym z tym cierpieniem.

A co się stało z dzielną dziewczynką, która przemieniła się w tancerkę? Zapewne wyszła za mąż, doszedł do wniosku. Jest szczęśliwa, rozwinęła skrzydła. Ale przecież może z nią rozmawiać, być jej przyjacielem, rysować dla jej odważnych, wspinających się na drzewa dzieciaków - tak jak Jane Parish malowała obrazki na szkle dla cudzych synów i córek.

To były rozsądne pragnienia, bezpieczne. Ale Nicka nawiedzało jeszcze inne marzenie, groźne i nierozsądne. Ona jest wolna, a on może wyznać jej całą prawdę. I oto stała przed nim, teraz już dorosła kobieta, zgodnie ze słowami Jane, niezamężna. Związana tylko z pracą, którą kochała.

- Czy ten obraz ma jakiś tytuł? - przerwała milczenie Hope, nadal wpatrzona w złocistą chmurę kwiatów gorczycy.

Niektóre jego obrazy, jak zauważyła, zostały opatrzone tytułami, wykaligrafowanymi przez Jane tuszem na karteczkach o barwie kości słoniowej ze złotą inskrypcją „Galeria Vineland”.

Ale żadna informacja nie widniała pod portretem wiosennej radości. Może to płótno w ogóle nie miało tytułu.

- Nazywam go „O rety”.

- Och - szepnęła. - Nigdy mi nie mówiłeś, że potrafisz malować. Wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem, że potrafię. W dzieciństwie rzeczywiście trochę rysowałem. - A potem już wcale. Przez lata. Przez cały czas, kiedy się ukrywał. Zaczął malować, poczuł, że musi, dopiero udręczony pokusą powrotu do Napa. - A ty nigdy mi nie mówiłaś, że potrafisz być prokuratorem.

Teraz Hope wzruszyła ramionami.

- Sama o tym nie wiedziałam.

- Ale potrafisz.

- Najwyraźniej tak.

- I lubisz swoją pracę?

- Owszem. Bardzo. Energiczny stukot obcasów nie pozwolił jej dokończyć. Zza rogu wyłoniła się Sibyl Raleigh. Nick schylił się i podniósł Molly.

- Nicholas Wolfe? - upewniła się Sibyl. - Och, i Hope! Jesteś prawdziwą bohaterką, moja droga. Mały krok w karierze zastępcy prokuratora okręgowego, wielki skok w walce o prawa kobiety. Nie to, żebym uważała, że wszystkich mężczyzn należy trzymać pod kluczem.

- Sibyl obdarzyła Nicka pełnym aprobaty uśmiechem. - Utalentowanych powinno się zostawić na wolności. To ty jesteś tym artystą, prawda? Tak, na pewno. - Zmarszczyła lekko brwi, kiedy jej wzrok padł na czarne kudłate stworzenie, skulone bezpiecznie w ramionach Nicka. - Jane mówiła, że po raz ostatni widziano cię, jak podążałeś trop w trop za swoim psem.

- Molly.

- Słucham?

- Ma na imię Molly.

- Aha. Tak czy owak, Jane wspominała również, że spóźniłeś się na własny wernisaż z powodu choroby konia.

- Rzeczywiście, bałem się o jego zdrowie. Na szczęście niepotrzebnie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wtedy w ogóle byś nie przyszedł?

- Chcę przez to powiedzieć, że cieszę się, że nie zachorował. Do licznych wad pani Raleigh nie należała z pewnością głupota.

Sibyl uznała, że nie jest to stosowny moment na upominanie utalentowanego, a jednocześnie kapryśnego i wrogo usposobionego artysty, by porzucił konie i całkowicie poświęcił się sztuce. Zwłaszcza że miała co do Nicka własne plany.

- Cóż, ja również się cieszę, że nie zachorował. A przy okazji, powinnam się chyba przedstawić. Jestem Sibyl Raleigh. Przyznaję, że twoje prace są wprost niewiarygodne.

- Dziękuję, pani Raleigh. Proszę, nazywaj mnie Sibyl. Teraz już muszę uciekać, ale myślę, że jeszcze się spotkamy i pogawędzimy, Nick. Jestem tego pewna.

Hope przyglądała się twarzy przyjaciela, kiedy patrzył w ślad za odchodzącą Sibyl.

Tętno na szyi pulsowało mu powoli, równomiernie, spokojnie. Ręce, jego utalentowane dłonie, delikatnie gładziły Molly. Ale w oczach malowało się poczucie klęski.

- Nie poznała mnie.

- Nie.

- Jasne, wtedy nie podeszła do nas wystarczająco blisko. Za to twój ojciec...

- Victor Tessier nie jest moim ojcem.

- Tak, oczywiście. Jestem ciekaw, czy wniesiono przeciwko mnie oskarżenie.

- Nie wiesz?

- Nie. Możesz to sprawdzić? Jako przedstawiciel prawa?

- Nie było nakazu aresztowania, Nick. Nie mogło być. Przecież nie miałeś zamiaru ukraść tego naszyjnika, a co do...

- Morderstwa? - dokończył z uśmiechem. - A dlaczego nie miałabyś tego sprawdzić, dla mnie? Tym razem nie mam zamiaru uciekać.

- Wtedy też nie uciekłeś, chociaż bardzo mi na tym zależało. To prawda. Wtedy nie. Uciekł za pierwszym razem.

- A skąd wiesz? Bo kiedy zadzwoniłam do motelu kilka dni później, recepcjonista powiedział mi, że nadal tam mieszkasz. Zostałeś w Napa, Nicholasie Wolfe, tak jak obiecałeś. Ryzykowałeś bardzo dużo - dla mnie.

Montagne Noir

niedziela, 11 listopada

Mallory Mason dotarła do chateau o trzeciej. - Naprawdę robi wrażenie - oświadczyła Chase'owi, kiedy prowadził ją do salonu. - To miejsce jest rzeczywiście tak bezpieczne, jak pan zapewniał. I wygląda imponująco - pochwaliła zamek raz jeszcze, witając się z Hope i Cassandrą. - Ani jednego reportera w zasięgu wzroku. Dzień dobry, Cass. Jestem Mallory Mason. Widziałyśmy się przelotnie w szpitalu.

- Tak, pamiętam.

- Świetnie. Nadal żadnych wspomnień z dnia, który nas interesuje?

- Nie. Mówiłaś o bezpieczeństwie, Mallory? Czy coś nam grozi? Prawniczka rzuciła pytające spojrzenie Chase'owi.

- Co jej pan mówił?

- Nic.

- Bo o nic nie pytałam. Ale teraz właśnie pytam.

- W porządku - odparła Mallory. - Powiem ci wszystko, co sama wiem o tej sprawie.

Pachnące świece migotały w kryształowych graniastosłupach na kominku, wyściełane krzesła otaczały stół, którego szklany blat uginał się pod srebrnym serwisem i talerzami smakołyków przygotowanych przez Eleanor.

Trzy kobiety zasiadły wygodnie, zupełnie jakby zebrały się na plotki. Lecz jedna z nich wyciągnęła z wypchanej papierami teczki żółty sądowy formularz, druga zaś popatrywała z troską i niepokojem na siedzącą obok otuloną w malinowy szlafrok przyjaciółkę - zmęczoną, mizerną, z ogoloną głową.

- Oto co wiemy - zaczęła Mallory. - Znalaziono cię nieprzytomną trzydziestego pierwszego października o siódmej wieczorem. Odkryto ślady włamania, a twoja biżuteria zniknęła.

- Biżuteria?

- Wszystko, co znajdowało się w pudełeczku na precjoza w sypialni, oraz naszyjnik wypożyczony od Castille.

- „Fantazja Impromptu”. - Kiedy Cass wymówiła nazwę słynnego klejnotu, pamięć po raz pierwszy wydobyła z mroku obraz halloweenowej gali. To była impreza Cassandry, jej pomysł, rezultat jej starań. Nawet tytuł spotkania - „Po drugiej stronie tęczy” - należał do niej.

Cass nigdy nie pożyczala biżuterii, ale Castille słynął z tęczyowych kompozycji i kiedy jubiler skontaktował się z Natalie... Natalie. Dziwne, że nie miała od niej żadnych wiadomości. Mglisty kokon spowijający mózg dotąd nie pozwalał się tym martwić. Jednak słowa Mallory przedarły się przez ochronną zasłonę. - Muszę zadzwonić do Castille, zawiadomić, że pokryję stratę.

- Nie ma takiej potrzeby - uspokoiła ją prawniczka. - „Fantazja Impromptu” była ubezpieczona przed kradzieżą.

- Och, to dobrze. Pewnie chcesz, żebym ci podała nazwiska osób, które wiedziały o naszyjniku?

- To też. Ale przede wszystkim interesuje mnie twój związek z Robertem Forrestem.

- Z Robertem? - Cass spochmurniała i wzruszyła ramionami. - To był po prostu... związek.

- Mogłabyś określić to precyzyjniej?

- Ja... Sama nie wiem.

- Gramy po tej samej stronie boiska, Cassandro. A twoje odpowiedzi brzmią jak powtórka przed przesłuchaniem w krzyżowym ogniu pytań obrony.

- Obrony?

- On już wynajął najlepszego adwokata od spraw kryminalnych, jakiego tylko można zdobyć za pieniądze. Luciana - powinien mieć na imię Lucyfer - Lloyd.

- On? Masz na myśli Roberta? Nic nie rozumiem.

- Cassandro, czy Robert Forrest kiedykolwiek cię zgwałcił?

- Był... natarczywy... czasami. Czy to jest gwałt?

- A czy czułaś się zgwałcona? Tak, oczywiście, ponieważ Robert nie był Chase'em. Chase.

Ochronny kokon pozwolił jej odpowiadać na pytania Mallory, zupełnie jakby Chase'a tu nie było.

Ale był. Stał przed oszkloną ścianą, zapatrzony w miejsce, gdzie błyszczały tęcze, kłębiły się mgły i rodziły marzenia. Teraz jednak barwny łuk zniknął bez śladu, marzenia - jej marzenia - dawno umarły, a mgły stawały się coraz ciemniejsze.

Twarz Chase'a Tessiera skamieniała, pięści zacisnęły się, a oczy przybrały odcień stali. Napięty, ale opanowany i wcale nie zaskoczony tym, co słyszy, zdała sobie sprawę Cassandra. Najwidoczniej spodziewał się takich pytań, które dla Cass były zupełną niespodzianką. Wiedział o czymś, czego ona nie potrafiła dostrzec w ciemnościach.

- Cassandro - naciskała Mallory. - Przykro mi, że jestem taka obcesowa, ale wiem, że

masz ograniczone siły, a musimy jeszcze omówić kilka spraw, zanim...

- Padnę - dokończyła Cass. - Rozumiem. - Podniosła oczy na Mallory. - O co pytałaś?

- Czy czułaś się zgwałcona przez Roberta Forresta? Cassandra znowu milczała, wpatrzona w talerz przygotowanych przez Eleanor smakołyków. Dopiero teraz zauważyła dekoracje na ciasteczkach: kwiaty poinsecji, lukrowe laseczki, płatki śniegu i wieńce - zapowiedź cudów, które miały się ziścić w Boże Narodzenie.

- Robert twierdzi, że lubisz brutalny seks. Cass oderwała wzrok od świątecznych słodczy.

- Tak powiedział?

- Czy to prawda?

- Nie.

- A więc Robert skłamał. Może musiał, bo wiedział, że seks, który uprawialiście trzydziestego pierwszego, zostanie uznany przez lekarzy specjalistów za brutalny.

- Ale ja nie byłam z Robertem trzydziestego pierwszego. Nie mogłabym. - Dlaczego?

- Bo w tym okresie już się nie widywaliśmy.

- Od kiedy?

- Od początku października.

- Kto zerwał?

- Ja.

- Dlaczego?

- Po prostu... tak zdecydowałam. Robert twierdzi, że był ze mną trzydziestego pierwszego? I że... ?

- Uprawialiście seks. To ostatnie potwierdzają wyniki badań lekarskich. Forrest zeznał także, że to on chciał zakończyć wasz związek, a ty trzymałaś się go kurczowo. Kolejne kłamstwo?

- Tak. Mallory zanotowała coś i podkreśliła w formularzu przesłuchania.

- Kto wiedział o waszym rozstaniu?

- Nikt.

- Nikt? Byłaś związana z jednym z najbardziej znanych hollywoodzkich aktorów przez prawie rok i...

- Tylko siedem miesięcy.

- ...i nikomu nie wspomniałaś o tym, że zrywacie ze sobą? Nie zwierzyłaś się żadnej przyjaciółce?

Żadnej przyjaciółce? Zupełnie jakby Cass miała więcej niż jedną. Jakby miała

jakąkolwiek przyjaciółkę oprócz Hope.

- Dokładnie tak. Nie powiedziałam o tym nikomu.

- To tłumaczy, dlaczego nie zdziwiło cię, że Robert nie przychodził do szpitala, kiedy już się ocknęłaś.

- Nie oczekiwałam, że mnie odwiedzi. Ani sobie tego nie życzyłam. - Kiedy już się ocknęłam? - Cassandra zmarszczyła brwi. - Czy przedtem przychodził?

Tym razem odpowiedzi udzieliła Hope.

- Tak. Na początku, zanim Chase go nie wyrzucił. Cassandra odwróciła się ku stalowookiemu mężczyźnie, którego odbicie widziała w kryształowej szybie, - Dziękuję - powiedziała. Chase oderwał gniewne spojrzenie od kłębiącej się za oknem mgły.

- Nie dziękuj mi, Cassandro. Na początku to właśnie ja pozwoliłem temu sukinsynowi się do ciebie zbliżyć.

- Przecież nie wiedziałeś, Chase. Jego twarz złagodniała, a za szybą pierwszy promień słońca obiecywał, że wkrótce mgły przybiorą barwę szampana, pojawi się tęcza, a Chase i Cassandra zostaną sami w swoim château.

Odkrywcy.

Farmerzy.

Pionierzy.

I kochankowie.

- Czy Robert kiedykolwiek cię pobił? Wąłła jeszcze tęcza - wspomnienia, obietnice, marzenia - rozprysła się w nieskończoną liczbę szarych odłamków.

- To naprawdę konieczne? - wyrwało się Chase'owi, chociaż doskonale wiedział, że tak. Chodziło o usiłowanie morderstwa, a kłamstwa Roberta komplikowały sprawę. - Przepraszam.

I ciebie przepraszam, dodał w myślach, patrząc na swoją śliczną, zmalretowaną wróżkę, głęboko zranioną istotę, którą przysięgał kochać, otaczać czułością i bronić.

- Cassandro? - odezwał się łagodnie. - Czy on cię bił? Popatrzyła na niego spokojnie, po czym przeniosła spojrzenie na ciemnoszare niebo za plecami Chase'a. Jej palce bezwiednie dotknęły głowy, gdzie niemal przezroczystą skórę znaczyły ciemnoczerwone szramy.

- Bił? - powtórzyła, spuszczać wzrok na zaciśnięte do białości palce. - Nie.

- Ale coś się wydarzyło, Cass? - Hope łagodnie usiłowała wydobyć z przyjaciółki prawdę. - Miał miejsce jakiś rodzaj przemocy?

Możesz Chase'owi wyznać wszystko, zapewniała Eleanor. Wszystko. Ale ta sprawa była błaha, nieważna w porównaniu z tajemnicami, których Cass nikomu dotąd nie

powierzyła.

To, co miała teraz powiedzieć, wydało jej się do tego stopnia bez znaczenia, że nie skierowała swoich słów ani do Chase'a, ani do Hope.

- Wydarzyły się trzy... incydenty.

- Okay - odezwała się Mallory. - Chciałabym poznać szczegóły. Kiedyś, dawno temu, pełna wdzięku muza, współczesna Szeherezada, zachwycała swymi opowieściami turystów w Domaine Tessier. Ale ta złotowłosa czarodziejka znikła bezpowrotnie.

Obecna opowieść była tylko szkieletem, tak jak i sama Cassandra, której pamięci tym razem nie chroniła żadna otulina.

- Pierwszy wypadek miał miejsce w czerwcu - zaczęła Cass.

- Zaczekaj chwilkę - przerwała jej Mallory, - Pozwól mi najpierw uporządkować kilka faktów. Kiedy związałaś się z Robertem?

- W lutym. Graliśmy w tym samym filmie. To był romans o kobiecie bardzo podobnej do mnie z czasów, kiedy spotkałam Chase'a, i o mężczyźnie, który do złudzenia przypominał... Jak łatwo dała się omamić i jak mistrzowsko Robert wyczuł jej potrzeby, wszedł w rolę i odgrywał ją na tyle często, że Cass nie opuściła go.

- Mieszkaliście razem?

- Nie.

- Czy w tym czasie to był twój jedyny związek?

- Nie uznaję związków na boku.

- Ale Robert tak.

- Zapewne masz rację.

- W porządku. Co wydarzyło się w czerwcu?

- Dostałam rolę, o której marzyły wszystkie aktorki w Hollywood. Robert zachęcał mnie, żebym się o nią starała, chociaż moje szanse były bardzo nikłe.

- Momencik - wtrąciła Mallory. - Przepraszam, że ci przerywam, ale zebrałam trochę informacji na temat twojej kariery. - Poszukiwania w tej dziedzinie nie wymagały, rzecz jasna, żadnego wysiłku. Od dnia napadu artykuły o rannej aktorce pojawiały się na łamach wszystkich gazet. Podczas lotu z Los Angeles Mallory przeczytała jedną z takich relacji w magazynie „People”.

- No, cóż. Miałam... dużo szczęścia. To nie była kwestia szczęścia - Mallory świetnie o tym wiedziała - tylko talentu i wyteżonej pracy. Zdaniem agentki Natalie Gold, Cassandra pracowała najciężej spośród wszystkich hollywoodzkich aktorek. Wyglądało na to, że gdy tylko uporała się z jakimiś obowiązkami, czuła niemal przymus, by podjąć się następnych.

- Dlaczego uważałaś, że twoje szanse na tę rolę są tak nikłe? Może dlatego, odczytała z twarzy prawniczki Hope, że w grę wchodziło maltretowanie psychiczne?

Jedyną odpowiedzią Casssandy było wzruszenie ramion.

- W każdym razie - podjęła po chwili - dostałam ją, a tego samego dnia Robert stracił rolę, na którą liczył.

- I wyładował wściekłość na tobie?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Oskarżył mnie o sypianie... z każdym, włączając w to reżysera, który utracił jego kandydaturę. A potem zaczął szarpać. Tutaj. - Białe palce wskazały na przedramię, wyglądające bardzo krucho, mimo że jego szczupłość ukrywały warstwy miękkiego materiału. - Posiniaczył mnie.

- Był zadowolony, widząc, co zrobił?

- Tak - przyznała Cass cicho. - Bardzo. Przez chwilę. Potem nagle mu się odmieniło, zaczął rozpaczać i przepraszać.

- Błagał, żebyś mu przebaczyła?

- Tak.

- Zrobiłaś to?

- Tak. - Bo kiedy wzruszające usprawiedliwienia nie skutkowały, znowu uległ przemianie i nagle stał się mężczyzną z romansu... Jakże chętnie brała udział w jego grze, uczestniczyła we własnej zagładzie. - Zrobiłam to.

- I do kiedy zachowywał się przyzwoicie?

- Do połowy lipca. Trwały ostateczne prace nad filmem, w którym obydwójce występowaliśmy. Robert brał w nich czynny udział, ponieważ był współproducentem. Zdecydował, że należy dodać scenę miłosną. Byłaby autentyczna, jak twierdził, przekonująca, ponieważ naprawdę żyliśmy ze sobą.

- Ale ty nigdy nie podejmujesz się tego typu scen. - Ta informacja również pochodziła z prasowych artykułów.

- Nie. Nigdy.

- A Robert chciał, żebyś odstąpiła od tej zasady. Dla niego.

- Tak.

- A kiedy odmówiłaś?

- Wpadł w szał. Byliśmy... w łóżku. W jego łóżku. Kazał mi się wynosić. Wypchnął mnie siłą.

- Kopnął cię?

- Tak.

- Czy potem jeszcze cię kopał?

- Tak.

- Gdzie?

- Leżałam na podłodze.

- Chodziło mi o to, w co cię kopał?

- W klatkę piersiową i... - to głupie, bez znaczenia, ale nie potrafiła tego z siebie wydusić.

Jednak Mallory Mason nie ustępowała. - I...?

- I w podbrzusze. Tak. Tam też.

- Nie zagrałaś tej sceny miłosnej?

- Nie. Byłam zbyt posiniaczona. - Cassandra gwałtownie wciągnęła powietrze. - Przepraszam. To mi się teraz zdarza. Nagle robię się strasznie zmęczona.

- Czy zdołasz wytrzymać jeszcze chwilę i opowiedzieć mi o trzecim incydencie?

Cass znowu głęboko odetchnęła, ale nadal czuła się pusta i wyczerpana. Zrobiła jednak wszystko, co w jej mocy, żeby zastosować się do prośby Mallory.

- To zdarzyło się pod koniec września. W moim domu. Robert oskarżył mnie o romans z innym mężczyzną. Nie było w tym cienia prawdy. Powiedziałam mu, że się myli. Pchnął mnie na kamienne obramowanie kominka.

- I?

- Wyszedł.

- Zostawił cię ranną?

- Tak.

- Jak długo go nie było?

- Kilka dni.

- A jak mocno cię zranił?

- Przez jakiś czas miałam krew w moczu. Z powodu uderzenia. Położenie siniaków na plecach wskazywało, że padając, musiałam uderzyć się w nerki. Nie poszłam jednak do lekarza. Samo mi przeszło. A kiedy Robert znowu się pojawił, kazałam mu się wynosić.

- Był zły?

- Nie. Wcale. Powiedział, że mu przykro i że rozumie.

- Czy dzwonił potem do ciebie? Robił coś, żeby cię przekonać do zmiany decyzji?

- Nie.

- W porządku. Już wystarczy - rozległ się za plecami Cassandry łagodny, cichy głos. - Chodź, Cass. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Kiedyś, w innym życiu, tak samo stał za nią na werandzie Błękitnego Irysa. Niebo ciemniało na zachodzie, a Chase Tessier zapraszał na przejażdżkę do miejsc, gdzie winogrona smakowały wiatrem i morze rozbryzgiwało szmaragdy.

Teraz Chase proponował jej inną wędrowkę, do sypialni po drugiej stronie holu, i patrzył na Cass już nie oczami pełnymi rozbawienia, ale z powagą i troską.

- Nic mi nie jest, Chase. Dziękuję. Dam sobie radę.

- Jeszcze tylko dwa pytania - wtrąciła błagalnie Mallory. Była zadowolona z tego, co już usłyszała. Klasyczny scenariusz łącznie z typowym zakończeniem. Cassandra podjęła wielkie ryzyko, kiedy ośmieliła się powiedzieć swojemu oprawcy do widzenia. Mallory uważała, że nawet bez zeznań Cassandry jako naocznego świadka napadu w Halloween dysponuje wystarczającym materiałem, by zadowolić sąd stanu Kalifornia. Ale jeśli było coś jeszcze... - Proszę.

- Jakie pytania?

- Co Robert myślał o twoim pobycie w Seattle?

- Moim... czym?

- Znaleźliśmy pokwitowania.

- W ogóle o niczym nie wiedział.

- Okay. To już prawie wszystko. Przyjrzyj się jeszcze temu. Na szklanym blacie stołu, koło talerza z ciasteczkami Eleanor.

Mallory położyła błyszczącą fotografię. Widniejące na niej delikatne, osadzone wokół srebrnego kółka róże o złotych łodygach stanowiłyby stosowne uzupełnienie dla świątecznych przysmaków, gdyby nie to, że pokrywała je warstwa zakrzepłej krwi.

- Miałaś na sobie ten pierścionek w dniu napadu. Nie. To niemożliwe. Nigdy bym sobie nie pozwoliła, żeby go znów założyć. Nigdy.

- Ktoś chciał ci go odebrać - ciągnęła Mallory. - Świadczą o tym uszkodzenia palca. Ale opierałaś się. Ze wszystkich sił. Kiedy cię znaleziono, miałaś tak opuchnięty palec, że w szpitalu musieli rozciąć obrączkę, żeby ją zdjąć.

Tę drobną operację przeprowadzono za pomocą małej elektrycznej piłki, przeznaczonej specjalnie do takich zabiegów. Zespół chirurgów z Westwood Memorial i tym razem wykonał dobrą robotę. Cienka linia przecięła warstewkę krwi i obrączkę z białego złota, nie naruszając ani jednej różyczki.

Ale pierścionek, jedyny, na którym kiedykolwiek Cass zależało i którego mimo

wszystko jej nie ukradziono, był zniszczony. Tak jak nasze małżeństwo.

- Czy ten pierścionek miał jakieś specjalne znaczenie dla Roberta?

- Nie. Nawet nigdy go nie widział.

- I?

- Więc to nie prezent od Roberta?

- Nie - włączył się cichy męski głos. - Ode mnie. To pierścionek ślubny Cassandry.

Nasz wspólny.

- Co oznacza - podsumowała Mallory - że Robert mógł wpaść w furję, kiedy się dowiedział, co Cassandra ma na palcu.

- Przepraszam, naprawdę muszę się położyć. Ale najpierw musiała wstać. Cass zmobilizowała całą siłę woli i odmówiła skorzystania z pomocy rąk, które się do niej wyciągnęły. Rąk Hope. Rąk Chase'a. Czowała się zbyt zmęczona, zbyt zmaltrretowana na tłumaczenia. Lecz jej zapadnięte oczy mówiły za nią.

Muszę poradzić sobie sama. Proszę.

I poradziła sobie. Ruszyła przez salon, szurając miękkimi rannymi pantoflami. Kiedy znalazła się przy drzwiach, przystanąła i chwiejnie się odwróciła.

Przez chwilę wpatrywała się w troje ludzi, od których dzieliła ją odległość całego pokoju. Stali. Podnieśli się, gdy tylko rozpoczęła swoją wędrówkę, zupełnie jakby sądzili, że w ten sposób mogą umniejszyć przytłaczający ją ciężar.

Ale Cassandra nadal czuła się przygnieciona, zmiądzzona, a gdy się odezwała, jej wątłe ramiona zdawały się jeszcze bardziej uginać.

- Jesteście pewni, że Robert mi to zrobił - powiedziała cicho. - Jesteście pewni, że mnie pobił i zostawił, żebym umarła.

Montagne Noir

niedziela, 11 listopada

Dochodziła północ. Cass przespała całe popołudnie i wieczór, a Chase czekał w pobliżu, aż się obudzi. Zachowywał się jak najciszej, nawet kiedy usłyszał ruch w jej sypialni. Miał nadzieję, że Cassandra zdoła się na krótki spacer do kuchni, ale ona przeszła tylko do alkowy i usiadła przy oknie. Po chwili więc zawołał cicho przez zamknięte drzwi:

- Cassandro?

- Chase.

- Czy mogę wejść? Nie. Nie!

- Oczywiście. Tej nocy nie było gwiazd ani księżycy na listopadowym niebie.

Gęsta mgła otulająca wierzchołek góry nie pozwalała przedrzeć się najmniejszemu promykowi światła.

Cassandra wyglądała jak cień w mrocznej alkowie. Chase także był cieniem, eleganckim, pełnym wdzięku.

- Gorąca czekolada - wyjaśnił, wyciągając w ciemność rękę z kubkiem słodkiego napoju.

Cassandra zdołała wziąć kubek, nie dotykając dłoni męża.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Chase usiadł bez zaproszenia. Nie ośmielił się o nie poprosić. W ciemnościach nie widział twarzy Cass, tylko połysk jej ogolonej głowy i biel szczipłych palców zaciśniętych na kubku. Nie mogła jeszcze skosztować parującej czekolady. Właściwie nawet nie próbowała. Ale przynajmniej napawała się ciepłem. - Musimy porozmawiać.

Jej palce mocniej objęły kubek. Ich zacisk był tak silny, że Chase przestraszył się, iż kamionkowe naczynie rozprysnie się na kawałki. Może Cassandra pomyślała o tym samym, bo nagle zrezygnowała z ożywczej ciepła i odstawiła kubek na dzielący ich stół.

Kiedy wreszcie się odezwała, Chase dosłyszał w jej głosie lodowaty strach.

- O czym? O nas, odpowiedział w myśli. O przyczynach twojego odejścia - prawdziwych, nie wymyślonych. I o tym, dlaczego w Halloween miałaś na palcu nasz pierścień ślubny. I o tysiącach innych spraw, o które nie mógł zapytać. Na razie.

- O dalszych planach Mallory Mason - powiedział łagodnie.

- Ach, o tym - odparła Cass z wyraźną ulgą. Usiłowanie morderstwa to temat bez

znaczenia w porównaniu z pytaniami, które przeczuwała i których się obawiała. - Dobrze.

Chase głęboko odetchnął.

- Mallory chce niezwłocznie uzyskać nakaz aresztowania - zaczął - i jeżeli Robert nie przyzna się do winy, doprowadzić do rozprawy wstępnej, żeby postawić go w stan oskarżenia. Ta pierwsza rozprawa jest tajna i w gruncie rzeczy stanowi pole do popisu dla prokuratury. Ani obrona, ani oskarżony nie są obecni. Ty musiałabyś stawić się na przesłuchanie, żeby powtórzyć przysięgłym to, co opowiedziałaś wczoraj Mallory. Możemy pojechać do Los Angeles samochodem, więc prześpisz się po drodze. Zatrzymamy się w Bel - Air, co nam zapewni całkowitą prywatność, a po przesłuchaniu limuzyna odwiezie nas z powrotem do hotelu. Ale nawet najsprawniej przebiegający proces będzie dla ciebie ciężkim przeżyciem. Wyczerpującym.

Cass kurczowo zacisnęła dłonie.

- Rozumiem - szepnęła.

Na widok tych dwóch pobielających kul strachu Chase z trudem opanował uczucie zawodu i wściekłości.

- Musisz zrozumieć więcej, Cassandro. Przekonanie sądu o konieczności postawienia Roberta w stan oskarżenia będzie proste w porównaniu z uzyskaniem wyroku skazującego. Jeśli nie przypomnisz sobie tamtych wydarzeń, prokuratura będzie dysponować tylko poszlakami. A materiał dowodowy oskarżenia musi być bez zarzutu i nie do podważenia. Mallory wierzy, że taki właśnie będzie, dzięki drobiazgowemu śledztwu Jacka Shannona.

- Materiał dowodowy? - powtórzyła Cass, znowu pełna obaw, że jakieś kolejne koszmarnie fakty, może znane już Chase'owi, czają się jeszcze w mrokach jej okaleczonej pamięci.

- Odciski palców, nitki i tym podobne - uspokoił ją Chase. - Oskarżenie musi ustalić ponad wszelką wątpliwość, że jedyne osoby, które przebywały tego dnia w twojej sypialni, to ty, Robert oraz pracownicy pogotowia i policjanci. Śledztwo zajmie jeszcze trochę czasu, więc naprawdę nie ma pilnej potrzeby, by natychmiast zdobyć nakaz aresztowania i zwoływać posiedzenie wstępne.

- Ale Mallory chce posunąć sprawę do przodu.

- Tak.

- I nie może tego zrobić bez moich zeznań?

- Nie.

- A co Hope o tym sądzi?

- Uważa, że incydenty, o których opowiadałaś, to więcej niż trzeba, by postawić

Roberta w stan oskarżenia. Mimo to poczekałaby z wniesieniem oskarżenia do czasu, gdy będą znane ostateczne wyniki ekspertyz.

- Boi się, czy to wytrzymam?

- To też - przyznał Chase. Obydwoje się boimy. - Ale przede wszystkim jest prokuratorem z prawdziwego zdarzenia. Lubi postawić kropkę nad „i”, zanim tryby maszyny sprawiedliwości zostaną wprawione w ruch. Właściwie dziwi ją, że Mallory tak się spieszy. - Wygląda to, zwierzyła się bratu, jakby pani Mason miała jakieś osobiste porachunki z Robertem Forrestem. - W każdym razie, należałoby wziąć pod uwagę argumenty, które przemawiają za koniecznością zwłoki, a twoje zdrowie nie jest najmniej ważnym z nich. Nie musisz podejmować decyzji teraz. Zawiadomimy Mallory, kiedy przemyślisz sprawę. Dobrze?

- Dobrze. - Skinęła połyskującą w mroku głową. - A czego ty chcesz?

- Czego ja chcę, Cassandro? Zabić go. Drgnęła gwałtownie i zakryła dłonią usta.

- Chase. Twarz Chase'a skrywały ciemności. Ale Cassandra odgadła jej wyraz, zawzięty i pełen nienawiści.

- Pytałaś, więc odpowiedziałem. Zapadła cisza. Po chwili Chase odezwał się znowu.

- Musiałaś bardzo go kochać.

- Nie. Nie kochałam go.

- Ale zostałaś z nim, mimo że cię pobił.

- Ja... to nie miało znaczenia. - Nic nie miało już znaczenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Delikatne palce zatrzepotały nerwowo, niczym kruche ptasie skrzydła, po czym ukryły się w przepastnych kieszeniach pikowanego szlafroka.

- Nic. Nie wiem.

- A może ja wiem, Cassandro - powiedział Chase bardzo cicho. - Może słyszałem o małej Sandrze Jones.

- Nie możesz tego wiedzieć. - To była samoobrona i błagalna modlitwa zarazem. Nie mogłaś słyszeć o budzącej pogardę czarownicy, o dziewczynce, na widok której twarzy zniekształcał grymas równie brzydki, jak ten na jej twarzy.

- A jednak wiem. - Szukał jej, kiedy go opuściła. I chociaż nie odnalazł, wiele się o niej dowiedział. - Słyszałem o dziewczynce, która urodziła się w Halloween, ale nie w małym miasteczku w Vermont, a w Kalifornii Południowej. Cięża jej matki miała trudny przebieg, podobnie jak poród. W dodatku w pierwszym roku życia małej małżeństwo jej rodziców się rozpadło. Jestem ciekaw, czy ta Bogu ducha winna dziewczynka nie uznała przypadkiem, że to jej wina.

Przypadkiem? Oczywiście, że to jej wina. Małżeństwo rodziców było idealne - trwający osiem lat namiętny romans - dopóki nie zdecydowali się na dziecko. Na nią, groteskowo oszpecone niemowlę, które spowodowało takie spustoszenia w ich życiu, że gdy doszło do rozwodu, nawet wspomnienia o miłości już nie istniały.

Mała czarownica rzucała złe uroki już w łonie matki. Przebiegająca z komplikacjami ciąża zniszczyła karierę zawodową pani Jones. Zniekształcona figura i stan wiecznego rozdrażnienia zniechęciły dawniej pełnego uwielbienia męża. A praktykant, który odbierał trudny poród, użył kleszczy zbyt wcześnie i z typowym dla nowicjusza zapalem.

I tak przyszła na świat beznadziejnie okaleczona, nieodwołalnie daleka od doskonałości. Ona, córka zrodzona z miłości niegdyś doskonałej. Uszkodzony został tylko nerw, zapewniali państwa Jonesów lekarze. Ale rodzice Sandry znali prawdę - grymas na twarzy dziecka był jedynie zapowiedzią głębszej ułomności, która musi się objawić.

I mieli rację. Ich kalekie niemowlę płakało bez przerwy. To dlatego, że chce więcej jeść, uznał lekarz, kiedy podczas pierwszej kontroli po porodzie okazało się, że Sandra jest zdumiewająco mała.

Karmili ją, oczywiście. Próbowali. Ale to było trudne. Mleko wyciekało z jej skrzywionych ust, a ona płakała i płakała.

- Nigdy nie miej dzieci - słyszała potem od matki przez całe lata. - To był największy błąd mojego życia.

W ciągu pierwszego roku życia Cassidy jej rodzice zapragnęli uwolnić się od siebie i od odpowiedzialności za nią.

Żadne z nich nie chciało opiekować się córką, ale każde zaakceptowało przyznane im obowiązki, wobec czego precyzyjnie i równo rozłożyli między siebie wydatki i stracony czas.

Dziewczynka została podzielona, jej życie przepołowione. Nieregularny układ twarzy wydawał się w tej sytuacji wręcz symboliczny, zupełnie jakby od chwili narodzin dziecka jakaś zła moc rozplątała je na pół.

Dla matki mała Sandra wyglądała niczym ułomna - bo na to zasłużył - kopia męża, ojcu przypominała wszystko, co najgorsze w kobiecie, którą - jak kiedyś głupio sądził - darzył uczuciem. Pozostali widzieli w Cassandrze jedynie dziwoląga, wybryk natury.

A kim była dla Chase'a?

- Ona, tamta mała, w niczym nie zawiniła - powiedział łagodnie. - Ale musiała tak się czuć, nigdy naprawdę przez nikogo nie chciana, wciąż wyśmiewana i poniżana.

- Wiesz, jak wyglądała? Siedząca w mroku kobieta pytała go po prostu, czy widział fotografię odtrąconej dziewczynki.

Chase'owi nie udało się zdobyć żadnego zdjęcia z dzieciństwa Cass, chociaż prosił o nie zarówno jej ojca w Denver, jak i matkę w Nowym Orleanie. Rodzice Sandry Jones wydawali się autentycznie zdumieni, zupełnie jakby nie potrafili zrozumieć, dlaczego taki przystojny, majątny mężczyzna interesuje się ich zeszpeconą córką. Oni sami nie byli ciekawi jej losu. Pożegnali się z nią na zawsze w momencie, gdy skończyła szkołę średnią.

- Myślisz, że nie widziałem, jak ona wyglądała, Cassandro? A tego dnia, kiedy pojawiła się w Domaine?

Tak. Jakimś cudem Chase odkrył prawdę o małej, przez nikogo niekochanej czarownicy i przebaczył jej kłamstwa. Ale było już za późno, o wiele za późno, bo między nimi leżało największe kłamstwo, którego nikt, a już najmniej ona sama, nie mógł jej wybaczyć.

Powracająca pamięć mściła się. Wściekły ból rozrywał kokon chroniący poturbowany mózg, jak słoneczne światło rozdzielało kiedyś powłoki mgły nad Montagne Noir.

Ale przeszywający promień bólu nie obiecywał tęczy, a dawał tylko pewność tym większego cierpienia, im dłużej Cassandra pozostanie na górze marzeń.

- Chase?

- Tak?

- Chcę, żeby Mallory niezwłocznie wniosła oskarżenie. Jestem gotowa stawić się przed sądem przysięgłych tak szybko, jak to będzie możliwe.

Montagne Noir

piątek, 16 listopada

Telefon zadzwonił wczesnym popołudniem. Odebrała Hope i dobrze się A stało, bo to właśnie z nią życzyła sobie rozmawiać Mallory Mason.

- Dzwonię, żeby cię powiadomić, kiedy będę potrzebowała Cassandry. Początek rozprawy wyznaczono na wtorek dwudziestego siódmego. Powinna się zakończyć do dwudziestego dziewiątego. Na razie sporządziłam wstępną listę świadków. Zamierzam wezwać, chyba w tym właśnie porządku, Jacka Shannona, Amandę Prentice, ordynatora oddziału neurochirurgii z Westwood, neurologa z Courtland, naszych dwóch ekspertów sądowych, sąsiada - scenarzystę oper mydlanych, oraz samą Cass. Prawdopodobnie jej kolej nadejdzie w środę po południu, ale chciałabym się z nią spotkać już w poniedziałek, żeby omówić treść zeznań przed rozprawą.

- Przed rozprawą, Mallory?

- Nie oglądałaś wiadomości?

- Nie.

- Zanim zdołaliśmy zwołać przysięgłych, Lucian Lloyd zaczął szaleć i wygłaszać tyrady na temat „pozorów dyskrecji” i „pospiesznego sądenia”.

- Więc czeka nas rozprawa wstępna?

- Oskarżony ma swoje prawa, jak dobrze wiesz. A dzięki panu Lloydowi Robert Forrest świetnie się w nich orientuje.

Przez prawniczy umysł Hope przemknęły stosowne paragrafy i przepisy. Można by, pomyślała, wystąpić o odroczenie rozprawy, powołując się na zły stan zdrowia Cassandry. I chociaż Lucian Lloyd z pewnością gwałtownie by protestował, mało prawdopodobne, aby w tych warunkach prośba o zwłokę została odrzucona. Jednak Hope wiedziała, że mając do wyboru rozprawę teraz albo w bliżej nieokreślonej przyszłości, Cass opowie się za tą pierwszą możliwością.

- Rozprawa ma się odbyć za jedenaście dni?

- Tego chciał pozwany, Ściślej mówiąc, żądał.

- Zdołasz się przygotować?

- Muszę. I zdążę, jeśli mi pomożesz. Proszę, żebyś zajęła się zeznaniami Cassandry i poćwiczyła z nią przed przesłuchaniem.

- Chcesz, żebym prowadziła przesłuchania podczas rozprawy?

- Nie. Dzięki. Sama się z tym uporam. Będę tylko potrzebowała twoich notatek. Najbardziej boję się krzyżowego ognia pytań. Jestem pewna, że wiesz, jaką reputację ma Lloyd. Rozrywa świadków na strzępy.

Hope wciągnęła oddech. Ogarniała ją coraz większa obawa.

- Znam Luciana Lloyda. Zrobię wszystko, żeby przygotować Cass do przesłuchania.

- Dobra. Dziękuję. I skoro już się do ciebie dodzwoniłam, może pomożesz mi zdecydować, kto ma zasiadać po naszej stronie sali sądowej. Robert Forrest planuje zebrać pierwszoligową drużynę znakomitości, z Natalie Gold na czele. Potrzebujemy kilku postaci dużego kalibru. Pomimo niebywałych sukcesów i szacunku, jakim się cieszy w środowisku filmowym, Cassandra nie ma specjalnych znajomości wśród hollywoodzkiej elity.

- Jest bardzo skryta.

- Tak. Oczywiście. I nic w tym złego, gdyby nie fakt, że Robert Forrest cieszy się powszechną sympatią.

- Kto lubi Roberta Forresta, lubi oprawcę.

- Czego - wpadła jej w słowo Mallory - właśnie mamy zamiar dowieść. Tymczasem jednak Cass potrzebuje widocznego poparcia. Będziesz, oczywiście, ty i Meryl Atwood. Obiecał pojawić się Adrian Ellis, chociaż w tej chwili przebywa w Hiszpanii. Zastanawiam się też co do Victora. Jest taki imponujący, elegancki. Jak Chase. Dobrze by było, gdyby Victor zastąpił w sądzie Chase'a.

- Co takiego?

- Wiem, wiem. Chase, jako mąż, musi tam być.

- On będzie chciał tam być.

- Świetnie. Nienawiść twojego brata do Roberta jest równie silna jak chęć chronienia żony. Ale sama widziałaś, co się dzieje z Cassandrą, kiedy Chase znajduje się w pobliżu. Staje się bezbarwna, wyprana z emocji.

- To będzie rozprawa wstępna, Mallory. Bez przysięgłych. Tylko sędzia, na którego, jak zakładam, nie mają wpływu żadne teatralne efekty.

- Też mam taką nadzieję, zwłaszcza że to Nancy Barnes. Przypominam ci jednak, że chociaż nie będzie przysięgłych, mamy na karku równie ważne gremium - opinię publiczną.

- Och, nie - szepnęła Hope, która dopiero teraz zdała sobie sprawę z zagrożenia. - Nie może być kamer na sali rozpraw.

- Obawiam się, że mogą i będą. Decyzja w tej sprawie już zapadła.

Hope potrzebowała trochę czasu przed podzieleniem się wiadomościami z Cass i

Chase'em. Nie myślała o niczym. Po prostu jechała. Jak najdalej od zamku, w dół wietrznej drogi, koło miejsca, z którego Frances i Gavin poszybowali ku śmierci i gdzie ona, Hope, stała tamtego dnia i wiele razy potem, wspominając i próbując zapomnieć.

Dziś jechała, dokąd oczy poniosą, podróżowała bez celu w bladym świetle listopadowego słońca, aż nagle stwierdziła, że znajduje się na Zinfandel Lane i mija wielkie kamienne filary z napisem „Belvedere”. Skręciła w lewo, w stronę stajni i wozowni, do niego.

Wozownia, dwupiętrowy budynek kryty cedrowym gontem, miała posiwiałe ze starości ściany, po których bujnie pięła się wistaria.

Hope zbliżyła się do drzwi i wtedy usłyszała dochodzące ze środka głosy.

A właściwie jeden głos. Jego. Miękki, niski, pieszczotliwy.

Przez chwilę znów była w Willow Ranch, przed drzwiami pokoiku w stajni. I teraz, zupełnie jak wtedy, jej stukanie zabrzmiało tak cichutko, że gdyby gospodarz chciał, mógłby je po prostu zignorować.

To jego wybór, zdała sobie sprawę, kiedy w domu zapadło pełne napięcia milczenie.

A potem odezwał się głos, cichy i szorstki.

- Kto tam?

- To ja, Hope.

- Wejdz.

Weszła do pomieszczenia, które pełniło funkcję zarazem bawialni, jadalni i kuchni.

Obydwoje, pan i pies, siedzieli na lśniącej drewnianej podłodze. A właściwie on klęczał, Molly zaś opierała mu przednie łapy na kolanach i rzucała błagalne spojrzenia na Hope. Aksamitny, czarny pysk zdobiła biała piana, która spływała ze szczoteczki na dłonie mężczyzny.

Nick mył zęby Molly. Hope nie mogła zobaczyć jego niebieskich oczu, ale wyczuwała skupienie i czułość w badawczym spojrzeniu.

Doskonale natomiast widziała brązowe oczy suki. Ich rozpaczliwy, błagalny wyraz podkreślało jeszcze pytające przechylenie głowy.

- Myślę, że Molly chce, żebym zawiadomiła Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

- Owszem. - W głosie Nicka pojawiło się rozbawienie. - Udawanie szoku, jakby spotkało ją to po raz pierwszy, to nieodłączna część rytuału mycia zębów.

- A od jak dawna to trwa? Ten rytuał?

- Codziennie od sześciu lat. - Nick spojrzał znacząco na Molly. - No, gotowe. Zmykaj.

Zrozumiała od razu. Masa czarnego futra poplamionego białą pianą rzuciła się entuzjastycznie do swojej wybawczyni.

Hope zanurzyła ręce w wiercącym się puchatym kłębkowi i odezwała się ze śmiechem:

- Masz zdrowe zęby i dziąsła, prawda, Molly? I dobrze wiesz, że Nick nigdy cię nie skrzywdzi. Nigdy. On cię kocha. Nie mogłabyś mieć lepszego tatusia.

Podniosła wzrok na przyjaciela i napotkała jego uważne, chłodne spojrzenie.

- I co, Hope, przyszedł mnie aresztować?

- Ależ nie.

- Więc nie wystawiono nakazu aresztowania?

- Nie mam pojęcia! Ale jeśli nawet, to niesłusznie. Niebieskie oczy pociemniały. Ona, tą bojowniczką sprawiedliwości, wierzyła w jego niewinność.

Popatrzył na nią. Dżinsy, luźno opadające włosy barwy cynamonu, Łobuziak. Tancerka. Wojownik. Była tymi wszystkimi osobami, kiedy tak stała przed nim, nieustraszona, pełna wdzięku, dumna.

- To dlaczego przyszedł? - zapytał.

- Chciałam porozmawiać.

- Dobrze - zgodził się. - Chodźmy pogadać i pospacerować. Molly musi się zdrzemnąć, a nie robi tego, dopóki jesteśmy tutaj. To znaczy, dopóki ty jesteś tutaj.

Słuszność jego słów potwierdzał gwałtowny ruch u stóp Hope: wytrwały, choć wykonywany już ze zmęczeniem psi taniec. Molly z powagą traktowała swoje obowiązki, do których należało okazywanie entuzjazmu, nawet kiedy powieki ciążyły jej coraz bardziej nad wielkimi, brązowymi oczami.

- Pora iść spać, Moll - szepnął Nick. Właśnie tego Molly potrzebowała, dokładnie tych słów, wypowiedzianych z prawdziwym uczuciem. Na ich dźwięk ruszyła kłusem w stronę kanapy, gdzie odszukała plastikową kość. Zaniosiła ją na stos koczków ułożonych starannie w kącie pokoju, po czym zaczęła się mościć z westchnieniem ulgi.

- Nie sypia z tobą?

- Sypiała, na początku. Ale potem weszła w okres niezależności. Teraz Molly funkcjonuje według własnego programu.

- Do którego należą drzemki.

- Chodźmy już - powiedział Nick. - Ona nie zamknie oczu, dopóki nie wyjdziemy.

Poklepał psa i mruknął coś, czego Hope nie dosłyszała, a potem spojrzał na nią, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Był to uśmiech wyjątkowy. Pociągający? Tak, oczywiście. Nie mógł być inny. Ale ten uśmiech, który przyznawał, że uczestniczyła w jeszcze jednym ważnym rytuale z życia Nicka i Molly, wydał się Hope wręcz piękny.

Wyszli przed obrośnięty lawendową wistarią dom i wolno ruszyli w stronę pastwiska. Konie spokojnie skubały trawę w liliowym świetle cichego listopadowego dnia.

Cichego. Łagodnego. Hope pomyślała o łagodności Nicka, kiedy zajmował się Molly. Tego właśnie zawsze chciała, nawet gdy bezgłośnie pytanie kołatało w jej głowie: z kim sypiasz, Nick? Z kim?

Ale zapytała tylko:

- Jak to się stało, że ty i Molly trafiliście na siebie?

- Pracowałem na ranczo. Właściciele hodowali konie czystej krwi i spaniele. Nieraz widziałem, jak przychodzą na świat konie, ale nigdy nie uczestniczyłem w psich narodzinach. A chciałem. To był duży miot. Same piękne, zdrowe szczenięta, oprócz jednego. Była bardzo małeńka i tak słaba, że nie potrafiła nawet podpełznąć do matki, a co dopiero walczyć z rodzeństwem o pokarm.

- Więc zaproponowałaś, że się nią zaopiekujesz, będziesz karmił z ręki. Nick zawahał się, tak silna była pokusa, żeby skłamać. Tak, Hope, tak właśnie było. Gdybym nie zgłosił chęci zaopiekowania się nią, zrobiliby to jej właściciele. Karmiliby i ogrzewali jej małe ciało; i sypialiby z nią, żeby się nie bała; i przemawialiby do niej i pocieszali.

Jakże pociągające kłamstwo, pełne nadziei - dla Hope.

Ale Hope Tessier znała ludzkie okrucieństwo z własnego doświadczenia. Nick był przy niej, kiedy się uczyła tej smutnej prawdy. I wydawało mu się ważne, żeby Hope poznała prawdę o nim i o Molly.

- Właściciel poprosił mnie, a w gruncie rzeczy kazał, żebym się jej pozbył.

- Pozbył się Molly?

- Żebym, wracając po pracy do noclegowni dla robotników, zostawił szczeniaka na śmietniku. Nie miała szansy długo pożyć.

- Nie mogę uwierzyć...

- W co? - We własnym głosie Nick dosłyszał ostrość i chłód, jak ziąb nocnego powietrza, w którym małeńkie stworzenie miało stracić życie. - Że ktoś potrafiłby wyrzucić szczenię? To się często zdarza. Dobrze o tym wiesz, Hope. Codziennie stykasz się z pogardą dla bezbronного życia.

- Tak - szepnęła. - Myślę, że tak. Nadal szli w stronę pastwiska, ale tematem ich rozmowy nie były już niewinne stworzenia, tylko brutalne zbrodnie.

- Boisz się rozprawy wstępnej? Skinęła głową.

- Tak. Bardzo. Oglądałaś wiadomości. Szkoda, że ja nie. Kiedy Mallory zatelefonowała, byłam całkowicie zaskoczona. Ona chce, żebym przygotowała Cass do

złożenia zeznań i do przesłuchania, w czasie którego obrona będzie próbowała zrobić z niej miazgę.

- A ty nie chcesz?

- Nie o to chodzi. Rzecz w tym... - wzruszyła ramionami.

- Sądzisz, że on chce ją wystawić na pośmiewisko. Chce ją zmusić, żeby pokazała się publicznie, gdy jeszcze jest tak okaleczona. Przez niego.

- Tak - mruknęła Hope. - Próbowałam sobie uzmysłwić, dlaczego tak się tym martwię. I to jest właśnie odpowiedź. Robert wystawia Cass na pośmiewisko, podobnie Mallory, a teraz również ja biorę w tym udział.

- Czy Cassandra albo jej lekarze nie mogą się sprzeciwić? Stwierdzić, że jest zbyt słaba, by stawić się przed sądem?

- Mogą. I zrobiliby to, ale Cass nie chce. Więc też jest w pewnym sensie winna. - Ofiara powraca do swego oprawcy, jakby sądziła, że zasługuje na jeszcze więcej podłości. - Wszystko to źle wygląda.

- Ale ty sobie z tym poradzisz.

- Poradzę sobie?

- Tak. - Nick uśmiechnął się. - Jeśli nie zdołasz przekonać Cassandry do odroczenia procesu, przygotujesz ją na wszystkie nieprzyjemności, które Lucian Lloyd dla niej szykuje. Tak postępuje przyjaciel, Hope. Nie konspirator.

Pograżeni w rozmowie doszli do terenów pastwiska. Wysokie, chwiejne trawy zaczęły już żółknąć, a trzy z czterech pasących się na łące koni, złocisty, kasztan i deresz, jakby dopasowały swoje barwy do kolorów jesieni. Czwarty, jabłkowity, odcinał się jasną sylwetką na tle liliowego nieba.

Były to wspaniałe stworzenia, czystej krwi, wypieszczone. Majestatyczne. Wyniosłe. Dumne. A mimo to witały Nicka niczym rozentuzjasmowane szczenięta.

Nicholas Wolfe nie miał przy sobie żadnych smakołyków. Ani jabłek w kieszeniach, ani kostek cukru. Ale królewskie zwierzęta nie chciały łakoci. Chciały jego, Nicka, jego uwagi, miłości, cichego głosu i poklepujących, głaszczących je dłoni.

Nickowi nie starczało rąk do pieszczenia miękkich, aksamitnych pysków, więc Hope ruszyła mu z pomocą.

- Miałas do czynienia z końmi od czasu Willow Ranch - powiedział miękko.

- Tak - przyznała. - Miałam. Brałam lekcje w czasie studiów. I teraz jeżdżę konno, kiedy tylko mogę. Jest taka szkółka jeździecka w Golden Gate Park.

- Wiem.

- Och! Pracowałeś tam?

- Nie. Listopadowy dzień miał się ku końcowi. Słońce zachodziło jak przed laty, kiedy w chłodzie, który nagle zapadł, smutna tancerka zniknęła z życia Nicka. Dziś także, już za chwilę, ten sam chłód zmusi ją do odjazdu. Tak być powinno, tak być musi.

- Jeśli będziesz w odpowiednim nastroju, Hope, mogę z wami przećwiczyć składanie zeznań.

- Naprawdę?

- Pewnie. Jeżeli tylko chcesz.

- Chcę, Nick.

*Montagne Noir**sobota, 17 listopada*

Siedziały w kuchni, przy drewnianym okrągłym stole w kącie śniadaniowym. Na połyskliwym blacie stały filiżanki z parującą kawą i talerzyki z ciepłymi jeszcze jagodziankami. Hope zerknęła do swoich notatek.

- Potrzebna ci mantra, Cass - powiedziała.

- Mantra?

- Jakiś uspokajający motyw, który będziesz powtarzać sobie w duchu, kiedy Lucian Lloyd weźmie cię w krzyżowy ogień pytań.

- Myślisz, że będę musiała się uspokajać?

- Z pewnością. Szacowny pan Lloyd zrobi wszystko, żeby tobą potrząsnąć. Wszystko, co w jego mocy, uciekając się nawet - czy raczej zwłaszcza - do osobistych ataków. Tyle tylko może działać, bo nie zrobiłaś nic złego. Jednak niezależnie od tego, jak dobrze będziesz przygotowana, zdenerwuje cię. Rozzłości. O to właśnie mu chodzi. Twoje zadanie będzie więc polegać na zachowaniu spokoju.

- Dzięki mantrze. - Cassandra w zamyśleniu wpatrywała się w bułeczkę. - A co powiesz o takiej: „Hope” albo „przyjaciółka”, albo „Hope jest moją przyjaciółką”? Do diabła! Próbuję ci to powiedzieć. Tęskniłam za tobą, Hope Tessier.

- Ja też za tobą tęskniłam - szepnęła Hope. Cassandra pochylila głowę.

- Zdałam sobie sprawę, że mogło ci być smutno, gdy odeszłam - szepnęła. Hope roześmiała się, zdumiona.

- Dopiero teraz to sobie uświadomiłaś?

- Nie chciałam zrobić ci przykrości.

- Wiem. To wynikało z twojego listu. Co nie zmienia faktu, że brakowało mi ciebie.

- I mnie ciebie. - Cassandra westchnęła teatralnie i spróbowała się uśmiechnąć. - Obawiam się, że wymyśliłyśmy mantry, które nie spełnią swego zadania.

- Masz rację - przyznała Hope, uśmiechając się przez łzy. - Dobrze, Cassandro, starczy! Bierzmy się do roboty. Potem ty popracujesz nad swoją mantrą, a ja pojeżdżę z Nickiem.

Kobieta siedząca naprzeciw Hope nie była już księżną Walii. Ani gwałtowną Blanche. Na Hope spoglądała dawna Cassandra, całym sercem oddana przyjaciółce. Przed laty, w

college'u nie rozmawiały o chłopcach. Temat ten omijała zwłaszcza Hope. Ale teraz iskierki w błękitnych oczach Cass jasno dawały do zrozumienia, że pora zmienić ten zwyczaj.

- Daj już spokój robocie, Hope Tessier. Kto to jest Nick? Mężczyzna, którego kocham. Którego kocham od lat. Te słowa brzmiały niczym radosny chór przez następne osiem dni, kiedy Hope galopowała po pastwiskach właśnie z nim.

- Czy Cassandra wierzy w winę Roberta? - zapytał Nick pewnego popołudnia, obserwując kłęby dymu nad wypalonymi winnicami.

- Nie jestem pewna - przyznała Hope. - Ale to musi być straszne dowiedzieć się, że ukochany człowiek, w którym się wierzyło, chciał twojej śmierci, skazał cię na śmierć.

Oczy Nicka zwały się.

- Czy nie to właśnie zrobiła ci matka?

- Co?!

Powiódł wzrokiem od pióropuszy dymu do roztańczonych cynamonowych kosmyków.

- Zawiodła twoje zaufanie i miłość, a potem umarła, zostawiając cię na pastwę losu. Ale ty - dodał miękko - nie zginęłaś.

Nie zginęła? Nie. Nie, kiedy była z Nickiem, kiedy wszystko w niej śpiewało z nieopisaną radością... kiedy czuła się tak bezpieczna, a zarazem niepewna.

- Czy zawarłaś pokój z Victorem? - zapytał.

- Z Victorem? Nie. Oficjalnie nie. Właściwie - przyznała po chwili - nieoficjalnie też nie. Mam na myśli uczucia. Zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziałam mu wtedy na górze, było strasznie niesprawiedliwe. Jakaś część mnie wiedziała o tym już wtedy. Widziałam przecież - widzieliśmy - egoistyczne zachowanie mojej matki.

Tak, pomyślał Nick. Obydwoje byliśmy tego świadkami. Ale...

- Tamtego dnia nie dostrzegłaś, jak bardzo Victor chciał ci pomóc. Jak bardzo się o ciebie niepokoił.

Chase'em też się tak przejmował, zdała sobie nagle sprawę. I Cassandra, kiedy leżała umierająca w szpitalu. A kiedyś, w Wiedniu, troszczył się o trzynastoletnią dziewczynkę.

- Jestem mu winna przeprosiny.

- Wątpię, czy on tego oczekuje.

- Zobaczymy. - Pewnego dnia Victor Tessier i ja odbędziemy tę rozmowę. Musimy. - Czy Jane go czasem wspomina?

- Jane?

- Kiedyś Sibyl dała mi do zrozumienia, że między Victorem i Jane wynikła dawno

temu jakaś przykra historia. A teraz, po tajemniczej rozmowie z Victorem, Cass uparcie odmawia spotkania z Jane. Byłam ciekawa, czy Jane coś ci o tym wspominała.

- Nigdy nie mówiła o Victorze.

- Ale jesteście ze sobą blisko, prawda? Ty i Jane? Tak. Zdumiewająco blisko. Sądził, że to więź pomiędzy dwojgiem artystów, ale chodziło chyba o coś silniejszego. Nick wiedział, że jeśli kiedykolwiek Jane Parish będzie go potrzebowała, on natychmiast się pojawi. Żywił też zdumiewającą pewnością, że w odwrotnej sytuacji Jane poruszy dla niego niebo i ziemię.

- Jane ma moją dozgonną wdzięczność, bo trzyma Sibyl Raleigh na odległość.

- Z całą przyjemnością, jak sądzę. A czego Sibyl chce?

- Życzy sobie, żebym malował sceny z jej przyjęć, portrety gości i tym podobne. Nie byłby to zły pomysł, gdyby nie sama pomysłodawczyni.

- A ty w ogóle malujesz portrety? Nick zawahał się, zmarszczył czoło.

- To zależy. W ciągu ostatnich paru lat pracowałem nad serią czterech płócien przedstawiających tę samą osobę w różnych okresach.

- Och - zamyśliła się Hope, przywołując z pamięci lekcje historii sztuki w swojej francuskiej szkole. - To jak katedra w Rouen Moneta, malowana o różnych porach dnia i w odmiennym świetle.

Nick uśmiechnął się.

- Coś w tym rodzaju. Pomysł, nie jakoś wykonania. Błyszczące zielone oczy Hope błagały o dalsze szczegóły.

- Czy twoja seria ma jakiś tytuł?

- „Pory duszy”. Tytuł wywoływał tyle skojarzeń. Pory życia. Narodziny.

Dorastanie. Dojrzałość. Śmierć.

- Czy to autoportrety, Nick?

- Nie. - Jego cichy śmiech zabrzmiał szorstko, a w chłodnych niebieskich oczach zamigotało zdumienie, jakby nie pojmował, jakim cudem przyszło jej do głowy, że w jego duszy może panować inna pora niż ta najzimniejsza, najbardziej gorzka.

Jeździli konno. Rozmawiali.

Nadeszła niedziela. Zbliżał się termin rozprawy wstępnej. Chase i Cassandra wyruszyli do Los Angeles, do swego bungalowu, a Hope miała wrócić do San Francisco, żeby się przygotować do zamknięcia sprawy Craiga Madrida.

Rozprawę wyznaczono na środowe popołudnie. W tym samym czasie Cassandra miała składać zeznania w Santa Monica. Hope mogła przekazać sprawę któremuś ze

współpracowników, ale Cass nie życzyła sobie tego.

Nick nie poznał dotąd Cassandry i Chase'a. Także tego niedzielnego popołudnia nie planował spotkania z Tessierami. Powinni byli wyjechać, zanim on pojawił się na drodze do Montagne Noir.

Ale Chase'a zatrzymała rozmowa telefoniczna, więc kiedy Nick parkował starą niebieską furgonetkę, Tessierowie szli właśnie do samochodu.

Chociaż Hope uprzedzała go o wyglądzie Cassandry, był zupełnie nieprzygotowany na to, co zobaczył: sama skóra i kości, wątle, okaleczone ciało.

Mimo to Cass wyglądała bardzo elegancko w szarym płaszczu, butach na wysokich obcasach i jasnoróżowym szalu, który kupiła dla niej Hope. Jej widmowa postać emanowała odwagą i silną wolą.

I promieniała. Uśmiech jaśniał w błękitnych oczach i leciutko opadającym kąciku ust.

- Nick! - zawołała na widok gościa. - Wreszcie się spotykamy. I Molly. Molly zaczęła się łąsić, a Nick uśmiechnął się.

- Witaj, Cassandro. Witaj Chase. Chase również był elegancko ubrany, ale wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

Nick napotkał poważne spojrzenie jego szarych oczu i poczuł się jak tamtego dnia, kiedy Victor Tessier dziękował mu milcząco za opiekę nad Hope.

To nie ja jej pomagam, Chase. To ona pomaga mnie. I to się musi niedługo skończyć - dla jej dobra.

- Nick? - Na przezroczystej twarzy nadal jaśniał uśmiech, promyk słońca, który jednak wyraźnie bladł, jakby niewielkie zasoby energii Cass zaczynały się wyczerpywać. - Czy Hope mówiła ci, że postanowiłam pójść za twoją radą i użyć hasła „robactwo” jako mojej mantry na czas przesłuchań? Oczywiście, nie w podstawowym tego słowa znaczeniu - wyjaśniła mężczyźnie, który, zgodnie z opowieściami Hope, odnosił się życzliwie do wszystkich stworzeń, dużych i małych - ale w sensie szczególnie odrażających przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

- Mam nadzieję, że to pomoże.

- Na pewno. Uzbrojona w takie słowa jak „robactwo” oraz „twierdzą” i „żądam”, z pewnością dam sobie radę. Ilekroć usłyszę te dwa czasowniki wymawiane przez robactwo, natychmiast zareaguję.

- Wypadniesz świetnie - zapewniła przyjaciółką Hope.

- Cóż - Cassandra wzruszyła kruchymi ramionami - postaram się.

- Lepiej już jedźmy - zwrócił się Chase do żony. Oczy pociemniały mu z troski.

Cassandra męczyła się tak szybko nawet przy najbardziej przyjacielskiej pogawędce.

- Masz rację, jedźmy. Po chwili już ich nie było. Nick i Hope patrzyli za znikającym samochodem, zupełnie jakby czas się cofnął. Ale para, którą przed chwilą pożegnali, różniła się znacznie od tej sprzed lat. Pełni powagi, nie flirtowali, nie przekomarzali się, nie przytulali, a czarnowłosy kierowca prowadził powoli, ostrożnie, jakby wioził najcenniejszy skarb.

Dziewięć lat temu, zanim samochód zniknął z pola widzenia, kobieta, ta uwodzicielka, wykonała zgubny zmysłowy ruch w stronę kochanka. Czy Cassandra zachowywała się równie prowokująco?

Nie. Jej krucha sylwetka wyglądała jak wykuta z kamienia. Promień słońca padł na okaleczoną głowę i oświetlił złocisty puch odrastających włosów, które zajaśniały niczym aureola.

Nie istniało żadne podobieństwo pomiędzy tymi dwiema parami. A mimo to Hope i Nick w milczeniu liczyli sekundy od chwili, gdy wóz Chase'a zniknął za pierwszym zakrętem, jakby w obawie, że usłyszą pisk hamulców i huk miażdżonej karoserii.

W końcu Hope odetchnęła z ulgą i z uśmiechem zwróciła się do Nicka:

- Cieszę się, że ich poznałeś. Co sądzisz o Cass?

- Jest silna - odparł - a jednocześnie krucha. I bardzo zakochana. Ale przede wszystkim przerażona, dodał w myślach.

- Tak jak Chase. Bardzo się boję, że ona odejdzie. - W piątek Cassandra dowiedziała się, że zarówno oskarżenie, jak i obrona zakończyły już śledztwo na miejscu zbrodni w Brentwood. Zachlapanie krwią ściany czekały na odmalowanie. Trzeba było jeszcze sprać purpurowe plamy z dywanu i Cass mogła wrócić do domu, w którym omal nie umarła. - A przecież się kochają. To powinno wystarczyć, prawda?

- Nie, Hope. Miłość nie zawsze wystarcza. W tym momencie Nicholas Wolfe chciał odejść. Powinien był to zrobić. Ale Molly miała inny pogląd na tę sprawę. Samochód dotarł bezpiecznie do podnóża góry, więc dlaczego nie przywołać innych chwil tamtego wrześnieowego dnia, zdawała się mówić, wiercąc się z zapalem i wywijając ogonem.

- Ona nie może pamiętać - szepnęła Hope, kiedy Molly pomknęła kłusem na łąkę.

- Owszem, może - odparł Nick. - Zwierzęta to potrafią. To my nie możemy, nie powinniśmy pamiętać tego łagodnego spokoju.

Molly nie zostawiła im wyboru. Realizując, jak zawsze, swój program, po prostu zniknęła.

Podążyli więc za upartym stworzeniem na łąkę, która - podobnie jak tamtego

wrześniowego dnia - przypominała szmaragdowe niebo usiane chmurami kwiatów. Tylko światło było inne.

Majestatyczne. Jasne. Dojrzałe.

Przypominające o bliskiej zimie.

W oddali, na dole, srebrzyły się budynki Centrum Medycznego Courtlandów.

Monet byłby zachwycony na widok tego nieba dzikich kwiatów, skąpanego w przytłumionym świetle przełomu pór roku. A malarz, który przez lata pracował nad cyklem „Pory duszy”?

Przed oczami Nicka pojawił się obraz baleriny wirującej w promieniach jesiennego słońca. Uosobienie wdzięku. Radości. Tak silnie zawładnęło nim to wspomnienie, że zapytał, mimo iż wiedział, że nie powinien:

- Czy nadal tańczysz?

- Nie - odpowiedziała Hope. Od tamtego dnia nie tańczyła.

- A powinnaś.

- Może potrafiłabym - powiedziała cicho. - Dla ciebie. Z tobą.

W listopadowym świetle stała przed nim tancerka pełna odwagi, zupełnie inna od tamtej sprzed lat. Proponowała mu nowy taniec, dojrzały, pas de deux miłości łączącej kobietę i mężczyznę.

Hope ofiarowywała Nickowi siebie, z wdziękiem i radością. Wyciągała ramiona, zapraszając do najpiękniejszego tańca i...

- Ja nie tańczę. Ręce Hope zamarły w pół gestu i opadły, nadal z wdziękiem, ale już ruchem pozbawionym radości.

- Ale... myślałam... Ty mnie nie chcesz? Czy cię chcę? Bardziej niż samego życia. I gdyby chodziło tylko o moje życie, oddałbym je za ciebie bez chwili wahania.

Ale chodziło o nią, o Hope. Ona powinna tańczyć w blasku jesiennego słońca, a nie w mroźnym, bladym świetle zimy - z nim.

- Nie, Hope. Nie chcę. Niebieskie oczy stały się lodowate i stalowoszare. Ale Hope nadal wpatrywała się w mężczyznę, przy którym dawniej czuła się bezpiecznie, a ostatnio tak niepewnie, z którym zawsze mogła rozmawiać, ze wszystkiego się zwierzyć.

- Czuję się jak idiotka - wyznała speszona.

- Zupełnie niepotrzebnie.

- Tego typu historie ciągle ci się zdarzają, prawda? - spytała bez goryczy, ale też nie czekając na odpowiedź, bo przecież ją znała. Pamiętała, jakim zainteresowaniem cieszył się w Willow Ranch. - Mam na myśli kobiety, które się za tobą uganiają.

Zimne, szare spojrzenie Nicholasa Wolfe'a spoczęło na zabudowaniach w kształcie litery L, leżących u ich stóp w dolinie.

- Ciagle - potwierdził cicho. - To mi się ciągle zdarza.

Gmach sądu w Santa Monica

czwartek, 29 listopada

Wszystkie stacje telewizyjne przysłały swoich sprawozdawców, którzy zebrali się przed siedzibą wymiaru sprawiedliwości. Anteny satelitarne pochylały się pod chwiejnymi pióropuszcami palm, a reporterzy błakali się po szmaragdowym trawniku.

Obydwie ulice, Główna i Czwarta, zostały odgródzone kordonem. Przepuszczano tylko samochody osób biorących udział w rozprawie.

Zza tego właśnie kordonu Beth Quinn łączyła się ze studiem prawnym stacji Global News Network. Był trzeci i, jak się wydawało, ostatni dzień rozprawy wstępnej naród kontra Robert Forrest. Przerwa na lunch zbliżała się ku końcowi i lada chwila sąd miał wznowić obrady.

- Chciałbym, żebyś streściła zeznania z dzisiejszego ranka, Beth - zaczął Gregg Adams ze studia na Manhattanie. - Ale najpierw opisz Cassandrę Winter. Dla nas, obserwujących przebieg rozprawy z daleka, Cassandra wygląda strasznie. Naprawdę niepokojąco. Czy rzeczywiście jest aż tak źle?

- Owszem. Oczywiście gwiazdy ekranu widziane prywatnie zwykle nas zaskakują. Ale nawet hollywoodzkich dziennikarzy poruszyło, jaka jest chuda i wątła.

- Obserwatorom w studio, a także wielu widzom, którzy przysyłają do nas e - maile i faksy, nasuwa się na jej widok skojarzenie z człowiekiem chorym na raka i wyniszczonym chemioterapią. Zwłaszcza ta naga głowa. Szkarłatne szramy na czaszce wyglądają jak znaki wskazujące miejsca, które poddano naświetlaniu.

- Cassandra nie jest łyśa - zaprotestowała Beth Quinn. Niechętnie zaprzeczała najpopularniejszemu z prowadzących programy publicystyczne w GNN, a zarazem uznanemu adwokatowi. Ale jako dziennikarka czuła się w obowiązku podawać fakty. - Jest to pewnie lepiej widoczne na żywo niż w telewizji. Ona ma króciutkie włosy, bardzo jasne, bladozłociste.

- W każdym razie - nie dał się zbić z tropu Gregg Adams - ciekawe, dlaczego Cassandra Winter nie nosi peruki. Dramatyczna scena obnażenia głowy, do czego pani Mason z pewnością Cassandrę namawiała, byłaby szokująca.

- Z biura prokuratora okręgowego dochodzą słuchy, że Malloty Mason bardzo zależało na tym wstrząsającym efekcie. Podobno pracownia Rodeo Drive dostała zamówienie na

perukę przypominającą wspaniałe włosy, z których aktorka była znana.

- Ale?

- Cóż, jeśli wierzyć tym samym źródłom, Cassandra odmówiła uczestniczenia w teatralnych efektach na sali sądowej. Widziałam dziś rano, jak zeznaje, więc sądzę, że to prawda. Między prokuratorem a głównym świadkiem oskarżenia doszło niemal do starcia. Relacja Cassandry o trzech sytuacjach, w których Forrest zastosował wobec niej przemoc fizyczną, była pozbawiona wszelkich ozdobników i zupełnie beznamiętna.

- A pani Mason wolałaby większą dawkę dramatyzmu, więcej napięcia?

- Dokładnie takie wrażenie odnieśliśmy na sali sądowej. Jeśli ktokolwiek potrafiłby to oddać, to na pewno aktorka znana z dramatycznych ról. Mogłaby odegrać co najmniej strach przed Robertem.

- A nie zrobiła tego?

- Nie. Zachowywała się tak, jakby go tam nie było. Jakby stał się niewidzialny - on albo ona.

- Poczucie niewidzialności u ofiary - zamyślił się Gregg Adams. - Słyszeliśmy zeznania eksperta na ten temat przy okazji innych spraw, którymi interesowała się GNN. Ale, o ile dobrze pamiętam, taka reakcja bywa skutkiem urazu u osób bardzo młodych, na przykład u dzieci; które zostały zgwałcone. Czy na pewno o to ci chodzi?

- Tak, jak najbardziej. Cassandra zachowuje się, jakby Robert Forrest - i związek z nim - nigdy nie był rzeczywisty.

- Mimo że jej zeznania brzmią bardzo realnie.

- Bardzo. Szczerze mówiąc, w opinii obecnych na sali dziennikarzy, taki sposób składania zeznań - monotonne, nużące referowanie - sprawia, że to, co Cassandra mówi, jeszcze bardziej przekonuje i porusza. I dzięki tej beznamiętności moment, kiedy przesłuchiwana ujawniła uczucia, wywarł naprawdę wstrząsające wrażenie. Nie jestem pewna, czy ty i nasi widzowie...

- Jeżeli mówisz o tym fragmencie przesłuchania, gdy pani Mason podała Cassandrze zakrwawiony ślubny pierścionek, to owszem, wszyscy widzieliśmy to i odczuli. Przez chwilę Cassandra wyglądała na zupełnie zagubioną, jakby chciała go zatrzymać, nigdy nie oddawać z powrotem w cudze ręce. Pamiętam, że pomyślałem wówczas: na miłość boską, nie odbierajcie jej tego pierścionka.

- Tak - zgodziła się reporterka. - Ja pomyślałam dokładnie to samo.

- Dobrze, Beth, zostało już niewiele czasu. Powiedz nam jeszcze, Czego powinniśmy się spodziewać po od dawna oczekiwanym przesłuchaniu Cassandry Winter przez Luciana

Lloyda.

- Baletu, Gregg, baletu w wykonaniu Nuriejewa palestry. Pan Lloyd musi zniszczyć Cassandrę, i to w taki sposób, by atak na nią nie przypominał podłości, o jaką oskarżany jest jego klient. Ale musi wymierzyć ostateczny cios, bo wszystko wskazuje na to, że Cassandra Winter jest wyjątkowo wiarygodnym świadkiem.

- Który jednak ma swoje czułe miejsca.

- Tak. Oczywiście. I nie ma wątpliwości, że Lucian Lloyd będzie się zwracał do przesłuchiwanej: „pani Tessier”, aby o tych drażliwych punktach przypomnieć - o oszustwie, o małżeństwie, które ukrywała przed wszystkimi, łącznie z kochankiem.

- To może być bolesne, ale pełne maestrii widowisko. Nasi widzowie już za kilka chwil będą mieli możliwość je obejrzeć. W międzyczasie, po krótkiej przerwie na reklamy, nadamy prawniczy serwis informacyjny dnia, który będzie zawierać informacje o ważniejszych procesach w stolicy. Zostańcie z nami, żeby obejrzeć aktualności oraz transmisję z przesłuchania Cassandry Winter Tessier....

- Dzień dobry, pani Tessier. Uśmiechaj się, jeśli tylko możesz, kiedy robactwo udaje uprzejmość, radziła przyjaciółce Hope. Ale nie daj się zwieść. To tylko pozór.

- Dzień dobry, panie Lloyd.

- Zaczniemy od pani ślubnego pierścionka. Nie. Nie! Robactwo. Rob...

- Zwróciłem uwagę na sposób, w jaki pani go trzymała, pani Tessier. Sądzę, że wszyscy to zauważyliśmy. Wyraźnie widać, że ten pierścionek jest dla pani bardzo ważny. - Lucian Lloyd zaprezentował uśmiech w stylu „Tatuś wie najlepiej”. On, najzyczliwszy człowiek na świecie, był zupełnie zmiądzony faktem, że Cassandra została narażona na udział w tej przykrej szaradzie, którą czuł się zobowiązany rozwikłać i przywrócić sprawy do należytego porządku. - Chociaż nie miałem okazji omówić tego z panią Mason, pragnąłbym coś zaproponować. - Adwokat przeniósł spojrzenie z przesłuchiwanej na sędziego. - Dysponujemy obszerną dokumentacją fotograficzną, Wysoki Sądzie. Wiemy, że plamy na pierścionku to krew pani Tessier i że nie ma na nim pomocnych dla śledztwa śladów. Nie widzę żadnego powodu, aby nadał przetrzymywać ten cenny drobiazg. Proponuję więc, o ile pani Mason wyrazi zgodę, oddać pierścionek jego prawowitej właścicielce. I to od razu.

- Pani Mason?

- Nie ma sprzeciwu, Wysoki Sądzie.

- Nie? - Twarz sędziny Barnes wyrażała zdumienie, co natychmiast wyjaśnił widzom GNN Gregg Adams.

- To wyjątkowa sytuacja - tłumaczył. - Oskarżyciel powinien się sprzeciwiać

wszelkim sugestiom obrony. Zwłaszcza takim, które manipulują uczuciami, co właśnie przed chwilą miało miejsce. Ale może emocje to dokładnie to, czego Mallory Mason chce od swego świadka - obojętnie, kto je wywoła.

Lucian Lloyd poprosił o podanie mu pierścionka, który od tej chwili nie był już dowodem rzeczowym, i wyjął go z plastikowej torebki. Potem zanurzył własną chusteczkę z eleganckiego płótna w szklance wody na stole obrony i starannie wytarł wszystkie ślady, ze szczególną pieczołowitością czyszcząc miejsce, w którym obrączka została przerwana.

- Czy mogę podejść do świadka, Wysoki Sądzie?

- Jeżeli pani Mason się nie sprzeciwia.

- Nie ma sprzeciwu.

- To niewiarygodne - poinformował widzów GNN laureat Nagrody Emmy. - Hope Tessier dostałaby - dostanie - ataku nerwowego, kiedy zobaczy taśmę z przesłuchania.

Lucian Lloyd podszedł do Cassandry, ale nie podał jej pierścionka, jakby nie ośmielał się dotknąć dłoni drżącej kobiety. Bo Cassandra Winter Tessier cała się trzęsła.

- Śmiało, pani Tessier - zachęcał, kładąc pierścionek na lakierowanej balustradzie, która zasłaniała przed ciekawymi spojrzeniami splecione kurczowo palce świadka. - Proszę go założyć.

- To posunięcie w stylu Brudnego Harry'ego - wtrącił cicho Gregg Adams. Lucian Lloyd mógłby równie dobrze powiedzieć: „Śmiało, pani Tessier, po moje zwycięstwo”.

W sali rozpraw znajdowała się tylko jedna kamera, umieszczona wysoko zawsze w tym samym miejscu. Nie mogła się obracać, nachylać ani podnosić.

Dlatego tylko ci szczęśliwcy, którym udało się dostać na salę rozpraw, wiedzieli, co wywołało nagłe poruszenie na galerii. Pozostali - widzowie przed telewizorami i komentatorzy w studio - mogli tylko zgadywać, dopóki Lucian Lloyd znowu nie przemówił.

- Wysoki Sądzie, czy pan Tessier mógłby tu podejść? Wygląda na to, że sobie tego życzy.

- Pani Mason?

- Zgadzam się, Wysoki Sądzie. Po chwili Chase Tessier pojawił się w polu widzenia kamery.

Ten elegancki mężczyzna w ciemnoszarym garniturze przywracał właśnie najczystszy sens słowu „filantropia”, bo ofiarowywał na powrót zmaltratowanej kobiecie jej gasnące pragnienia. Mało kto w tej chwili pamiętał, że uderzająco przystojny pan na Montagne Noir i wyniszczona istota, do której się zbliżał, są mężem i żoną.

Wszelkie domysły na temat miłosierdzia i wielkoduszności Tessiera zostały

zniweczone w momencie, gdy Chase zatrzymał się przed Cassandra. Wiedząc, gdzie umieszczona jest kamera, ustawił się w taki sposób, by zasłonić żonę przed obiektywem. Chronił ją, chronił prawo do prywatności ich obojga.

Nikt oprócz Cassandra nie mógł dostrzec oczu Chase'a, błyszczących i czułych.

I nikt oprócz niej nie usłyszał słów, które wyrzekł, wsuwając różaną obrączkę na palec żony, delikatnie, by nie urazić pokaleczonego ciała.

- Cassandrao tym pierścieniem poślubiam cię. Czuł, że nią wstrząsnął, wytrącił z równowagi. Widział to, więc uśmiechnął się i powiedział:

- Cassie? Daj temu robactwu popalić. Dotknął pieszczotliwie jej spopielatego policzka i wrócił na swoje miejsce z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Na pewno czuje się pani bardzo zmęczona, pani Tessier - podjął na nowo namaszczone tonem Lucian Lloyd. - Ma pani za sobą straszliwe doświadczenia. Będę więc starał się streszczać. Ustaliliśmy już, że twierdzi pani, jakoby nie pamiętała napadu.

- Nie „jakoby”, a nie pamiętam - mechanicznie poprawiła Cass, tak dobrze przećwiczona przez Hope, że choć wszystko w niej dygotało, potrafiła sobie uzmysłwić, do czego adwokat zmierza.

- Pani Tessier... - Lucian Lloyd wpatrywał się w nią, jakby była ukochanym, chociaż niegrzecznym dzieckiem. - To pani pierwsze i, miejmy nadzieję, ostatnie doświadczenie w dziedzinie kryminalnego przesłuchania w krzyżowym ogniu pytań...

- Wysoki Sądzie! - Mallory Mason poderwała się na równe nogi.

- Panie Lloyd. - Wyraz twarzy Nancy Barnes komunikował wyraźnie, kto tutaj zachowuje się jak niegrzeczne dziecko. - Sąd nie potrzebuje pańskich opinii na temat jego postanowień ani nie życzy sobie podsuwania żadnych sugestii. Nie ten sąd. A mam nadzieję, że żaden.

- Oczywiście, że nie. Dziękuję, Wysoki Sądzie. Chciałem tylko uświadomić pani Tessier, że już widać światło na końcu tunelu.

- Jestem pewna, że pani Tessier jest tego w pełni świadoma. Miał pan, zdaje się, zamiar powiadomić świadka o zasadach i prawach przesłuchania krzyżowego. Może będzie szybciej, jeżeli jato zrobię. - Nancy Barnes zwróciła się do Cassandra: - Musi pani czekać, aż obrona zada pytanie, nawet jeżeli padają stwierdzenia, z którymi zupełnie się pani nie zgadza. obrońcy nie wolno składać oświadczeń, a ja doskonale potrafię rozpoznać oświadczenie, więc proszę, żeby pani się tym nie niepokoiła. W porządku?

- Tak.

- Dobrze. Panie Lloyd? Proszę kontynuować. Pytania powinny być zadawane

świadkowi w uprzejmej formie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Lucian Lloyd przeniósł spojrzenie na zachowującą czujność ofiarę. - Nigdy nie mówiła pani Robertowi, że jest pani mężatką?

- Nie - szepnęła Cassandra, a rozpacz w jej głosie przeplatała się z ulgą. W końcu robactwo wracało do przewidzianego przez Hope scenariusza. Na takie pytania Cass była dobrze przygotowana.

Zgodnie ze scenariuszem... dobrze przygotowana... wszystko się zgadzało oprócz tego, że znów miała na palcu ślubny pierścionek.

- I nigdy nie powiedziała pani nikomu o przykładach przemocy, na które się pani teraz powołuje?

- Nigdy nie powiedziałam nikomu o przemocy, która miała miejsce - odparła. Robactwo. Robactwo, zaczęła spontanicznie powtarzać mantrę.

- Bardzo dobrze, pani Tessier. Ktoś panią świetnie przygotował. - Lucian Lloyd gładko przepoczwarzył się w węża, wyćwiczoną w ataku kobrę. - A co z pani dzieckiem, pani Tessier? Czy o nim kiedykolwiek wspominała pani Robertowi?

Mallory Mason zsiniała z wściekłości.

- Wysoki Sądzie! To oburzające. Pan Lloyd przesłuchuje świadka na okoliczność dowodu, który nie został przedłożony bezpośrednio.

Sędzina spojrzała na obrońcę.

- Panie Lloyd?

- Wysoki Sądzie, pani Mason sama otworzyła mi tę furtkę. Odwołuję się do dowodu oskarżenia numer dwadzieścia jeden, raportu doktor Amandy Prentice, ginekolog, która badała panią Tessier trzydziestego pierwszego listopada. Doktor Prentice, pisząc o szyjce macicy, użyła łacińskiego terminu parus, co wskazuje na to, że pani Tessier przynajmniej raz rodziła. Doktor Prentice jest świadkiem oskarżenia i została poddana przesłuchaniu. Czyżby pani Mason kwestionowała jej ekspertyzę?

- Pani Mason?

- Wysoki Sądzie, oskarżenie kwestionuje nie ekspertyzę, a związek przytaczanego fragmentu z przedmiotem rozprawy.

- Co pan na to, panie Lloyd?

- Chodzi o wiarygodność, Wysoki Sądzie. Pani Tessier nie przyznała się Robertowi, że jest mężatką. Nie wspomniała też, jak się wydaje, nikomu, włączając w to wścibską hollywoodzką prasę, o domniemanych przypadkach stosowania przemocy. Teraz, Wysoki Sądzie, mamy sprawę tajemniczego dziecka - możliwe, że dziecka Roberta.

- To spekulacje! - upierała się Mallory Mason.

- Tak, oczywiście - odparował Lucian Lloyd. - Jestem pewien, że pani Tessier potrafi nam to wyjaśnić, kiedy tylko będę mógł kontynuować przesłuchanie. Wiarygodność jest w tym przypadku kwestią podstawową, Wysoki Sądzie. Wiarygodność - i fakty. Oskarżenie opiera się na zarzucie stosowania przemocy fizycznej, na co nie ma nawet strzępka dowodu. Są C natomiast liczne dowody na to, że pani Tessier ukrywała swoje małżeństwo i fakt posiadania co najmniej jednego dziecka.

- Zezwalam na dalsze pytania, panie Lloyd, ale proszę zachować ostrożność.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Pani Tessier, czy powiedziała pani Robertowi Forrestowi, swojemu kochankowi, o ciąży?

Robactwo. Robactwo. Robactwo.

- Nie. - Ten pełen żalu szept skierowała do różanego pierścionka, który palił jej ciało jak roztopione złoto.

- Czy to było jego dziecko, pani Tessier? Dziecko Roberta? Proszę. Proszę. Proszę.

- Pani Tessier? Dziecko. Dziecko. Dziecko.

- Nie.

- Nie? To może będzie pani uprzejma powiedzieć nam, czyje dziecko...

- Sprzeciw!

- Przyjęty. Wystarczy, panie Lloyd. Nie ma tu dziś ławy przysięgłych, a ja już wyrobiłam sobie pojęcie o tej kwestii.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Cassandra Winter wyglądała jak obwisła marionetka.

Niewidzialne sznurki, które pomagały jej ciału trzymać się prosto, z podniesioną głową, zerwały się w chwili, gdy Lucian Lloyd wymówił słowo „dziecko”.

Całkowicie opadła z sił.

Ale Lloyd nie ustępował.

I jakimś cudem zdołała mu odpowiedzieć.

Teraz, zachęcony tym, że sama oddała mu się w ręce, dalej próbował naciskać.

- Czy to prawda, pani Tessier, że wszystko w pani życiu jest fałszem? - Szyderczy uśmiech adwokata był lustrzanym odbiciem pogardy, z jaką patrzył na nią Robert, kiedy się nad nią znęcał. - Że wszystko, co zeznała pani przed tym sądem, absolutnie wszystko, jest wierutnym kłamstwem? Okłamywała pani Roberta od samego początku, ukrywając przed nim sprawę małżeństwa i dziecka. I kiedy Robert nie mógł już dłużej znosić pani oszustw, kiedy chciał się uwolnić, zdecydowała się pani zrobić wszystko, używając broni, którą najlepiej pani włada, kłamstwa, żeby zniszczyć dobre imię wspaniałego, przyzwoitego człowieka. Nie

mam więcej pytań.

I wtedy to się stało. Niewidzialne sznurki znowu się naprężyły. Albo może w marionetkę wstąpiło nowe życie, siła płynąca z jakichś głębokich wewnętrznych pokładów.

Robert Forrest mógł prześladować Cassandrę, ponieważ w gruncie rzeczy nie miało to dla niej znaczenia. I przez chwilę pozwoliła, żeby w podobny sposób znęcał się nad nią obrońca Roberta, kopał, kiedy leżała bezsilna, pragnąc już tylko śmierci.

Ale Lucian Lloyd poważnie się przeliczył, gdy rozciągnął swój atak na osoby, które Cassandra kochała.

Teraz stała przed nim znowu wyprostowana i dumna.

- Chwileczkę, panie Lloyd. Chwileczkę. Zadał mi pan kilka pytań. Mam prawo na nie odpowiedzieć. - Zwróciła się do sędziny. - Czy tak?

- Jak najbardziej. Ruch głowy Cassandry w niczym nie przypominał niepewnego skinienia. Oczy, błękitne i ogromne w zestawieniu z wychudzoną twarzą, odszukały Luciana Lloyda.

- To, co dzisiaj powiedziałam, wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Moje małżeństwo to prywatna sprawa. A jeśli chodzi o dziecko... - jej głos zadrżał i załamał się. Odzyskała jednak panowanie nad sobą właśnie dla niego, dla dziecka. Powiodła spojrzeniem od obraźliwie zachowującego się prawnika do człowieka, którego bronił, tchórzliwego i brutalnego. W tej chwili Robert przestał być dla niej niewidzialny. - Chciałby pan, żebym temu mężczyźnie opowiedziała o moim dziecku, panie Lloyd? Mężczyźnie, który mnie kopał i chciał uszkodzić to właśnie miejsce, które jest jedynym schronieniem nienarodzonych jeszcze dzieci? Gdybym była w ciąży, panie Lloyd, wtedy, kiedy pański klient kopał mnie w brzuch, dziecko nie miałoby żadnej szansy. Umarłoby.

Jasne oczy znowu spoczęły na obrońcy, a podniesiona ręka opadła. Tylko ręka.

- Brawo - powiedział cicho Gregg Adams. Nancy Barnes uniosła brwi z wyrazem aprobaty. A Lucian Lloyd?

- W tej chwili nie mam do świadka więcej pytań.

- Pani Mason?

- Ja również, Wysoki Sądzie. Cassandra wskazała już, i to zupełnie jasno, istotę sprawy.

Cassandrze Winter Tessier pozwolono opuścić miejsce dla świadków, a szefowie wszystkich sieci telewizyjnych w kraju złożyli sobie solenne przyrzeczenie: kiedy ta sprawa przejdzie w fazę procesu, co z pewnością się stanie, muszą wywalczyć obecność wielu kamer na sali sądowej, chociaż po jednej na każdego z głównych bohaterów, wliczając w to Chase'a

Tessiera. A jeśli sędzia się nie zgodzi? Z pewnością stosowne fragmenty prawa prasowego dostarczą przekonujących argumentów, by udowodnić, że widzowie powinni mieć możliwość obserwowania różnych scen dramatu.

Tymczasem Cassandra zniknęła z pola widzenia, by przedostać się do męża, a Robert i jego obrońca stłoczyli się w taki sposób, że tylko obiekt przybliżający mógłby ich pokazać. W efekcie najbardziej interesująca obserwacja, jakiej można było dokonać w tym szczególnie ważnym momencie, odnosiła się do spódnicy Mallory Mason - nieco zbyt krótkiej.

Nancy Barnes przerwała ten anakt, który w odczuciu reporterów telewizyjnych był wiecznością straconych szans, chociaż naprawdę trwał bardzo krótko.

- Czy oskarżenie chce powołać jeszcze jakichś świadków?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Czy zrobimy przerwę, zanim oskarżenie i obrona wygłoszą podsumowanie?

Mallory miała gotową odpowiedź.

- Nasza strona nalegałaby, Wysoki Sądzie, aby zakończyć rozprawę bez ogłaszania przerwy. Jest już dosyć późno.

- Panie Lloyd?

- My również jesteśmy zainteresowani szybkim zakończeniem sprawy. Dlatego, Wysoki Sądzie, rezygnując z przerwy, chciałbym wezwać naszego pierwszego świadka.

- Słucham? - Mallory Mason rzuciła złowieszcze spojrzenie na Lloyd'a. - To jest przesłuchanie wstępne, a nie proces.

- A jak wiadomo, przesłuchanie wstępne to pole do popisu dla prokuratora. - Lucian uśmiechnął się do Mallory, po czym zwrócił się do sędziny. - Jednak, Wysoki Sądzie, mamy prawo proponować obronę wyrównującą szanse. Zaprezentować świadectwo uniewinniające, jeżeli takim dysponujemy.

- A czy dysponuje pan takim świadectwem, panie Lloyd?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Oskarżenie słyszy po raz pierwszy o tej propozycji.

- Świadek właśnie podchodzi.

- Może jednak zrobimy przerwę - stwierdziła Nancy Barnes. Lucian Lloyd popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Pani prokurator właśnie oświadczyła, że nie chce przerwy, i wyjaśniła dlaczego. My zgodziliśmy się z tym. Chcielibyśmy wyjaśnić tę sprawę w ciągu dzisiejszego popołudnia. Wierzmy, że wystarczy w tym celu świadectwo, które właśnie zamierzamy przedstawić.

- Oskarżenie czuje się zupełnie zaskoczone, Wysoki Sądzie.

- Na to wygląda, pani Mason. Lucian Lloyd, mistrz nagłych zwrotów, zasugerował płynące z nowej sytuacji korzyści.

- Jeżeli dojdzie do procesu, oskarżenie będzie już miało niejakie wyobrażenie o linii obrony.

- Jeżeli - powtórzyła Mallory.

- W porządku - zainterweniowała sędzina. - Wystarczy. Niech pan poprosi świadka, panie Lloyd.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Obrona wzywa Nicole Haviland.

- Nicole Haviland - mruknął Gregg Adams, szukając nazwiska w zasobach pamięci, podczas gdy zespół informacyjny GNN rzucił się do komputerów, żeby wydobyć zestaw danych o tym niespodziewanym - chociaż powszechnie znanym - świadku. - To oczywiście aktorka. Jej ostatni film nosi tytuł - o ile się nie mylę - Druga siostra.

Te informacje, wygłaszane na gorąco, były w zasadzie niepotrzebne. Większość widzów sieci GNN doskonale znała czarującą aktorkę, która w tym właśnie momencie zajmowała miejsce dla świadków.

- Dzień dobry, pani Haviland.

- Dzień dobry, panie Lloyd.

- Proszę powiedzieć Wysokiemu Sądowi, od jak dawna zna pani Cassandrę Tessier.

- Wydaje mi się, że od trzech lat. Przy okazji tego wszystkiego przypominano mi jednak, że spotkałyśmy się już osiem lat temu, w Napa Valley. Grałam wówczas w Duecie Adriana Ellisa, a Cassandra spędzała lato w Domaine Tessier.

- Zajmijmy się jednak ostatnimi trzema latami. Jak określiłaby pani stosunek, który was łączył?

- Byłyśmy przyjaciółkami.

- Bliskimi przyjaciółkami? Nicole Haviland westchnęła.

- Widocznie nie na tyle bliskimi, żeby Cass chciała podzielić się ze mną sekretami.

- Przez sekrety rozumie pani przypadki przemocy w domowym zaciszu?

- Nie! Niczego takiego nie było. Cass opowiadała mi, jaki delikatny był wobec niej Robert. Delikatny, czuły i uprzejmy. Mówiła mi też, że chciał odejść.

- A więc zwierzyła się pani, że istniały jakieś problemy w jej związku z panem Forrestem?

- O, tak. Z tego mi się zwierzyła. Ale najwyraźniej zapomniała podzielić się ze mną prawdą o swoim małżeństwie, ciąży... i Bóg wie czym jeszcze.

- Wysoki Sądzie! - jęknęła błagalnie Mallory.

- Pani Haviland - napomniała świadka Nancy Barnes - proszę ściśle odpowiadać na pytania.

- Tak, Wysoki Sądzie. Oczywiście.

- A teraz, Nicole - kontynuował Lucian Lloyd - proszę, żeby nam pani opowiedziała o swojej znajomości z Robertem Forrestem.

Głos adwokata brzmiał łagodnie i kojąco, ale mimo to aktorka westchnęła z konsternacją.

- Byliśmy kochankami. - Byliście?

- Odkąd Cassandra została pobita, czuliśmy się tak okropnie, no, po prostu odpowiedzialni za to, co się stało, więc... rozstaliśmy się.

- W jakim sensie odpowiedzialni, Nicole?

- Cóż, gdyby Robert był z Cass zamiast ze mną, kiedy do domu wdarł się włamywacz...

- Chwileczkę - wtrąciła się sędzina. - Pani Mason, zgłaszam sprzeciw w pani imieniu i za panią. Pani Haviland, proszę starać się odpowiadać konkretnie na zadane pytanie i unikać spekulacji jakiegokolwiek rodzaju. W porządku? Powiedziała pani, że byliście z panem Forrestem kochankami.

- Tak. - Nicole wpatrywała się w sędzinę, skruszona, pragnąca się poprawić. - Byliśmy.

- A kiedy zaczął się ten romans? - zapytał Lucian Lloyd.

- Miesiąc przed napadem na Cass.

- Czy pani Tessier wiedziała o waszym romansie?

- Aż do tamtego dnia nie. Wiedziała tylko, że Robert chce odejść.

- I to ją martwiło?

- Tak, Była zgorzkniała, zła, żądna zemsty.

- Wysoki Sądzie!

- Proszę się nie denerwować, pani Mason - doradziła Nancy Barnes. - Nie ma tu z nami sędziów przysięgłych.

W odpowiedzi Lucian Lloyd ruszył z impetem.

- Teraz, Nicole, proszę, aby opowiedziała nam pani o dniu napadu.

- Robert powiedział Cass, że ich związek jest skończony. Powiedział jej też o nas.

- Skąd pani o tym wie? Od Roberta?

- Nie. Powiedziała mi o tym Cass. Pani Tessier.

- Kiedy?

- Trzydziestego pierwszego października o trzeciej po południu.
- W Halloween, czyli w dzień swoich urodzin?
- Tak.
- Czy jest pani pewna daty?
- Tak. Absolutnie.
- A godziny?
- Też. Patrzyłam na zegarek, bo czekałam na powrót Roberta. Pojechał do Cassandry około pierwszej, więc kiedy zadzwonił telefon, byłam pewna, że to on.
- A gdzie pani wtedy była?
- W moim domu, w Bel - Air.
- Jak to daleko od domu pani Tessier w Brentwood?
- Nie wiem dokładnie. Niezbyt daleko. Kilka kilometrów.
- W porządku. Wróćmy jednak do telefonu, który odebrała pani trzydziestego pierwszego października o trzeciej po południu. To nie Robert dzwonił?
- Nie, Cassandra.
- I co powiedziała?
- To wyłącznie pogłoski, Wysoki Sądzie - upierała się Mallory Mason. - Cassandra nie pamięta rozmowy, na którą świadek się powołuje, więc nie ma możliwości ustosunkować się do słów świadka.
- Ona twierdzi, że nie pamięta - mruknęła Nicole. - Czy ktoś z państwa oglądał Echa z ciemności? Cass wcieliła się tam w postać cierpiącej na amnezję żony.
- Wysoki Sądzie!
- Wiem, w jaki sposób traktować pogłoski, pani Mason. I chciałabym usłyszeć, co pani Haviland ma do powiedzenia. - Nancy Barnes zwróciła wzrok na Lloyda. - Proszę kontynuować.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Niech nam pani powie, Nicole, co mówiła pani Tessier.
- Była zła, odgrażała się. Ostrzegła mnie, żebym trzymała się z daleka od Roberta, i powtarzała, że ich związek jest tak silny, tak namiętny, iż on nigdy nie zdecydowałby się na rozstanie. Mówiła też, że właśnie się kochali.
- Chce pani przez to powiedzieć, że Robert był z nią, kiedy do pani dzwoniła?
- Nie. Był ze mną. Przyjechał w czasie naszej rozmowy. Rozgniewałam się, myśląc, że słowa Cassandry mogły być prawdą. I wtedy zauważyłam jego przygnębienie. I te plamy krwi na koszuli.
- Krwi?

- Cass podrapała go. Miał głębokie ślady od paznokci na całej klatce piersiowej.

- Widziała pani te ślady?

- Oczywiście.

- Czy pani Tessier powiedziała, że Robert ją zaatakował?

- Chyba nie. Opisywała ze wszystkimi okropnymi szczegółami ich gorący, namiętny seks.

- Czy rozmowa pań skończyła się, kiedy pan Forrest wszedł do pokoju?

- Tak. Robert jeszcze rozmawiał z Cass przez chwilę. Był wobec niej całkowicie szczery - szczery aż do granic okrucieństwa. Ale on nie jest z natury okrutny i właśnie dlatego po kilku godzinach zdecydował się towarzyszyć jej na balu „Poza tęczę”. Nie chciał niczego udawać, tylko sprawić, żeby sytuacja stała się łatwiejsza.

- Czy pani brała udział w balu? - Nie.

- A więc nadszedł czas, kiedy Robert opuścił pani dom?

- Cóż, i tak, i nie. Wkrótce po zakończeniu rozmowy Roberta z Cass wyszliśmy razem.

- Dlaczego?

- Baliśmy się, że Cass może pojawić się u mnie w domu. Żadne z nas nie życzyło sobie sceny, kolejnej sceny.

- Więc wyszła pani razem z Robertem. I dokąd się udaliście?

- Po prostu jeździliśmy trochę bez celu. Obawialiśmy się, że Cassandra może popędzić do Malibu, kiedy się zorientuje, że nie ma nas w Bel - Air. Dotarliśmy do domu Roberta około piątej. To wtedy do niej zadzwonił. Żeby przeprosić i zaproponować, że zawiezie ją na bal.

- Czy mogłaby pani powiedzieć Wysokiemu Sądowi coś więcej na temat tego balu? - Lucian Lloyd udawał, że improwizuje. - Czy była to impreza charytatywna?

- Tak. W Beverly Wilshire.

- A na co miał zostać przekazany dochód z tego halloweenowego wieczoru?

- Na różne agencje adopcyjne. Nie jestem pewna, na które konkretnie.

- Pani nie interesuje się problemami adopcji?

- Oczywiście, że tak. Popieram adopcję. Jak każdy. Jednak pani Tessier miała na tym punkcie niemal obsesję.

- Obsesję? Ma pani na myśli nakłanianie do swoich poglądów z pianą na ustach?

- Nie dosłownie. Ale Cass była silnie przekonana, że nie zawsze w najlepszym interesie dziecka leży pozostawienie go z biologicznymi rodzicami.

- Bardzo ciekawe - mruknął Gregg Adams. Jego ton dawał Beth Quinn jasno do zrozumienia, że powinna spędzić trochę więcej czasu, próbując prześledzić obsesję Cassandry Winter, zamiast liczyć włosy na jej pokierszowanej głowie. - I znaczące, zwłaszcza w świetle rewelacji na temat jej dziecka.

Osiągnąwszy zamierzony cel, Lucian Lloyd napierał dalej.

- Mówiła pani, Nicole, że Robert zadzwonił do pani Tessier, żeby zaproponować, że odwiezie ją na bal?

- Tak, ale ponieważ włączała się ciągle automatyczna sekretarka, uznał, że Cass już wyszła.

- Więc udał się na bal?

- Tak.

- Czy problemy adopcji należą do jego zainteresowań w ramach działalności charytatywnej?

- Och, tak. Jako jedne z wielu. Robert szczerze ofiarowuje zarówno pieniądze, jak i czas na działalność dobroczynną, zwłaszcza dotyczącą kobiet. I dzieci. Wydaje mi się, że ze wszystkich celów, które wspiera, najbliższy jest mu problem zwalczania przemocy w rodzinie.

- Wysoki Sądzie - zdenerwowała się Mallory Mason. - Jeżeli pan Forrest zechce zająć to miejsce i opowiedzieć nam, jak bardzo martwi go los maltretowanych kobiet, będziemy zachwyceni, słuchając jego zeznań - a także odpowiedzi na pytania oskarżenia. Złożonych pod przysięgą. Ale to już, doprawdy, zbyt wiele.

- Przecież Robert tam był - upierała się Nicole. - Brał udział w przyjęciu i przemawiał, i...

- Dostyc - przerwała jej Nancy Barnes, Zapadła cisza. - W porządku. Pan Forrest jest przeciwny przemocy w rodzinie. Myślę, że wszyscy jesteśmy. Panie Lloyd, proszę przesłuchiwać świadka na okoliczność wydarzeń tamtego dnia.

Uroczysta powaga na twarzy Luciana Lloyda maskowała zadowolenie, że główny świadek obrony zdołał jednak powiedzieć to, o co adwokatowi chodziło.

- Skończyła pani na tym, Nicole, że Robert wyruszył ze swojego domu na bal.

- Tak, a ja zostałam w Malibu. Byłam tam, kiedy zadzwonił, żeby mi powiedzieć, co się stało.

- Czy Robert sam prowadził, jadąc do Beverly Winshire?

- Nie. Wynajął limuzynę.

- Czy to należało do jego zwyczajów?

- W podobnych sytuacjach owszem. Z powodu fanów i paparazzich. A poza tym był tak przygnębiony w związku z Cass, że wołał, aby kto inny prowadził.

- Czy pamięta pani, o której godzinie limuzyna zajęła do Malibu?

- O szóstej.

- Widziała ją pani?

- Tak. A szofer - ma na imię Charles - widział mnie.

- I rozpoznał panią?

- Oczywiście.

- A więc zreasumujmy. Zeznała pani, pani Haviland, że trzydziestego pierwszego października rozmawialiście z panią Tessier przez telefon o godzinie trzeciej po południu?

- Tak.

- Przy okazji, czy jest to połączenie międzymiastowe, z jej domu, Brentwood do pani w Bel - Air?

- Nie.

- Czy numer pani telefonu jest zastrzeżony?

- Oczywiście.

- Ale pani Tessier go zna?

- Tak. Byłyśmy przyjaciółkami.

- Dalej zeznała pani, że podczas tej rozmowy telefonicznej pojawił się pani domu Robert Forrest.

- Tak.

- I że miał plamy krwi na koszuli?

- Tak.

- I że widziała pani ślady zadrapań na jego klatce piersiowej?

- Tak.

- I że te zadrapania jeszcze krwawiły?

- Tak.

- Czy twierdzi pani, że Robert Forrest przebywał w pani towarzystwie trzeciej do szóstej popołudniu, kiedy to szofer o imieniu Charles przyjechali limuzyną do Malibu, żeby go zawieźć do Beverly Hills?

- Tak. Tak twierdę.

- Jeszcze ostatnie pytanie, Nicole. Dlaczego zgłosiła się pani dopiero teraz? Przecież te niezwykle ważne informacje powinna była pani przekazana władzom parę tygodni temu.

- Wiem, że powinnam. Ale chociaż mogłam dowieść, że Robert nie popełnił tej

koszmarnej zbrodni, on sam prosił, abym się nie zgłaszała. Z powodu Cass. To sprawa honoru. Starał się chronić ją przed upokorzeniem, w związku z naszym romanssem i rozpaczliwym zachowaniem Cassandry wtedy, w dniu urodzin. Chronił, oczywiście, również mnie. Robert zawsze wierzył sprawne funkcjonowanie systemu sprawiedliwości. Był pewien, że nie zonie oskarżony. Bo jak można oskarżyć niewinnego człowieka?

- Jednak gdzieś po drodze jego wiara zachwiała się?

- Nie jego. Moja. Robert nie pochwała tego, że tu jestem. Ale co za dużo, to niezdrowo. Gdyby został postawiony w stan oskarżenia, zgłosiłabym się na pewno. Ale po co czekać? Nawet jeżeli wszystko to jest nieco irytujące - dla mnie albo dla Cass.

- Na początku w pani zeznaniach brzmiały wyrzuty sumienia i żal z powodu rozpacz, o jaką wasz romans przyprawił panią Tessier. Teraz mam wrażenie, że już nieco mniej jej pani współczuje.

- Targają mną sprzeczne uczucia. Mam przed sobą kobietę, przyjaciółkę którą - jak sądziłam - dobrze znam. A jednocześnie jakąś zupełnie inną osobę, kogoś, kto opowiada okropne kłamstwa.

- Dziękuję, pani Haviland. Nie mam więcej pytań. Nancy Barnes odwróciła się w stronę pani prokurator.

- Pani Mason? Zachowuje pani zdumiewające milczenie.

- Ponieważ jestem zdumiona, Wysoki Sądzie. To starannie przygotowane przedstawienie nie powinno było mieć miejsca. Pan Lloyd i pani Haviland musieli odbyć, co widać gołym okiem, niejedną próbę. Oznacza to, że obrona była świadoma treści zeznań świadka już od jakiegoś czasu. A jednak nie napomknęła ani słowa oskarżeniu.

Lucian Lloyd wyglądał na zdumionego, że ktoś może go podejrzewać o stosowanie takich podstępów.

- Wysoki Sądzie, pani Haviland niechętnie zgodziła się być świadkiem. Nancy Barnes uprzedziła wściekłą ripostę Mallory.

- Moje pytanie brzmi: czy pani, pani Mason, ma zamiar przesłuchać świadka?

- Poproszę o chwilę na zastanowienie, Wysoki Sądzie.

- Oczywiście. W czasie, kiedy Mallory Mason naradzała się z pozostałymi członkami strony oskarżenia, znawcy prawa w całym kraju spekulowali na temat dalszych wydarzeń. Prokurator zrezygnuje z procesu, przynajmniej w chwili obecnej - brzmiała opinia większości ekspertów. Dopóki nie zwołano ławy przysięgłych, sprawa może zostać wniesiona raz jeszcze, w późniejszym terminie.

Komentatorzy telewizyjni informowali widzów, że chociaż oskarżenie mogłoby

wystąpić z mową końcową, byłoby to dosyć ryzykowne, bo nawet jeżeli prawdomówność Nicole Haviland zostanie zakwestionowana, nie ma wystarczających dowodów, żeby skłonić sąd, by zobowiązał oskarżonego do stawienia się na procesie.

Kiedy wreszcie Mallory Mason przemówiła, jej oświadczenie rozczarowało widzów przed telewizorami.

- Wysoki Sądzie - oświadczyła - oskarżenie wycofuje skargę przeciwko panu Forrestowi.

San Francisco

czwartek, 29 listopada

Źle wyszło z Cassandrą. Sztuczny uśmiech na twarzy detektywa Larry'ego Billingsa kłócił się z treścią wypowiedzianych słów. W gruncie rzeczy Billings był rad, że to on pierwszy może podzielić się z Hope złymi wiadomościami.

Wiedział, że nikt nie zdołał go w tym wyprzedzić. Cały dzień Hope spędziła w sądzie, przesłuchując jego najlepszego przyjaciela, podczas gdy on Larry, wraz z ojcem oskarżonego - emerytowanym oficerem policji Johnem Madridem - czekali na swoją szansę, by spróbować ratować Craiga, apelować o wyrozumiałość.

W poczekalni dla świadków znajdował się telewizor, nastawiony na stację GNN. Detektyw Billings miał więc okazję obejrzeć całą relację z rozprawy wstępnej.

- Bardzo źle - powtórzył.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparła Hope na tyle swobodnie, na ile pozwolił jej na to przyspieszony rytm serca.

- Pewnie, że nie rozumiesz. A chciałabyś się dowiedzieć? Oczywiście, że tak. Otóż, kiedy ty tutaj zajmowałaś się niszczeniem przyzwoitego, respektującego prawo gliny, pan Lucian Lloyd zrobił siekaninę z historyjki o przemocy, którą przedstawiła twoja szwagierka. Trzeba nam było wynająć dla Craiga Luciana Lloyda. - Nad głową Hope Larry rzucił spojrzenie Johnowi Madridowi i dokończył tonem obietnicy czy może ostrzeżenia: - I weźmiemy go, kiedy będziemy składać odwołanie od nieuczciwego wyroku. Pewnie, że Lucian kosztuje. Ale z tym nie będzie problemu. Darowizny popłyną strumieniami, kiedy świat zobaczy, jak kłamią ci twoi świadkowie - i jak się załamują, gdy ich kłamstwa są demaskowane.

- Jestem pewna, że Cassandra nie dała się złamać. Detektyw Billings nie zamierzał przyznać, że faktycznie aktorka zdobyła się na dramatyczną, choć ostatecznie daremną próbę przeciwstawienia się Lloydowi.

- Jeżeli to nie nazywa się załamaniem, to nie wiem, co się tym słowem określa. Będę chyba musiał zajrzeć do słownika. A skoro już o tym mowa, powinnaś wzbogacić swoje zasoby językowe o słownictwo ginekologiczne, poczynając od terminu parus. Dla Cassandy jest już wprawdzie za późno - została rozbita w proch i pył - ale tobie może się to przydać przy następnej krucjacie przeciw mężczyznom.

Parus. Wiedziała, co ten termin oznacza. Znał go każdy prokurator zajmujący się przestępstwami na tle seksualnymi. A Hope w dodatku niezwykle dokładnie studiowała każde słowo medycznych raportów.

Ona tak, ale nie Mallory Mason. To było zupełnie jasne. Jako przyjaciółka Cassandry, a jednocześnie skrupulatny prawnik, Hope powinna była nalegać na ponowne przestudiowanie każdego strzępka danych, jakimi dysponowało oskarżenie.

Ale nie zrobiła tego i teraz... Cass urodziła dziecko? Czyje? Chase'a?

Detektyw Billings wydawał się czytać W jej myślach.

- Ta mała bomba - informacja o dziecku - była początkiem upadku Cassandry. Potem pojawił się pierwszy świadek, który dał Forrestowi alibi. Najseksowniejsza gwiazda Hollywoodu. I spójrzmy prawdzie w oczy, Hope. Twoja szwagierka, nawet zanim jeszcze zamieniła się w chodzący szkielet, nie mogła pretendować do tego tytułu. A Nicole Haviland zdecydowanie tak. Mam nadzieję, że zaprogramowałaś swoje wideo na nagrywanie dzisiejszych wydarzeń. Było to doprawdy fascynujące i nader pouczające widowisko.

- Ogromne dzięki za próbę podtrzymania mnie na duchu - odcięła się mechanicznie. Jej uwagę całkowicie zaprzętały konkretne informacje, których dostarczył Billings.

Była tak zamyślona, że nawet nie zauważyła pojawienia się Meryl Atwood. Pani prokurator podeszła do nich zdecydowanym krokiem, z wyrazem zmartwienia na twarzy.

- Muszę zamienić kilka słów z panią Tessier, zanim przerwa dobiegnie końca - powiedziała.

- Oczywiście, Meryl. Porozmawiajmy gdzieś na zewnątrz. Detektyw Billings powoli ruszył w stronę Johna Madrida, tymczasem obie prawniczki przeszły do pustej sali rozpraw po przeciwnej stronie holu. Hope odezwała się dopiero, kiedy była pewna, że są same.

- Oglądałaś to, Meryl?

- Tak.

- Było źle, prawda? Powinam była...

- Wiedziałam! Wiedziałam, że będziesz się obwiniać. Oczywiście, nie ja jedna. Był tego pewien Jack Shannon i jeszcze kilka miłych osób o imionach Eleanor, Nick i Jane, wszyscy, którzy dzwonili. - Meryl machnęła różową kartką z notatkami z rozmów. - Wiadomość od nich, jak również ode mnie, brzmi następująco: to w najmniejszym stopniu nie twoja wina. Mallory pokpiła sprawę, nie ty. Mallory, która - nawiasem mówiąc - nie pofatygowała się jeszcze, żeby się odezwać.

Ale Nick zadzwonił. Hope poczuła się jeszcze bardziej skołowana, jednak szybko dostrzegła prawdę, Oczywiście, że zatelefonował. Dlaczego miałby tego nie zrobić? To, że

Nicholas Wolfe i Hope Tessier nie mogli razem tańczyć, nigdy ze sobą nie zatańczą, nie znaczy, że Nick odmówiłby słów pociechy przyjacielowi.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam przejąć od ciebie reszty dzisiejszych przesłuchań - zaproponowała Meryl. - Nie dlatego, że im nie podołasz, ale może będziesz chciała zatelefonować do Cassandry i Chase'a.

- Oni muszą porozmawiać ze sobą, nie ze mną - odparła Hope cicho. - A poza wszystkim, Meryl, ty naprawdę nie możesz brać w krzyżowy ogień pytań Johna Madrida. Jest ci wystarczająco trudno prowadzić oskarżenie jego syna, nawet z daleka.

- Jego syn okazał się gwałtcielem.

- Ale John to dobry człowiek i od wielu lat twój przyjaciel. A ze mną wszystko w porządku. Naprawdę.

To moja praca. Moje życie.

Dziecko.

Krótkie, bezcenne słowo było jak nóż o wyszczerbionym ostrzu. Zanurzyło się w sercu Chase'a, zanim jeszcze Lucian Lloyd skończył je dopowiadać, a potem wbijało się znowu i znowu. I obracało w ranie.

Kiedy jednak adwokat zaczął się znęcać nad Cassandrą, Chase ruszył ku żonie, by ją ratować i chronić, chociaż to ona sprawiła, że tak cierpiał. Pomocnik szeryfa go powstrzymał, ale to nie miało już żadnego znaczenia, bo Cassandra sama zaczęła się bronić. W bezsilną marionetkę wstąpiło nowe życie. Chase stał na straży, kiedy kończyła składać zeznania. Czekał, żeby ją wyprowadzić, ale co potem? Odpowiedź na to pytanie miała nadejść z opóźnieniem, bo Tessierowie pozostali na sali sądowej aż do końca przedłużającej się rozprawy.

Teraz było już po wszystkim. Niebo nad Los Angeles zrobiło się jasne i słoneczne, jakby aprobowało wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Pióropuszcami palm kołysał listopadowy wietrzyk. Co chwila ulicą przebiegał jakiś zwolennik joggingu, a koło bungalowu, do którego wracali w milczeniu Cassandra i Chase, po błękitnym stawie pływały śnieżnobiałe łabędzie.

Wreszcie znaleźli się sami w salonie swego hotelowego apartamentu. I co teraz?

Niewypowiedziane pytanie sprowokowało bezsłowną odpowiedź. Chude palce Cass zaczęły szarpać kółko z białego złota, obrączkę z kwiatów róży i słów przysięgi.

- Zostaw to - poważny głos Chase'a przerwał ciszę. - Chcę, żebyś nosiła nasz ślubny pierścionek, jeżeli powiesz mi prawdę o moim dziecku Prawdę, Cassandro. Nareszcie prawdę.

Cassandra wbiła wzrok w grubą bliznę, która utrudniała ściągnięcie pękniętej

obrączki.

- Ona... - zaczęła. Ona. A więc to córka. Głos Chase'a zmiękł:

- Ona została w Seattle?

- Tak.

- To ona była tym „kimś”? Przyczyną, dla której odeszłaś. - Kiedy Cass przytaknęła, zapytał łagodnie: - Dlaczego, Cassandro? Powiedz mi, dlaczego.

- Nie wiem - szepnęła. Zatonęła w pluszowych poduszkach kanapy, której miękkie obicia i tropikalne kolory przypominały dawne barwne piórka Cass, przebranie ukrywające czarownicę, strój bojowy zranionej istoty.

- Dla mnie było... zupełnie jasne, że muszę odejść. Że nie mam wyboru. - Że bajka zaraz się skończy. Że przeznaczeniem tęczy jest zniknąć. Że dla Kopciuszka nadejdzie złowroga północ. Przez chwilę Cass z zastanowieniem marszczyła czoło, oszołomiona tą czystą - i fałszywą - logiką; wreszcie powtórzyła: - Zupełnie jasne.

- Czy to przeze mnie? - Głos Chase'a Tessiera nagle stwardniał. - Bo raz ci powiedziałem, że nie chcę mieć dzieci?

Więcej niż raz, pomyślała. Czy nie to miał na myśli podczas miesięcy ich miłości w Montagne Noir, kiedy mówił, że jego życie stało się idealne, dokładnie takie, jak chciał, bo zyskał górę, tęczę i ją, Cass. Idealne... jak małżeństwo jej rodziców, zanim ona przyszła na świat.

- Przecież nie chciałeś, prawda? Prawda. Dopóki nie zakochałem się w tobie.

- Ty też nie - odparł spokojnie. - Co z nią zrobiłaś, Cassandro? Co zrobiłaś z dzieckiem, naszym dzieckiem, którego nie chciałaś mieć?

- Ja ją chciałam, Chase. Od chwili, kiedy poczułam ją w sobie. Bardzo chciałam.

- Ale byłaś przekonana, że ja nie? Że mógłbym ją odtrącić? Opuścić swoją córkę? Naprawdę aż tak nisko mnie oceniasz?

Pochmurne niebieskie oczy Cass rozjaśniły się.

- Nie, Chase. Nie. Nigdy w życiu. Właśnie dlatego... - Wspomnienia przyniosły ból, który aż zaparł jej dech w piersiach. On cię kocha. On będzie nas kochał. Ten głos, czysty i urny, pochodził od maleńkiej istotki ukrytej w jej wnętrzu.

- Dlatego co, Cassandro?

- Dlatego postanowiłam, że wrócę - wyznała cicho. - Że obie wrócimy.

A nie wróciłyście. Ta myśl przeszywała, wwiercała się w serce.

- A jednak, zamiast tego, oddałaś nasze dziecko.

- Nie - szepnęła Cass. Chciałyśmy wrócić, Chase. Do ciebie. Chciałyśmy wrócić!

Ale tej nocy, w wigilię ich wyjazdu do Montagne Noir, powtórzył się dawny koszmar. Cassandra spadała, spadała, a kiedy się przebudziła, zdyszana i mokra, stwierdziła, że tym razem zrana jest nie potem, ale głównie krwią.

- Ona umarła, Chase. Nasza maleńka dziewczynka umarła. Czyste, szybkie cięcie noża.

Od momentu, gdy na sali rozpraw usłyszał zaskakującą wiadomość o dziecku, a potem uwagi o stosunku Cass do problemu adopcji, wierzył, że jego siedmioletnia córeczka mieszka w Seattle z rodziną, którą wybrała dla niej Cassandra. Roześmiane, szczęśliwe dziecko...

W ciągu ostatnich kilku minut zaczął nawet rozumieć, dlaczego poraniona przez życie wróżka szukała Grandpere'a - i Grandmere - dla małej niebieskookiej, złotowłosej dziewczynki. Chciała, by ich córka miała rodziców, których miłość nigdy się nie załamała i którzy będą ją zawsze kochali w takim stopniu, w jakim Cassandra - Sandra Jones - nigdy nie była kochana.

Cass opuściła Montagne Noir, ponieważ - z czego dopiero teraz Chase zdał sobie sprawę - nie wierzyła, że może budzić miłość... pomimo wszystkich obietnic, które jej złożył.

Odeszła zraniona, niepewna, z zamętem w głowie. Ale postanowiła wrócić i była to decyzja świadcząca o odwadze, zaufaniu i miłości.

Nie pojawiła się jednak w Montagne Noir, ani ona, ani ich córeczka. Ich córeczka... która, jak się w końcu dowiedział, nie śmiała się ani nie tańczyła.

- Umarła? - powtórzył. Smutek paraliżował go, ogłuszał. Ale ona... ujrzał na wyniszczonej twarzy Cass ból. - Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Chase nie wiedział, czy kiedykolwiek usłyszy odpowiedź na swoje pytanie.

Ale po chwili ich oczy się spotkały i Cassandra zaczęła mówić.

- Byłam w siódmym miesiącu. Zaczęłam rodzić.

- Więc ona była wcześniakiem.

- Tak. Ale chodziło o coś jeszcze... - coś złego z samym dzieckiem. Cassandra nie potrafiła wymówić tych słów. Jak mogło być coś nie w porządku z radosnym życiem, które się w niej rozwijało?

- Co? - naciskał łagodnie Chase.

- Coś... jakaś wada rozwojowa. - Spojrzenie Cass spoczęło na mocno zaciśniętych kościstych węzłach pięści. - Chyba nie dawałam jej tego, czego potrzebowała.

Siedziała, taka drobna i krucha, wśród kolorowych poduszek. Ale ani jasne barwy, ani miękkie tkaniny nie mogły zamaskować udręki niekochanej małej czarownicy.

Czy naprawdę obwinia siebie? - zastanawiał się Chase. Tak, oczywiście. Od urodzenia

wpajano jej przekonanie, że potrafi zniszczyć nawet najbardziej doskonałą miłość.

- To nie twoja wina. Cassandra ze zmarszczonym czołem patrzyła na swój ślubny pierścionek. W słowach Chase'a słyszała echo zapewnień, którymi kiedyś uspokajali ją lekarze. Nie twoja wina. Nie twoja wina. Nic nie mogłaś na to poradzić.

- Przecież tego nie wiesz - szepnęła do delikatnych róż zdobiących obrączkę.

- A właśnie, że wiem - odparł Chase miękko. - Wiem, że nie zawiodłabyś nikogo, kto cię potrzebuje. Najlepiej, jak tylko można, troszczyłaś się o naszą córeczkę. Jestem o tym przekonany.

Z niedowierzaniem popatrzyła na męża, a w jej niebieskich oczach pojawił się słaby błysk nadziei.

- Staralam się. Ale... - Światelko zgasło. Chase wpatrywał się w kobietę, którą kochał, i nagle poczuł, że ogarnia go wściekłość - na samego siebie. Przysięgał przecież, że będzie się nią opiekował, że będzie ją chronił.

- Powinienem był wpaść na to, że jesteś w ciąży. W ogóle nie miałaś okresu. Powinienem był się domyślić.

- W jaki sposób, Chase? Nawet ja z początku się nie domyśliłam. Wiesz przecież, że zdarzało mi się nie dostawać okresu przez sześć czy osiem miesięcy. A poza tym używałam diafragmy - zawsze.

Pilnowali tego wspólnie, z największą uwagą, mimo ogarniającej ich namiętności.

- Chyba nie zawsze? Nie tej ostatniej nocy.

- Nie - przyznała Cass. - Wiedziałam już, że jestem w ciąży, i...

- Nie chciałaś, żeby coś nas rozdzielało. Ja też tego nie chciałem. Powinienem był być z tobą. Z wami obiema. - Chase chrapliwie złapał oddech. - Mieszkałyście w Seattle?

- Tak. Dostałam pracę w muzeum sztuk pięknych. Jako przewodnik. - Łatwą i przyjemną. Przypominała oprowadzanie turystów po Domaine i ciebie, i świat czarów. - Była wyjątkowo mroźna zima.

Chase pamiętał tę zimę doskonale. Szukał Cass, próbował się o niej czegoś dowiedzieć i kiedy wiadomości telewizyjne donosiły o szalejących śnieżycach, modlił się, żeby Cassandra ukryła się w jakimś ciepłym miejscu na południu. Ale ona mieszkała w Seattle, Szmaragdowym Mieście, które zima szczególnie ostro zaatakowała.

- W Seattle musiało być lodowato.

- Tak. Ale ona nie marzła, Chase. Nigdy.

- Myślałem teraz o tobie. O tobie.

- Ja też nie marzłam. Obie czułyśmy się doskonale. A potem ona przyszła na świat,

taka maleńka, Chase, taka piękna i dzielna. Walczyła o przetrwanie. Nie poddawała się.

- Córka swojej matki. - Chase zbliżył się do kruchej, pełnej wdzięku kobiety i wyciągnął ku niej rękę. - Wróć do mnie, Cassandro - szepnął. Dotyk dłoni zastąpiła pieśczoła wypowiedzianych słów. - Wróć do mnie.

- Chase. - Nie mogła jeszcze uwierzyć, chociaż pokój zawirował wokół niej i wypełnił się cudowną mgiełką o barwie szampana, roztańczonym złotem, które obiecywało, że wkrótce pojawi się tęcza.

- Chase.

- Kocham cię, Cassandro. W jego szarych, zamglonych ze wzruszenia oczach Cass dojrzała miłość i nie potrafiła powstrzymać łez, tak jak wtedy w winnicy.

- Czy to źle? - zagadnął łagodnie, powtarzając swoje dawne pytanie. Źle? Nie. On ją kochał, chociaż go opuściła. I teraz ofiarowywał jej jeszcze więcej darów. Ten magik, który umiał smakować wiatr i sprawiać, by szmaragdowa luna pojawiła się nad morskim horyzontem, potrafił też wyczarować z szampańskiej mgiełki tęczę.

W tej pastelowej mgiełce jego ręce wydawały się lśnić. I drżeć. Cass sięgnęła po ciepłą, mocną dłoń.

Dotykała go.

Palce, z których jeden ozdobiony był różami, symbolem przysięgi złożonej przez nich oboje, przesunęły się po jego wargach, podbródku, policzku i dotarły aż do zmęczonych, kochających oczu.

- Powiedz to, Cassie. W Cassandrę wstępowało nowe życie, kiedy okazywała się komuś potrzebna. A on jej potrzebował. Nie do wiary, ale tak było.

- Kocham, cię, Chase - szepnęła. - Ja też cię kocham.

Kochali się pod łukiem tęczy, który wyczarował dla niej z pastelowej mgiełki radości. Chase całował blizny żony w niekończącej się delikatnej pieśczoce i to miejsce, które Robert brutalnie kopał, a gdzie z taką odwagą, troską i czułością Cass chroniła ich maleńką córeczkę.

I ujrzał tęczę, która rozbłysła dla niego w oczach Cassandry i obiecywała miłość, zaufanie. Na zawsze.

Pacific Heights, San Francisco

piątek, 21 grudnia

Wiedziałam, że cię zastanę w domu. Zapewne pracujesz? Hope zmarszczyła brwi.

- Sibyl? Głos, który usłyszała, nie przypominał głosu Sibyl czy jakiegokolwiek innej ze znajomych osób. Jednak afektacją i górnolotną manierą wskazywały na panią Raleigh, która - jeżeli milczenie mogło być tu wskazówką - nie była w najmniejszym stopniu zadowolona, że tak szybko ją rozpoznano.

Hope zaczął ogarniać niejasny niepokój.

- Kto mówi?

- Ktoś, komu zależy na sprawiedliwości. Tak jak tobie, Hope. Prawda?

- Tak. Owszem.

- To dobrze. Dzwonię, bo on też mi to zrobił. Mnie też zgwałcił.

- Kto cię zgwałcił?

- Robbie, a któż by inny? Słynny Robert Forrest. Zgwałcił mnie, tak jak zgwałcił Cassandrę, pobił i zostawił na pewną śmierć.

Afektowany sposób mówienia nadal przypominał Sibyl, ale...

- Kto mówi?

- Ktoś, kto wie wszystko, łącznie z tym, jaki jest numer twojego zastrzeżonego telefonu. Wiesz, skąd go wzięłam? Przepisałam z kartki, która leży zamknięta w biurku Roberta. To lista nazwisk. Jesteś tam ty i Cassandra, i jakaś kobieta o imieniu Eleanor, i doktor Amanda Prentice, i najbliższa sąsiadka Cassandry.

Hope użyła całej siły woli, żeby jej głos brzmiał spokojnie.

- Powiedziałaś, że wiesz wszystko.

- Zgadza się. Wiem na przykład, że Nicole kłamała. On ją do tego zmusił.

- O czym kłamała?

- O przyjaźni z Cass, jej zwierzeniach i, rzecz jasna, o tym, gdzie sama Nicole była w Halloween o trzeciej po południu.

- Nie była w swoim domu w Bel - Air?

- Nie. Była u niego, w Malibu. A połączenie telefoniczne Brentwood - Malibu to rozmowa międzymiastowa. Poza tym Cassandra nie dzwoniła tego dnia do Nicole. Nie mogłaby, bo leżała umierająca. Robert zostawił ją na pewną śmierć.

- A ty wiesz o tym wszystkim, ponieważ... - jesteś Nicole? Hope zastanawiała się nad taką ewentualnością. Głos mógł należeć do Nicole. Aktorka, zdradzona przez kochanka, dla którego skłamała, szukałaby zemsty. Potrafiłaby bez wysiłku imitować patrycjuszowski akcent i nie miałaby większych oporów przed rozmową z panią prokurator, bo przecież poznały się w Domaine tamtego lata, kiedy gwiazda kina zazdrościła niezwykłych włosów Hope Tessier.

- Ponieważ Robert mi powiedział - dokończył przytłumiony głos. - Jeżeli nie będę uważać, mówił, spotka mnie to samo, co przydarzyło się Cass. On ma obsesję na jej punkcie, Hope. Obsesję. I nadal snuje plany.

- Jakie plany?

- Morderstwa. Robert jest przekonany o własnej nietykalności. I ma rację, jak długo sprawą zajmują się tak niekompetentne osoby jak Mallory Mason. Zauważ, że jej nazwiska nie umieścił na liście wrogów. A twoje tak. Robert wie, na co cię stać. Trzeba go powstrzymać, Hope. I ty możesz to zrobić. My możemy to zrobić. Chcę pokazać ci tę listę i jeszcze kilka innych dowodów. Czy to możliwe?

- Oczywiście.

- Niedługo? Robert coś przebąkiwał o świątecznej niespodziance, o prezencie, który sam sobie chce zrobić na Boże Narodzenie. Boję się, że chodzi o Cass.

- Albo kogoś innego z listy.

- Nie. Tylko Cass jest naprawdę zagrożona. Jestem tego pewna. Lista to po prostu jeszcze jeden dowód na to, jakim egocentrykiem i megalomanem jest ten człowiek. Niebezpieczeństwo grozi wyłącznie Cass. Ona jest jedyną kobietą na świecie, na której Robertowi Forrestowi zależy.

- Mogę być w Los Angeles za dwie godziny.

- Dziękuję, Hope. Ale to ja muszę do ciebie przyjechać. Gdyby Robert nabrał podejrzeń, zabiłby mnie. A z pewnością dowiedziałby się o naszym spotkaniu w Los Angeles. On ma przyjaciół - swoich szpiegów - dosłownie wszędzie. Jak inaczej zdobyłby twój numer telefonu? Tutejsza policja uwielbia Roberta. Możliwe, że tak samo jest w San Francisco. Więc nie wciągaj ich w to, Hope. Jeszcze nie teraz. Dobrze? Proszę.

- Tak - zgodziła się Hope. - Dobrze. Tajemnicza kobieta obiecała zadzwonić ponownie, kiedy dojedzie już do San Francisco. Tymczasem Hope miała wystarczająco dużo czasu na własne telefony.

Najpierw próbowała się połączyć z Montagne Noir. Zrezygnowała dopiero wtedy, kiedy po dwudziestu sygnałach nikt w zamku nie podniósł słuchawki.

Ale przecież to było do przewidzenia. Pamięć powróciła wraz z falą ulgi. O tej porze, właśnie w piątek przed Bożym Narodzeniem, Cassandry i Chase'a nie powinno być w domu.

Drugi numer w Napa Valley odpowiedział od razu.

- Eleanor, tu Hope. Jeszcze jesteście.

- Wyjeżdżamy z samego rana. - Eleanor zmarszczyła brwi. Przecież Hope znała ich plany. Dokładnie wypytywała o nie zeszłego wieczoru, kiedy zadzwoniła życzyć Eleanor najmiłszego Bożego Narodzenia z dziećmi i wnukami Samuela w Santa Fe. - Coś nie w porządku, kochanie?

- Skądże! Byłam tylko ciekawa, czy wiesz, gdzie Chase, Cass i Victor jedzą dziś kolację.

- Nie mam pojęcia - odparła Eleanor. - Chciałabyś do nich dołączyć?

- Nie, nie mogę. Znasz mnie. Praca. Właściwie, Eleanor, rzeczywiście nie jest dobrze.

I Hope opowiedziała jej. Wszystko. A potem wspólnie ustaliły plan działania. Hope będzie obdzwaniać wybrane restauracje w mieście do czasu, aż zostaną znalezieni Tessierowie albo odezwie się znowu tajemnicza znajoma Roberta. Natomiast Eleanor i Samuel będą telefonować do restauracji w dolinie i co pewien czas spróbują połączyć się z zamkiem.

Rozwiązawszy ten problem, Eleanor powróciła do znacznie pilniejszej sprawy.

- Przede wszystkim musisz zadzwonić na policję.

- Nie - zaprotestowała Hope. - Nie mogę. Ta kobieta jest śmiertelnie wystraszona. Jeśli zawiodę jej zaufanie, po prostu zniknie. A poza wszystkim moje stosunki z policją ostatnio nieco się pogorszyły.

- Nie z całą policją.

- Ale na pewno z detektywem Larrym Billingssem, który właśnie dzisiejszego wieczoru ma służbę. To on jest oficerem dyżurnym, więc do niego musiałabym zadzwonić.

- Myślę, że powinnaś jednak kogoś zawiadomić.

- Nic mi nie będzie, Eleanor. Naprawdę. Miałam już do czynienia z zastraszonymi kobietami. Nie raz. Taka paranoiczna spiskowa teoria jest w podobnych przypadkach powszechna, wręcz typowa, zwłaszcza u osób maltretowanych fizycznie. Wszystko będzie w porządku. Więcej niż w porządku. Może to właśnie jest początek cudownych świąt, które od miesięcy nam zapowiadasz. Bo co mogłoby być przyjemniejszym wydarzeniem niż wsadzenie oprawcy Cassandry za kratki?

Eleanor miała wprawdzie nadzieję na znacznie wspanialsze wydarzenia - szczęśliwe dla Hope, niemniej przyznała:

- Byłoby to miłe preludium do Bożego Narodzenia.
- Obiecaj mi, Eleanor, że nie zatelefonujesz na policję.
- Jeżeli ty mi obiecasz, że będziesz ostrożna.
- Dobrze.

- Więc i ja obiecuję. Nie na policję, tylko do mężczyzny, który - o czym jestem przekonana - oddałby za ciebie życie. Eleanor nie miała jego numeru telefonu. Biuro numerów również nie mogło udzielić jej tej informacji.

Eleanor prawie w ogóle nie знаła Nicholasa Wolfe'a. Ale wiedziała od Cassandry, jak szczęśliwa była Hope podczas listopadowych dni, a potem nie wymieniła już ani razu imienia przyjaciela. Jane natomiast mówiła, że chociaż Nick nigdy nie wspomina o Hope, jego milczenie jest bardziej wymowne niż słowa.

Na szczęście Jane była u siebie, w domu przy Sage Canyon Road.

Odebrała telefon w pracowni. Słuchawka aparatu upstrzona była barwnymi smugami, ponieważ artystka nawet podczas najintensywniejszej pracy odbierała telefony. Jej natchnienie nie było tak wężle, żeby przerwa mogła mu zaszkodzić, a ślady farb... Farby stanowiły przecież nieodłączny element życia. Nawet w tej chwili jasnozielone plamy zdobiły policzek pani Parish.

Jane odezwała się wesoło, ale natychmiast spoważniała, kiedy usłyszała głos Eleanor.

- Sprawiasz wrażenie zaniepokojonej.
- Bo jestem. Szukam Nicka. Miałam nadzieję, że może będziesz wiedziała, gdzie go znaleźć.
- Owszem. Właśnie naprzeciwko niego siedzę. - Naprzeciw samotnego mężczyzny, którego zaprosiła w ten weekendowy wieczór pod pretekstem prośby o radę w sprawie projektowanego przez nią witraża. - Zaraz go poproszę.

- Nie, Jane. Zaczekaj. Najpierw powiem ci, w czym rzecz, a potem ty mu powtórzysz. Chodzi o Hope...

- O Hope? Zaczynam się denerwować.
- Całkiem słusznie. - Eleanor przedstawiła sprawę zwięźle i treściwie, koncentrując się na najistotniejszych punktach, po czym zwróciła się do Jane: - Przekonaj Nicka, żeby pojechał do San Francisco i dyskretnie poszedł za Hope, kiedy wyruszy na to podejrzone spotkanie.

- Jestem pewna, że nie trzeba go będzie przekonywać. A teraz zastanówmy się. Potrzebuję adresu Hope. Gdzieś go zapisałam, ale jeżeli masz notes z adresami pod ręką, to przyspieszy sprawę.

- Momencik. Jest: Laguna, w Pacific Heights. Numer ulicy. Jane szybko zanotowała adres, pożegnała Eleanor i odwróciła się do Nicka.

- Hope cię potrzebuje. Niebieskie oczy pociemniały.

- Okay. Nick słuchał relacji Jane coraz bardziej zaniepokojony. Nie przerywał jej jednak. Wreszcie malarka skończyła i wyciągnęła w jego stronę kartkę z adresem. Ale Nicholas Wolfe nie wziął od niej tego skrawka papieru.

- Byłaś kiedyś w mieszkaniu Hope? - zapytał.

- Tak.

- Więc jedź ze mną. Pokażesz mi drogę. To nam oszczędzi sporo czasu.

- Dobrze.

- Telefon komórkowy?

- Mam tutaj - odpowiedziała Jane. Chwyciła torebkę, a Nick podniósł z podłogi Molly.

- Idziemy! - powiedział.

*Pacific Heights**piątek, 21 grudnia*

Hope? Już jestem. - Świetnie. Gdzie?

- W Nordstrom przy Union Square.

- Spotkajmy się w holu głównym. Rozpoznasz mnie?

- Och, tak. Oglądałam twoją konferencję prasową, kiedy sędziowie przysięgli rozpoczęli obrady w sprawie policjanta oskarżonego o gwałt.

- Dobrze. Będę na miejscu za jakieś dwadzieścia minut. Samochód stał zaparkowany przy Laguna Street, tuż za jej wozem. Dopiero, kiedy z uchylonego okienka po stronie pasażera dobiegł ją szept, Hope zdała sobie sprawę, że ktoś siedzi w ciemnym wnętrzu.

- Hope? Szeptowi towarzyszyła chmura dymu, który spowijała mówiącą ciemną mgiełką. Nieznajoma najwyraźniej nie telefonowała z Union Square.

Hope dostrzegła bujną bursztynową grzywę i trzymającą zapalonego papierosa dłoń w rękawiczce. Twarz kobiety zakrywała niemal całkowicie zasłona włosów i ogromne ciemne okulary.

Czy mogła to być Nicole Haviland? Tak. Zdecydowanie. Nicole w peruce podobnej do tej, którą Mallory Mason proponowała Cassandrze na rozprawę. Mogłaby to być i sama Mallory, która postanowiła zemścić się na Robercie, może za własny nieudany związek.

- Widzę, że Robert miał również mój adres.

- Powinam była ci powiedzieć - w przytłumionym szepcie zabrzmiała skrucha. - Nie chciałam, żebyś wpadła w popłoch i zadzwoniła na policję. Ale nie sprawiasz wrażenia wystraszonej.

- Bo nie jestem. Hope była odrobinę zaniepokojona, ale nie wpadała w panikę. W zasadzie ten scenariusz działał na nią uspokajająco. Pierwsze spotkanie z przerażoną żoną Craiga Madrida wyglądało niemal identycznie. Mimo iż umówiły się w zupełnie innym miejscu, żona policjanta pojawiła się na progu mieszkania pani prokurator. Była tak wystraszona, że Hope nie mogła odmówić jej pomocy. Co więcej, zaprosiła Rosemary Madrid do siebie. Ale tamto spotkanie odbywało się w biały dzień, a pani Madrid nie nosiła ciemnych okularów i peruki.

- Może pojedziemy do Ghirardello? - zaproponowała Hope.

- Jest pewien problem. - Kobieta odwróciła głowę i zdjęła okulary. Hope ujrzała

nieznaną twarz, piękną w hollywoodzkim stylu, z artystycznie wykonanym teatralnym makijażem. Od skroni aż po żuchwę ciągnął się olbrzymi szkarłatny siniec. - Mogłam spróbować to ukryć, ale nie chciałam. Tak jak Cass odmówiła założenia peruki. To jego wstyd, Roberta, nie nasz.

- Robert ci to zrobił?

- Oczywiście! Widzisz, sprowokowałam go. Próbowałam być sobą, a on chciał Cassandry, tylko Cassandry. Stąd ta peruka. Robert kupił ją dla mnie. Muszę ją nosić, kiedy jesteśmy razem. Zauważ, że mój płaszcz jest taki sam jak ten, który Cass miała na sobie w dniu rozprawy. Rękawiczki też. Robert wpadłby w furję, gdyby się dowiedział, że pałę albo że zamiast szpilek założyłam sportowe buty. Ale te są bezpieczniejsze, wiesz, kiedy prowadzę wóz. Bo ciągle jeszcze jestem trochę oszołomiona. - Wskazała posiniaczoną twarz.

- Robert zmusza cię, żebyś się ubierała tak jak Cassandra - powtórzyła Hope spokojnie. Domyślała się, dlaczego nieznaną nie chce angażować w sprawę policji.

- Jestem dziwką, jednak zanim poznałam Roberta Forresta, uchodziłam za wysokiej klasy elegancką call - girl. Ale zakochałam się w tym sukinsynu. Możesz w to uwierzyć? I on zrobił to ze mną, ściągnął mnie na samo dno. Ale ja się nie poddam. Jestem gotowa sprawdzić, czy zmalretowana prostytutka potrafi powalić złotego hollywoodzkiego chłopca na kolana. Z twoją pomocą.

- Możesz na nią liczyć.

- Dzięki. Czy mogłybyśmy porozmawiać tutaj? W moim aucie? W półmroku jestem mniej skrępowana.

Hope poczuła lekkie ukłucie niepokoju, ale natychmiast je zwalczyła. W końcu grała o wysoką stawkę.

- Zgoda.

- Zrobię tak, żeby było ci wygodnie. - Dłoń w rękawiczce zgasła papierosa, wreszcie zasunęła okna i włączyła klimatyzację. - To zlikwiduje dym, a ja nie będę już palić, póki rozmawiamy.

Hope uspokoiła się, słysząc to zapewnienie. Mieszanina skruchy, wdzięczności i rozpaczliwej chęci zadowolenia innych była typowa dla maltretowanych kobiet.

- Nic się nie stanie, jeśli zapalisz.

- Jednak postaram się nie niszczyć ci płuc - Cichy trzask uświadomił Hope, że drzwiczki od strony pasażera zostały elektronicznie zablokowane. - Myślę, że teraz jesteśmy bezpieczne.

Ale nie były bezpieczne. W najmniejszym stopniu.

Okna zostały zamknięte, zanim jeszcze wsiadła, drzwiczki zablokowały się, kiedy tylko je zamknęła, a gdy silnik zaczął pracować, Hope nagle poczuła przemieszaną z dymem woń „Obietnicy”, ulubionych perfum Cassandry.

Samochód pędził śliskimi od deszczu ulicami. Nick prowadził pikapa tak, by mieć śledzony wóz w zasięgu wzroku, a jednocześnie nie rzucać się w oczy kierowcy.

Milczeli. Ciszy nie przerywała nawet siedząca między nimi niespokojna, ale posłuszna Molly.

Nicholas Wolfe jechał pewnie, chociaż coraz bardziej zbliżali się do miejsca nawiedzonego przez jego własne upiory. A one chciały, żeby zawrócił, straszyły odwetem, zemstą.

Ale tym razem chodziło o Hope i tylko to miało znaczenie, więc Nick nie pozwolił dawnym widmom, by go rozpraszały.

Na Fulton, przy północnym skraju Golden Gate Park mistrzowską jazdę zakłócił nie demon, a chłopak, niewiele starszy niż był Nick, kiedy zaczęły się jego męki.

Chłopiec szedł zatopiony w marzeniach - pewnie o kolorowych paczkach pod pachnącym świątecznym drzewkiem. A może dręczyły go jego własne duchy. W każdym razie nie zwracając najmniejszej uwagi na ruch uliczny, zszedł z chodnika na mokrą od deszczu jezdnię prosto przed maskę auta, w którym siedziała Hope.

Zapisały hamulce. Strumień pojazdów załamał się, zwolnił biegu i zatrzymał.

A chłopiec? Nic mu się nie stało. Wszyscy przez chwilę dochodzili do siebie, zanim adrenalina przestała napędzać ich serca.

Zastrzyk adrenaliny w przypadku Nicka okazał się jednak podwójną dawką, kiedy malarz zdał sobie sprawę, że samochód wiozący Hope Tessier zniknął bez śladu.

Musiał skręcić z Fulton do parku i to właśnie przez wejście przy Trzydziestej Alei, przez swoją prywatną bramę do piekła.

- Kim jesteś? - Hope coraz natarczywiej domagała się odpowiedzi na to pytanie.

- Nie wiesz? Wiedziała, oczywiście, że wiedziała. Ćmiący strach zmienił się w przeraźliwą pewność.

- Robert. Mimo mroku, teraz jeszcze gęstszego, bo wjechali już w głąb parku, dostrzegła triumfalny błysk oczu spod sztucznych rzęs i grubo umalowanych powiek.

- Bingo. - Przytłumiony szept przeszedł w męski, znany całemu światu głos. - Robi wrażenie, co? I kostium, i rola. Mam te nonsensowe gadki maltretowanych kobiet w małym palcu, prawda? Strach, paranoja, irracjonalna nienawiść do mężczyzn. Muszę uczciwie przyznać, że opłaciło mi się przecierpieć od początku do końca całą tę hecę z przemocą w

rodzinie. Przyznaj, Hope. Jesteś przecież ekspertem od tych bredni. Całkiem cię przekonałem.

- Jesteś cudowny, Robercie. Rewelacyjny z ciebie aktor i doprawdy świetny facet.

- Och, zaczynamy wygłaszać sarkastyczne uwagi. To niespecjalnie miło z twojej strony, Hope. Wcale nie miło. I przestań już szarpać tę kłamkę, Obawiam się, że nie działa. Zostaniesz ze mną w samochodzie tak długo, aż zdecyduję, że masz wysiąść.

- Czego chcesz?

- Jestem pewien, że wiesz. Jeżeli nie, lada moment się domyślisz. Dotarliśmy już prawie na miejsce, gdzie jutro rano jakiś szczęśliwy wielbiciel joggingu albo może rowerzysta natknie się na... Widzisz przecież ten obrazek. Czy może powinienem ci go pomalutku odcyfrować? Hope Tessier, przyodziana tylko w naszyjnik „Fantazja Impromptu” i własną dziewiczą krew. Wnikliwym umysłem ta nagość pozwoli odpowiedzieć na pytanie, które dręczyło mnie od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem: czy ten cynamonowy kolor włosów może być naturalny? Jeśli tak...

- Jesteś chory.

- Wręcz przeciwnie, czuję się świetnie. Pomijając to. - Z rozmachem cisnął na tylne siedzenie złocistą perukę. - I to. - Zdarł ciasne rękawiczki, które dotąd ukrywały męski kształt jego dłoni, po czym zaczął zginać i rozprostowywać uwolnione palce. - Właśnie. Nareszcie wraca mi krążenie. Jak brzmiała ta sławna - czy może raczej niesławna - piosenka? Jeśli rękawiczki leżą źle, musisz po prostu zrzucić je.

- Nie uda ci się z tego wyplątać.

- Oczywiście, że tak. - Robert pozbył się długiego kaszmirowego płaszcza. Pod spodem miał na sobie czarny strój kata. - Jestem nie do pokonania, już nie pamiętasz? Blond kurwa, która zapłaciła za ten samochód gotówką, nie istnieje, a wóz i tak przeznaczony jest do skasowania, utonie w zatoce. I żeby nie zanudzać cię szczegółami technicznymi, wystarczy powiedzieć, że z mojego aparatu telefonicznego w Malibu odbywają się rozmowy, nawet teraz, kiedy my tu sobie gawędzimy. Może nie są to do końca rozmowy, ale wiadomości, nagrywane przez automatyczną sekretarkę w domu moich znajomych, co do których mam pewność, że wyszli na dzisiejszy wieczór. W piątki z reguły wszyscy normalni ludzie tak robią. Wiesz, przyjęcia z przyjaciółmi, randki z kochankami.

Trudno było dopatrzeć się jakiegokolwiek normalności w szydzącym z Hope szaleńcu o umalowanych ustach i powiekach.

- Ale ty nie bawisz się na przyjęciu. Szkarłatne wargi rozciągnęły się w złowieszczym uśmiechu.

- Doprawdy? Chyba się z tobą nie zgodzę. Nie ma imprezy, w której bardziej

pragnąłbym uczestniczyć, niż ta w Golden Gate Park. Siedzimy tu i właśnie sobie o niej gawędzimy. A więc niech się zaczyna zabawa! - krzyknął radośnie, wyciągając spod siedzenia małą torbę. - Najpierw kilka rekwizytów.

Wydobył „Fantazję Impromptu”, tęczyowy naszyjnik od Castille, skradziony w Halloween z domu Cassandry. Wsunął klejnot do kieszeni i znowu sięgnął do torby, tym razem po rolkę kabla.

Jego intencje były jasne, zanim jeszcze wykonał pierwszy ruch, bez wysiłku, mimo że Hope stawiała opór. Samochód był mały. Ona zamknięta w jego wnętrzu. A Robertowi, ogarniętemu atakiem szaleństwa, przybывało tym więcej sił, im bardziej ofiara się broniła.

- Zastanawiam się nad zaklejeniem ci ust - oświadczył, kiedy miała już związane ręce.
- Ale może zobaczymy, jak się sprawy potoczą? Błagania o litość ogromnie mnie poruszają. Naprawdę. Cassandra pod tym względem bardzo mnie rozczarowała. Zresztą nie tylko pod tym, jeśli mam być szczery. Nigdy nie prosiła, nie błagała, nie żebrała o litość. A ciebie i tak nikt nie usłyszy, Hope. Nie tutaj. Nawet gdybyś wrzeszczała. Może nie powinienem był ci tego powiedzieć. Teraz zamilknie jak Cassandra, tylko po to, żeby mnie dręczyć. Cóż, Hope, ja też mogę dręczyć ciebie.

Sztuczne rzęsy z jednej powieki odkleiły się podczas krótkiej walki z Hope. Robert szarpnął za zwisające strzępki, rozmazując przy tym makijaż, po czym wydobył z torby dwa pozostałe przedmioty: fiolkę białego proszku i lśniący srebrem nóż.

Podniósł na Hope błyszczące oczy, jedno załomie kobiece, drugie zupełnie męskie, ale obydwa z wyrazem całkowitego obłądu.

- Masz ochotę na odrobinę kokainy? Mogłaby uczynić to przeżycie - tę ostateczną podróż - jeszcze bardziej, powiedzmy, ostateczną.

Hope nie odpowiedziała, ale też Robert tego nie oczekiwał. Zanurzwszy czubek noża w białym proszku, wydobył z fiolki dawkę dla siebie i rozpoczął swoisty monolog. Grał. Był Hamletem. Ale tym razem królewicz duński nie dumał nad filozoficznym „być albo nie być”. Rozważania Roberta miały charakter znacznie bardziej praktyczny, a Hamlet pieścił nóż, zupełnie jakby to była czaszka nieszczęsnego Yoricka.

- Mówią, że to naprawdę nie boli. Ale kim, pytam się, są owi oni? Czy to ci, którzy przeżyli przecięcie tętnicy albo rozplątanie szyi? Nie przypuszczam. Dobrze. Zobaczmy i może usłyszymy. Obiecałem nie niszczyć ci płuc, pamiętasz? Jestem człowiekiem słownym. Więc proszę, Hope, krzycz, ile dusza zapragnie. Zaczynamy zabawę. Żeby ci udowodnić, jaki jestem szarmancki, obejdę samochód dookoła i otworzę dla ciebie drzwiczki.

- Jane? Głos Nicka przerwał ciszę, która towarzyszyła im, odkąd wyjechali z Pacific

Heights. Znajdowali się w głębi parku, w miejscu, gdzie trzeba było wybrać: na lewo czy na prawo.

Jane wiedziała, że Nick prosi ją o pomoc przy podejmowaniu tak ważnej decyzji. Ale...

- Nie widzę żadnych świateł. On też nie widział. Nawet najmniejszego błysku. Będzie musiał po prostu zgadnąć, w którą stronę skręcił tajemniczy samochód, wyczuć, gdzie jest Hope, dosłyszeć jej cichy krzyk.

A zamiast tego uszu Nicka dobiegał chichot dawnych upiorów, urągających mu, kuszących, żeby skręcił w lewo. Do nich.

I Nick skręcił w lewo, zmuszony przez jakąś niewidzialną, dobroczynną czy też złowrogą, siłę, aby jechać naprzeciw demonom, które chciały go pochłoniąć... i aby uratować kobietę o włosach barwy cynamonu. - Lecz w ciemnościach czekały tylko upiory. Im głębiej wjeżdżał w mrok, tym głośniejsze rozlegało się ich skrzeczenie, tym przeraźliwiej brzmiały chichoty. To zła droga! - szydziły. Musisz zawrócić. Dla niej. Dla niej. Ale nie potrafisz, prawda?

I właśnie wtedy coś dostrzegli. Nie tylko oni dwoje, ale i Molly, która nagle czujnie nastawiła uszu. To, co ujrzeli, było błyskiem noża nad bielejącym w ciemności ciałem.

- Dzwon pod 911! - krzyknął Nick do Jane i, włączyny reflektory na pełną moc, gwałtownie otworzył drzwiczki pikapa.

Strumień światła wydobyl z mroku ponurą scenę. Odgrywający ją aktorzy zastygli w oślepiającym blasku. Gardła Hope dotykało ostrze noża. Jej nadgarstki były skrepowane, a pocięte i poszarpane ubranie stanowiło widomy dowód, że ofiara dzielnie się broniła. Została jednak pokonana przez groteskową postać, która nadal wierzyła, że panuje nad sytuacją.

- Bądź uprzejmy, kimkolwiek, u diabła, jesteś, zawrócić i odjechać w swoją stronę - poradził Robert ciemnej sylwetce, której nie mógł dokładnie rozpoznać.

- Nie ma mowy.

- Nick.

- Och! - Robert zmienił ton na zamyślony. - Ktoś, kogo znamy? Ktoś, kogo mała panna Hope wzywała na ratunek, mimo że obiecywała ani pisnąć? Ale ty nie jesteś gliną, prawda, Nick?

- Policja jest już w drodze. Gra skończona, Forrest. Puść ją.

- „Gra skończona, Forrest, puść ją”? Oglądałeś za dużo filmów sensacyjnych, chłopcze, albo raczej o jeden za dużo. Jesteś żałośnie bezbronny, kwiatuszku, bo jakoś nie widzę nigdzie magnum.

To prawda. Nicholas Wolfe nie miał przy sobie strzelby ani pistoletu. Ale mimo to był uzbrojony w sposób dla Roberta śmiertelnie niebezpieczny, bo w siłę miłości do Hope i furii prześladujących go upiorów przeszłości.

- Policja ma broń. Podkreślona czarną kredką brew uniosła się w zdumieniu.

- Ale oni nie mogą jej użyć, Nick, nie w prawdziwym życiu, zwłaszcza kiedy mam Hope za zakładnika. Oczywiście, o ile - z uwagi na względy, jakimi się cieszy u policji San Francisco ta właśnie pani prokurator - gliny nie złożą broni i nie obwołają mnie bohaterem. Tak czy owak, Hope umrze. Naprawdę ci na niej zależy, Nick? A może jesteś tylko dobrym Samarytaninem, który przypadkiem przechodził w pobliżu? Nie? To kiepsko, Nick, bo w tej sytuacji oboje musicie zginąć. Najpierw ona. Potem ty. Twoje pojawienie się i perspektywa wizyty glin trochę mnie złości. Miałem w planie porznąć ją tym nożem. Powoli. Cóż, zrobię to później, jeżeli starczy czasu. A teraz pomyślmy. O ile sobie przypominam, tutaj można ciąć aż do kości.

- Czekaj. - Głos Nicka zabrzmiał tak chrapliwie, że Robert wstrzymał morderczy cios.

- Chciałbyś coś powiedzieć, Nick? Wał śmiało. Daleki jestem od uprzedzania kwestii aktorów drugoplanowych. A może wolałbyś coś zrobić? Zauważyłem, że przysuwasz się krok po kroku. Jesteś podstępny, Nick, muszę to przyznać. Może w twoich żyłach płynie kropla indiańskiej - o, przepraszam, rdzennie amerykańskiej - krwi? - Robert przyglądał się twarzy, która zbliżała się do niego coraz bardziej, i sam sobie odpowiedział na to pytanie. - Kości policzkowe wysokie i szlachetnie zarysowane. I ten wyraz straceńczej dumy i odwagi. Powinieneś spróbować aktorstwa. Reżyserzy wyrwaliby sobie ciebie. Potrzebowałbyś, rzecz jasna, odpowiedniego pseudonimu. Nick Tańczący z Cieniami, czy coś w tym stylu, chyba że twoje prawdziwe nazwisko jest odpowiednie.

- Wolfe. - Wybrał je przed laty, kiedy potrzebował nowego nazwiska, nazwiska, które przepłoszyłyby dręczące go upiory. - Nicholas Wolfe.

- Nicholas Wolfe. Świetnie się nadaje. Przepraszam, nadawałoby się. No, dobrze.

- Dobrze? - powtórzył Nick tonem uprzejmej konwersacji. Rozmowa z szaleńcem przynosiła widoczny efekt. Nick przysuwał się coraz bliżej, a Robert przestawał mieć się na baczności. Ale żaden gwałtowny ruch nie był jeszcze możliwy. Czubek noża nadal wpijał się w gardło Hope.

W miarę upływu czasu działanie kokainy i rozmowa dawały pewną szansę. Jednak czas wydawał się ostrą, cienką krawędzią niosącą śmiertelne niebezpieczeństwo, jak sam nóż. Jeżeli Nick uderzy za wcześnie, ostrze przebije delikatne ciało Hope. Jeśli będzie zbyt długo zwlekał, wycie policyjnych syren wypełni nocne powietrze. Nick potrzebował chwili

nieuwagi Roberta, momentu zaskoczenia, a nie ostrzeżenia. Ale jak to zrobić?

Odpowiedź pojawiła się nagle w postaci małego, czarnego pocisku wypuszczonego z ramion kobiety, w której żyłach płynęła krew plemienia Lakota.

To łagodne zwykle zwierzątko wydawało się zupełnie niegroźne. Lecz instynkty Molly były stare jak świat. Suka rzuciła się nie do człowieka, którego kochała, a do nóg wroga.

Zdumiony - mimo że Molly nie ugryzła mocno - Robert spojrział w dół i tę chwilę nieuwagi wykorzystał Nick. Wyrwał Hope z uścisku szaleńca i odepchnął tak, że sam stał się dla niej żywą tarczą.

Hope zawirowała, okręciła się i upadła. Nic nie mogło złagodzić jej zderzenia z ziemią, bo przecież miała związane ręce.

Ale była bezpieczna. Bezpieczna. Nareszcie.

Nick wierzył, że nawet poważnie ranna, jego dzielna balerina, cudowna tancerka zmusi się, żeby iść, biec, byle dalej stąd. Chciał, żeby uciekała.

- Do wozu, Hope! - zdążył krzyknąć, chociaż Robert już się na niego rzucił. - Ty i Jane, szybko!

W jakimś zakątku świadomości Nicka pojawił się jeszcze krzepiący obraz: Jane za kierownicą, silnik na chodzie. Można ruszać, gdy tylko Hope doczołga się do pikapa.

Była to wizja pocieszająca, ale z gruntu fałszywa. Jane znajdowała się tuż obok. Przedtem jak podstępna wojowniczką skradała się na granicy cienia i światła, dźwigając w ramionach swoją sekretną broń, teraz wyłoniła się z mroku, gotowa do walki, by pomóc Nickowi pokonać odurzonego kokainą szaleńca.

Tamtego odległego lata w Domaine oglądały na ekranie ogromnego telewizora setki hollywoodzkich produkcji. Razem płakały przy najbardziej romantycznych scenach i wspólnie wyśmiewały się z kobiet, które szlochały skulone ze strachu, gdy ich mężczyźni walczyli na śmierć i życie.

Jane Parish ani nie kuliła się ze strachu, ani nie szlochała. A mimo to była bezużyteczna, bo bała się niechcący zaszkodzić Nickowi.

Gdyby nagle wtargnęła między walczących, mogłaby rozproszyć uwagę nie tego mężczyzny, co trzeba. Nawet ingerencja Molly groziła ściąganiem kłębki na Nicka. Toteż Jane rozwiązała nadgarstki Hope, wzięła suczkę na ręce i wszystkie trzy przypatrywały się czujnie, czekając na możliwość włączenia się w ten taniec śmierci.

Zabij go, błagały bezgłośnie kobiety, wierząc, że zabójstwo potwora powinno być dla Nicka łatwe. Rozmyślnie uśmiercenie Roberta nie wzbudziłoby u nikogo żadnego oporu.

Wyglądało jednak na to, że Wolfe'owi zadawanie śmierci przychodziło z trudem. Usiłował obezwładnić Forresta, a nie zabić. Nie korzystał z kilkakrotnie nadarzających się idealnych okazji do pchnięcia nożem.

Ale ani Jane, ani Hope nie wiedziały - bo skąd miałyby wiedzieć - że Nick walczy nie z jednym szaleńcem, a z całą armią upiorów: demonów, które chciały, żeby mordował, kusily go do tego.

Żądza krwi. Nick wyczuwał ją także u Roberta: namiętą, zmysłową. Ale on już nad nią zapanował.

Utrzymać i szaleńca, i upiory swojej nienawiści na uwięzi, zanim nadjedzie radiowóz.

Ale kiedy Robert usłyszał wycie syren, ocknęła się w nim resztką świadomości. Obląkany uśmiech wykrzywił jaskrawo umalowane wargi. Aktor skierował nóż we własne serce i z grymasem triumfu i satysfakcji wbił ostrze w ciało.

Golden Gate Park

piątek, 21 grudnia

No, no. - Detektyw Larry Billings ziewnął, przyglądając się scenie rzezi w karnawałowej oprawie. - Kogo my tu mamy? Rozczochraną panią prokurator. Kobietę z zieloną farbą na twarzy. Jakaś nieciekawą sobakę, wariującą pod nogami zalanego krwią kowboja, który z kolei sterczy jak przykuty nad martwym niczym głaz transwestytą.

- To nie jest jakiś tam transwestyta, Lar - zameldował policjant badający ciało. - Wydaje mi się, że to Robert Forrest.

- Co takiego?

- Naprawdę myślę, że to on.

- Owszem - potwierdziła Hope.

- Zaczynam czuć się zainteresowany. - Detektyw wbił nieprzyjazny wzrok w Hope. - Cóż to za historia, pani prokurator? Skoro twoja kumpelka, Mallory Mason, nie zdołała wsadzić za kraty niewinnego człowieka, ty postanowiłaś przeprowadzić egzekucję na własną rękę?

Hope odwzajemniła wrogie spojrzenie.

- Tu mnie masz. Poprosiłam pana Forresta, żeby się przebrał w damskie ciuchy i wywiózł mnie, wbrew mojej woli, w to odludne miejsce, gdzie z kolei nalegałam, żeby związał mi ręce i poszarpał odzież, zanim moi kompani, współsprawcy zbrodni, z których jeden jest cocker - spanielką, wyskoczą z mroku, żeby go zabić. Robert Forrest usiłował mnie zamordować, detektywie Billings. Zamordować! I udałoby mu się, gdyby nie...

Emocje wzięły górę. Hope poczuła, jak zalewa ją fala wdzięczności dla tych, którzy uratowali jej życie. Lojalne zwierzę.

Odważna kobieta, z niewiadomej przyczyny budząca niechęć w Cass. I mężczyzna, który jej, Hope, nie chciał. A mimo to pojawił się tutaj. Dla niej. Gotów umrzeć.

A może Nick umarł, umiera. Zastygł nad ciałem Roberta, nieczuły nawet na jęklive wymówki Molly.

Muszę do niego iść, pocieszać go tak długo, jak mogę - dopóki mnie nie odtrąci. Ta myśl pojawiła się wraz z silnym przeczuciem, że każda mijająca sekunda wybija dla Nicka podzwonne.

Jednak Hope nie mogła podejść do przyjaciela. Jeszcze nie. Najpierw musiała

dopełnić obowiązku, czego nie ułatwiało wrogie nastawienie słuchającego jej zeznań policjanta.

- Robert Forrest był potworem. Próbował zamordować Cassandrę i prawie udało mu się zabić mnie.

- Ale przecież to on nie żyje.

- Jesteś rozczarowany? Wolałbyś raczej, jak przypuszczam, dostać dwa morderstwa pierwszego stopnia niż rutynową sprawę samoobrony. Ale tu, detektywie Billings, mamy właśnie przypadek działania w samoobronie, i to w obecności całkowicie wiarygodnych świadków. Więc, o ile nie masz nic przeciwko temu...

- Jeszcze kilka szczegółów, jeśli można. - Policjant zwrócił wzrok na Jane. Dopiero teraz jej się przyjrzał i zdumiała go uderzająca uroda tej kobiety o włosach barwy mahoniu i zielonych smugach na policzkach. Była w niej jakaś dzikość i spokój zarazem. - A pani to...?

- Jane Parish. Jestem właścicielką galerii sztuki w St. Helena.

- Skąd się pani tu wzięła?

- Moja przyjaciółka, Eleanor McBride, zadzwoniła do mnie w poszukiwaniu Nicka. Chciała, żeby Nick pojechał w ślad za Hope, kiedy ta wybierze się na spotkanie z tajemniczą nieznajomą, która twierdziła, że ma dodatkowe informacje w sprawie napadu na Cassandrę, i która okazała się Robertem Forrestem w przebraniu.

- A pani wiedziała, gdzie jest Nick?

- Tak. Był u mnie, w mojej pracowni. Kiedy podawałam mu adres Hope, zapytał, czy byłam u niej kiedykolwiek i mogę wskazać mu drogę. Oczywiście, zgodziłam się.

- Więc ten zwierzak należy do pani - wydedukował policjant.

- Nie - zaprzeczyła spokojnie Jane. - To pies Nicka. Detektyw Billings westchnął.

- Nick. Nick. Nick. Chyba już czas, żebyśmy pogadali. Nick? Hej, Nick? Odezwij się.

Nick podniósł zmartwiałą twarz. Puste niebieskie oczy nie szukały ani Hope, ani Jane, ani ukochanego psa, który łąsił mu się do nóg.

Nick wpatrywał się w detektywa. Tak bardzo przypominał mu innego policjanta, mężczyznę, którego serce biło gwałtownie z żądy mordy. Dawno temu, niedaleko od tego straszego miejsca śmierci w Golden Gate Park.

Głos Nicka był tak ponury jak jego oczy.

- Nazywam się Nicholas Doe.

- Doe? - powtórzył Billings. - Nie wydaje mi się, żebym kiedyś spotkał Nicholasa Doe. A znajdowało się zwłoki różnych Jane i Johnów, do których nikt się nie przyznawał.

Bo nikt ich nie chciał, pomyślał Nick. Gdyby nie pora, kiedy przyszedł na świat, też

nazwano by go Johnem, nie Nicholasem, ale tak czy owak, otrzymałby nazwisko Doe. A teraz jego życie zatoczyło pełny krąg, kończąc się tak, jak się zaczęło. Nicholas Doe znów stał się anonimową istotą ludzką, której nikt nie chce. Spokojne spojrzenie Nicka odszukało Hope.

- Zrobisz coś dla mnie?

- Tak.

- Zaopiekuj się Molly.

- Oczywiście - szepnęła Hope. - Ale ty sam możesz się nią opiekować. Będziesz mógł.

Błady uśmiech pojawił się na obryzganej krwią twarzy. Wojownik poznaczony prawdziwie wojennymi barwami spojrział na Indiankę Lakota, której policzki też nosiły ślady bojowego malunku.

- Zadzwoń do Tylerów, dobrze, Jane? Powiedz im, że muszą znaleźć kogoś innego do opieki nad końmi.

- Sama zajmę się końmi, Nick, dopóki ty...

- Ja już nie wrócę do Napa.

- Nick - błagalnie dopytywała się Hope - o co chodzi?

- Tak, Nick - powtórzył Billings przedrzeźniającym tonem. - O co chodzi? Muszę przyznać, że jestem szczerze zaintrygowany. Może zechcesz mi łaskawie wyjaśnić, w czym rzecz.

- Tak się zastanawiam - odezwał się drugi policjant z namysłem. - Jakieś osiemnaście czy dwadzieścia lat temu niedaleko stąd miało miejsce morderstwo. Ofiarą padł policjant, Al Garrett, jeden z najbardziej znanych. I teraz, kiedy o tym wspominam, wydaje mi się, że jego partnerem był John Madrid, ojciec Craiga.

- Boże, Boże... - detektyw Billings aż się zachłysnął, słysząc te rewelacje. - Sprawa staje się coraz ciekawsza. Morderstwo, powiadasz?

- Wyjątkowo brutalne. Al i jego żona - Iris, o ile dobrze pamiętam - wierzyli, że każdemu dziecku należy dać szansę, również tym nie zrównoważonym draniom o przestępczych skłonnościach. Garrettowie zbierali dzieci z ulicy, wychowywali je, otaczali opieką.

- I?

- I za swoje miłosierdzie Al zapłacił życiem. Został zadźgany we śnie przez piętnastoletniego psychopata, który nazywał się Nicholas Doe.

Więzienie okręgowe, San Francisco

niedziela, 23 grudnia

Prasa oszalała. Specjalne wydania gazet były rozchwytywane przez tłumy, które wyległy na przedświąteczne zakupy. Tradycyjne bożonarodzeniowe doniesienia o szczegółach podróży wesołego świętego Mikołaja i renifera Rudolfa zastąpiła historia innego Mikołaja, która nie była wesoła i mówiła o brutalnie przelanej krwi.

Krytycy sztuki pospołu z psychologami sądowymi ślęczeli w galerii nad obrazami Nicholasa Wolfe'a, czy raczej Doe, dopóki Jane Parish nie Zorientowała się, kim są, i nie wyrzuciła ich za drzwi. Przedtem jednak wymogła na nich, że opublikują jej wypowiedź na temat Nicka, w której oświadczała, iż jest to jeden z najwspanialszych ludzi, jakich udało jej się w życiu spotkać.

Słowa Jane były cytowane przez wszystkie gazety, podobnie jak opinie psychologów i krytyków, którym udało się rzucić okiem na dorobek nieznanego malarza. Uwagi tych ostatnich okazały się zdumiewająco życzliwe. Nicholas Doe jest artystą ogromnie utalentowanym, orzekli znawcy. Jego obrazy mają w sobie ten ładunek cierpienia, nienawiści do samego siebie i geniuszu, jakimi odznaczają się płótna Van Gogha.

Prasa wyższych lotów starała się unikać psychologicznego bełkotu, ale zdecydowanie podejmowała temat zbrodni. Bo dlaczego by nie? W końcu historia, ze wszystkimi sensacyjnymi szczegółami włącznie, była prawdziwa.

„Chronicie” opublikowała obszernie materiały archiwalne na temat brutalnej zbrodni, której ofiarą padł Al Garrett. Dziewiętnaście lat temu, kiedy śmierć cieszącego się poważaniem policjanta nie mogła zostać pomszczona, dziennikarze głośno i bez ogródek wyrażali żal i oburzenie, że nastoletni morderca zniknął bez śladu.

Teraz, szeptem i nieoficjalnie, przedstawiciele czwartej władzy piali nad tym, jak wspaniale cała afera dojrzała, zestarzała się niczym najlepsze wino, stała się bardziej interesująca, bardziej złożona.

Już sam skandal z Robertem Forrestem wart był tego, żeby czekać tyle lat. Czy słynny aktor rzeczywiście był transwestytą? Czy Cassandra Winter Tessier poznała jego żenujący sekret i groziła, że zawiadomi hollywoodzką prasę? Czy dlatego Robert próbował zamordować kochankę?

Ale to Hope Tessier stanowiła składnik, który decydował o wartości starego wina -

nawet bez epizodu z Forrestem. Mimo iż dochodzenie policyjne było jeszcze w toku, wszystkie gazety zgadzały się, że śmierć aktora zostanie potraktowana jako działanie w samoobronie. Pozostawał jednak zdumiewający zbieg okoliczności, który zapewne nie miał w sobie nic z przypadku: żarliwy zapał, z jakim Hope oskarżała Craiga Madrida, syna najlepszego przyjaciela zamordowanego Ala Garretta. Czyżby Nicholas Doe żałował, że i tego człowieka nie udało mu się zabić? - pytali dziennikarze brukowców. Czy Hope postanowiła w darze dla swego kochanka, Nicka, zniszczyć jedyne syna Johna Madrida?

Prasa wyższego lotu napomykała - tylko mimochodem - o prawnych konsekwencjach, którym będzie musiała stawić czoło Hope Tessier: skreślenie z listy prawników za udzielanie schronienia zbiegowi i zwrot w procesie Craiga Madrida albo co najmniej unieważnienie rozprawy.

Lepiej obeznani z problematyką prawną woleli nadal obsadzać Hope w roli, w której dotychczas znało ją San Francisco - anioła sprawiedliwości z mieczem zemsty. Pełna pasji pani prokurator, brzmiał ich werdykt, nie miała pojęcia, że artysta, którego znała jako Nicholasa Wolfe'a, w rzeczywistości jest mordercą.

A teraz, kiedy już wie?

Oczywiście, w tej sprawie nie wystąpi jako oskarżyciel. Nie mogłaby bez poczucia wewnętrznego konfliktu dążyć do skazania za morderstwo człowieka, który ocalił jej życie.

Kwestia kary była szczególnie fascynująca. Gdyby mordercę aresztowano, kiedy miał lat piętnaście, najprawdopodobniej jako nieletni zostałby skazany na dom poprawczy. Po ukończeniu dwudziestu jeden lat mógłby wyjść na wolność i rozpocząć życie od nowa.

Ale nastolatek uciekł, a według ocen pytanych o opinię prawników okoliczności łagodzące miały zastosowanie w przypadku chłopca, nie mężczyzny, którym był obecnie. Ponadto chodziło o zbrodnię na policjancie, i to zbrodnię szczególnie okrutną. Szczęście, że żona Ala Garretta, Iris, zdołała uciec przed śmiertelnymi ciosami.

Była to sprawa o zbrodnię główną, zgadzali się eksperci. Sprawa, w której wyrokiem jest kara śmierci. I, stwierdzali jednomyślnie, mimo iż Hope Tessier zawdzięcza Nicholasowi Doe życie, jako obrończyni sprawiedliwości nie spróbuje ratować jego głowy. Pozostanie na uboczu, kiedy jej koledzy z biura prokuratora okręgowego będą dążyć do uzyskania najwyższego wymiaru kary.

W niedzielę pojawiła się nowa sensacyjna wiadomość. „Co wiąże zabójcę policjanta z podwójnym morderstwem w Napa?” „Nick zabił matkę Hope!!! Prokurator w pogoni za zemstą” - krzyczały nagłówki prasy brukowej.

Towarzyszące im artykuły obficie cytowały podstawowe źródło tych informacji.

„Wiedziałam, że jest złodziejem, zwierzała się Sibyl Courtland Raleigh, i podejrzewałam, że coś zmajstrował przy hamulcach. Chciałam, żeby policja go aresztowała, ale Victor [Tessier] odwiódł ich od tego - nie tylko tamtego popołudnia na górze, ale i w kilka dni później. Cały Victor! Oczywiście, to genialny muzyk, ale kiedy trzeba zauważyć zło, cóż, drogi, wspaniały Victor odznacza się czymś więcej niż nieznaczną ślepotą”.

Dla kontrastu, według słów Sibyl, ukochana córka jej najlepszej przyjaciółki Franny, jest niewiarygodnie spostrzegawcza i bystra. Hope ma żarliwy stosunek do sprawiedliwości. Z tego, co mi wiadomo, powodem, dla którego wybrała prawo - a decyzję podjęła wkrótce po śmierci Franny - była chęć wsadzania za kraty takich mężczyzn jak Nicholas Doe. Kiedy Hope zobaczyła go znowu - możecie uwierzyć, że miał chęć wrócić do Napa? - przysięgła zemścić się za śmierć matki. Nareszcie. Czy Hope będzie zachęcać swoich kolegów z prokuratury, żeby żądali dla Doe kary śmierci? Możecie na to liczyć”.

Hope przeczytała ostatnie niedzielne doniesienia na krótko przed wizytą w więzieniu okręgowym.

Miała zamiar spotkać się z Nickiem. Musiała. I zobaczy się z nim. Jakoś to zrobi.

W piątkową noc Nick w sposób zupełnie jasny, boleśnie jasny, dał do zrozumienia, że nie chce jej widzieć. Nigdy. Nie chciał też widzieć Jane, a także przydzielonego mu obrońcy z urzędu.

Mimo to Hope chciała się z Nickiem zobaczyć. Musiała jednak prosić ludzi niezyczliwie do niej nastawionych o przekazanie aresztantowi jej uporczywych nalegań o widzenie. Strażnicy więzienni byli również członkami policji i teraz, kiedy wrogość do prokurator, która wywalczyła wyrok dla jednego z nich, sięgnęła szczytu, wielu oddawało się spekulacjom, czy aby Hope Tessier to nie nowa Bonnie związana ze współczesnym Clydem, winnym brutalnego mordy na policjancie.

Strażnik na posterunku przy drzwiach czytał właśnie gazetę. Dzisiejszy brukowiec. Jednak na widok przybyłej na jego twarzy odmalowało się nieskrywane zainteresowanie i coś w rodzaju szacunku, zupełnie jakby Hope rzeczywiście była aniołem zemsty, który nie spocznie, dopóki Nicholasa Doe nie spotka śmierć.

- W czym mogę pomóc, pani Tessier? Hope przeobraziła się z przyjaciółki Nicka, która przyszła błagać o rozmowę z aresztantem, w prokuratora stawiającego sprawiedliwość ponad wszystko. Była ubrana stosownie do tej roli, miała nawet przy sobie aktówkę. Swoją prośbę starała się wypowiedzieć najbardziej profesjonalnym tonem.

- Przyszłam zobaczyć się z więźniem. Nie musiała wyjaśniać, o kogo chodzi. Tego popołudnia, na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, więzienie świeciło pustkami. Mordercę

policjanta umieszczono w odosobnionej celi, która nie była kontrolowana za pomocą monitorów.

Uznano, że Nicholas Doe nie wygląda na typ samobójcy. Psychopaci nie odbierają sobie życia. A gdyby nawet się powiesił? Cóż, podatnicy byliby zachwyceni.

- Proszę wejść - powiedział uprzejmie strażnik.

- Czy mógłby pan zawiadomić więźnia, że nalegam, by się z nim zobaczyć, ale wybór miejsca należy do niego? Chcę, żeby dokładnie tak to się odbyło. Jeżeli więzień woli spotkać się ze mną w rozmównicy, dostosuję się do jego życzenia.

- Dobrze. I tak miałem zamiar przejść się na dół i opowiedzieć mu, co piszą w dzisiejszych gazetach.

- Opowiedzieć?

- Nie pali się do czytania, więc ja przynoszę mu wiadomości.

- Może byłoby lepiej, gdyby wstrzymał się pan z ostatnimi prasowymi rewelacjami do momentu, aż skończę z nim rozmawiać.

- Dobry pomysł.

- W obecnej sytuacji byłoby najlepiej, żeby nie wiedział, że interesujemy się jego związkiem z tragicznym wypadkiem w Napa.

- W porządku. Da się zrobić. Pełen niekłamanego zapału ruszył na tyle szybko, na ile pozwalał mu artretyzm. Hope patrzyła, jak ciężko przemierza długą, szarą wstęgę wytartego linoleum i znika z pola widzenia.

Kiedy po dłuższym czasie powrócił, twarz rozjaśniał mu uśmiech.

- Nie chciał pani widzieć. Powiedziałem mu, że popełnia cholerny błąd. Wreszcie uznał, że woli rozmównicę niż celę. Przyjdziemy tam do pani.

Hope czekała w dźwiękoszczelnym pokoju, w którym adwokaci spotykają się z klientami.

Może Nick nie chciał, żeby zobaczyła go w celi, zamkniętego w klatce.

Ale było jeszcze gorzej, niż myślała. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy wreszcie się pojawił.

Nick był spętany jak dzikie zwierzę. Jego dawniej zwinny, swobodny chód krępowały kajdany u nóg, a ciężki, dwukrotnie owinięty wokół pasa łańcuch skuwał także ręce.

- Czy pani chce, żebym z wami został? - zapytał strażnik, wprowadzając więźnia do dźwiękoszczelnego pokoju.

- Nie - odparła Hope spokojnie, chociaż serce w niej krzyczało: Rozkuj go! Proszę. Jestem przy nim bezpieczna. Całkowicie bezpieczna. - Dziękuję. Nie ma potrzeby.

- Poczekam na zewnątrz. Drzwi zamknęły się i zostali sami. Spoglądali na siebie ponad zniszczonym drewnianym stołem, przy którym kryminaliści i ich obrońcy rozważali sprawy życia i śmierci.

Nick widział, co niepokój o niego zrobił z Hope: zszargał ją, splamił, napełnił smutkiem. A przecież on chciał dla niej tylko radości.

Hope natomiast dostrzegła, co zamknięcie, zakucie w łańcuchy uczyniło jej przyjacielowi. Oczy, dawniej niebieskie, zszarzały, a z ich pochmurnej głębi wyzierała przerażająca prawda. Nick był martwy.

Już martwy.

Nawet jego głos dobiegał jak z grobu.

- Prosiłem, żebyś nie przychodziła.

- Tak, ale potrzebuję twojej pomocy.

Słabiutki przebłysk błękitu pojawił się wśród szarości, wątpy blask światła, życia. Dla niej.

- Powiem, komukolwiek chcesz, i powtórzę, ile razy sobie zażyczysz, że nic o mnie nie wiedziałaś.

Ale ja wiem o tobie wszystko, Nick. Prawie wszystko.

Hope miała dostęp do kompletu akt związanych z dochodzeniem w sprawie popełnionego dziewiętnaście lat temu morderstwa. Poznała nieznaną prasie szczegóły sprawy, fakty dotyczące zamordowanego policjanta, których jego koledzy postanowili nie ujawniać.

Te rewelacje stanowiły zupełnie wystarczający powód zabójstwa, dostateczny motyw brutalnej masakry.

- Wiem, co Al Garrett ci zrobił. Nick wzruszył ramionami, mimo że łańcuchy utrudniały ten gest, który miał powiedzieć Hope: to nic takiego, zapomnij o mnie.

- Wielki Al lubił znęcać się nad ludźmi, wręcz kochał, zwłaszcza kiedy ofiary były od niego mniejsze i słabsze.

- Miałam na myśli to, że wiem, że on cię zgwałcił. Nie możesz o tym wiedzieć. Nie chcę, żebyś wiedziała.

- Współpracownik Garretta, John Madrid, złożył zeznanie w związku z morderstwem - ciągnęła Hope. - Pewnej nocy Al upił się i opowiedział mu o wszystkim.

O wszystkim, włącznie z okrucieństwem gorszym chyba od gwałtu. Pastwiąc się nad Nickiem, policjant wyjawiał mu koszmarnie okoliczności jego narodzin i szczegóły dotyczące miejsca, gdzie chłopiec przyszedł na świat, a potem drwił z jego tragedii.

- Detektyw Madrid ostrzegł Garretta, że jeśli nie obieca, że natychmiast zostawi cię w

spokoju, on sam go do tego zmusi. Tylko ty wiesz, czy ten łajdak dotrzymał słowa, czy przestał cię prześladować w ciągu dwóch ostatnich miesięcy swojego życia.

Oczywiście, że nie. On nie potrafił dotrzymać słowa. W tym właśnie okresie jego żądza i potrzeba przemocy wzmożły się jeszcze, zupełnie jakby Al Garrett wiedział, że zabawa ma się ku końcowi i świadomość tego budziła w nim nienawiść większą niż ta, jaką czuł do własnych odrażających zachcianek, perwersyjnych obsesji i do ich źródła - młodziutkiego, ślicznego chłopca. Przedtem Garretta pociągały tylko kobiety, i to dorosłe. Dopóki nie spotkał Nicka. To Nick był wszystkiemu winien; Nick, ten śmieć. Bezwartościowy śmieć, który go uwiódł.

Hope przyglądała się mężczyźnie, który wyrósł z tego ślicznego chłopca. Nadal był urodziwy, ale nabrał siły i zmężniał.

- Dlaczego nie odszedłeś? Szare oczy Nicholasa Doe pozostały niewzruszone.

- Al to nie pierwszy mężczyzna, który się mną zainteresował. I wiedziałem, że nie ostatni. Tak samo byłoby wszędzie, a porzuciłbym to, co lubię.

- Konie w parku.

- Tak.

- I Hanka. Przez długą, bolesną chwilę panowało milczenie.

- Tak - przyznał wreszcie cicho. - I Hanka.

Hanka, o którym Nick wspomniawszy tamtego wrześnieowego dnia, kiedy Hope opowiadała o tęczach, bajkach i ukochanym dziadku. Hank był Grandpere'em Nicka. Nauczył go wszystkiego o koniach i nigdy nie zranił, a wręcz przeciwnie, troszczył się o niego, tak jak Jean - Luc opiekował się osieroconym Chase'em.

Głos Hope złagodniał. Wciąż jeszcze myślała o tych dwóch wspaniałych dziadkach i o sierotach, które pokochali.

- Raporty policyjne parafrazują oświadczenie złożone przez Hanka następnego popołudnia. Ale jestem pewna, że potrafiłabym dokładnie przytoczyć jego słowa: „Panie oficerze, wiem na pewno, że Nick nikogo nie zabił. Wiem, bo sam mi to powiedział”.

- Hank był starym człowiekiem. Po co miałem niszczyć jego zaufanie? - Spojrzenie Nicka stało się tak szorstkie i pozbawione wyrazu, jak i cała twarz. Nie umniejszało to jednak jego przenikliwości. Nicholas Doe dostrzegł wiarę Hope i wpadł w popłoch. - Mówiłaś, że potrzebujesz mojej pomocy. Proszę, powiedz, o co chodzi.

- Dobrze. Potrzebna mi twoja zgoda, żebym mogła cię reprezentować w sądzie.

- Nie.

- Proszę.

- Jesteś oskarżycielem.

- Ale nie wierzę w oskarżanie niewinnego człowieka. - W szarych oczach nie zabłysła żadna iskierka, nie pojawiło się światło. - Jeśli obawiasz się o moje kwalifikacje jako obrońcy, pozwól chociaż mnie, Chase'owi, Cass, Eleanor i Jane wynająć ci najlepszego adwokata, jakiego tylko można będzie znaleźć. My tego chcemy, Nick. Wszyscy.

Wszyscy, a zwłaszcza Chase. Hope powiedziała bratu tylko o tym, co piętnastoletni Nick wycierpiał pod ciosami pięści Ala Garretta. Chase nie litował się nad tragicznym końcem brutalnego policjanta, ani tym bardziej Roberta Forresta. Żałował za to Nicka, martwił się jego losem. Ogarniała go wściekłość na samego siebie, bo to on, Chase, powinien był zabić Roberta, tak jak tego pragnął. Mógłby to zrobić bez wyrzutów sumienia i gołymi rękoma, których nie plamiła żadna dawna - i całkowicie słuszna - zbrodnia.

- Nie obawiam się o twoje kwalifikacje i jestem wdzięczny za propozycję. Za wszystkie twoje propozycje. - Wdzięczny i oszołomiony, do tego stopnia, że niemal ożył. Zaofiarowano mu pieniądze bez ograniczeń. Miłość bez warunków. I niewyczerpaną wiarę. Wspaniałe dary, ale otrzymał je o wiele za późno. - To się nie może dobrze skończyć.

- Ależ tak, Nick. Musi. Dla Molly. Ona rozpaczliwie za tobą tęskni. Szalenie.

Hope nie zamierzała o tym mówić. Chciała oszczędzić Nickowi bólu.

I co teraz?

Teraz jego oczy przybrały barwę szarych oparów w komorze gazowej.

- We wtorek mam zostać postawiony w stan oskarżenia. Zamierzam przyznać się do winy.

- Nie możesz tego zrobić. Niemal się uśmiechnął.

- Oczywiście, że mogę. I zrobię. Nie interesuje mnie obrona oparta na szukaniu usprawiedliwień. Ani żadna inna. Więc chyba omówiliśmy już wszystko.

Nick nie tańczył, sam to Hope powiedział. A jednak zwracał uwagę wdzięk, z jakim - skuty łańcuchem, skrępowany - podniósł się z miejsca. Mimo kajdan nie zachwiał się, nie potknął, nie stracił równowagi.

Był samotnym tancerzem. Taki jego los. Nie mógł dopuścić nawet do pierwszych kroków duetu ani pozwolić miedzianowłosej baletnicy, by podała mu pomocne dłonie. Musiał się z nią rozstać. Dla jej dobra.

Teraz.

- Zaczekaj, Nick. Proszę. Jeszcze tylko jedna, ostatnia rzecz. - Hope wyciągnęła z aktówki jakiś dokument. Nie mogła podać mu go do związanych rąk, więc położyła papier przed Nickiem na stole. - Poznajesz to?

- Nie.

- Nawet nie spojrzales! Chociaz rzuć okiem. Proszę. Nick przez chwilę posłusznie wpatrywał się w kartkę papieru, po czym podniósł wzrok na Hope.

- Nie rozpoznaję tego. Przykro mi. Czy to już wszystko?

- Tak, Nick, to wszystko.

W mieszkaniu pod drzwiami czekała Molly. Zwęszywszy zapach Nicka, szukała swego pana wszędzie i zaczęła szaleć, kiedy nie mogła go znaleźć.

- Nie ma go ze mną, Moll. - Hope pogłaskała zdenerwowanego psa. - Ale on do ciebie wróci. Już niedługo.

Pełna uczucia obietnica stała w sprzeczności z wiadomościami, które nagrał na automatyczną sekretarkę wynajęty dwadzieścia cztery godziny temu prywatny detektyw. Hope właśnie przetrawiała kolejną kłeskę, kiedy zadzwonił telefon.

Tym razem była to Cassandra. W jej pełnym serdeczności głosie pobrzmiwała nutka niepokoju.

- Mam dla ciebie propozycję, Hope. Postanowiliśmy z Chase'em wyskoczyć do miasta po ostatnie świąteczne zakupy, a potem wpaść po ciebie i przywieźć cię tutaj. Możemy wyruszyć zaraz albo trochę później. Naprawdę chcielibyśmy, żebyś przyjechała do Montagne Noir już dziś.

Hope zapatrzyła się w okno, z którego roztaczał się wspaniały widok na zatokę i słynny most. Tego zimowego popołudnia lodowata woda była lśniąca i gładka jak srebrny półmisek, na którym podawano miastu skalistą wysepkę, zwaną Alcatraz.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Nie mogę przyjechać na Wigilię. Ani na Boże Narodzenie. Naprawdę nie mogę.

- Musisz. Ze względu na Victora, pomyślała Hope. Powinna z nim wreszcie zawrzeć pokój.

Wiem, że Victor ma coś ważnego do powiedzenia, i naprawdę chciałabym tego wysłuchać. Ale możecie mi przecież wszystko powtórzyć. Kiedyś i tak porozmawiam z nim osobiście, tyle że nie teraz. Po prostu za wiele mam tu ważnych spraw, żebym mogła wyjechać.

- Jakich spraw? Będziesz po raz tysięczny czytać akta policyjne? Zamartwiać się o Nicka i marzyć, żeby się z nim zobaczyć, podczas gdy on sobie tego nie życzy?

- Widziałam się z nim.

- Och... - głos Cassandry złagodniał. - I?

- On jest niewinny, Cass.

- Hope, wiem, że chcesz w to wierzyć.

- On jest naprawdę niewinny. I ja tego dowiodę. - Jej mózg pracował już na pełnych obrotach. Musieli być inni świadkowie, na razie nieznani, których odszuka poinstruowany przez nią prywatny detektyw. Trudne zadanie, ale... - Udowodnię to.

- Oczywiście, że udowodnisz - gładko zgodziła się Cassandra. - Ale proszę, przyjedź do Montagne Noir. Chociaż na Wigilię. Załatw wszystkie telefony i przyjedź. Pozwól, że cię zabierzemy. Zmiana miejsca dobrze ci zrobi.

A Nick nie może zmienić miejsca. Będzie w więzieniu, zamknięty, skuty kajdanami, opuszczony. Przez wszystkie Wigilie swego życia.

Spojrzenie Hope powędrowało ku dygocącemu u jej nóg psu. Molly potrzebowała swoich kocyków, zabawek, ukochanych rzeczy i zapachów domu w dawnej wozowni.

Trzeba by też wziąć z Belvedere czystą odzież: jakiś drelich, który Nick mógłby założyć zamiast więziennego ubrania na rozprawę i potem, już bez żadnego przymusu, w dniu wyjścia na wolność.

- Dobrze. Przyjadę do Montagne Noir, ale nie wpadajcie po mnie. Będę jutro po południu, akurat na czas, żeby wysłuchać, co Victor ma nam do powiedzenia.

*Montagne Noir**poniedziałek, 24 grudnia*

Victor pojechał coś załatwić, a do przybycia Hope i Molly zostało jeszcze trochę czasu. Chase i Cassandra przygotowali już wigilijną kolację i nakryli do stołu. Teraz postanowili się zdrzemnąć.

Cassandra potrzebowała takich chwil odpoczynku, a Chase przyłączał się do niej, kiedy tylko mógł. Kochali się, zanim zapadała w sen, i potem jeszcze raz, kiedy się budziła w ramionach męża.

Tak samo było i tego popołudnia. Gdy tylko Cass się ocknęła, usłyszała tuż przy sobie równe, silne uderzenia serca mężczyzny, który jej pragnął i potrzebował. Na resztę życia.

Obróciwszy się w jego objęciach, napotkała spojrzenie szarych oczu.

- Cześć.

- Cześć. Ucałował złociste loki, które zaczynały porastać głowę żony.

Ten lśniący, bursztynowy czepeczek znał dobrze jego pocałunki i możliwe, że stawał się coraz piękniejszy właśnie pod ożywym wpływem pieścizot, których Chase nie szczędził swojej Cassie, odkąd miesiąc temu pozwoliła mu się znowu kochać.

Jak dawniej byli pionierami, badaczami odkrywającymi siebie nawzajem. W oczach męża Cassandra widziała oddanie i zaufanie, dostrzegała w ich głębi najintymniejsze uczucia.

- Co takiego? - spytała łagodnie.

- Myślałem właśnie o Victorze.

- Niepokoisz się o niego.

- Tak, niepokoję się.

- Gdybym wiedziała, jak trudno mu będzie spędzać tu święta, pewnie nie proponowałabym, żeby przyjechał.

- Ależ ty to wiesz - zaproponował Chase. - A w każdym razie w twojej pamięci ukryte są jakieś informacje o nim i o Bożym Narodzeniu w Napa. Myślę, że właśnie tę tajemnicę Victor chce wyjaśnić Hope i mnie. Inaczej nie przyjąłby naszego zaproszenia.

- Cóż - mruknęła Cass - cokolwiek by to było, wszystkiego wkrótce się dowiemy. Ale martwisz się nie tylko Victorem. Chodzi o Hope?

- Owszem.

- I o Nicka.

- I o Nicka.

- I o coś jeszcze.

- Rozmawiałem z doktor Dane.

- Och - szepnęła Cassandra”. Doktor Dane była ginekologiem położnikiem z Seattle. To ona przyjęła poród Cassandry. Cass zgodziła się, żeby lekarka przedstawiła Chase'owi medyczne szczegóły, które sama pamiętała bardzo mgliście. Wtedy nie miały one dla niej znaczenia. Liczyła się tylko miażdżąca prawda: oględnie sformułowana wiadomość, że jej nowo narodzona dziewczynka musi wkrótce umrzeć.

Teraz jednak fachowa diagnoza stała się dla obojga małżonków bardzo ważna. Chase dowiedział się o czymś, co sprawiło, że jego kochające oczy patrzyły na Cass z niepokojem i ze smutkiem.

- Och - powtórzyła cicho. - Więc to była jakaś wada genetyczna?

- Nie - zapewnił ją Chase. - Nie genetyczna. Rozwojowa. Dokładnie tak, jak mi mówiłaś. Bardzo rzadko spotykana anomalia, która nie miała z tobą nic wspólnego.

- Ani z tobą.

- Ani ze mną.

- I jest mało prawdopodobne, żeby się powtórzyła?

- Bardzo mało prawdopodobne.

- Ale?

- Doktor Dane mówiła, że o mały włos i ty nie umarłaś.

- Po jej śmierci, Chase. Po śmierci naszego dziecka. Opowiadałam ci o tym.

Powiedziała mu tak wiele. Całą prawdę. Chciała umrzeć. Rozpaczliwie. Nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, żeby zasnąć na zawsze razem ze swoją małą dziewczynką. Czekwały na nią jednak rachunki szpitalne, dosyć znaczne, które powinna była uregulować tak szybko, jak to tylko możliwe. Szybko i z wdzięcznością. Bo personel OIOM - u w ciągu każdej sekundy tych czterech dni i nocy walczył wytrwale o uratowanie jej córki.

Tak więc z początku trzymało ją przy życiu to podwójne zobowiązanie. Cassandra wróciła do muzeum, gdzie została serdecznie przyjęta, chociaż wydawało się mało prawdopodobne, żeby dała radę pracować. Była teraz zupełnie inną kobietą niż ta, która przed dziesięcioma dniami z nadzieją i radością zawiadomiła kolegów, że wraca do ojca swego dziecka.

W jaki sposób ta zniszczona tragiczną stratą istota mogłaby podjąć się znowu oprowadzania, zwłaszcza żywych, inteligentnych i rozbrykanych maluchów, które niedawno tak zachwycały przyszlą matkę?

A jednak Cassandra nadal wykonywała pracę przewodnika, powtarzając swoje dawne pomysły. Znakomicie grała na bis, bo też była przecież urodzoną aktorką. A poza tym czuła jakiś słodko - gorzki przymus, żeby samą siebie ukarać. Musiała ciągle wspominać swoją małą dziewczynkę, chciała tego. Potrzebowała bólu, bo mimo iż mgliście pamiętała zapewnienia lekarzy, wiedziała, że tak naprawdę to jej wina.

Splacenie szpitalnych rachunków wymagało czasu. To dobrze, uznała Cass, bo przedłuża cierpienie, na które zasłużyła. Nadal pracowała w muzeum i powoli umierała, kiedy w mieście pojawił się Adrian Ellis, by kręcić tu swój nowy film. Wraz z reżyserem przyjechał cały zespół najświetniejszych hollywoodzkich sław.

Na miejsca zdjęć, dokładnie wymieniane przez poranne gazety, wybrano tereny w centrum Seattle, w pobliżu muzeum. Wszyscy pracownicy postanowili skorzystać z tak wyjątkowej szansy i z bliska przyjrzeć się gwiazdom. Wszyscy oprócz Cassandry.

Cass nie towarzyszyła kolegom. Zdawała sobie jednak sprawę z działania emocjonalnego magnesu, który przyciągał ją i zachęcał do podróży w przeszłość, do tych wspaniałych czasów, kiedy Adrian Ellis kręcił Duet w Domaine.

To właśnie ból wspomnień wygnał Cassandre na Pioneer Square. Stała ściśnięta w tłumie, licznym mimo siąpiącego kapuśniaczka, a przed jej oczami przesuwały się obrazy z przeszłości. Znów widziała Ellisa, jak przywozi kasety wideo z wycieczki po winnicy, i słyszała jego słowa, że może uznać to nagranie za chlubnie zdany egzamin, gdyby kiedykolwiek postanowiła rozpocząć karierę filmową.

I nagle, wśród mżawki na Pioneer Square, Adrian znalazł się przy Cassandrze i zawołał ją po imieniu. Później nie mógł się nadziwić temu niezwykłemu zbiegowi okoliczności. To przeznaczenie, mówił, bo akurat gdy w związku z najnowszym scenariuszem myślał o Cass Winter, dostrzegł ją, stojącą w strugach deszczu na placu w Seattle.

To przeznaczenie, zgadzała się Cassandra; jej nieunikniony los. Umrzeć byłoby zbyt łatwo. Śmierć nie stanowiła wystarczającej kary. Poddanie się pragnieniu zniszczenia samej siebie, które prześladowało ją od dzieciństwa, było wyborem lepszym, trudniejszym. Cass chciała stać się kimś innym, kimkolwiek, wyprzeć się całkowicie własnego ja i uznać, że ta strata, śmierć prawdziwej Cassandry, naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

Została więc aktorką, czego zawsze się obawiała i co było jej pisane. Nie dbała o sławę. Pracowała tak intensywnie, jak to tylko możliwe, by jej prawdziwe ja przestało istnieć. Aż w końcu dostała rolę takiej kobiety, jaką kiedyś sama była, jaką pokochał Chase Tessier, a Robert grał mężczyznę, który przypominał jej męża. Ale nie mógł go zastąpić. Nigdy. A

potem ona omal rzeczywiście nie umarła, a kiedy się ocknęła, był przy niej Chase.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wyznała mu wszystko.

- Chase? - powtórzyła cicho. - Przecież powiedziałam ci, że chciałam umrzeć.

- Doktor Dane nie miała na myśli tego, co było później - odparł. - Mówiła o samym porodzie. Podobno straciłaś bardzo dużo krwi.

Zbyt wiele, stwierdziła lekarka, zwłaszcza że potem uparła się nie odstępować ani na chwilę swojej córki, spędzić z nią każdą sekundę jej życia.

- Nic mi się nie stało, Chase. Doktor Dane jest bardzo miła i wiem, że się o mnie niepokoiła, i że ty się martwisz. Ale to zupełnie niepotrzebne.

Dotknęła twarzy męża i uśmiechała się z uporem, aż wreszcie i on się uśmiechnął, a po chwili zaczął całować jej dłoń, której serdeczny palec zdobił ślubny pierścionek.

Złota obrączka nadal była rozerwana, między różami biegło równe, lśniące nacięcie. Mimo licznych dyskusji, poważnych, a potem żartobliwych, Cassandra zdecydowanie odmawiała zdjęcia pierścionka choć na chwilę.

- Co z tym zrobimy? - po raz kolejny zapytał Chase.

- Nic!

- Myślę, że przy odpowiednim zabezpieczeniu można go zlutować bez zdejmowania.

- Nie, dziękuję. A w każdym razie nie w najbliższym czasie. - Jej oczy nabrały powagi, ale nadal jaśniały miłością. - Dzięki temu nacięciu będę mogła nosić nasz ślubny pierścionek, nawet jeśli spuchną mi ręce.

- Cassie... Dzieliła jego niepokój i lęk. Następna ciąża przerażała ich oboje z powodów, które były inne niż poprzednio, ale w pewnym sensie podobne. Każde z nich martwiło się przede wszystkim o ukochanego człowieka. Cassandra nie chciała, żeby Chase przeżywał rozpacz po stracie następnego dziecka. Chase bał się tego samego ze względu na Cassie, a oprócz tego myślał z przerażeniem o zagrożeniu jej życia, gdyby znów doszło do nadmiernego upływu krwi.

Ale tym razem Cassandra Winter Tessier nie zamierzała wyjeżdżać. Wiedziała, że nigdy już nie będzie czuła się zagubiona.

Zamierzała stworzyć temu samotnemu mężczyźnie, który nie chciał mieć dzieci, dopóki się w niej nie zakochał, prawdziwą rodzinę. Jego rodzinę, którą mógłby się opiekować i otaczać miłością.

- Wszystko pójdzie dobrze - zapewniła. - Jak najlepiej. Chroniła ich na zawsze pastelowa tęcza, którą Chase dla nich wyczarował. Byli bezpieczni. Dzięki Chase'owi.

Jednak Cassandra chciała - bardzo chciała - móc sypnąć odrobiną tęczowego pyłu,

choćby po jednej pastelowej iskierce na życie Nicka, Victora i Hope.

Victor Tessier włóczył się po znajomych miejscach, szczególnie dla niego niebezpiecznych w ten niebezpiecznie znajomy dzień.

Nawet wigilijna pogoda mu nie sprzyjała. Przenikliwe zimno zapowiadało mróz o zmierzchu. Victor!

Głos był również znajomy, ale w najmniejszym stopniu niegroźny.

- Witaj, Sibyl.

- Więc jednak się tu zjawiłeś. Słowo „tu” określało zarówno dolinę, jak i tę ocienioną dębami ulicę w Rutherford, w pobliżu której dawno temu mieścił się przytulny pub, gdzie w Boże Narodzenie wpadało się na kubek grzanego wina.

- Przyjechałem.

- Dlaczego?

- Zaprosił mnie Chase. Chase i Cassandra.

- Zanim Nicholas Wolfe - Doe poniesie całkowitą klęskę?

- Tak.

- Doskonale. Cieszę się, że tu jesteś, głównie dlatego, że teraz ty porozmawiasz z policją. Ja już próbowałam, ale oni są w rozkosznie świątecznym nastroju.

- Z policją? - powtórzył Victor, który nagle zagubił się między teraźniejszością a przeszłością. - Po co?

- Z powodu Nicka, oczywiście. Najprawdopodobniej zmajstrował coś przy hamulcach w wozie Franny.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda.

- Dobrze wiem, że ukradł jej naszyjnik, a przynajmniej próbował.

- W to też wątpię. A nawet gdyby? Słusznie by mu się należał.

- Co takiego?

- Tamtego dnia Nick pomógł Hope w sposób, w jaki ja nie potrafiłbym jej pomóc. A w zeszły piątek uratował Hope życie. On, Molly i...

- Chyba nie zamierzasz się z nią zobaczyć. Proszę, powiedz, że nie zamierzasz widzieć się z Jane.

W zimny, szary wieczór wigilijny trzydzieści cztery lata temu dziewiętnastoletnia Sibyl Courtland prosiła go o to samo, z równą pasją w głosie. Owszem, odpowiedział jej wtedy Victor Tessier. Owszem, zamierzam.

Ale dzisiaj zareagował inaczej.

- Nie, Sibyl.

Błysk satysfakcji zatarł na jej twarzy wyraz przerażenia i Sibyl z uśmiechem przystąpiła do kolejnej prośby.

- Ale zjemy razem obiad, prawda? Tylko we dwoje? Jak za dawnych czasów.

- Zdzwonimy się w tej sprawie, Sib. Nie wiem jeszcze, jak długo tu zostanę.

Rozstali się, podobnie jak w tamto popołudnie, kiedy Victor obiecał, że porozmawiają później. Jednak wtedy on od razu ruszył do Mariposa, majątku przy Zinfandel Lane, gdzie w dawnej obrośniętej wistaria wozowni mieszkała Jane Parish.

Matka Jane pracowała w Mariposie jako kucharka. Ojciec był Stajennym, ale pełnił też funkcję stróża, pilnie strzegąc bramy.

- My się kochamy - tłumaczyła mu błagalnym tonem córka. - Zawsze będziemy się kochać.

Thomas Parish nie wątpił w jej uczucia, chociaż siedemnastoletnia Jane była jeszcze bardzo naiwna, a dwudziestoletni Victor sprawiał wrażenie dojrzałego mężczyzny.

Przepaść, która dzieliła zakochanych, nie sprowadzała się tylko do różnicy wieku czy doświadczenia. Była nieprzebytą otchłanią, skazującą ich na klęskę już u startu. Koniec końców - Thomas Parish nie miał żadnych złudzeń - Victor Tessier nie wybierze na towarzyszkę życia pół krwi Indianki, córki służących. Bogaty, światowy młodzieniec pobawi się nią, a potem rzuci.

Tak też się stało.

Victor złamał serce Jane.

I swoje własne.

W tamtą Wigilię przed laty Jane nie wpuściła go do środka, nawet nie otworzyła drzwi, tylko uchyliła je, zostawiając wąską szparę. Mimo to Victor zdołał dostrzec twarz dziewczyny - udręczone ciemne, piękne oczy, miękkie mahoniowe włosy i ziemiste policzki, zapadnięte pod dumnie zarysowanymi kośćmi Lakotów.

- Victor? - Dawniej dźwięczny głos stał się słaby jak jej ciało. - Po co przyszedłeś?

- Przeprosić cię, Jane, i powiedzieć, że tęsknię za tobą i kocham cię, i chcę, żebyśmy byli razem - na zawsze.

- Och, Victor. Nie.

- Tak. Pozwolisz mi wejść? Proszę.

- Ja... nie mogę. O tej porze w wieczór wigilijny jej rodziców nie powinno być w domu. Matka musiała przecież szykować we dworze bożonarodzeniowe przyjęcie, a konie potrzebują opieki zawsze, nawet w dni świąteczne. Ale może któreś z Parishów skończyło już pracę?

- Spotkamy się później, dobrze? Później, Jane. Ty zdecydujesz, kiedy. Daj mi szansę się wytłumaczyć. Proszę.

- Nie. Nie mogę. Już za późno, Victorze, nie rozumiesz? O wiele za późno.

- Jane...

- Wyjeżdżamy, Victorze.

- Wyjeżdżacie?

- Wyprowadzamy się. Jutro.

- Dokąd?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- I tak się dowiem, Jane. Dowiem się i cię znajdę, i...

- Nie, Victorze. Proszę. Muszę już iść. Teraz. Do widzenia. Jane zamknęła drzwi, pachnące tego dnia sosną, bo zdołał je tradycyjny bożonarodzeniowy wianek. Odgłos był cichy, ale dla Victora zabrzmiał jak huk grzmotu, którego miał nigdy nie zapomnieć.

Tessier stał wśród sosnowych zapachów i lawendowych kwiatów wistarii, czekając, że drzwi jednak się otworzą. Nie tracił nadziei, modlił się o to i odszedł dopiero, kiedy go do tego zmuszono.

- Jak pan śmie tu przychodzić? - zażądał wyjaśnień Thomas Parish, który właśnie nadszedł ze stajen. - Czy nie zrobił pan już wystarczająco dużo złego?

Teraz, trzydzieści cztery lata później, Victor Tessier znów odwiedzał posiadłość przy Zinfandel Lane. Był to impuls, głupi i szalony, ale przecież niegroźny. Jane już tu nie mieszkała, a może w ogóle nie było tu nikogo. „Mariposę” zastąpił „Belvedere”. Pewnie dawna wozownia stała opuszczona, bo epoka służących odeszła w przeszłość.

Ale, jak Victor wkrótce się przekonał, ktoś jednak mieszkał w starym domu i mógł się przestraszyć na widok nieznajomego, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Stary niebieski pikap parkował przed garażem, lśniący, zielony infiniti stał w poprzek zwirowanego podjazdu, a okna wozowni jaśniały światłem, wysyłając złociste sygnały niczym latarnia morska.

Znajomego wejścia nie zdołał co prawda sosnowy wianek, ale wistaria nadal była obsypana kwiatami. Wtedy, dawno temu, te drzwi zostały szczelnie zamknięte, teraz czekały uchylone. Wówczas zapadła za nimi martwa cisza, dziś rozległy się odgłosy poruszenia i radości, a po chwili w szparze pojawił się mały czarny nos, potem łapy - łapy wspinające się na Victora, jakby pies na niego właśnie czekał, za nim tęsknił.

Rozpaczliwie.

Victor Tessier wziął na ręce futrzany kłębek i próbował uspokoić entuzjastyczne psie

pieszczoty.

- Dobrze, dobrze. Kim ty właściwie... Już wiedział. Chase opowiadał mu, że Nicholas Wolfe, przyjaciel Hope, mieszkał w Belvedere przy stadninie koni. A od piątkowej nocy Hope opiekowała się cocker spanielem, którego Victor widział już kiedyś, w dniu tragedii w Montagne Noir.

- Ty jesteś Molly - mruknął. Suczka nie mogła go pamiętać, ale może wyczuła w nim istotę zranioną, cierpiącą podobnie jak Hope, której miłość też żyła i umarła w tym miejscu. - Chodźmy poszukać pani.

Tuż za drzwiami Victor natknął się na stos kocyków, trzy miseczki i bogaty asortyment psich zabawek. Jednak Hope w pokoju nie było.

- Gdzie ona jest? - zapytał, ostrożnie stawiając psa na podłodze. - Gdzie jest Hope?

Czy Molly zrozumiała? Pewnie nie, chociaż Nick przemawiał do niej przez dziewięć lat, powierzał jej sekrety, o których nikt nie widział, a zwierzątko kochało dźwięk jego głosu.

Bardziej prawdopodobne, że po prostu chciała, żeby Hope zobaczyła Victora, wspaniałą psią zdobycz. Po wykonaniu szaleńczego kółka dla rozładowania energii spanielka pognęła schodami na drugie piętro.

Hope była w pracowni Nicka. Przyprowadziła ją tu Molly podczas swoich szaleńczych poszukiwań.

Nie ma go tutaj, kochanie, szeptała młoda kobieta, podążając za zrozpaczonym stworzeniem. Och, mała Molly, nie ma go tutaj.

Ale Hope nie towarzyszyła już dalej psim wędrówkom, bo w pracowni ujrzała obrazy z cyklu, o którym opowiadał jej Nick - „Pory duszy”.

To były jej portrety.

Na jednym, chyba pierwszym, wirowała na łące wśród dzikich kwiatów. Wtedy była jeszcze gruba, w każdym razie w to wierzyła. Jednak postaci baletnicy nie dawało się określić jako tęgiej lub szczupłej. Ona - je dusza - po prostu tańczyła, bujała w przestworzach, na wolności. To mus być lato, uznała Hope. Pora świętowania w złotym blasku słońca. Bez cieni.

Co za kontrast z portretem wiszącym tuż obok, martwą zimą, która nadeszła tego samego wrześniowego popołudnia, kiedy Hope, stojąc nad urwiskiem z czarnym jak noc szczeniakiem w objęciach, widziała rzeź, zdrad i śmierć.

Ale ty nie umarłaś, powiedział jej wtedy Nick. Hope zastanawiała się czy to prawda. Czy rzeczywiście nadal żyła przez cały ten czas, zanim się znowu spotkali? Tak, jednak tak. Następnym obraz ukazywał Hope w chwili, kiedy jeszcze nie wiedziała, że Nick powrócił do

doliny. Stała na schodach przed gmachem sądu w San Francisco i odpowiadała na pytania dziennikarzy. Włosy rozwiewał jej wiatr, twarz była mokra od deszczu a w oczach malowały się zdecydowanie i duma. To jesień, uznała, pora obfitych zniw, kiedy jej dusza wydała owoc - namiętą pasję do sprawiedliwości.

I wreszcie czwarty portret, ostami. Wizerunek wiosny. To płótno było całkiem świeże, ukończone niedługo przedtem, nim dla jego autora nas zima, przy której postanowił uparcie trwać.

Hope znowu znajdowała się na łące, ale teraz była już kobietą, zrodzoną do miłości i pożądania, kwiatem, który ufnie, śmiało zwraca: słońcu, bo wie, że słońce go chce. Więc czeka na pieszczotę, pragnie czuć żar, namiętność.

- On cię bardzo kocha.

Nick. Czyżby naprawdę był tutaj, wyznawał jej miłość? Nie. Hop działa, że to niemożliwe. Głęboki, łagodny głos nie mógł być rzecz. Musiał zrodzić się z jej pragnień i ze zmęczenia.

Odwróciła się. Nie czuła lęku przed widmem, marzyła, by ujrzeć kochaną twarz. - Victor. Co ty... - Niedokończone pytanie rozplynęło się: zdumienia ciszy.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział łagodnie. - Hope, namalował człowiek bardzo zakochany.

- On jest niewinny, Victorze.

- Wierzą ci. I jeśli mógłbym jakoś pomóc... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno na wspomnienie podobnej sytuacji sprzed lat, kiedy też próbował ją pocieszyć.

Wtedy Hope, zszokowana zdradą i śmiercią, odtrąciła go. Ale tego wigilijnego wieczoru, kiedy spotkali się w miejscu, które dla nich obojga oznaczało miłość...

- Dziękuję - szepnęła.

- Naprawdę wierzę, Hope.

- Wiem - była o tym przekonana.

*Montagne Noir**Wigilia Bożego Narodzenia*

Swoje dorosłe życie Victor Tessier spędził na scenie, wprawiając w zachwyt publiczność sal koncertowych całego świata. Właściwie nie on, i a muzyka. On był tylko jej przekazicielem, obdarzonym błogosławieństwem talentu.

Ale gdy przyszło mu wystąpić przed Chase'em, Cass i Hope, najważniejszym audytorium, jakie miał kiedykolwiek, poczuł prawdziwą treść. Ogień trząsał wesoło w kominku, a świece płonące w szklanych graniastosłupach napełniały powietrze zapachem wawrzynu i sosny.

- Zwykle nie opowiadam o sobie - zaczął.

Jego utalentowane ręce rzadko pozostawały puste i bezczynne. Wydobywały dźwięk ze strun skrzypiec, wyczuwały znajomą gładkość smyczka. Teraz też znalazły sobie zajęcie. Molly towarzyszyła Victorowi jak cień od chwili, gdy pojawił się przed drzwiami wozowni. Teraz zwinęła się w ciepły kłębek u jego nóg i kiedy tylko głaszcząc ją dłoń zatrzymywała się, spanielka podnosiła na muzyka pełne wyrzutu oczy, które mówiły: nie zapominaj, że tu jestem i potrzebuję pociechy.

- Ale - ciągnął, leniwie gładząc czarne futerko - Cassandra uważa, że powinniście się o czymś dowiedzieć.

- Owszem - uśmiechnęła się Cass. - Cokolwiek by to było. Victor spojrzał na dyrygentkę, która ułożyła partyturę tej spowiedzi. Opowiedział Cassandrze bardzo dużo, zbyt wiele, więc pewnie łatwo domyśliła się reszty. Jednak teraz Cass pamiętała tylko, że było coś, jakaś tajemnica, którą Chase i Hope muszą poznać.

Victor zdecydował się opowiedzieć im tyle, ile mógł. Nawet chciał tego Ale część prawdy musiała na zawsze pozostać w ukryciu. Swobodnym tonem zwrócił się do Cassandry:

- Pamięć ci jeszcze nie wróciła?

- Jeszcze nie - przyznała Cass. - Ale mam niezachwianą pewność, że chodzi o coś, o czym powinieneś powiedzieć Chase'owi i Hope. - Zmarszczyła lekko czoło. - Wydaje mi się, że mówiłam ci o naszej córeczce.

- Tak - powiedział Victor. - Mówiłaś.

- Musisz mieć ogromną siłę przekonywania i intuicję.

- Nie sądzę, Cassandro. - Byłem po prostu samotny, pomyślał. Obydwoje byliśmy

samotni i tak bardzo zmęczeni tajemnicami, które oddzieliły nas od miłości. - Moje wyznania nastąpiły pierwsze, zaraz po dzikim ataku, jaki przypuściłaś na mnie, kiedy tylko stanąłem w drzwiach. Pytałaś, co ze mnie za człowiek, co za ojciec.

- A ty w obu przypadkach odpowiadałaś: „podły”. Pamiętam. I wiem, że to nieprawda.

- Mylisz się - zaproponował. - Nic nie przeszkadzało mi uznać Chase'a za własne dziecko. Popatrzył na tego niechcianego syna, który zawsze był wobec niego lojalny. - A w każdym razie, Chase, powinienem być oddać ci Domaine.

- Przecież tak właśnie zrobiłeś - odparł spokojnie młody Tessier. - Po śmierci Grandpere'a, kiedy najbardziej tego potrzebowałem. Planowałaś sprzedać winnicę. Wydaje mi się, że bardzo tego chciałaś. Ale kiedy cię poprosiłem, żebyś pozwolił mi zostać w Domaine, zgodziłaś się bez wahania. Mam wrażenie, że historia powtórzyłaby się, gdybym z tym samym zwrócił się do ciebie osiem lat temu.

- Ale się nie zwróciłeś.

- Nie, nie zrobiłem tego. Miałem własne powody, ale pamiętałem także, co mówiłaś.

- Co takiego powiedziałem?

- Kiedy dyskutowaliśmy o zamknięciu Domaine, stwierdziłaś, że Grandpere może nie pochwalaby tej decyzji, ale by ją zrozumiał. On wiedział, co cię dręczy w związku z doliną. Ten koszmar nawiedzał i jego.

- Ale nie powiedział ci, o co chodzi?

- Nie - odparł Chase. - Uważał chyba, że tylko ty możesz o tym mówić.

- O kimś - przerwał mu Victor. - O moim synu.

- Który umarł - szepnęła Cassandra. - Tak jak nasza córeczka: Victor spojrział na Cass z obawą, że jej pamięć nie jest już wystarczająco zasnutą mgłą, aby ukryć jego tajemnicę, ale przede wszystkim z czułością, bo dzielili podobny smutek.

- Oba noworodki były wcześniakami. Twoja córka i mój syn. Oba urodziły się zbyt małe i słabe, żeby przetrwać. Każde z nas oddałoby dla swego dziecka własne życie. Chcieliśmy tego. Ale nie było to w naszej mocy. Mogliśmy tylko dotknąć ich ciałek, mówić do nich, modlić się za nie. A kiedy dzieci umarły, my też umarliśmy.

- Powiedziałaś mi wtedy, żebym nie powtarzała twoich błędów. Nie wiem, o co chodziło, ale ty na pewno pamiętasz. Musiałaś mi powiedzieć, że powinnam zaryzykować i znowu kochać, pozwolić sobie na radość i ból. Dlatego założyłam mój ślubny pierścionek.

- Rzeczywiście, właśnie to ci powiedziałem, chociaż nie zamieniliśmy ani słowa na temat pierścionka. - Poważne oczy Victora spoczęły na mężu Cass. - A tobie, Chase, muszę

wyznać, jak bardzo mi przykro. Mogłeś stać się moim synem. Powinieneś nim zostać. Grandpere to rozumiał. Wiedział, że przeznaczenie chciało, by samotny sześciolatek chłopiec potrzebował naszej miłości - sześć lat po śmierci mojego synka. Byłeś dla Grandpere'a wnukiem. Wiesz o tym, prawda?

- Tak - powiedział Chase. - Wiem. Serdeczny uśmiech przeznaczony był dla człowieka, z którym zawsze łączyła Chase'a miłość do Grandpere'a, a teraz więź tę wzmocniło inne wspólne im doświadczenie: cierpienie ojca z powodu śmierci dziecka.

Victor również się uśmiechnął, łagodnie i z wdzięcznością, po czym poważną już twarz zwrócił do drugiego opuszczonego dziecka rodziny Tessierów.

- A ty? Mogłem cię wychowywać jak własną córkę. Mogłem powiedzieć Frances, że co było, to było. Ale nie zrobiłem tego.

- Pamiętam Wiedeń - odparła Hope cicho.

- Pamiętasz? Ja też. Wtedy byłeś dla mnie ojcem. Chciałeś tego. I może... Zająknęła się, ale Victor jej pomógł.

- Tak - podjął. - Może gdybyśmy tamtego lata nie rozstali się z twoją matką. Jednak zrobiliśmy to i...

Teraz on stracił odwagę, a Hope podjęła wątek.

- Nie widywaliśmy się już. Dla mnie byłoby to niemożliwe. Stałam wiernie po jej stronie. Czułabym się nie w porządku... winna. Victorze?

- Tak?

- Teraz nie czuję się już winna.

- Nie? - powiedział miękko. - To dobrze.

- Czy on był moim bratem, Victorze? - spytała Hope. - Ten chłopczyk, który umarł?

- Nie. Urodził się na długo przedtem, nim spotkałem Frances.

- Więc jego matka...

- Była moją pierwszą miłością. Umarła w dniu, kiedy on przyszedł na świat.

- Och, Victorze - szepnęła Hope. - Tak strasznie mi przykro.

- Zupełnie niepotrzebnie! - wykrzyknęła niespodziewanie Cassandra, sama zdumiona gruboskórnością słów, które pojawiły się jakby znikąd. Nie nie znikąd; wypłynęły, oszłamiająco jasne, z mroku niepamięci. - Niech ci nie będzie przykro, Hope, bo to kłamstwo. Ona żyje. Teraz już pamiętam. Musiałam sobie przypomnieć, Victorze, bo Chase i Hope powinni poznać prawdę.

- Nie, Cassandra, nie. Wyraz jego twarzy - lęk graniczący z przerażeniem - mógł ją powstrzymać, bo Cassandra bardzo lubiła Victora. Ale było już za późno. Stało się jasne, że

kobieta, którą kochał, żyje i zarówno Chase, jak i Hope bez trudu domyślili się rozwiązania zagadki.

Mieszkała przecież w Napa osoba, z którą Cass dawniej się przyjaźniła, a teraz z niewiadomych przyczyn nie chciała jej widzieć.

- Jane - mruknął Chase.

- Matką twojego synka była Jane - powiedziała Hope.

- Tak. Jane. - Cassandra popatrzyła na Victora przepraszająco, ale stanowczo. Chase i Hope powinni poznać prawdę. Zasługują na to.

- To nie takie proste, Cassandro.

- Owszem, całkiem proste. - Wszelkie ślady skruchy znikły. Cassandra postanowiła ujawnić tajemnicę. Tym razem opowieść Szeherazady nie mogła oczarować słuchaczy. - Przede wszystkim wcale nie jest powiedziane, że syn Victora, syn Jane i Victora, urodził się jako wcześniak. Był jednak bardzo maleńki i nie miał szansy przeżyć, ponieważ został zagłodzony w łonie matki.

- Zagłodzony? - powtórzyła Hope ze zgrozą. Ale przerażenie młodej prawniczki nie dawało się porównać z uczuciem, które ogarnęło Victora.

- Tego, Cassandro, nie wiemy.

- Wiemy, Victorze. Jeszcze parę miesięcy temu wiedziałeś. Próbowaleś nawet jej bronić, brać na siebie odpowiedzialność. Jane była taka młoda, kiedyście się rozstawali. Ale siedemnaście lat to nie aż tak młody wiek, a przy tym niezależnie od tego, jak bardzo kobieta jest załamana czy zła na mężczyznę, nie powinna brać odwetu na jego dziecku.

Wydawało się, że Cassandra i Victor prowadzą pojedynek oskarżenia z obroną.

Victor Tessier bronił sprawy z pasją, ale i spokojem, ufając, że bożonarodzeniowy sąd uzna Jane za niewinną. Zaczął od odwołania się do wspomnień o człowieku, którego wszyscy kochali.

- Podobnie jak Grandpère jestem dyslektykiem. Nie potrafię czytać. Kiedy byłem chłopcem, sprawiało mi to duże problemy. Czułem się zagubiony... ślepy. Potem odkryłem muzykę i uznałem, że tylko jej potrzebuję do życia. Tak było do czasu, gdy spotkałem Jane. Kiedy się w niej zakochałem, muzyka poszła w zapomnienie. Wszystko poszło w zapomnienie. Nic się nie liczyło oprócz tej dziewczyny. Czułem się, jakbym zaczął znikać. To mnie przerażało. Znowu byłem przerażony i ślepy. Zakończyłem nasz związek bez słowa wyjaśnienia. Powiedziałem jej tylko, że chcę wyjechać.

- Jak mogłeś wytłumaczyć coś, czego sam naprawdę nie rozumiałeś? - przerwała mu Cassandra. Nacisk, z jakim zadała to pytanie, świadczył o współczuciu znacznie większym,

niż Victor mógł oczekiwać ze strony sędziów z Montagne Noir. - Kierowały tobą uczucia, nie rozum. Teraz, kilkadziesiąt lat później, potrafisz wnikliwie analizować sytuację. Ale wtedy. .. zakochałeś się i to tak bardzo, że zacząłeś tracić grunt pod nogami. Więc zerwałeś. Kochankowie ciągle ze sobą zrywają. Ale nie wszyscy zabijają swoje dzieci.

- Jane nie...

- Tak. Zrobiła to - powiedziała Cassandra i zaczęła wyjaśniać młodemu Tessierom: - Victor wrócił do doliny w Boże Narodzenie i poszedł do Jane błagać ją o przebaczenie i prosić o rękę. Ale Jane nie wpuściła go do domu. Przez szparę w drzwiach mógł zobaczyć tylko jej przeraźliwie wychudzoną twarz. Jane trzymała ciężę w tajemnicy przed Victorem, ale zapomniała ukryć bardziej przerażający fakt - że głodziła się, aby zabić swoje dziecko.

- Tego nie wiemy. Może Jane nie zdawała sobie sprawy, że jest w ciąży. Mogła nie skojarzyć przyczyny porannych nudności czy utraty wagi...

- Nie wiedziała? Sądziła, że to na przykład tęsknota? Że usycha z miłości? - Cass urwała nagle, porażona świadomością, że sama nie jest lepsza.

Jakim prawem mówi o Jane z pogardą? W końcu to ona, Cassandra, uciekła od mężczyzny, którego kochała, a decyzję podjęła właśnie z powodu ciąży. A potem, po utracie córki i męża, też umierała z żalu i tęsknoty.

Więc jak może być tak bezwzględna wobec Jane? I skąd w niej ta głęboka pewność, że Jane świadomie chciała skrzywdzić swego nienarodzonego syna?

Musiało być coś więcej, czego nie pamiętała, jakiś epizod tak potworny, że nawet błaganie Victora o litość dla ukochanej kobiety nie potrafiło Cass zmiękczyć. Zawodziła ją pamięć, ale nie uczucia.

- Victorze, ona zniszczyła niewinne młode życie. Zagłodziła twoje dziecko. Ja to nazywam morderstwem.

Na tym samozwańcza oskarżycielka zakończyła sprawę. A obrońca?

Milczał w obawie, że Cassandra może przypomnieć sobie resztę - tę zbrodnię, wobec której obecny w pokoju prawdziwy prokurator musiałby podjąć kroki prawne.

- Cóż - zwrócił się w końcu do Hope i Chase'a cichym, ale stanowczym głosem - teraz już wiecie. I będziecie musieli sami zdecydować, co sądzicie o Jane. Mam nadzieję.

- Kiedy to dziecko się urodziło? - przerwała mu Hope.

- Co?

- Pytam, kiedy twój syn przyszedł na świat?

- Trzydzieści cztery lata temu. - W Wigilię? Zimny strach ściął mu krew w żyłach. Victor czuł, jak cały lodowacieje mimo ciepła, które biło od tulącego się do jego nóg psa.

Zajęty obroną Jane, zapomniał o głaskaniu Molly, a ona nie domagała się już pieszczot, tylko zasnęła, zwinięta w kłębek tuż przy nim.

- Victorze? - Hope naciskała łagodnie, ale z uporem. - Czy on się urodził w Wigilię?

- Tak.

- I został znaleziony na śmietniku? Za starą piekarnią w Rutherford?

- Tak - szepnęła Cass. Wszystko już pamiętała i rozumiała swoją zajadłość. Nareszcie.

- Jane zatelefonowała do Domaine jeszcze tego samego wieczoru, dosłownie kilka godzin po rozmowie przez szparę w drzwiach. „Twój syn traktuje kobiety jak śmieci, wysyczała szeptem do Grandpère'a. A teraz twój wnuk dowie się, jak to smakuje”. Jane wrzuciła swoje nowo narodzone dziecko między odpadki. Głodne i nagie niemowlę. Zostawiła je, żeby umarło, żeby zamarzło na śmierć, w Wigilię Bożego Narodzenia. Czy to nie rozmyślane działanie, Victorze? Czy to nie morderstwo? Jak w ogóle możesz stawać w jej obronie?

- Powiedziała nam, gdzie szukać dziecka, i znaleźliśmy je. Żywe.

- Ale ono umarło, Victorze - upierała się Cassandra. A potem dodała łagodniej, bo darzyła tego człowieka podziwem i szacunkiem: - I jakaś część ciebie odeszła wraz z nim.

- Kiedy twój synek umarł? - zapytała Hope.

- Trzeciego stycznia. - Wpatrywał się w kobietę, która naprawdę pełniła funkcję prokuratora, a teraz dowiedziała się o bardzo poważnym przestępstwie. - Jane była taka młoda, Hope. I zraniona. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Wiesz, że to nie była prawdziwa Jane, tylko jakieś jej drugie ja, którego pewnie nienawidzi po dziś dzień.

- Victorze, proszę - przerwała mu Hope błagalnym tonem. - To bardzo ważne. Czy twój syn otrzymał jakieś imię?

- Lucas - szepnął Victor. - Nazwałem go Lucas.

- Więc w rejestrach szpitala powinien być odnotowany jakiś Lucas Tessier.

- Nie - odpowiedziała za niego Cassandra. - Victor i Grandpère już wtedy chronili Jane, od samego początku. Powiedzieli policji i lekarzom, że usłyszeli płacz dobiegający ze śmietniska, chociaż naprawdę mały wcale nie płakał. A to, że czuwali w szpitalu przy obcym dziecku? Nikogo, kto znał Jean - Luca Tessiera, nie dziwiło, że okazuje współczucie podrzutkowi, którego nikt nie chce.

- Zawieźliście niemowlę do Centrum Medycznego Courtlanda? - padło następne pytanie.

- Tak.

- Czy Sibyl o tym wiedziała?

- Sibyl? Tak. Personel z ostrego dyżuru zawiadomił jej ojca - był wtedy właścicielem

szpitala - dosłownie w ciągu kilku minut od naszego przybycia.

- Czy Sibyl wiedziała, że to twoje dziecko, twoje i Jane?

- Tak. Wiedziała. Sibyl i ja przyjaźniliśmy się od lat.

- I nie była zadowolona? - drażyla Hope. Czy Sibyl gardziła indiańską krwią Jane? I noworodkiem - mieszańcem, którego Victor i Jean - Luc tak serdecznie przyjęli?

- Sibyl nie pochwałała mojego związku z Jane, ale nie odnosiła się niechętnie do Lucasa. Hope, nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Muszę mieć pewność. Całkowitą pewność.

- Przed wniesieniem oskarżenia?

- Nie, Victorze. Do niczego takiego nie dojdzie. - Ale, och, jak bardzo chciałaby postawić w stan oskarżenia Sibyl Courtland Raleigh. Jednak nie mogła, nie mogła, bo... - Prawo o przedawnieniu dotyczy wszystkich przestępstw oprócz morderstwa. Ale w tym przypadku nie było morderstwa.

- Dziękuję. Hope popatrzyła na Victora i Molly. Widziała teraz wszystko jasno, mimo mgiełki zasnuwającej jej oczy. Molly, która jako nowo narodzone szczenię zostałaaby, gdyby nie Nick, skazana na śmierć na śmietniku, przysuwała się teraz do Victora najbliżej, jak tylko mogła.

Molly wiedziała. Przez cały ten czas. Od tamtego dnia w Montagne Noir, kiedy polizała rękę Tessiera.

- Nie było morderstwa - dokończyła wreszcie Hope - bo twój syn, twój ukochany Lucas, żyje.

Więzienie okręgowe, San Francisco

Wigilia Bożego Narodzenia

To jest Victor Tessier - wyjaśniła Hope strażnikowi, temu samemu, który pełnił służbę, kiedy poprzedniego dnia odwiedziła więzienie. Zamilkła na chwilę, żeby miał szansę sobie przypomnieć, czego dowiedział się z wczorajszych brukowców o słynnym muzyku. Prasa cytowała opowieść Sibyl Courtland Raleigh o tym, jak to dziewięć lat temu Tessier powstrzymał policję przed aresztowaniem Nicka, ponieważ Victor - zdaniem osoby, która zna go tak dobrze - jest zupełnie ślepy na zło.

Ach, tak - mruknął wreszcie strażnik i gniewnie zmarszczył brwi.

- Chciałabym, żeby pan Tessier porozmawiał z Nicholasem Doe.

Chmura na twarzy mężczyzny zgęstniała. Czyżby Hope Tessier była typem bojownika o sprawiedliwość, zdolnego wziąć prawo w swoje ręce? Czy wybrała Victora, którego żonę Doe też zamordował, do roli kata?

Strażnik nie dbał o los zabójcy policjanta. Chociaż nie, to nieprawda. Chciał, żeby Nick umarł. Ale nie życzył sobie rzezi podczas swojej służby.

- To dziwny pomysł.

- Wiem - uśmiechnęła się Hope. - Ale co nie jest w tej sprawie dziwne? I Victor, i ja zostaliśmy już sprawdzeni przez wykrywacz metalu, a poza tym spotkanie może się odbyć u więźnia na dole, zamiast w rozmównicy.

- Przez kraty - sprecyzował strażnik.

- Oczywiście - zgodziła się Hope. Drogę do celi swego syna Victor Tessier odbył samotnie. Jego kroki odbijały się echem w pustych, szarych korytarzach. Skądś z góry niosła się melodia kolędy.

Cicha noc.

Świątą noc.

Pokój niesie ludziom wszem.

W Wigilię przed trzydziestoma czterema laty Victor znalazł swego syna, gdy nagi, przemarznięty, samotny konał w milczeniu.

Tego wieczoru ujrzał go ponownie. Znowu samotnie i bez sprzeciwu umierał wśród dalekich od świętości tej nocy więziennych mroków.

Nick stał w cieniu. Nie przemierzał niespokojnymi krokami celi, nie szukał dróg na

wolność. Jego silne ciało było całkowicie nieruchome, jakby czekało na śmierć. Pochmurne szare oczy powitały gościa bez zainteresowania czy zdziwienia.

Nick zrezygnował z nadziei.

Zrezygnował z Hope.

Victor zaczął mówić w mrok, do ciemnej sylwetki uwięzionego tam człowieka.

- Miałem kiedyś syna. Bardzo go kochałem. Bardzo. Nazwałem go Lucas, po moim ojcu, Jean - Lucu. Nadałem mojemu nowo narodzonemu synowi to imię w wieczór wigilijny, kiedy desperacko pędziliśmy ze śmietnika za piekarnią w Rutherford. Zawieźliśmy malca do Centrum Medycznego Courtlanda. I przeżył, przeżył mimo wszystko. Nie opuszczaliśmy go, jego dziadek i ja, aż do dziesiątej nocy, kiedy lekarze kazali nam wracać do domu i się przespać. Zapewniali nas, że dziecku nic nie grozi. Było już silniejsze, czuło się lepiej, a my potrzebowaliśmy odpoczynku, nawet bardziej niż ono. Tuż przed świtem pewna przyjaciółka - a w każdym razie uważałem ją za przyjaciółkę - przyjechała do Domaine. Powiedziała, że mój syn umarł. Że mój Lucas umarł.

Victor chciał zobaczyć swoje dziecko, przytulić małe martwe ciało, ucałować z życzeniem wiecznego pokoju. Rozpaczliwie pragnął tego ostatniego pożegnania.

Ale było to zbyt niebezpieczne, zwróciła mu uwagę Sibyl. Stanowiło zagrożenie dla Jane, która przyczyniła się do śmierci Lucasa, popełniła zbrodnię. Gdyby Victor poszedł do kostnicy, by tulić i całować zwłoki, mogłoby to wzbudzić podejrzenie co do prawdziwego pochodzenia małego podrzutka.

Więc nie pożegnał się, a kilka dni później Sibyl przywiozła srebrną urnę z prochami, zapewne zebranymi z paleniska w Courtland Manor.

- Tymczasem Lucas wcale nie umarł. Moja tak zwana przyjaciółka, przypuszczam, że z pomocą swego ojca, przewiozła go do San Francisco na oddział noworodków w jednym z tamtejszych szpitali. Ponieważ chłopczyk był dzieckiem wigilijnym, lekarze nazwali go Nicholasem Doe.

Wzrok Victora przystosował się do ciemności albo może muzyk znał sposoby, by przeniknąć spojrzeniem mrok bólu. W każdym razie w najgłębszym cieniu zdołał dojrzeć bladą, spopielalą twarz i zaciśnięte kurczowo pięści, Nick słuchał, natężał całą uwagę, jakby próbował zrozumieć jakiś nieznaną sobie język.

- Ona również załatwiła wszystkie sprawy papierkowe, ta niby przyjaciółka. W przeciwieństwie do Grandpere'a i do mnie, nie była dyslektykiem. Gdybym potrafił przeczytać dokument, który mi pokazała jako świadectwo zgonu, zorientowałbym się, że mój syn żyje. Odnalazłbym go i kochał, tak jak kocham go teraz.

Tego było już za dużo. Nick nie mógł dłużej wytrzymać tego niepojętego języka, który przypominał mu straconą miłość i odrzucone życie, więc zaczął wycofywać się głębiej w cień, dalej w ciemność.

Ale Victor nadal przemawiał do syna.

- On jest człowiekiem wyjątkowym, ten mój Lucas. Dwa razy zaryzykował wolność, a nawet życie dla ukochanej. Dwa razy. I dalej próbuje ją chronić, mimo że teraz to on potrzebuje jej pomocy. A kobieta, którą wybrał, też jest nietuzinkowa. Walczy o niego i nie podda się. I ja także nie ustąpię. Lucas mógł popełnić zbrodnię, o którą został oskarżony. Byłoby to całkowicie zrozumiałe i wybaczone. Nawet najłagodniejsze stworzenie zareaguje gwałtem, zabije, jeśli zostanie zbyt silnie zranione. Ale Lucas nie zabił potwora, który go zgwałcił. To nie mógł być on, bo widzisz, mój syn, podobnie jak jego dziadek i ojciec, nie potrafi pisać ani czytać, a morderca Ala Garretta zostawił notatkę.

Victor wyczuł, że ukryty w mroku człowiek gwałtownie odetchnął ze zdumieniem... i nadzieją.

- Hope nie miała pojęcia, że Lucas Tessier jest dyslektykiem. Nie miała pewności, aż do wczoraj. Jednak udało jej się przejrzeć akta personalne chłopca, który pozostawał na opiece państwa. Dowiedziała się, że jako niemowlę był zbyt chorowity i delikatny, żeby ktoś go chciał adoptować, a jako mały berbecz był zbyt cichy i zamknięty w sobie. Kiedy podrośł, zaczął sprawiać problemy wychowawcze. Jego opiekunowie opowiadali, że nie uważał na lekcjach, chyba że chodziło o zajęcia plastyczne. Co prawda ani razu nie padł termin „dysleksja”, ale Hope, czytając o tym trudnym dziecku, przypomniała sobie mężczyznę, który nigdy w Willow Ranch nie zajrzał do jej dziennika, chociaż czasami specjalnie zostawiała zeszyt otwarty. Człowieka, który w innym życiu mógłby zostać weterynarzem, który wrócił do Napa, nie sprawdzając, czy nie wystawiono na jego nazwisko nakazu aresztowania, i który wreszcie, w zeszły piątek, prosił przyjaciółkę - swoją matkę - żeby pojechała z nim do mieszkania Hope, bo inaczej odnalezienie nieznanego adresu zajęłoby mu o wiele za dużo czasu.

- Diagnoza dysleksji pozostawała tylko domysłem, dopóki wczoraj Hope nie pokazała Lucasowi pewnego dokumentu - oczyszczonej z plam krwi kopii notatki, którą znaleziono przy Alu Garretcie. „Nie żałuję - stwierdzał morderca. - Skurwysyn zasłużył na śmierć”. Tekst skreślono dużymi drukowanymi literami, zamaszystymi i wyraźnymi, jakie mógłby w tej sytuacji wybrać mściwy nastolatek... albo wypalona emocjonalnie kobieta. Żona. Mój syn nie napisał tych słów. Było to dla niego niewykonalne. Nie jest więc winien morderstwa, za które został aresztowany.

Oskarżony, właściwie już skazaniec, stał nieruchomo w mroku celi. Słowa nadziei, które kierował do niego Victor Tessier, zagłuszał mu inny dźwięk, pierwotny, rytmiczny, ohydny i krwawy.

Nick znowu słyszał odgłos stali wznającej się w ludzkie ciało, przyprawiający o mdłości odgłos śmierci, który obudził go tamtej nocy. Hałas dobiegał z pokoju, gdzie spali Garrettowie... i gdzie kiedyś, gdy żony nie było w domu, Al wziął Nicka siłą.

Tej nocy w sypialni małżeńskiej chłopak zastał Iris Garrett. Siedziała okrakiem na martwym już mężu, zadając mu kolejne bezlitosne ciosy w odwecie za niekończące się bicie, które latami znosiła.

Nick wyrwał nóż z zakrwawionych rąk kobiety i podtrzymywał ją, kiedy, zanosząc się od szloch, układała historię dla policji, bajeczkę biorącą za punkt wyjścia autentyczne zdarzenia.

Al wieczorem pobił żonę i straszył, co mu się często zdarzało, że zabije ją we śnie.

Dalej można było zeznać, że w związku z tymi pogrozkami Iris schowała nóż pod poduszkę. Kiedy ocknęła się w ciemnościach, oszołomiona sennym koszmarem i pigułkami, które połknęła przed pójściem do łóżka, ujrzała męża, jak pochyla się nad nią w morderczych zamiarach. Więc uderzyła pierwsza. W samoobronie.

Iris powiedziała Nickowi, że w rzeczywistości od tygodni planowała to morderstwo. I samobójstwo. Właśnie dlatego połknęła garść środków nasennych. Reszta pigułek, liczba znacznie przekraczająca śmiertelną dawkę, wałała się, pochlapana krwią, na nocnym stoliku. Nick zgarnął leki na kartkę, która pod nimi leżała, i spuścił je w sedesie, a papier zmiął i wyrzucił do śmieci.

Dopracowawszy szczegóły zeznań i stosownie do nich uprzątnąwszy miejsce zbrodni, Nick zostawił opanowaną już Iris i poszedł zatelefonować na policję. Był z młodszymi dziećmi, uspokajał je i koił kłamstwami, kiedy nadjechał radiowóz. A po chwili usłyszał, że Iris Garrett z przejściem relacjonuje, jak po przebudzeniu ujrzała Nicka, który atakował nożem jej ukochanego męża, znęcał się nad martwym już ciałem.

Czyżby Iris Garrett wreszcie wyznała prawdę? Nadzieja na moment rozjaśniła mrok, ale po chwili powróciła jeszcze głębsza ciemność. Nie, oczywiście, że nie. Gdyby tak się stało, nie byłoby go tutaj W rzeczywistości...

- Ona nie żyje, prawda? Iris nie żyje. Gość nie odpowiedział od razu. Odnaleziony syn w końcu przemówił, a w jego głosie brzmiała taka straszna rozpacz.

- Tak - przyznał wreszcie Victor. - Ale zamierzamy odnaleźć pozostałe dzieci, które przebywały tamtej nocy w domu Garrettów.

- One były na dole. Spały.

- Ale może ta kobieta powiedziała coś istotnego któremuś z nich. Wyznała prawdę przed śmiercią.

Nick przymknął oczy. Znowu słyszał słowa Iris Garrett. Było jasne, że wierzyła we własne kłamstwa. Nim minęło kilka minut, przekonała samą siebie, że to Nick zamordował dręczyciela, którego ona kochała. Było więc mało prawdopodobne, by przyznała się do zbrodni. A notatka przy zwłokach? Czy można ją potraktować jako świadectwo niewinności?

Kartka dowodzi tylko, że zeznania Iris Garrett nie były w całości prawdziwe, a w najlepszym wypadku, iż żona ofiary współdziałała z mordercą. Notatka nie uwalnia Nicka od podejrzeń. Ślady jego palców, odcisnięte wśród plam krwi zabitego policjanta, były przecież dosłownie wszędzie. W sypialni, na nożu, na zapisanym papierze.

A poza tym Nick uciekł.

To nie może skończyć się dobrze, powiedział kobiecie o cynamonowych włosach, która pragnęła go bronić. I miał rację. Nie było żadnej szansy.

Victor Tessier wyczuwał udrękę więźnia tak wyraźnie, jak kiedyś na wieść o śmierci dziecka doświadczał własnej rozpacz.

- Spędziłem z moim synem zaledwie kilka dni. Dotykałem go gdy tylko lekarze uznali, że to dla niego bezpieczne. On był bardzo maleńki ten mój dzidzius, mój synek, tak jak i otwór w inkubatorze, przez który pozwolono mi do niego sięgać. Nie mogła się tam zmieścić cała dłoń, tylko dwa palce, do tamtej chwili właściwie mi zbyteczne. Och, znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że wyczarowuję nimi ze strun skrzypiec piękno i uczucia. Ale było to piękno pozorne i błahe uczucia w porównaniu z tym, co przeżyłem, kiedy mała rączka zacisnęła mi się wokół palca. Czułem odwagę i miłość mojego syna. I modłę się, zawsze się o to modliłem, żeby i on odczuł wtedy, jak bardzo go kocham.

Otwór w inkubatorze był mały, a przestrzeń między prętami celi, w której trzymano Lucasa Tessiera, z trudem pozwalała na wsunięcie dłoni.

Victor wyciągnął rękę przez kraty. Do swego syna. W ciemność.

Przez chwilę wydawało się, że Nick podejdzie do ojca. Że ich palce znów się złączą. Nareszcie.

Ale z noworodka, znalezionej jeszcze ze śladami krwi matki, wyrósł mężczyzna, na którym ciążyło posądzenie o krew przelaną z namiętności, chęci przemocy i gniewu - krew Ala Garretta, Roberta, a nawet Frances Tessier i jej kochanka Gavina.

Krew zmarłych oblepiała go wilgocią i tak lśniła czerwienią, że nawet mrok, który Nicka otaczał, zabarwił się od niej i splamił.

- Nick? - błagał Victor. - Lucas?

- Zapomnij o mnie - szepnął Lucas Tessier. - Proszę, zapomnij o mnie.

Montagne Noir

Boże Narodzenie

Dawno temu Chase czytywał na głos Grandpere'owi, a w ten świąteczny poranek w wesołej fiołkoworóżowej kuchni zamku trójka młodych Tessierów czytała Victorowi.

Studiowali najnowsze wydania gazet w poszukiwaniu historii, która niechybnie wypłyłnie na powierzchnię, gdy tylko sensacje związane z Robertem Forrestem i morderstwami sprzed lat stracą na świeżości. Dziennikarze z pewnością sięgną wtedy do innych faktów z życia oskarżonego i szybko odkrywają, że wychowanek opieki społecznej został znaleziony w wieczór wigilijny na śmietniku w Napa.

- Tu nie ma nic - stwierdził Chase, kończąc przegląd ostatniego brukowca.

- Ani tu - dodała Hope, która przewertowała „Chronicie”.

- Ani tu. - Cassandra podniosła wzrok znad świątecznego wydania gazety lokalnej, którą kiedyś redagował mąż Eleanor.

- Jeszcze nie ma - spokojnie poprawił Victor. - Ale i tak muszę się z nimi obydwoma zobaczyć. Zrobię to dzisiaj.

- Obydwoma? - zapytała Hope. - Myślisz o Jane i Sibyl?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ - odparła za teścia Cassandra - Victor nadal ochrania Jane. Aby odwrócić uwagę od własnego przestępstwa, Sibyl będzie mówić o zbrodni Jane. Victor zdaje sobie z tego sprawę, więc zamierza zaproponować pani Raleigh niewiarygodnie korzystny interes: jej milczenie na temat Jane w zamian za jego milczenie na temat Sibyl.

Victor zwrócił się do Hope z powagą, która potwierdzała domysły Cassandry.

- Prawdę znamy tylko my czworo. Poznają ją też Jane i Sibyl. I na tym koniec. Czy to możliwe?

Słynny muzyk, ślepy na słowo pisane, wierzył, że jako skrupulatny prawnik uważnie przeczytała każdy dokument w aktach Nicka.

- Tak - odparła Hope. Bo już trzydzieści cztery lata temu, dodała w myślach, tak skutecznie chroniłeś Jane, że Lucas Tessier istniał tylko w sercach ojca i dziadka. - Chciałabym sama porozmawiać z Sibyl. Szczerze mówiąc, byłabym wręcz zachwycona.

- Cassandra i ja też mamy chęć z nią pomówić - oświadczył Chase. - Dla ciebie,

Victorze, wystarczającym przeżyciem będzie spotkanie z Jane. Więcej niż wystarczającym.

- Mnie osobiście - mruknęła Cass - rozmowa z Sibyl sprawi wielką przyjemność.

Cassandrze chodziło jednak o coś więcej. Jane, jaką znała, była tą samą wspaniałą kobietą, która troszczyła się o Nicka i pomogła uratować Hope.

Tak wyglądały prawdziwe wspomnienia Cass o Jane Parish. A inne obrazy, groteskowe i nienawistne? Były tylko domysłem, możliwe, że całkowicie błędnym. Może Jane nie zdawała sobie sprawy ze swojej ciąży aż do zaskakującego momentu, kiedy rozpoczął się poród? I może przerażona, oszalała ze strachu nastolatka sądziła, że jej syn przyszedł na świat martwy? Może więc Jane Parish nie wyrzuciła swojego dziecka na śmietnik, a tylko myślała, że kładzie tam martwe ciało. Nie to co Sibyl, która na zimno i z rozmysłem odebrała Nickowi miłość, rodzinę i życie, do którego miał pełne prawo.

W niebieskich oczach Cassandry zabłyśła pasja, a jednocześnie nadzieja.

- Naprawdę marzę o tym, żeby wszystkie negatywne uczucia, jakie miałam ostatnio w stosunku do Jane, przenieść właśnie na Sibyl. Chcę tego, Victorze. Pozwól mi być tą osobą, która jej powie, że wszyscy wiemy, jaka jest podła. Proszę. Byłby to dla mnie najlepszy prezent gwiazdkowy.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- A więc załatwione - oświadczył Chase. - My się bierzemy za Sibyl, a ty spotykasz się z Jane. - Popatrzył na kudłate stworzenie, które starało się nie oddalać na krok od Victora.

- Ty i Molly.

- Dziękuję - szepnął Victor. Rozległ się dźwięk telefonu. Chase podniósł słuchawkę i po chwili spojrzął na Hope.

- Do ciebie. To Meryl Atwood. Hope podeszła do aparatu. - Meryl?

- Cześć. Właśnie dzwonił do mnie John Madrid. Chce się spotkać z tobą, ze mną i z Larrym Billingsem jak najszybciej. John gwizdże na to, że są święta, skoro Craig siedzi w więzieniu. Rozumiem, że ty też specjalnie nie balujesz.

- Nie.

- Ja też nie. Więc?

- Przyjadę. Oczywiście. - Nawet jeśli to świąteczne spotkanie prokuratury z policją sprawi, że detektyw Billings będzie miał bardziej udane Boże Narodzenie, bo zapewne John Madrid chce oficjalnie wycofać złożone dziewiętnaście lat temu oświadczenie o seksualnym wykorzystywaniu Nicka przez Ala Garretta. - Niedługo będę, Meryl. Już wyruszam.

Hope odłożyła słuchawkę i zawiadomiła rodzinę, że musi wracać do San Francisco,

przy czym ze względu na Victora zasugerowała znacznie bardziej optymistyczny powód tego nagłego spotkania.

- Sądę, że nie ma to żadnego związku z Nickiem. Zapewne John Madrid wybrał ten świąteczny dzień, aby nas zawiadomić, że z powodu mego stronniczego nastawienia ma zamiar złożyć odwołanie od wyroku, który zasądzono jego synowi. W tej sytuacji nie mogę jechać z wami do Sibyl.

- Poradzimy sobie - zapewnił ją Chase.

Dom Jane Parish na Sage Canyon Road przypominał starą wozownię przy Zinfandel Lane. Cedrowe ściany również posiadały z wiekiem, a wistaria wylewała się spod okapu bujną lawendową kaskadą. Zdobiały wejście świąteczny wianek z gałązek sosny i kwiatów gardenii zdobiły delikatne szklane ozdoby wymalowane ręką gospodyni.

Victor stał pod drzwiami, ale nie śmiał zadzwonić. Nie czuł się jeszcze gotowy. Wyczuwał jednak obecność Jane.

Jane rzeczywiście była w pobliżu. Klęczała na podłodze koło choinki. Był to bujnie rozrośnięty błękitny świerk w drewnianej donicy, prezent od dawnego kochanka. Niejedno Boże Narodzenie drzewko przestało na zewnątrz, bo Jane brakowało siły, żeby je wtaszczyć do domu.

Ale w tym roku Nick pomógł wnieść ciężki pojemnik. Jane zaproponowała, by wspólnie udekorowali jasnozielone gałęzie. Prosiła, potem nalegała, bo niepewne zachowanie Nicka nasunęło jej wątpliwość, czy on w ogóle kiedykolwiek ubierał choinkę.

Teraz drzewko wyglądało ślicznie, otoczone kolorowymi paczkami, bożonarodzeniowymi podarunkami dla szczodrej artystki, która zawsze rozdawała innym tyle prezentów. Jane wiedziała, że powinna już zacząć odpakowywać świąteczne niespodzianki, zwłaszcza te z naklejkami „Dla cioci”. Spora grupka dzieci, pełnych entuzjazmu i zapału, czekała, aż ciocia Jane zadzwoni, aby powiedzieć, jak bardzo podobało jej się to, co same wybrały czy zrobiły.

Jane ze znużeniem myślała o tych nieuniknionych rozmowach. Musiała zebrać siły, by sprawiać wrażenie szczęśliwej i wesołej. Dla małych istot, które nie były jej dziećmi.

Wpatrywała się bezmyślnie w paczuszkę zawiniętą w granatowy, usiany srebrnymi gwiazdkami papier, kiedy nagle rozległ się dzwonek.

Jane podniosła się z podłogi, żeby otworzyć.

A potem? Potem zobaczyła srebro, smugi gwiazdowego blasku lśniące w kruczoczarnych włosach. I granat nocnego nieba - najciemniejszy, obrzeżony szarością błękit - w jego oczach. Zakłopotanych. Udręczonych. Zmęczonych.

Ukochanych.

- Victor - szepnęła. - I Molly. Molly zamerdała ogonkiem na powitanie, ale nie odstaąpiła na krok mężczyzny, który tak bardzo przypominał jej Nicka. Wybrała ojca, nie matkę.

- Witaj, Jane. - Czy mogę... czy możemy... Mogę wejść?

- Tak. Oczywiście. Czy coś się stało? Dlaczego przyszedłeś?

- Z powodu Nicka. Delikatne ręce, które kiedyś pieściły go z taką namiętnością, gwałtownie się uniosły.

- Och, nie. Coś się stało. Wyrządzili mu jakąś krzywdę albo...

- Nick ma się dobrze, Jane. Nic mu się nic stało. Niepokoisz się o niego, prawda?

- Tak. Bardzo. Jeżeli chcesz zapytać, czy jestem gotowa mu pomóc, odpowiedź brzmi: tak. Zrobię wszystko, wszystko. Hope o tym wie.

- Owszem. Ale jest coś, Czego ty nie wiesz o Nicku.

- Wiem, że jest niewinny.

- Ja też jestem tego pewien. I obydwójce, ty i ja, musimy go przekonać, żeby pozwolił nam działać. A potem, znów ty i ja, staniemy do walki o życie i wolność naszego syna. To była wspaniała myśl, szybująca w przestworzach fantazja, marzenie, które uleciało wysoko ponad rzeczywistość. Ale runęło, roztrzaskało się w kawałki, zanim jeszcze Victor Tessier powiedział bardzo cicho: - Nie wiesz, Jane, że Nick jest moim synem.

- Wesółych Świąt. - Nieszczere powitanie zabrzmiało jeszcze bardziej fałszywie, kiedy Sibyl zorientowała się, że Chase i Cass przyszli sami. - A gdzie Victor?

- Z Jane.

- O? Mam nadzieję, że nie jest to eufemistyczne określenie na uprawianie seksu. - Pokręciła z niesmakiem głową. - A wy dwoje przyszliście tu z powodu...

- Z powodu tego, co zrobiłaś - dokończyła za nią Cassandra. - Do czego namówiłaś swojego ojca trzeciego stycznia trzydzieści cztery lata temu.

Ledwie dostrzegalny błysk niepokoju niemal natychmiast przybrał formę władczego zdumienia.

- Trzeciego stycznia? Trzydzieści cztery lata temu? Nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być. My, Courtlandowie, jesteśmy bardzo praktyczni, jeśli chodzi o precyzowanie naszych oczekiwań.

- Przedmiot tej prośby narodził się w Boże Narodzenie.

- Och. Mówisz pewnie o Galahadzie, moim skoczku czempionie. - Sibyl zmarszczyła czoło. - Nie mogę sobie przypomnieć daty jego przyjścia na świat.

- Dobrze wiesz, o czym mówimy, Sibyl - naciskała Cassandra. - O synu Victora. O dziesięciodniowym noworodku, którego wyprawiłaś do San Francisco, po czym zawiadomiłaś Victora o śmierci dziecka.

Sibyl uniosła idealnie zarysowane brwi.

- To bardzo interesująca historyjka, Cassandro. Mogę się tylko domyślać, że jest wynikiem obrażeń głowy, których doznałaś w Halloween. Nie pojmuję tylko, jakim cudem zdołałaś wciągnąć w swój system urojeń Chase'a i Victora. Ale w końcu jesteś mistrzynią w udawaniu, prawda? Zawsze byłaś.

- Mamy dowód - skłamała Cassandra. Uznała jednak ten chwyt za uczciwy. Bez trudu przecież zdobyliby dowód, gdyby zaszła taka potrzeba. - Pielęgniarki i lekarze, którzy zajmowali się podrzutkiem, wiedzą, że dziecko nie umarło, i przez te wszystkie lata nie pomyśleli nawet, że Victor i Jean - Luc mogli sądzić co innego. Pracownicy Centrum Medycznego Courtlandów doskonale pamiętają, że małego przetransportowano do innego szpitala, a Victor równie jasno przypomina sobie twój przyjazd do Domaine, kiedy to cała we łzach zawiadomiłaś go o śmierci chłopca. Victor już wie, Sibyl. Wie wszystko.

Twarz Sibyl Courtland Raleigh zmieniała się. Z hardej i pogardliwej stała się nagle bezbronna. Podobnie jak głos, który zabrzmiał niemal błagalnie.

- Czy on mnie nienawidzi? Czy Victor mnie nienawidzi?

- Sadzę - odparł Chase miękko - że Victor po prostu nie rozumie. Sibyl spojrzała na Chase'a, ujęta jego łagodnym tonem i wyraźnym współczuciem.

- W tym właśnie problem, Chase. On nigdy nie rozumiał.

- Nic dziwnego, że tak się o niego niepokoję. Nic dziwnego, że kocham Nicka, jakby był...

- Moim synem, Jane... i twoim. Padły wreszcie te siejące zniszczenie słowa. Victor bał się ich tak bardzo. Przerazała go myśl o straszliwym bólu, który musi jej zadać. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Nie rozumiem.

- Nick jest tym dzieckiem, które urodziło się wtedy w Wigilię.

- O czym ty mówisz? Nie wiesz? Zalała go fala ulgi. Pamięć Jane kryły ciemności, podobnie jak przydarzyło się to Cassandrze. Litościwy mrok oszczędzał jej przeżywania na nowo urazu i szoku.

- Już dobrze - zapewnił ją łagodnym tonem. - Już wszystko dobrze. Pragnęła, by ciepło jego czułego spojrzenia pozostało z nią na zawsze.

Przez chwilę znów miała siedemnaście lat i znów była zakochana w Victorze.

- Z czym jest dobrze? - spytała.

- Dobrze, że nie pamiętasz tamtej Wigilii. I miesięcy, które ją poprzedziły.

- Ależ ja to pamiętam - odparła Jane. - Wszystko pamiętam. Miałaś rację, że zakończyłeś nasz związek. Byliśmy bardzo młodzi, a na naszej drodze czyhało tyle przeszkód. Zbyt wiele. Nie mieliśmy szans, nie mogło nam się udać. Zajął mi trochę czasu, zanim zdałam sobie z tego sprawę. Ale w końcu to zrozumiałam i właśnie zaczynałam godzić się z tą prawdą, prawie już się z nią pogodziłam, kiedy pojawiłeś się w Wigilię u moich drzwi.

- Byłaś taka wymizerowana. Wychudzona.

- Ty też. Wtedy zrozumiałam, jakie to musiało być trudne również dla ciebie. Och, Victorze. Chciałam cię wciągnąć do domu i nigdy już nie wypuścić. Ale nie mogłam. Wiedziałam - byłam tego pewna - że nawet gdybyśmy spróbowali od nowa, nasz związek nie mógłby długo trwać. A ja bym po raz drugi nie potrafiła przeżyć takiej straty. Z trudem udało mi się to jeden raz.

- Ale nasze dziecko przeżyło. W tamten wieczór wigilijny urodziłaś dziecko. Naszego syna.

- Och, Victorze - szepnęła. - Ile bym dała, żeby mieć twoje dziecko. I gdyby tym dzieckiem, tym synem, był Nick... - Westchnęła. - Ja nigdy nie zaszłam w ciążę, Victorze. Nigdy. Byli w moim życiu mężczyźni, którzy chcieli, żebym urodziła ich dzieci. Ale ja nie mogłam. Bo pragnęłam mieć je tylko z tobą. Jeżeli Nick jest twoim synem - a modłę się, by tak było - i jeżeli przyszedł na świat w tamtą Wigilię, to znaczy...

To znaczy, że Victor ją zdradził. Kiedy ona walczyła, by przeżyć utratę miłości, on sypiał z inną kobietą...

- Victorowi nigdy nie przyszło do głowy, że jesteśmy sobie przeznaczeni - mówiła Sibyl Courtland Raleigh dziwnie dalekim głosem. - Byliśmy przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi, nawet po tym, jak kochaliśmy się ze sobą. Mnie to, co między nami zaszło, wydawało się cudowne. A Victorowi? Dla niego był to wybryk spowodowany nadmierną ilością szampana, chwila szaleństwa, której żałował nawet podczas... No, cóż. Przepraszał, ubolewał nad tym, że mnie wykorzystał. Przyszedł zobaczyć się ze swoją dobrą przyjaciółką Sib, ale był tak załamany rozstaniem z Jane, że zachowywał się, jakby był niespełna rozumu. Czy wiesz, jak się można poczuć, kiedy ktoś ubolewa, że się z tobą kochał? I oznajmia, że w związku z tym brzydzi się sobą? I rozpacza, że jest winny wobec kobiety, którą z tobą zdradził?

- Tak - odparł cicho Chase. - Można się poczuć śmieciem.

- Owszem. Śmieciem. Takim jak złośliwa narośl, którą Victor we mnie zostawił.

Nienawidziłam tego dzieciaka, chciałam, żeby zniknął z mego życia. Pozbyłabym się go, gdybym się zorientowała na czas.

- Więc zamiast tego go głodziłaś.

- Głodziłam siebie, aż nie było po mnie niczego widać nawet w obcisłym ubraniu. Nigdy nie wyglądałam lepiej. Victor powiedział mi to, kiedy spotkaliśmy się w Wigilię... kiedy oznajmił, że wybiera się do Jane prosić, żeby do niego wróciła.

- A ona ułatwiła ci zadanie, bo nie wpuściła go do domu.

- Nie. Jane wszystko zepsuła. Jak zawsze. Nie przyszło mi do głowy, że ona może mu odmówić. Wyobrażałam sobie, że będą razem radośnie świętować, gdy zadzwonię do Domaine... i że wspólnie odkryją w śmietniku martwego syna Victora. Nie przedstawiłam się, kiedy Grandpere odebrał telefon. Nie widziałam takiej potrzeby. Victor powinien był wiedzieć, że to ja, że to moje dziecko, nasze. I powinien mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, jak się ze mną obszedł, że moglibyśmy... Cóż, to tyle, jeśli chodzi o mój plan. Tymczasem Victor uznał, że to syn Jane, i robił wszystko, żeby ją chronić, i pokochał jej dziecko - moje dziecko. Towarzyszyłam Victorowi w szpitalu. Sam tego chciał. I wysłuchiwałam jako dobra przyjaciółka, jak się obwinał za to, że tak bardzo zranił Jane. Nigdy nie czułam się mu bliższa i nawet przez chwilę chciałam, żeby dziecko jednak żyło. Moglibyśmy wziąć ślub. Wychowywałabym bękartą Jane jak własnego syna, a Victor nigdy nie dowiedziałby się prawdy. Ale kiedy stało się jasne, że noworodek ma szansę przetrwać, wiesz, co Victor zrobił? Zaczął mówić o odszukaniu Jane.

Oczywiście, potrzebował mojej pomocy. Ja mogę czytać, a on nie. Chciał, żebym wykryła, dokąd wyjechała rodzina Parishów. Pragnął mieć adres i numer telefonu Jane, żeby wytłumaczyć swojej najdroższej, że to on jest winien, bo jego okrucieństwo pchnęło ją do wyrzucenia dziecka. A potem - i tu następuje najzabawniejsza część mojej opowieści - Victor miał zamiar poprosić Jane o rękę.

- A ty nie mogłaś znieść nawet myśli o tym.

- Masz rację, Chase. Nie mogłam.

- Więc pozbyłaś się swego dziecka - po raz drugi. Sibyl Courtland Raleigh uśmiechnęła się. Znowu wyniośle. Jak zawsze władczo.

- A dlaczego nie? Miałam prawo odesłać tego dzieciaka. W końcu byłam jego matką.

Biuro prokuratora okręgowego, San Francisco

Boże Narodzenie

Czy czytałaś moje oświadczenie w aktach sprawy Ala Garretta? - zwrócił się John Madrid do prokurator, która udowodniła winę jego synowi.

- Tak, czytałam. Dlaczego pytasz?

- Bo to nie wszystko. Jest coś, co powinienem był dodać trzynaście lat później, i muszę to zrobić teraz.

- Co to takiego, John? - naciskał Larry Billings, a jego ton świadczył o pewności, że za chwilę zostanie wbity ostatni gwóźdź do trumny Nicholasa Doe.

John Madrid odpowiedział lojalnemu przyjacielowi syna poważnym, smutnym spojrzeniem. Potem popatrzył w twarz Hope.

- Obiecałem Iris, że gdyby Nick został złapany, oddam to policji. „To” było zapieczętowaną kopertą.

- Och - szepnęła Hope. - Jej wyznanie?

- Tak. Napisała je na krótko przed śmiercią.

- Czy wiesz, co zawiera?

- Tak. Iris opowiedziała mi wszystko, więc jeśli w jej wyznaniu są jakieś luki, mogę podać niezbędne szczegóły.

Niezbędne szczegóły, które uczynią Nicka wolnym. To był prezent gwiazdkowy od ojca, któremu Hope wsadziła syna za kraty, od mężczyzny, którego Meryl Atwood darzyła ogromnym szacunkiem.

- Nie musiałeś tego zrobić. - Hope była poruszona prawością tego człowieka.

- Owszem, musiałem. Dla Iris, ale przede wszystkim dla Nicka. Wiesz, ja go znałem. Al był w pracy moim partnerem, a prywatnie przyjacielem. Urządzaliśmy pikniki rodzinne w stylu scenek, które lubił przedstawiać Norman Rockwell. - Ciężkie westchnienie świadczyło wymownie o tym, jak daleko ten sielski obrazek odbiegał od ponurej rzeczywistości. - Nick był bardzo mały jak na swój wiek, a przy tym piękny, naprawdę piękny, spokojny i poważny. Krótko mówiąc, wymarzona ofiara dla brutala. Takiego jak mój syn.

- John - jęknął detektyw Billings. - Co ty mówisz?

- Prawdę, Larry. - John Madrid znowu westchnął. - Prawdę. Nick ignorował złośliwości Craiga. Ale pewnego letniego dnia pojechaliśmy na plażę. Brzegiem morza biegał

tam i z powrotem pies. Czekał pewnie na właścicieli, którzy pływali po zatoce na hartach wodnych. Mój syn uznał, że świetną zabawą będzie rzucanie w nieszczęsne zwierzę kamieniami. Ale zanim zdążył rzucić pierwszy, mały, kruchy Nick złapał go za rękę i uwiesił się na niej z całej siły.

- Taka odwaga - mruknęła Meryl Atwood - takie współczucie wiele są warte.

- Chyba dlatego wiedziałem, nawet nim jeszcze powiedziała mi to Iris, że Nick nie zamordował Ala.

- I dlatego - dodała Hope cicho - pozwoliłeś chłopcu uciec.

- Chwileczkę - przerwał jej ostro detektyw Billings. - John Madrid.

- Ale Nick nie był mordercą. Nie jest mordercą. - Oczy Hope - rozbłysły wdzięcznością, gdy znów zwróciła się do Johna Madrida. - Pozwoliłeś chłopcu uciec.

- Chwileczkę - przerwał jej ostro detektyw Billings - John Madrid nigdy by nie wypuścił mordercy.

John Madrid ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, tylko cicho, z żalem wyznał:

- Byłbym dumny, mając Nicholasa Doe za syna. Bo nie mogę być dumny z syna, którego wychowałem.

- Do diabła - wymamrotał detektyw Billings.

- Zmieniłeś się od czasu, kiedy pracujesz z Craigiem - zwrócił się John do Larry'ego. - Powinieneś zawrócić z tej drogi. Musisz.

Czekała ich dłuższa rozmowa, którą trzeba było odbyć. Kiedyś. Teraz nie było na to czasu, bo niewinny człowiek nadal powoli umierał w więziennej celi.

- Okay - włączyła się Meryl. - Teraz musimy bliżej zbadać tę sprawę. Larry i ja spotkamy się z Nickiem i skłonimy go, żeby powiedział prawdę. Ty nie możesz brać w tym udziału, Hope.

- Tak, wiem. Ale... Meryl uśmiechnęła się.

- Boisz się, że nie zdołam go przekonać do złożenia zeznań? Zaufaj mi, Hope. Siedzę w tym fachu już od bardzo dawna. A poza wszystkim, mam zamiar powiedzieć Nickowi prawdę - że dysponujemy oświadczeniem pani Garrett, a on ma tylko opowiedzieć swoją historię, która, mam nadzieję, okaże się zgodna z relacją Iris.

- Okaże się.

- Wiem. A ty z kolei wiesz, że nawet jeśli w ciągu paru minut ustalimy, że sprawozdanie Nicka dokładnie pokrywa się z tym, co napisała Iris, formalności związane ze zwolnieniem, cała ta procedura przywracania wolności, zabierze nam chwilę. Więc może tymczasem wykonasz kilka telefonów i znajdziesz coś, co Nick mógłby na siebie włożyć?

- Mam dla niego ubranie w samochodzie.

- Świetnie. Kiedy je przyniesiesz, utnij sobie kilka bardzo długich rozmów z różnymi miłymi osobami z Napa.

Procedura przywracania wolności, ten najwspanialszy świąteczny prezent dla Tessierów, trwała niemal do północy. Ale nie miało to znaczenia. Śmiała przepowiednia Eleanor o cudach, które miało przynieść tegoroczne Boże Narodzenie, okazała się prawdziwa.

Telefon od Hope zastał Victora w towarzystwie Jane. Mieli pozostać razem już na zawsze. Cassandra natomiast zawiadomiła przyjaciółkę, że Sibyl Courtland Raleigh, która odznaczała się wieloma wadami, ale na pewno nie głupotą, zarezerwowała bilet na samolot do południowej Francji - bilet tylko w jedną stronę.

A teraz, za chwilę, Nick miał odzyskać wolość. Mógł żyć, jak zechce, bez strachu. Kochać, kogo zechce, kogo wybierze.

Hope uparcie powtarzała sobie, że też będzie szczęśliwa. Pogodziła się z Victorem i może się z nim nawet zaprzyjaźni. A przede wszystkim ma swoją pasjonującą pracę, jesienne żniwa duszy.

I wtedy właśnie pojawił się Nick. Z czarnymi wilgotnymi włosami, w niedbałym stroju, bez łańcuchów poruszał się zręcznie i lekko.

Szedł wolny, do życia w spokoju.

Do domu. Zatańcz ze mną - poprosił.

- Nick?

- Zatańcz ze mną, Hope. Kocham cię od tak dawna. Tańcz ze mną. Proszę. Zawsze.

Tańczyli w jej mieszkaniu, z którego okien roztaczał się widok na zatokę. Był to balet kochanków, taniec miłości.

Tej świątecznej nocy nad Montagne Noir zajaśniała tęcza z mgieł i księżycowego blasku i objęła ich wszystkich swoim pastelowym łukiem.

Chase'a i Cassandrę.

Nicka i Hope.

Victora i jego Jane.

Eleanor i jej Samuela.

I Molly. Oczywiście, Molly.

A w szumie wiatru dał się słyszeć cichy pomruk znajomych głosów. Panie dzieju, unosił się szept. Panie dzieju, Hank. Panie dzieju, Jean - Luc. Przysięgłbym, że widzę rodzinę.

Delikatny powiew - panie dzieju, zefirek - miał już nie milknąć, pozostać na zawsze w dolinie, tak jak roztańczone bąbelki szampana Montagne Noir.

Ale kiedy młode listki pojawiły się na krzewach winorośli, a kwiaty gorzycy okryły winnice i łąki złotą chmurą, wiatr przyniósł nowy, wiosenny szept, tak młodziuteńki, że jeszcze niezauważalny.

Cichy poszum wzrastał i nabierał mocy przez całe lato, aż do jesieni. Słysząc w nim było słowo „dziecko”, kiedy szeleścił w winnicach, i „miłość”, gdy pieścił róże. A byli tacy, dla których te dwa dźwięki stanowiły jedno.

Jesienią, w czasie winobrania, kiedy Nickowi i Hope urodził się Lucas Victor Tessier, a u Cassandry i Chase'a na świat przyszła Eleanor Jane, wiatr szeptał radośnie w dolinie:

O rety.

O rety.

Rety.